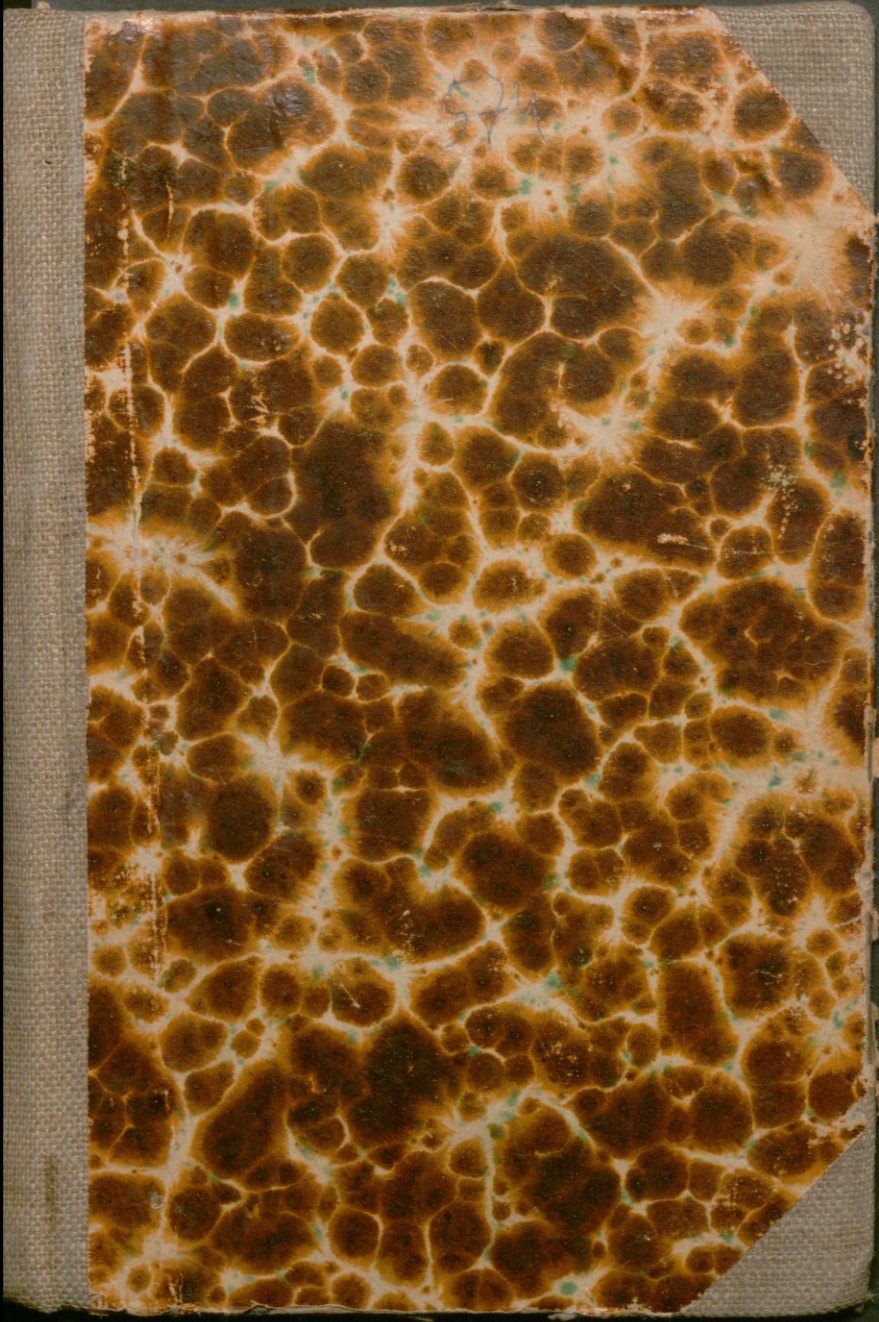
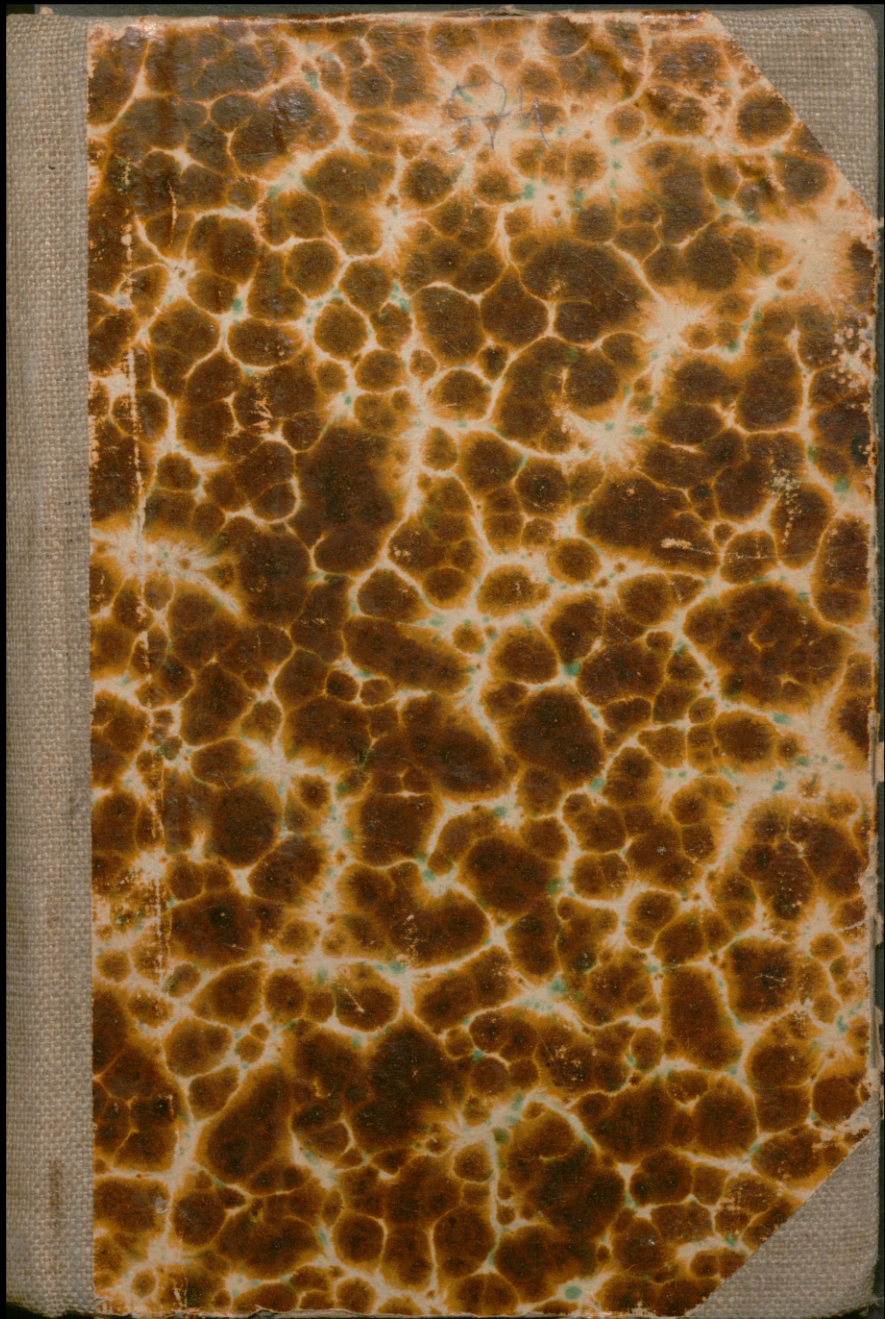


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





SZYMON ASKENAZY

WCZASY HISTORYCZNE

TOM II



22/1

WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1904

93(439)

14434/II-2



~~16/11/11~~
~~11/11/11~~

10031/1



Francya a Polska.

Francuzi w ostatnich czasach z niezwykłą energią rzucili się do badań źródłowych nad nową i najnowszą historią polityczną swego narodu. Na tem polu, jak na wielu innych, znacznie wyprzedzeni przez Niemców, wysilili się, aby ich doścignąć. Owym wysiłkom, obok pobudki czysto naukowej, przedewszystkiem przydaje ostrogi wzgląd na najżywotniejsze interesy kraju. Owe badania nie cofają się zbyt daleko w przeszłość, nie gubią w czasach obumarłych i zagadnieniach przedawnionych, lecz przeważnie imają się epok nowożytnych i wszędy ciążą wyraźnie ku sprawom doby współczesnej. Jestto zupełnie zrozumiałe. Klęska, poniesiona przez Francję przed ćwiercią wieku, była nie tylko klęską armii, lecz w równej mierze i polityki francuskiej. Zrobić obrachunek kierowniczych tradycyi politycznych narodu, które go były uczyły wielkim w radzie mocarstw i ludów; od onych tradycyi wskazać zboczenia, które go poniżyły, — taka sprawa naukowa sama przez się stawała się

pierwszorzędną sprawą obywatelską. Spółczesne dziejopisarstwo francuskie okazało się niezmiernie czułem na takie hasło. Licznie stanęli do apelu badacze, których nazwiska — Aumale, Noailles, Haussonville, Broglie, — nierozdzielnie są związane z tradycjami Francji dawnej; tłumnie stawili się inni, których nazwiska — Hanotaux, Rambaud, Sorel, Chuquet, Vandal, — są na czele rządów i nauki Francji dzisiejszej. Nie przesadzamy na razie, o ile te gorączkowe usiłowania są zdrowe w zasadzie i wykonaniu, o ile ta ankieta naukowa istotnie oświeciła samowiedzę polityczną. Niezawodnie jednak prace, o których mowa, jakkolwiek z rozmaitych względów wiele pozostawiają do życzenia, są naogół i bardzo doniosłe i przedsięwzięte na bardzo dużą skalę. Wzięto się do nich zupełnie na seryo. Porzucono dawne uniwersalne sposoby wykładu, świetne a ogólnikowe wzory Voltaira i Micheleta; zwrócono się natomiast do robót edytorskich i monograficznych, dosięgających rdzenia rzeczy. Obostrzono kontrolę naukową, stworzono specjalne czasopisma historyczne i krytyczne, zaprowadzono specjalne wykłady, założono specjalną instytucję i przegląd dla »dziejów dyplomacyi«, inną znów dla »dziejów społecznych«. Przedewszystkiem zaś przystąpiono w jaknajszerszym zakresie do wydawnictwa dokumentów, rozpoczęto pomnikową edycję Inwentarza Analitycznego archiwów ministerjum spraw zagrani-

cznych, podjęto na wzór berliński ważne publikacje Sekcji Historycznej przy Sztabie Generalnym paryskim, daleko posunięto Zbiór Instrukcyi dyplomatycznych, zyskano poparcie materyalne i pomoc czynną rządu, podano rękę wydawnictwom rządów zagranicznych, rosyjskim, austryackim, pruskim, ściągającym się do spraw francuskich. Różnolity ogrom ujawnionych w ten sposób przyczynków daje się naogół sprowadzić chronologicznie i rzeczowo do dwóch wielkich działów zasadniczych, stykających się i rozszczepiających u końca zeszłego wieku. Tutaj jest punkt przełomowy, jak dla ogółu nowszych dziejów francuskich, tak w szczególności dla dziejów nowożytnej polityki zagranicznej tego narodu, rozdartej tutaj na dwa nierówne okresy przez żywiołowy wybuch wojen rewolucyjnych. Poczęta w stuleciu Franciszka I i Henryka IV, wytężona w stuleciu Richelieugo i Wielkiego Ludwika, wyczerpana w stuleciu Ludwików XV i XVI, pierwszy, pełny swój okres zamknęła upadkiem starych rządów królewskich, które ją były wydały; drugi, trwający podziśdzień, rozpoczęła od rządów rewolucyjnych i Napoleońskich, które ją pchnęły na nowe tory. W obudwu kierunkach zrobiono wiele, rozwidniono obadwa okresy, do obu wniesiono światło dokumentów spółczesnych i autentycznych. Te dokumenty z pierwszej ręki, pod najróżnorodniejszą postacią: korespondencyi monarszych, gabinetowych

memoryałów, obrad kongresowych, sprzymierzeńczych układów, instrukcyi ministeryalnych, albo poselskich doniesień, ogarniają całokształt spraw i interesów europejskich Francyi w erze nowożytnej, wykreślając we wszystkich kierunkach główne szlaki francuskiej polityki zagranicznej.

Pośród całego tego, tak obfitego a tak szybko mnożącego się materiału dziejowego, szczególne budzi zajęcie wspomniony *Zbiór Instrukcyi*, udzielanych przedstawicielom Francyi u rządów obcych. Dochodzi on tylko do owego punktu zwrotnego, do Rewolucyi. Zresztą, choć bardzo już naprzód posunięty, nie został jeszcze doprowadzony zupełnie do końca. Jednakowoż już wydane dotychczas części, stanowiące każda zamkniętą w sobie całość, pozwalają w postaci nader dogodnej, przejrzystej, prawie dotykanej, śledzić kolejno w oderwaniu stosunek polityki francuskiej do każdego oddzielnie z państw europejskich, do Austrii czy Hiszpanii, Rosyi czy Szwecyi, Prus czy też do Polski. Z tych świadectw najniezawodniejszych, z własnego oficjalnego świadectwa rządzących, uzupełnianego skądinąd relacją ich wykonawców, dobywa się przenikliwy głos Francyi, jak skrót splątanej polifonii polityki powszechnej, zwraca się z osobna do każdego uczestnika wielkiej rodziny europejskiej, jakby w szeregu długich dyalogów odrębnych, które, doprowadzone tutaj do zamknięcia pierwszej przedrewolucyjnej epoki, w drugiej, porewo-

lucyjnej, nieprzerwanie podziśdzień dalej się ciągną. Albowiem wszędzie nieprzerwanie trwają podziśdzień, z tą zaledwo odmianą, iż kierują się dzisiaj do Rzymu, zamiast do Turynu, lub zamiast Ratyzbony, do Berlina. W jednym tylko wypadku nie, przędzona przez wieki, całkiem się urywa, zgółta ustaje oficjalny dyalog, zupełna następuje cisza. Jest tu jeden uczestnik zamilkły, jedno państwo umarłe. Jest to Rzplta polska *).

Czem się stało, że dwa narody, tak oddalone a różne, przez tyle czasu utrzymywały z sobą stosunek tak bliski i życzliwy? czem się stało, że obustronne stąd korzyści tak były nikłe, ciężary tak niespółmierne, wynik ostateczny taki, iż państwu starszemu a opiekuńczemu wypadło być bezczynnym świadkiem ponawianych agonii młodszego? — oto zagadnienia, które oddawna narzucały się rozwadze umysłów badawczych i czujnych sumień. Nie przestają narzucać się i nadal. Pozbyć się ich, pogrzebać, niema sposobu. Przyczynki nowoczesne, o których mowa, wszędzie niemal rozbrzmiewając echem rzeczy polskich, wszędzie też potracają o tamte zagadnienia, potykają się o nie, uwydatniają ich doniosłość, ich ponowny, chociażby ryczałtowy porachunek podsuwają nieodparcie.

*) L. Farges: *»Recueil des instructions données aux ambassadeurs et ministres de France en Pologne«*.

I.

Francya i Polska z natury rzeczy długo musiały pozostawać sobie obce. Oddalone od siebie przestrzennie, przegrodzone są, od początku swego istnienia, olbrzymim gmachem gotyckim świętego państwa rzymskiego. Chciano z tej właśnie okoliczności wyprowadzić predestynację powinowactwa politycznego obu narodów. Istnieje pewna osobliwsza teoria, którą możnaby nazwać teorią ujemnego powinowactwa w polityce. Wedle tej teorii, o związku politycznym narodów nic, albo niewiele stanowią wspólne cechy dodatnie, sąsiedztwo u wspólnych źródeł kultury, równoległy kierunek duchowego rozwoju, solidarność i pokrewieństwo zadań i potrzeb cywilizacyjnych. Wedle niej natomiast, nic bardziej i wyłącznie nie umacnia przyjaźni politycznej, jak posiadanie wspólnego wroga, nic bardziej i pewniej jej nie utrwała, jak niepodobieństwo wyrządzania sobie krzywd dotykalnych. Ta teoria podobno dziś uchodzi za pewnik. Jest to nauka obłądna i barbarzyńska. Przywraca i uświęca zasadę jawnej lub utajonej wojny wszystkich przeciw wszystkim, wymazuje drogocenne nabytki międzynarodowego uspołecznienia: — tedy barbarzyńska; naraża przyszłość dla widoków tymczasowych, buduje na samej nienawiści, na tem, co krótko łączy a zawsze rozdziela: — tedy z gruntu błędna.

Rozciągnięta do stosunków polsko-francuskich już w samym ich zaraniu, polega nadto na oczywistem nieporozumieniu. Nie ulega wątpliwości, że stare Niemcy, cesarskie wspólnym wrogiem narodowym Polski i Francji nie były bynajmniej. Zapewne, jeszcze kędyś, w najciemniejszej pomroce średnio-wiecznej, w tym samym prawie czasie, kiedy Paryż jest oblegany przez cesarza Sasa i zbrojne zastępy niemieckie po raz pierwszy obozują na wysokościach Montmartru, Polska rozpoczyna ciężką przeprawę z cesarzami domu saskiego. Cóż jednak z tego, skoro jeszcze w znacznie późniejszym okresie obrany król niemiecki bije się pod Crécy pod sztandarem francuskim, zaś rycerze francuscy pod sztandarem Zakonu nacierają pod Trokami na Litwę i Polaków, broniących swej ziemi. Nie może być niedorzeczniejszego anachronizmu, jak przeniesienie pojęć narodowościowych do tych epok odległych. Germańska mrzonka imperyum wszechchrześcijańskiego, potężnej myśli rzymskiej mgliste romantyczne odbicie, mogła nieraz zmorą przytłaczać sąsiadów ze Wschodu i Zachodu: trwałego dziejowego antagonizmu narodu względem narodu, ani nawet mocarstwa względem mocarstwa, od historycznych Niemiec dawnych jako całości, nie doświadczali oni zgoła. A przecież jeden i drugi sąsiad spotkał się wewnątrz Niemiec z właściwym swoim przeciwnikiem. To nie wychodzi na jedno. To nawet wprost odwrotne miało znaczenie i skutki.

Każdy z obu sąsiadów Niemiec innego pośród Niemiec znalazł przeciwnika: Francya — dom Habsburgów i Austryę, Polska — Zakon krzyżacki i Prusy. Stąd nie wynikało powinowactwo interesów francusko-polskich, na któremby można było się opierać, lecz, wprost przeciwnie, wynikała sprzeczność, z którą należało się liczyć. Tę prawdę niezmiernej wagi, bezwiednie czy rozmyślnie, najzupełniej zapoznała polityka francuska. Tutaj tkwi jeden z jej błędów kardynalnych. Błąd, który trwał i coraz się pogłębiał przez trzy stulecia, który najwięcej się przyczynił do spaczenia samej istoty stosunków polsko-francuskich, który ciężką krzywdę wyrządził Polsce, a naostatku dotkliwie się pomścił na losach samej Francyi.

Początki zatargu między Francją a Austryą sięgają pierwszych początków ery nowożytnej. W XV wieku Habsburg, arcyksiążę austryacki, król rzymski a wkrótce cesarz niemiecki, poślubił bogatą dziedziczkę burgundzką. Jego syn poślubił bogatszą dziedziczkę kastylską, jego wnuk, Karol V, z klejnotem burgundzkiego spadku połączył koronę królewską Hiszpanii i cesarską Niemiec, z trzech stron jednocześnie opasując Francję: od południa, północy i wschodu. Odtąd walka była nieuchronną. Wyglądała ona u wstępu na współzawodnictwo dwóch ludzi, kiedy pierwszy herold Francyi przynosił cesarzowi Karolowi od króla Franciszka wyzwanie na pojedynek osobisty; później mogła wy-



dawać się współzawodnictwem dwóch dynastyi, odziedziczona przez Bourbonów po Walezycach, ciągnąca się szeregiem wojen sukcesyjnych, pozornie zamknięta związkiem małżeńskim delfina z arcyksiężniczką, pozornie przypieczętowana krwią obojga, pomieszana na rusztowaniu rewolucyjnem. W rzeczywistości, od pierwszej chwili do ostatniej, była współzawodnictwem dwóch równoważących się potęg politycznych. Złamać od południa duszącą obręcz habsburskiego uścisku, zerwać łączność między Wiedniem a Madrytem, znieść Pyreneje i zagarnąć zwierzchność nad Hiszpanią; sięgnąć na północy po płodne równiny wallońskie, już przedmiot pragnień Ludwika XI, po handlowe porty belgijskie, jeszcze przedmiot rachub Napoleona III, stanąć na straży oceanu i podważyć sam byt Anglii; od wschodu przywrócić dawne kresy galijskie, dotrzeć do granicy naturalnej, do Renu, otworzyć sobie tędy wylot do Niemiec i ustalić swoje nad niemi panowanie: te trzy zasadnicze dążenia polityki francuskiej, dążenia nieprzeparate i wielkie, a przez sam swój rozpęd i bezmiar zdradne i niebezpieczne, wciąż odnawiały i rozżarzały długowieczną walkę francusko-austryacką, czyniły ją nieuniknioną koniecznością dziejową, tak samo dla spokojnego Ludwika XVI jak dla jego ambitnych dziadów i pradziadów, tak samo dla rewolucyi i cesarstwa jak dla dawnych rządów królewskich. Ale była to, od pierwszej chwili do ostatniej, je-

dynie polityczna walka dwóch mocarstw. Żywiołu narodowego nie masz w tym zatargu. Niezawodnie, wielka jest nienawiść w Palatynacie dla rozbójniczych band francuskich Melaca i Durasa, lecz równe było wcześniej rozjątrzenie w Niemczech północnych dla austriackiego żołdactwa Wallensteina i Tillego, albo później na Szląsku i w Saksonii dla plądrujących pruskich wojsk Fryderyka. Żywioł narodowy jest tutaj tak dalece nieobecny, że walka Francyi z Austryą, a więc przeciw Niemcom, jednakowoż, od pierwszej chwili do ostatniej, jest prowadzona pospołu z Niemcami, najczęściej nawet pospołu z ogromną większością Niemiec.

Jestto okoliczność niezmiernego znaczenia. Ona dopiero nadaje owej walce właściwe piętno, decyduje o całym jej przebiegu i ostatecznych wynikach. Obrócić Niemców przeciw Austryi, książąt niemieckich użyć przeciw monarchii habsburskiej, ta zasada staje się kamieniem węgielnym polityki francuskiej. Zasada prosta, dyktowana przez najoczywistszy rachunek, okazała się jednak w praktyce obosieczną, w skażeniu zgubną. A mianowicie, przy jej stosowaniu polityka francuska miała się naprzemiany dwóch z gruntu odmiennych sposobów. Pierwszy polegał na tem, aby obrócić przeciw Austryi Niemcy rozstrzelone, utrzymywane w swem pierwotnem rozproszeniu plemiennem, dynastycznym i stanowem, jednoczone tylko w miarę potrzeby, przeciw Austryi, przez kierujący prote-

ktorat francuski. To była, w świetnych, lecz przemijających przebłyskach, polityka Richelieugo, Dantona, Napoleona I, i jeszcze starego Thiersa. Ale obok niej rozwieliła się na stałe inna, wygodniejsza napozór i skuteczniejsza, polityka niemiecka Ludwików, Vergenna, Żyrondy i jeszcze Napoleona III. Polegała ona na tem, ażeby raz na zawsze oszczędzić sobie kłopotliwej fatygi zbierania przeciw Austrii drobnych państweczek i drobnych książytek Rzeszy, ażeby raz na zawsze przeciwstawić staremu rodowi i rozrzuconym dzierzawom Habsburgów jedną spóźzawodniczącą dynastję, jedno dużej miary mocarstwo: młody dom Hohenzollernów, skupioną potęgę pruską. Skutki ostateczne tej polityki były nadzwyczajne. Z jej to łaski istotnie wziął nareszcie koniec zatarg między Francją a Austrią. Zatarg odwieczny, odradzający się uparcie, nierozstrzygnięty przewagą orężną ani uspokojony układem, nierozstrzygnięty pod Pawią i Marengo, nieuspokojony w Wersalu i Schoenbrunnie, został nareszcie usunięty z akt dziejowych dzięki onej interwencji pruskiej, rozmyślnie powołanej przez Francję, zdecydowany pod Sadową i Sedanem, ubity w Pradze i Frankfurcie. Późno odczuła Francya takie skutki swojej polityki, której inne skutki wcześniej odczuła wszystka pozostała Europa, zaś odczuli najwcześniej wszyscy pozostali przyjaciele i sojusznicy francuscy. Musieli oni nietylko nałamać się do antagonizmu Francyi

względem Austrii; musieli nadto znosić konsekwencye opieki, roztoczonej przez Francję nad Prusami. I ten mianowicie drugi serwitut przyjaźni francuskiej okazał się dla wszystkich zaprzyjżnionych z Francją narodów nieskończenie uciążliwym od pierwszego. Gdyż jeśli można jeszcze w polityce znaleźć kompromis w stosunku do wroga naszych przyjaciół, chociażby naszym nie był, przecież względem ich przyjaciela, skoro naszym jest wrogiem, kompromis jest niepodobieństwem. Doświadczyli tego na sobie wszyscy sojusznicy i przyjaciele Francyi, bez różnicy, czy to wewnątrz Niemiec, czy poza ich granicami, Szwecya czy Dania, Saksonia czy Hanower. Najdotkliwiej doświadczyła Polska.

II.

Z innym albowiem antagonistą, niż Francya, a dużo wcześniej, zetknęła się w Niemczech Polska. Sam do niej przyszedł, nie sąsiad nawet, obcy zdaleka przybysz, w białym płaszczu mniszym, z czarnym krzyżem na napierśniku, ze zdumiewającą energią i zdumiewającą bezwzględnością, zahartowaną na kaźniach sycylijskich i saraceńskich rzeziach. Przyszedł z Niemiec: wszakże pod żadnym względem nie mógł uchodzić za uosobienie Niemiec, które wtedy zapatrzone były gdzieindziej, nie na

surowy wschód, skąd same były wyszły, gdzie nie miały czego szukać, mając jeszcze podostatkiem miejsca u siebie w domu, lecz na szczęśliwsze południe, dokąd je ciągnęły starodawne tradycje, piękniejsze miasta, czystsze niebo, dokąd wzywały nagłące wołania Danta i Petrarcki, gdzie tyłu pochowały swoich, gdzie podziśdzień w ziemi klasycznej spoczywa kilku największych ich cesarzów. To parcie ku południu było pierwotną, powszechną, żywiołową dążnością duszy germańskiej; parcie ku wschodowi było czemś sztucznie wszczepionem, wyjątkowem, conajmniej przedwczesnem. W rozprawie śmiertelnej, ciągnącej się przez przeszło pięć wieków między Polską a mistrzem krzyżackim, brandenburskim elektorem, królem pruskim, prawdziwe Niemcy niemieckie stroną nie były. Niewiele one zrazu baczyły na pierwsze wysiłki i przewagi krzyżackie; później obojętnym były świadkiem porażki Zakonu, obojętnie dopuściły upokorzenia elektorstwa, bez żadnej wreszcie sympatii przypatrywały się nieprzewidzianemu odwetowi, jaki wziął ostatecznie czarny orzeł królewski. W XV wieku stany pruskie, kwiat niemieckiego mieszczaństwa, podają rękę koronie polskiej dla złamania krzyżackiej potęgi; i Zakonem, z nóg zwalonym, opiekuje się nie jego suzeren, cesarz, lecz papież. W XVI i XVII stuleciu już się zatarły w pamięci dawne ambitne zamiary na Węgry i Czechy, niegdys żywione przez pierwszych Ja-

giellonów; i w znośnych stosunkach z domem cesarskim Habsburgów pozostaje Rzplta, kiedy stawia nogę na karku margrabiego brandenburskiego. W XVIII wieku król polski w charakterze elektora Rzeszy, podwakroć, w drugiej wojnie szląskiej i siedmioletniej, jest czynnym sprzymierzeńcem dziedziczki cesarskiej w zapasach z królem pruskim, do których usiłuje wciągnąć Rzpltą; i prawie do samego końca cesarz niemiecki, Habsburg-Lotaryńczyk, będzie interesownym protektorem i zazdrosnym doradcą Rzpltej przeciw koronie Hohenzollernów.

Aliści tymczasem elektor brandenburski już od początku XVI wieku, t. j. od pierwszej chwili, kiedy poczyna gotować się do zagarnięcia spuścizny zakonnej, kiedy zatem podnosi się bezpośrednio przeciw interesom Rzpltej, staje się jednym z najważniejszych, pielęgnowanych najtroskliwiej, sprzymierzeńców Francyi. Staje się nim w tej samej chwili, kiedy Francya, w przededniu pierwszego potężnego starcia z Austryą, wybuchu rywalizacji między Franciszkiem I a Karolem V, po raz pierwszy sięga po przymierze polskie, kiedy, za ostatnich Jagiellonów i Walezych, dokonywają się pierwsze próby ścisłego przeciw Habsburgom złączenia Rzpltej polskiej z monarchią francuską. Najrzęczniejszy agent i powiernik Franciszka trzykrotnie odbywa drogę z Paryża do Krakowa, przynosi Zygmuntowi ponawiane projekty aliansu, narzuca

propozycje małżeńskie dla małoletnich synów obu monarchów, szczegółowo traktuje o posagach i wyprawach, zaś na stronie przekupuje pierwszych dygnitarzy koronnych. Lecz zanim tego rodzaju starania rozpoczął u Zygmunta, miał już Franciszek zawarty potajemnie alians z elektorem Joachimem; zanim prosił o rękę księżniczki polskiej dla delfina, miał już w sekrecie spisana umowę przedślubną między księżniczką francuską a kurprinzem brandenburskim. Oprócz samych obietnic matrymonialnych, na wszystkie strony rzucanych dla przynęty, i oprócz dukatów na cele przekupstwa, król Francji nic nie znalazł do ofiarowania Polsce. Cesarz ofiarował jej przynajmniej jedną rzecz realną. — obojętność dla losów Zakonu. Skutek był do przewidzenia: Zygmunt z cesarzem się ułożył, pożądana dywersja z Polski nie nastąpiła, Francja uległa, — i oto okazało się, iż nic na tem nie straciła Rzplta, stracił wróg jej najgorszy, Zakon. Bezpośredniem echem porażki króla Francji na równinie lombardzkiej był hołd, złożony przez mistrza krzyżackiego na rynku krakowskim; i dzisiaj pruski historyograf *Polityki pruskiej* słusznie nad bitwą pod Pawią kładzie napis »katastrofa«: była nią dla Prus klęska francuska, dla Polski habsburska przewaga była wygraną.

Takim to sposobem, zaraz u wstępu stosunków ściślejszych pomiędzy Francją a Polską, zamiast mniemanej harmonii interesów wzajemnych

od strony niemieckiej, wynurza się, jak rzekliśmy, uderzający rozdźwięk polityczny, który aż do końca brzmieć nie przestanie i zgubnych objawiać skutków. Zaś jednocześnie, zaraz u wstępu, wyłania się zupełnie błędna w zasadzie, zupełnie w praktyce chybiona, metoda traktowania rzeczy polskich przez politykę francuską. Owa metoda polega w zasadzie nie na dążności do usunięcia albo złagodzenia tamtego rozdźwięku, lecz na prostej onego negacyi, nie na wejrzeniu w istotne interesy państwowe polskie i pogodzeniu ich, scharmonizowaniu z francuskimi, lecz na ślepej obojętności dla pierwszych i bezwzględnem ich podporządkowaniu nietylko drugim, ale nawet interesom innych sprzymierzeńców Francyi; polega w praktyce na zbywaniu wszelkich trudności sposobem ubocznym, przez przekupstwa, przez swatania, przez kandydatury. Zamiast związać się z Rzpłtą i ją do siebie przywiązać, Francya umyśliła ją kupić, poświęcić, odziedziczyć.

Gdybyż przynajmniej do takich chociażby sposobów włożono głębszą świadomość, iż są to tylko małe środki do osiągnięcia wielkiego celu, gdybyż przynajmniej jęto się ich z pełną rozwagą i konsekwencyą w takich mianowicie chwilach, kiedy istotnie po temu mogła się nadarzać pomyślna sposobność. Najpomyślniejsza, zdałoby się, tego rodzaju okazy nadarzyła się nader wcześniej. Krótco po wzmiankowanych niefortunnych pró-

bach spojenia przyjaźni polsko-francuskiej, podjętych w pierwszej połowie XVI wieku, zaszedł wypadek, który, czyniąc przełom fatalny w dziejach Rzpltej, zdawał się otwierać najświetniejsze widoki francuskim na Polskę rachubom. Ród Jagiellonów wygasł. Dzieje tej szlachej dynastji, wyrwane najdowolniej z całości spóczesnych dziejów europejskich, z najdowolniejszym pominięciem spóczesnego stanu rzeczy na całym Zachodzie, na Węgrzech, w Czechach, Niemczech, Szwecji, Anglii, w najmonarchicniejszej nawet Francji, jeszcze aż do XVII wieku skazanej na najgroźniejsze przesilenia antymonarchiczne, — nadużywane bywają jako argument dla udowodnienia rzekomej niezdolności polskiej do nagięcia się do trwałych i zdrowych rządów monarchicznych. W rzeczywistości dzieje tej dynastji niezbitnie świadczyły o wyjątkowej do takich rządów zdatności, o wyjątkowym oraz uzdolnieniu asymilacyjnym narodu polskiego. Obca wiara, mowa, obyczajem, nawet rasą, przez szczęśliwy a bezprzykładny akt rozumu stanu powołana do rządzenia narodem wrogim, potężnym, cywilizacyjnie nieskończenie wyższym, przez dwieście lat tylko cztery wydała generacye, w gorączkowym pośpiechu przebiegłszy wszystkie fazy rozwoju, jakie pradiada, krzepkiego barbarzyńcę, dzielą od wydelikaczonej postaci bezdzietnego prawnuka; zaś w warunkach, tak wyjątkowo niepomyślnych, przecież potrafili żyć się duszą z narodem Jagiellonowie

mimo wrodzoną predylekcyę dla swojej starej Litwy, i naród z nimi się żył i zrosł, mimo burzącą się w nim żyłę anarchiczną. Gdy ich nie stało, poczuł wielką pustkę; zaraz jednomyślnie zwrócił się do Europy po nowego pana, i wziął go od Francyi. Chwila była epokowa. Szereg monarchów, których wzięto z obcego gniazda, a z których żaden nie był wielkim, — stał się sercem narodu, utrzymał faktycznie dziedziczość korony, uczynił Polskę pierwszorzędnem mocarstwem. Utrwalić tę potęgę i uczynić ją rządną, tak wspinałe zadanie zdawało się być godnem syna Świętego Ludwika, bratanka Filipa Pięknego. Jeśli poprzednio cesarz, sadowiąc się w Hiszpanii, był osaczył Francję, teraz, zdawało się, Francya, sadowiąc się w Polsce, zajęła ponad głową cesarstwa postereunek niezwalczony, skąd wyforować się nie da, którego utrwalenie i wzmocnienie uczyni odtąd pierwszym zadaniem swojej polityki. Punkt zwrotny, zdawać się mogło, następował w dziejach Polski, Francyi i Europy.

Stało się, iż zamiast wielkiego aktu historycznego, odegrała się farsa, której przegrywka, przebieg i zakończenie, doskonale dopasowane, na jedyną w swoim rodzaju złożyły się całość. Henryk Walezy trafunkiem dostał się na tron polski. Medyceuszka wprzódy po całym świecie szukała korony dla ulubionego syna, kolejno myślała go wynieść na wojewodę Transylwanii, księcia Medyo-

lanu, króla Anglii przez małżeństwo z Elżbietą, króla Szkocji przez małżeństwo z Maryą, wkońcu bodaj na de ja algierskiego; kiedy wszystkie te plany chybiły, kiedy nawet u Porty nie dało się wyprosić tytułu księcia piratów, lennika sułtana, zdecydowano się, w braku innej, wziąć jedyną wającą koronę polską, o której już wcześniej przemyślano. Takie były początki kandydatury andegawęńskiej; sama negocjacja godną była tych początków. Nie było rzeczy, której nie przyrzekliby Stanom polskim pełnomocnicy francuscy: katolikom biskup, noszący katowskie nazwisko »rzeźnika« Monluca, obiecywał zgromienie herezyi, heretykom obiecywał tolerancję; ponieważ wiedział, że wyborcy przywiązani są do krwi Zygmunto-wskiej, święcie przyrzekł, iż elekt pojmie przekwitłą Jagiellonkę, choć był pewien, że kochanek pani Châteauroux i Maryi Clèves nigdy na to zgody nie da; ponieważ widział, że pić lubią, nie omieszkał w paktach urzędowych zapowiedzieć przywozu dobrych win francuskich. Krótkie rządy elekta godne były takiej negocjacji. Pamiętnikarze francuscy opisują króla Henryka na zamku krakowskim, jak udaje chorego, tygodniami leży w łóżku, wzdychając za Paryżem, pisując krwią zamiast inkaustu czułe epistoły do księżny Condé; polscy ukazują go, jak zasiada w senacie milczący, znudzony, apatyczny, słowa nie rozumiejąc z rozpraw. »Słyszano, jak się zaklinał, powiada Piotr

Mathieu, że wolałby żyć niewolnikiem we Francyi, niż w Polsce królem«. Za przykładem pana, jego otoczenie francuskie daje swobodne ujście pogardzie dla nieokrzesanych Sarmatów; jego ulubieniec, sprośny pisarz *Psalatów*, co znajdował natchnienie do opiewania królewskich kochanków, Polsce barbarzyńskiej ciska obelżywe *Pożegnanie* i zasłużoną bierze odprawę od wielkiego poety polskiego, który niegdy w Paryżu był się kształcił, poznał Ronsardów i Du Bellayów, inną był poznał Francję, niż ta, co z Henrykiem zjechała nad Wisłę. Nareszcie nastąpiło zamknięcie, godne takiego panowania. Nastąpił epilog nieprawdopodobny, niebываły, ucieczka króla. Ucieczka króla-Francuza, chyłkiem, w przebraniu, nocną porą, wprawdzie jeden raz jeszcze, jakgdyby z pomsty dziejowej, miała powtórzyć się w historyi, i obraz tamtej nocy czerwcowej w Krakowie z przed trzystu lat, dzwonów bijących na trwogę, tysiąca koni, cwałujących w pogoni za zbiegłym monarchą, wywołuje w pamięci inną noc czerwcową w Paryżu z przed stulecia: lecz co tutaj jest tragedją, tam było farsą, i kiedy Bourbon napróżno przed okrutną uchodzi fatalnością, ostatni Walezy szczęśliwie umyka, — że użyjemy dobitnych słów jego francuskiego dziejopisa, — »jak ulatnia się z gospody podróżny co nie chce płacić rachunku«. Niepospolita okazała najhaniańniej została zmarnowaną i, jak się okazało, zmarnowaną niepowrotnie.

Polska na razie mogła się pocieszyć. Po naj-
nędniejszym ze swych królów elekcyjnych otrzy-
mała najlepszego. Ale jeszcze przy następnem bez-
królewiu Francya musiała być nieobecna, gdyż
Henryk Batorego przeżył, nie przestawał tytuło-
wać się *rex electus Poloniae*, i pieczętował orłem
białym i pogonią. Wzmogły się wpływy austryac-
kie w zrażonej dla Francuzów Rzpltej. Wprawdzie
kandydatury arcyksiążęce ostatecznie nie doszły.
Ułatwione zostało natomiast powodzenie kandyda-
tury domu szwedzkiego. Skutki stąd były nieobli-
czone, i jeśli zgubne były dla Polski, dla Francyi
były zgoła niepomyślne. Nowa przegroda wzniosła
się między polityką obu narodów. Dla pustego
dźwięku korony gockiej, szwedzkiej i wandalskiej,
wplątana została Rzplta w zabójczą wojnę dyna-
styczną z nową przyjaciółką Francyi, a zarazem
musiała ścieśnić stosunki z Austryą, przeciw któ-
rej w tym samym czasie podnosił się oręż szwedzki,
kierowany ręką francuską.

Szwedzka polityka Francyi, podobnie jak jej
polityka pruska, obróciła się przeciw interesom
polskim. Jedna, podobnie jak druga, sprowadzała
się, koniec końcem, do forytowania bliższych, tym-
czasowych przeciw Austrii sprzymierzeńców w ce-
sarstwie, jakimi byli Szwed i Brandenburczyk, ko-
sztem odleglejszego mocarstwa, zdolnego zostać
trwałym filarem systematu francuskiego w Euro-
pie, jakim była Rzplta. Z podwójnych więzów

takiej polityki, obliczonej na zbyt krótką metę, nie potrafił wyzwolić się w jednym ani drugim kierunku nawet największy monarcha francuski czasów nowszych, pierwszy Bourbon. Usilnie za elektorstwem wstawia się u Stanów polskich Henryk IV, po kilkakroć polecające listy i postów śle do Krakowa, »w imię osobliwego afektu, jaki zawsze żywiłem dla domu brandenburskiego«; jednocześnie zaś, celem uspokojenia wojny północnej, ofiaruje się, zresztą bezskutecznie, z przychylną dla Szwecyi medyacją. Za jego syna podjął się tej samej medyacji, w tym samym duchu, największy francuski minister. Richelieu istotnie doprowadził do skutku między Polską a Szwecyą krótki rozejm, lecz po to tylko, aby Gustawa Adolfa rzucić w wojnę trzydziestoletnią, do której rachował również wtrącić Rzpltę. Powinniby Polacy — tak zachęca kardynał króla Władysława — »odnowić słuszne do Szląska pretensye i wtargnąć tam ze znacznem wojskiem, do czego nigdy pomyślniejszej nie znajdując okazji, jak w chwili obecnej, kiedy potęga cesarza gdzieindziej jest zajęta, kiedy zatem łatwo im pójdzie zdobycie tej pięknej prowincyi, która im z prawa się należy i której ludność wyciąga do nich dłonie, dopraszając się pomsty za ucisk, doznawany od domu austriackiego«. Takimto sposobem Francya w XVII wieku, wprowadzając króla szwedzkiego w samo serce cesarstwa, króla polskiego usiłuje wprowadzić do Szląska, dokąd

w XVIII wieku wprowadzi króla pruskiego, Fryderyka II, który bez żadnego tytułu dokona czynności zaborczej, jakiej, acz nienajgorsze byłby miał tytuły, wolał nie dopuścić się Władysław IV. Że się jej nie dopuścił, dobrze się stało. Już Szwecyi nie wyszło na zdrowie wdanie się, z poręki francuskiej, w dalekie sprawy cesarstwa, gdzie wyczerpała siły, które powinna była zachować dla najbliższego, naturalnego swego nieprzyjaciela. Polską, szczególnie w owym okresie, kiedy punkt ciężkości jej polityki spoczywał na wschodzie, pomiędzy dwiema wojnami moskiewskimi, pomiędzy dwiema szwedzkimi, jeszcze mniej miała do roboty w cesarstwie. Sprzęgnąć ją, łącznie z Brandenburczykiem i Szwedem, przeciw Habsburgom, zwabić ją tędy tanią szlaską pokusą, do takiego tylko pomysłu wzniosła się polityka polska wielkiego kardynała. Zaś zawiedziony na tym pomysle, nie zdobył się na nic innego, jak na niegodny wybryk złego humoru, kiedy królewicza polskiego, Jana Kazimierza, mijającego brzegi francuskie, rozkazuje pochwycić i z pogwałceniem prawa narodów w długim trzyma zamknięciu.

Z takiego też jedynie stanowiska, najwyłącznie mając na oku najbliższy interes francuski, zupełnie lekceważąc najżywotniejsze interesy, godność, samo istnienie Rzpltej, zapatrywała się naogół Francya na cały przebieg zatargu szwedzko-polskiego. O tyle tylko ten zatarg ją zajmował, o tyle tylko

do pacyfikacji gotową była się przyłożyć, o ileby stąd przybyły jej bezpośrednio, do sukursu szwedzkiego przeciw cesarzowi, nowe posiłki polskie. To też w rzeczy samej, z wyjątkiem jedyne go wypadku, że od kresów polskich oddaliła Gustawa Adolfa, który był jej niezbędny dla zgromienia Wallensteina, przez cały przeciąg stu letnich blisko wojen szwedzko-polskich ani jednej realnej przysługi nie wyświadczyła Rzpltej. Owszem, podejrzewając ją o skłonności austriackie, jakkolwiek nie przestawała narzucać się jej z ofiarami przyjacielskiego pośrednictwa, w gruncie rzeczy uważała za użyteczne trzymać nad nią wciąż zawieszoną groźbę szwedzkiego oręża. Kiedy po zgonie pierwszej małżonki Władysława powstał projekt związku z Kryną szwedzką, dyplomacya francuska, pozornie witając z aplauzem tę myśl zupełnego pojednania dwóch poważnionych państw i dynastyi, w rzeczywistości wszelkich dołożyła starań, ażeby jej wykonaniu zapobiedz. Nie mamy zapewne powodu żałować, iż zabójczyni Monaldeschiego, szalona przyjaciółka Descarta, nie została królową polską; lecz, bądź co bądź, zachowanie się Francyi w tym wypadku nader jest znamienne. Jeszcze znamieniem było zachowanie się Francyi wobec wypraw polskich Karola X. Mieniać się ciągle najżyczliwszą opiekunką Rzpltej, nie powstrzymała przecież ani opłacanego przez siebie Szweda od zdeptania Polski, ani pła tnego również złotem

francuskim brandenburskiego sojusznika od uczestnictwa w grabieży. Ograniczyła się do platonicznych morałów, do zalecenia zdobywcom względności i umiarkowania. Zresztą obojętnie patrzyła na ruinę Rzpltej, spokojnie brała do wiadomości szwedzkie projekty rozbiorowe i umowy podziałowe z Wielkim Elektorem. Nazajutrz po traktacie malborskim, stanowiącym o cesyi Wielkopolski na rzecz Fryderyka Wilhelma przez Karola, kardynała Mazarini odnawia traktat sprzymierzeńczy ze Szwecją. Czy Polska będzie nadal istniała, czy też, rozpołowiona, będzie rządzoną ze Sztokholmu i Berlina, to zdawało się mało obchodzić Francję, byle elektor brandenburski oraz król szwedzki, uczyniony przez nią księciem Rzeszy, członkiem Związku reńskiego, wysługiwali się nadal dla zburzenia potęgi habsburskiej.

Zbawiła się Polska własną mocą, z daleka przyszła jej z odsieczą flota holenderska dla uratowania Gdańska, przyszła z sukursem Austria, wkońcu nawet elektor, zaprawiający się w zdradzie względem wczorajszych swych sprzymierzeńców i spółników. Francya natomiast ciągle była nieobecna i stawiała się wtedy dopiero, kiedy była zbyt późno; nie poniósłszy żadnego trudu, nie wywiązawszy się z żadnego obowiązku opieki, zjawiała się ostatnia po najpierwsze zaszczyty opiekuńczego superarbitra. Lecz nawet obejmując niezasłużone prezydium na naradach oliwskich, by-

najmniej nie troszczyła się o samą istotę dzieła pacyfikacyi, o przywrócenie steranej Rzpltej dobrodziejstw trwałego pokoju. Przeciwnie, w tym samym czasie, kiedy pośredniczy przy układaniu artykułów pokoju między Polską a Szwecyą, już gotuje Francya nowy najazd szwedzki na Polskę, i niebawem formalnym traktatem tajnym zobowiązuje Szwecyę, za sowite subsydy, do dostarczenia nowej armii napastniczej, którą niezwłocznie myśli rzucić na ledwo zmartwychwstałą Rzpltę, aby wprowadzić przemocą na tron polski księcia domu francuskiego.

III.

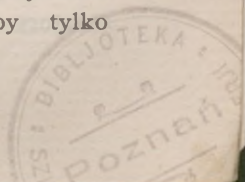
Gdyż do przedstuletnich zachodów kandydakich, górujących w opłakanym epizodzie obioru Walezyusza, a zatamowanych przez dziedzicność faktyczną domu szwedzkiego, skwapliwie powróciła polityka francuska, skoro tylko nowe po temu otworzyły się widoki za rządów bezdzielnego Wazy. Jej działanie i wpływy w Polsce, długo zaniedbane, naraz odżyły w stopniu niebывałym dotychczas. Wystąpiła kandydatura Kondeusza; za nią, nieprzerwaną koleją, pociągnęły inne. Miarę odnowionych w ten sposób zabiegów elekcyjnych daje ta okoliczność, iż wcieleniem ich stały się i nadały im ton i kierunek dwie kobiety, osadzone na tronie polskim. Tym razem bowiem elekcyi francu-

skiej miały utorować drogę małżeństwa francuskie. Pomysł nie był szczęśliwym, wykonanie było fatalne. Po jednym królu, który oddawał się nienaturalnej rozpuście, podarowała Francya Rzpltej dwie królowe, które nie ustrzegły swojej czci niewieściej: naprzód kochankę Gastona Orleańskiego, Kondeusza, zapewne i Cinq Marsa; potem niewierną żonę Zamoyskiego. Lecz o to jeszcze mniejsza, choć jest to rzecz głęboko upokarzająca. Ludwika Marya i Marya Kaziniera, tak skądinąd różne, jak tylko różnić się może duża ambicya córki krwi książęcej od małego sprytu koronowanej amantki z romansów panny Scudéry, oprócz wspólnych ułomności na punkcie cnoty, miały obiedwie przedewszystkiem tę cechę wspólną, że jakkolwiek nosiły polską koronę, żadna z nich przecie nie była prawdziwie królową polską. Były i pozostały Francuskami, poddanemi Ludwika XIV, z ducha, z postępków, nawet z prawnego tytułu. Jedna, w najlepszych swych chwilach, kiedy rzytowała armatę na Szwedów, nie wzniosła się ponad poziom ambitnych a lekkich bohaterek Frondy, pań Montpensier albo Longueville; druga przez całe życie pozostała płaską Astreą; królewskości, mianowicie królewskości polskiej, nie nosiła w sobie żadna; i obiedwie też nieraz poniżyły godność monarszą i narodową swoich małżonków. Sprowadziły one niemalą klęskę na kraj, i tak dosyć skołatany, sprowadziły rządy kobiece. Po stu latach,

spisując *Historję czasów swoich*, brutalnie orzeknie o Polsce Fryderyk Wielki: »rozum stanu w tem państwie zabrany przez spódnice, one wszystkich prowadzą i kierują wszystkim«. Wiadomo, jak wyraźne a szkodliwe były wpływy kobiece na losy Rzpltej w okresie upadku, jak ostatecznie dopełniły zamieszania, osłabiły odporność, utrudniły odnowę; wiadomo, iż odtąd figurują niechybnie we wszystkich aktach oskarżenia przeciw upadłemu państwu. Otóż, należy pamiętać, iż jest to tradycya czysto francuska, przeszczepiona na obcy grunt polski. Królowe, przybyłe z Francyi, małżonki Jana Kazimierza i Sobieskiego, potrafiły rządzić z całym fraucymerem i do rządów swoich wzwyżać naród; i tutaj wzięła początek i zatrute puściła korzenie niezdrowa tradycya obyczajowo-polityczna, utrwalona w hulaszczej epoce saskiej i pod lekkim berłem ostatniego elekta.

Tutaj też zaczerpnęła nastroju na całe stulecie dyplomacya francuska w Polsce, dyplomacya swatań, przekupstwa i bałamuctw, będąca na usługach polityki targów kandydackich i elekcyjnych knozań. Ludwika Marya pragnie wydać dobrze za mąż siostrzenicę; poseł francuski ofiaruje jej do wyboru ksiąząt: Este, Neuburg, Mercoeur; ale ona chce Longuevilla, i jeśli go nie dadzą, grozi wziąć habsburskiego arcyksięcia i otworzyć mu drogę do tronu. Maryi Kazimierze odmówił Ludwik XIV tytułu para dla starego grzesznika d'Arquien i do-

świadczył dotkliwych skutków jej urazy kosztem swego tureckiego sprzymierzeńca; ujmując ją sobie, ofiarując królewiczowi rękę panny Condé albo panny Conti, zależnie od tego, czyjej ojca elekcyja będzie poręczona. A oto pierwsza lepsza próbka samej techniki dyplomatycznej przy tego rodzaju robotach. Kiedy wypada jawnie poprzeć obiór Neurga, Condé na jego rzecz formalnie zrzeka się swojej kandydatury listem urzędowym, przeznaczonym do rozpowszechnienia w Warszawie, pod adresem tamecznego ambasadora Francyi; zaś razem z listem odbiera ambasador poufne zlecenie ministeryalne, aby zręcznie puścić pogłoskę, iż list książęcy jest podrobiony przez stronników Neurga: »dostrzeże pan zapewne, — dodaje minister, — iż dla uczynienia listu bardziej podejrzany, umyślnie nie był pisany własnoręcznie, a że Książę często cierpi na podagrę, więc i podpis jest nieczytelny«. Od tych matactw dziecinnych dyplomacyi z 1668 r. niedaleko do szarlatanśkiej dyplomacyi »sekretniej« z r. 1764, kiedy trzech agentów francuskich w Warszawie, bez najmniejszych widoków powodzenia, popiera jednocześnie cztery kandydatury. Naogół można powiedzieć, iż dla polityki francuskiej w Polsce, przez całe to stulecie, od połowy XVII do połowy XVIII wieku, z całego życia Rzpltej jakgdyby istniały tylko chwile bezkrólewia, ze wszystkich tutejszych interesów Francyi jakgdyby tylko



ostały się szanse takiego lub innego pretendenta. Do pięciu bezkrólewii, jakich jeszcze w tym okresie doczekała się Rzplta, wystawiła Francya tuzin swoich pretendentów, zaczynając od dwóch Konduszów, a kończąc na ks. Ksawerym i młodszym Contim.

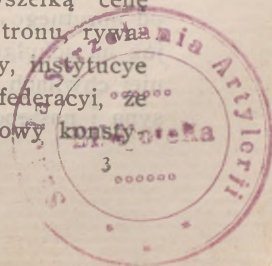
Ta stuletnia taktyka gonitw elekcyjnych kosztowała ogromne sumy, rezultatów nie dała żadnych, zgotowała same upokorzenia. Po elekcji Walezym, który ze swojej stolicy polskiej był uciekł, ukazał się elekt Conti, który się do niej nie dostał, i elekt Leszczyński, którego z niej wygnano obcą przemocą. Ta taktyka osobistych kombinacji, podziemnych intryg i jawnego przekupstwa, zniechęciła opinię publiczną, znieprawiała, rozbiła, wreszcie zniweczyła partycję francuską w Polsce. Zwichnęła ostatecznie cele wytyczne polityki Francji względem Rzpltej. Jak fałszywa polityka brandenburska i szwedzka Francji wyrządziła niepowetowaną szkodę sprawie polskiej w Prusach i Inflantach i przyczyniła się do zachwiania z zewnątrz gmachu państwowego Rzpltej, podobnie fałszywa polityka kandydacka Francji wywarła zgubny wpływ na najgłówniejsze sprawy domowe i przyłożyła się niepomału do wewnętrznego rozkładu życia publicznego i urzędów polskich. Rząd francuski, wiecznie występując w imieniu różnych niedoszłych pretendentów, wszedł z natury rzeczy w stosunek ciągłej nieprzyjaźni

i spółzawodnictwa względem faktycznego rządu polskiego; taki zaś stosunek musiał koniec końcem odbić się fatalnie na stosunku Francyi względem samej Polski. »Należy przyjąć za zasadę — oświadcza Ludwik XIV, — iż nietylko są powody do niedowierzania królowi polskiemu (Augustowi II), lecz iż istnieją jeszcze mocniejsze powody do niedowierzania samym Polakom«. Goniąc bezustanku za wciąż umykającą się koroną elekcyjną, pokłócona ustawicznie z panującymi elektami, czy to Szwedem, Piastem, czy Sasem, którzy ten wyścig wygrali, Francya zupełnie ostygła dla narodu polskiego, zobojętniała dla najpierwszych wymagań jego zdrowia, bezpieczeństwa, a nawet egzystencji. Ze środka uczyniwszy sobie cel, zgoła utraciła z oczu jedyny swój cel istotny: trwałe zespolenie interesów francuskich z interesami zdrowej, bezpiecznej, nietykalnej Polski. Gdyż jasnym było, iż tylko od takiej Polski mogła spodziewać się dla siebie rzeczywistych korzyści politycznych. Tylko w Rzpltej rządnej mogła Francya odległy wpływ swój ustalić, tylko w zbrojnej mieć oparcie na drugim krańcu Europy; musiała niedotrzymać bliższym wpływom sąsiedzkim w Polsce anarchicznej, od rozbioru bezbronnej musiała oczekiwać niebezpiecznego wywrotu równowagi europejskiej. A że zdrowie, bezpieczeństwo, byt Rzpltej na tem wielce zawisły, aby był w niej mocny, jednolity rząd monarchiczny, podniesiona powaga władzy królew-

skiej, ustalone następstwo tronu, — o to można było jeszcze spierać się na polskich sejmikach, lecz te prawdy, oddawna głoszone przez światlejszych statystów polskich, musiały być najoczywistszym pewnikiem dla rządu francuskiego, rządu Richelieugo i Ludwika XIV, dla państwa, będącego najdoskonalszym wzorem *absolutum dominium*, uosobieniem najskrajniejszych konsekwencji logicznych nowożytnego pojęcia monarchii nieograniczonej.

I otóż ten sam rząd, to samo państwo systematycznie przykłada się do podkopania w Polsce tych samych właśnie zasad państwowości i rządzenia, na jakich samo stało. Gdyż cóż innego, jeśli nie elekcyjność korony, poniżenie władzy królewskiej, spółzawodnictwo z istniejącym rządem, swobodny przetarg pomiędzy nim a opozycją możnowładztwa i szlachty, było głównym przedmiotem akcji politycznej w Polsce dla wszystkich ministrów francuskich, od Mazarinego do Choiseula, dla wszystkich posłów francuskich, od Lumbrę do Paulmegego? Dyplomacya francuska, która Janowi Kazimierzowi przepisała godzinę abdykacji, gotowała detronizację króla Michała, dopięła detronizacji Augusta II, brała pod rozwagę sprowadzenie abdykacji Augusta III, wpłynęła na ogłoszenie detronizacji Stanisława Augusta, — w ogólnym wyniku, aczkolwiek działała w zgoła innych intencjach, niż dyplomacya sąsiedzka, wzięła przecież nie mniejszy udział, jak tamta, w zepsuciu najwa-

źniejszych instytucji Rzpltej polskiej. Im bliżej ma się ku upadkowi, tembardziej uwidocznią się ta niespodziana jednakowość skutków, bez względu na różnicę pobudek. Instrukcyje Argensona dla Saint-Séverina i Castéry, reprezentantów francuskich w Warszawie, równie stanowczo oświadczają się przeciw naprawie rządu, przeciw aukcyi wej-ska, urządzeniu skarbu, ustaleniu sukcesyi w Polsce, jak skazówki Podewilsa dla przedstawicieli pruskich, Wallenrodta i Benoita, jak zlecenia Kautnitza dla pełnomocników austryackich, Swietena i Mercego, albo jak nauki i nakazy Panina dla działaczy rosyjskich, Kayserlinga i Repnina. Narzeczcie Choiseul anarchię w Polsce wyraźnie proklamuje jako jedną z podwalin systematu francuskiego w Europie: »ponieważ anarchia polska jest użyteczną dla interesów francuskich, przeto cała polityka nasza w tym kraju powinna się ograniczyć do jej utrzymania«. Maksyma takiego brzmienia, wygłoszona przez rząd Ludwika XV, a pod którą byliby podpisali się z ochotą Fryderyk II, Józef II, Katarzyna II, streszcza ostateczny morał jałowych wysiłków dyplomacyi francuskiej w rzeczach polskich i stanowi dla niej bezwzględny wyrok potępienia. Że należy za wszelką cenę utrzymać anarchię polską, zawistość tronu, rywalizacyę magnatów, niesforność szlachty, instytucyę wolnego *veto*, wolnego *rumpo*, konfederacyi, że żadną miarą nie należy dopuścić odnowy konstytucyi



tucyjnej, dziedziczości korony, pomnożenia siły zbrojnej, uporządkowania skarbu, — te kardynalne zasady polityki zwolna a niechybnie zabijającej, powinny były, zdawało się, zostać wyłącznym przywilejem najbliższych sąsiadów Rzpltej. Kiedy z temi zasadami zsolidaryzowała się Francya, wówczas dotarła ona do krańcowych wyników swojej krótkowidzącej, pełnej wewnętrznych sprzeczności, zataczającej się w błędnem kole, polityki oportunistycznej względem Rzpltej, dotarła do punktu, gdzie spotkała się oko w oko z wyrachowaną, konsekwentną, w linii prostej dążącą do celu, polityką rozbiorową trzech mocarstw sąsiedzkich: Prus, Austryi, Rosyi.

IV.

Prusy najwcześniej i najzręczniejsz wyzyskały, jak ogólną politykę zagraniczną Francyi w Europie, tak w szczególności jej politykę polską. Wskazaliśmy, jak urastały w cieniu protekcji francuskiej, przeznaczone dla zrównoważenia Austryi wewnątrz Rzeszy. Wprawdzie rychło mogła przeświadczyć się Francya, czego wypadało oczekiwać od sprytnego wychowanka pruskiego. Dwukrotnie, już na schyłku XVII wieku, w krytycznych dla niej chwilach, wojska Wielkiego Elektora i jego syna i następcy, wyekwipowane za pieniądze fran-

cuskie, zjawiły się nad Renem, pod dowództwem austriackim, naprzeciw armii Turenusza i marszałka Luxembourg. Dwukrotnie wówczas, wobec jawnej zdrady sojusznika brandenburskiego, pomyślano w Wersalu obrócić przeciw niemu naturalną jego nieprzyjaciółkę, Rzpltę polską. Ludwik XIV dwukrotnie ofiarował Sobieskiemu swoją pomoc dla odebrania Prus Książęcych, prawego lenna polskiego, a nawet zawarto w tym duchu układ sprzymierzeńczy. Były to wszakże tylko chwilowe niesnaski w przyjacielskim pożyciu prusko-francuskim. Wyrozumiałość Wersalu dla zboczeń politycznych Berlina była niewyczerpaną. Już w traktatach utrechckich Francya pośpieszyła uznać godność królewską Fryderyka I, tego samego elektora, któremu była zamierzała odebrać Prusy Książęce dla Polski, a który tymczasem, przyswajając sobie, wbrew słusznemu protestowi Rzpltej, nieprawny tytuł króla pruskiego, podarowany mu przez cesarza za zasługi, przeciw Francyi położone, uczynił tem samem krok wstępny do zaboru Prus Królewskich dla Brandenburgii. Fryderyk Wilhelm I, wstępując w ślady ojca i dziada, rywalizację między domem Bourbonów a Habsburgów usiłował wyzyskać na swoją korzyść, przedewszystkiem kosztem Rzpltej. Doczekał się wojny o sukcesyę polską, ofiarował naprzód swoje usługi Austrii przeciw Francyi, potem wziął w opiekę Leszczyńskiego i zaofiarował swoje usługi Francyi przeciw Austrii,

warując sobie z góry zapłatę, nie gdzieindziej oczywiście, jak w Wielkopolsce: niestety, przespekulował, nie zarobił nic, pokój za jego plecami został zawarty. Z mocy pokoju wiedeńskiego, za cenę wyrzeczenia się prawego elekta polskiego, odzyskała Francya Lotaryngię, — jako dziedziczka króla Stanisława, z rąk polskich, kosztem polskim, odzyskała ziemię lotaryńską, którą niedawno, z mocy pokoju ryswickiego, wydarł jej elektor brandenburski pospołu z koalicją europejską, a którą po upływie półtora stulecia, na czele koalicji niemieckiej, raz jeszcze wydrze jej król pruski na mocy pokoju frankfurckiego. Tak odległej przyszłości nie mogła przewidywać Francya czasów Fleurego; najbliższą przeszłość zupełnie puściła w niepamięć, skoro tylko odezwał się głos kusicielski Fryderyka II. Nastąpiła wojna o sukcesyę austryacką. Ale do ograbienia córki Karola VI nie chciała przyłożyć się Rzplta polska. Zaś z chwilą, kiedy August III pogodził się z Maryą Teresą, powstała możliwość, iż Rzplta obróci się przeciw grabieżcom, a przedewszystkiem przeciw inicjatorowi pruskiemu. Francya, mimo zdradę Fryderyka w wojnach szląskich, związana z nim spółnictwem w Niemczech przeciw dziedzicze cesarskiej, związała się z nim również spółnictwem w rzeczach polskich przeciw królowi Sasowi, sojusznikowi cesarzowej. Pod kierunkiem pruskim, a przy najczynniejszej pomocy i za pieniądze francuskie, zo-

stał zerwany sejm grodzieński r. 1744, jeden z najważniejszych sejmów XVIII stulecia, który miał więcej widoków politycznych, niż późniejszy konwokacyjny, więcej może niż czteroletni, do uskutecznienia niezbędnej naprawy rządu. W taki sam sposób, dzięki spółnictwu prusko-francuskiemu, spełził sejm r. 1746. Dyplomacya francuska w Polsce stała się powolnem narzędziem rozkładowej polityki Fryderykowej; i jakkolwiek jasno uświadamia sobie jego zamysły »położenia ręki na Prusach Królewskich«, »zmniejszenia korony polskiej«, wszakże tymczasowo uznaje za stosowne »przedewszystkiem rozpraszać obawy, jakie Polacy przeciw niemu żywią«, ustalać owszem w nich przekonanie, »iż nie jest on mniej od nich zainteresowanym w nietykalności wszystkich praw i swobód Rzpltej«. I niepodobna wcale przewidzieć, jak daleko byłaby zabrnęła Francya Ludwika XV na tej drodze biernego wysługiwania się i złej wiary, prowadzona na pasku przez berlińskiego Antymachiawela, gdyby, na czas jakiś przynajmniej, w nowym kierunku nie pociągnęła jej Austria.

Austrii stosunek względem Francyi, ciągle nieprzyjacielski, oparty na zakorzenionej tradycyi wzajemnych obaw, zawiści i spółzawodnictwa, jednakże, od początku XVIII wieku, poczynął ulegać pewnym wyraźnym zmianom. W najgłówniejszych punktach toczonej na Zachodzie walki Habsburgowie ulegli. Od początku stulecia dla Francyi

nie istnieją więcej Pyreneje, Bourbon po ostatnim Austryaku dziedziczy koronę hiszpańską; Bourbon również osadzony we Włoszech; Lotaryngia ostatecznie oderwana od cesarstwa. Kiedy Francya, skuszona przez Fryderyka, chciała pójść jeszcze dalej, i nietylko zabezpieczyć się od Austrii, lecz ją zniweczyć, zupełnego doznała zawodu: z wojny o sukcesyę austryacką zdradziecko wycofały się Prusy z łupem szląskim, Francya, opuszczona, ledwo obronną ręką z niej wyszła. I wtedy narodziła się myśl, iż zamiast przedłużać dalej, ku wyłącznej korzyści pruskiej, szkodliwe dla obu stron zapasy z Austryą, byłoby dorzeczniej wejść z nią w porozumienie i, nagrodziwszy ją kosztem pruskim, zyskać od niej w drodze polubownej dalsze ustępstwa nad Renem i w Niderlandach. Ta myśl doprowadziła do słynnego »odwrócenia aliansów« i do wojny siedmioletniej. Myśl, w zasadzie trafna, wykonana przez rządy margrabiny Pompadour, przez dyplomatów takich, jak Bernis, przez takich generałów, jak Soubise, spowodowała ostateczną ruinę powagi francuskiej w Europie, oddała Francję na usługi Austrii, jak poprzednio Prus, rozwiązała Austrii ręce na Wschodzie, dokąd niebawem, ku sprawom tureckim i polskim, po nieudanej krucyacie przeciw Fryderykowi, zwróciło się chciwe spojrzenie cesarza Józefa. Miała nadto jeden jeszcze skutek pierwszorzędnej wagi. Francya, spokrewniona, sprzymierzona z Austryą, ściślej się

sprzęgła, sprzymierzyła formalnie z mocarstwem, z którem pierwiej już zbliżyła się za pośrednictwem Prus, z kolejnym sprzymierzeńcem Prus i Austrii — z Rosyą.

Rosya ze wszystkich państw europejskich najdłużej i najzupełniej pozostała obcą Francyi. Ze wszech miar uderzającą jest rzeczą, jak późno polityka francuska doszła do świadomości o roli dziejowej urastającego na wschodzie olbrzyma. We wszechogarniającym »wielkim planie« Henryka IV nie było wcale mowy o caracie moskiewskim. Kiedy w czasie wojen moskiewskich za Wazów przybywali do Paryża posłowie od Wielkiego Księcia, »nie wiedziano zgoła, po co oni właściwie przychodzą, gdyż wszystko, co rozpowiadali wielomównie, pokazując jakieś dokumenty rosyjskie, polskie, łacińskie, zupełnie nie obchodziło nikogo na dworze francuskim i zaledwie było dostępnem zrozumieniu którego zabłąkanego awanturnika albo misjonarza. Że Wielki Książę moskiewski prowadził wojnę na najdalszych kresach Polski, to bynajmniej nie zajmowało króla Francyi«. Król wyprawiał listy ceremonialne pod adresem Michała Fiodorowicza przez dwanaście lat po śmierci tego cara, o której nie miał pojęcia. Ludwik XIV nie chciał przyjmować u siebie Piotra, Regent-sceptyk oglądał go dla rozrywki, jako godną widzenia osobliwość. Lecz nadeszła chwila, kiedy Francyi wypadło po raz pierwszy zetknąć

się bezpośrednio z potęgą rosyjską. Stało się to na ziemi polskiej. Stanisław, teść króla francuskiego, wyparty jest z Warszawy przez wojska Anny Iwanówny; poseł francuski więziony przez Münnicha; pod Gdańskiem, w obronie elekta Rzpltej, ginie od kuli rosyjskiej nieszczęśliwy Plélo z garstką marynarzy francuskich: pierwszy dług krwi francuskiej, który na stu polach bitew, od Trebbii do Borodina, rzetelnie będzie splecony krwią polską. A nie było to ostrzeżenie jedynem. Natychmiast po osadzeniu swojego elekta w Rzpltej, Rosya uderzyła na Turcyę; Münnich z Gdańska i Warszawy wprost obrócił drogę na Perekop i Chocim. Drugi to był cios dla polityki francuskiej. Klasyczna polityka Francyi na muzułmańskim wschodzie, bez względu na chwilowe zbożenia, jakim ulegała zarówno za Sullego w XVI wieku, jak za Polignaca w XIX, naogół niezrównaną okazała konsekwencyę i jednolitość. Francya oddawna była się wyrzekła gorliwości krzyżowniczej św. Ludwika i pierwsza wśród mocarstw chrześcijańskich pozbywszy się uprzedzeń przeciw niewiernym, obsługiwana nad Lewantem przez szczęśliwie dobrany poczet najdoskonalszych swych dyplomatów, zyskała w Porcie pierwszorzędną podporę dla utrwalenia swojego stanowiska w Europie. Drogocenna, tradycyjna przyjaźń padyszacha stała się jedną z najgłówniejszych podwalin potęgi i bezpieczeństwa króla Arcychrześcijańskiego. A była

to zarazem okoliczność wielkiej wagi i zewszehmiar pomyślna dla akcji francuskiej w Polsce. Gdyż te same pobudki rozumu stanu, które Francję skłoniły do stałej przyjaźni z sułtanem, wyrobiły w Polsce, mimo ciężkie przeprawy jakie miewała z półksiężycem, tę zasadę naczelną polityki, iż należy ograniczyć się do koniecznej obrony od Turcyi, dążyć do utrzymania z nią pokoju a nawet przymierza. I jakkolwiek niejednokrotnie sprzeniewierzano się tej zasadzie, a zawsze z obcej zachęty i narażeniem się własnem, przecież pozostała ona skazówką wytyczną dla lepszych mężów stanu, światlejszych kierowników opinii publicznej, ogromnej większości narodu. Nad pobudkę wojenną porywczego Orzechowskiego przekładano roztropną miarę głębszego statysty, jakim był Modrzewski, trzymano na wodzy popędy odwetowe albo zdobywcze: to też zawsze z osobliwszym respektem brano do wiadomości powagę głosu francuskiego u Porty i wiele stąd sobie wrócono korzyści. Zupełnie na opak rozumiejąc te stosunki, dzisiejszy historyk i minister francuski wyraża przekonanie, jakoby jednym z kardynalnych szkopułów, niedopuszczających zgody interesów francuskich a polskich, był zaślepiający Polaków »zapał rycerski, gorączka krzyżownicza, nienawiść dla poganina«, fanatyczna zapalczywość do wypraw tureckich, oczywiście wprost przeciwna całemu realistycznemu kierunkowi tureckiej polityki Francyi. Jest to tak

dalece opaczne, iż raczej wprost naodwrot, taki właśnie, a nie inny, kierunek owej polityki i nadzieja zyskania za jej pośrednictwem trwałego pokoju z Portą stanowiły główny argument partii francuskiej w Polsce, główny atut stronników elekcyi Walezego zarówno jak elekcyi Kondeusza, kiedy natomiast świadomość, iż polityka austriacka równa się antytureckiej, była jednym z głównych powodów zwichnięcia wszystkich kandydatur habsburskich, od arcyksięcia Ernesta aż do Karola Lotaryńskiego. Przez długi czas tutaj mianowicie, w rzeczach tureckich, spoczywała jedna z donioślejszych racyi ciężenia Polski ku Francyi, która tutaj mogła oddać Rzpltej doniosłe realne przysługi. Wiadomo, że tej racyi nie wyzyskano, tej przysługi nie wyświadczono. Dyplomacya francuska nie oszczędziła Polsce i Turcyi ani jednego starcia, dopuściła, że głowa wielkiego hetmana obnoszoną była na oszczepie po ulicach Stambułu, dopuściła, że święta chorągiew proroka stała się zdobyczą hussaryi polskiej. Dwaj niefortunni pupile Francyi, osłabieni od ran, z których wiele najcięższych sami sobie wzajem zadali, jednemu przemożnemu przeciwnikowi razem niemocni są stawić oporu.

Owóż, że takim wspólnym obu przeciwnikiem jest Rosya, że ona chce i potrafi zgnieść razem i Portę i Rzpltę, to nie mogło ulegać dłużej wątpliwości, odkąd armie cesarzowej Anny stanęły jednocześnie nad Wisłą i Dunajem. Jednak polityka

francuska nie wzięła zbyt do serca tego podwójnego ostrzeżenia. W gruncie rzeczy w Wersalu i nadal Rosyi niedoceniano. Przekonano się naocznie, podczas tułaczki Leszczyńskiego i podczas układów belgradzkich, iż jest potęgą; lecz mniemano, iż jest czemś w rodzaju ślepej potęgi tureckiej i że na sposób tamtej snadnie sobą pozwoli kierować. Ustalono system przyjacielskich z Rosyą stosunków. Zarazem na wielką skalę, sposobem wypróbowanym w seraju i nasamprzód ręka w rękę z Prusami, zainaugurowano kunsztowny system działań zakulisowych na samym dworze petersburskim. Śród tych arcymisterych kombinacji, kunszachtów z Münnichem, katastrofy Birena, praktyk Lestocq'a, niespodzianek Lachétardiego, korespondencji tajnej Ludwika XV z Elżbietą, mniej sobie wazono, iż tymczasem w Rzpltej polskiej raptownie potężniały i pogłębiały się wpływy rosyjskie. Odkąd zaś, po »odwróceniu aliansów« i zawarciu sojuszu francusko-austriackiego, weszła do niego Rosya, od lat dziesięciu złączona z Austryą przymierzem, — natenczas już zupełnie swobodnie, pod okiem Francyi, rząd rosyjski mógł obwarowywać swoją wszechwładzę w Polsce, gdzie rozpadały się ostatnie szczątki dawnego stronnictwa francuskiego, pozbawionego naprawdę wszelkiej racyi bytu od chwili dojścia porozumienia francusko - austriacko - rosyjskiego. Objęcie rządów przez Katarzynę II, dokonany

przez nią powrót do systematu pruskiego, podjęta w wielkim stylu polityka zagraniczna, dążąca do osiągnięcia najbliższych celów Rosyi na Wschodzie przez nacisk wywierany na najdalszym Zachodzie, do reszty zbiły z tropu dyplomacyę wersalską. Zupełnie inaczej, niż z przyjaciółką Lestocqa i korespondentką Ludwika XV, wypadło liczyć się z przyjaciółką i korespondentką Fryderyka II. Katarzyna odrazu staje na zupełnie niezależnem względem Francyi stanowisku. Nie waha się w piśmie własnoręcznem do dyktatora wolnej Korsyki dać ujścia swoim sympatyom dla walki republikantów korsykańskich przeciw najazdowi francuskiemu i dodać im gorącej zachęty, aby do ostatka »opierali się obcej przemocy, bronili i uratowali od niesprawiedliwej uzurpacyi ojczyznę«. Zarazem łamię ostatni opór konfederacyi barskiej. Przystępuje do wojny eksterminacyjnej z Turcyą. Spóźnione są wtedy nieporządne wysiłki rzucającego się na wszystkie strony Choiseula, który upadającej Rzpltej z odsieczą posyła zrujnowaną Portę, wspomaga spóźnioną radą, trochę grosza i garścią awanturników, co za trzydzieści dukatów na miesiąc idą ginąć nieużytecznie na Podolu albo kończyć na dalekiem wygnaniu. Rozluźniwszy aż do zupełnego zaniku łączność naturalną interesów swoich a polskich, kolejno związana łącznością sztuczną z Prusami, Austryą, Rosyą, nie związawszy z sobą żadnego z tych mocarstw, Francya

pod sam koniec, w chwili decydującej, z założonymi rękoma jest obecną przy dokonaniu się ich związku pod hasłem pierwszego rozbioru Rzpltej.

V.

Kiedy krótko przed pierwszym podziałem możliwość takiego rozwiązania, od stu lat zawieszona nad Polską, rozważaną była na królewskiej radzie gabinetowej w Wersalu, pierwszy minister francuski wygłosił zdanie, usankcjonowane obecnością francuskiego monarchy, iż »jest jeszcze nader wątpliwem, azali taki wypadek mógłby obchodzić Francję«: *il est encore très douteux que cet événement pût intéresser la France*. To był w rzeczach polskich testament bankrutującej dawnej monarchii francuskiej, zaskoczony zniemacka przez wypadki, których przecie nie mogła nie przewidywać i które przewidywała istotnie. Pierwszy podział Polski przygotowany i dokonany został tak, jak gdyby królestwa Francji i Nawarry nie było w Europie. Kiedy przyjdzie następny, już ono w rzeczy samej nie będzie istniało. Pomiędzy ścięciem Ludwika XVI a ścięciem Maryi Antoniny spełniony zostanie drugi rozbiór Rzpltej polskiej i Rzeczpospolita francuska, objąwszy spadek po Walezycach i Bourbonach, doświadczy skutków ich polskiej polityki, zagnana wnet do obrony wła-

snego bytu przeciw koalicji mocarstw rozbiorowych. Nowa Francya, która nożem gilotyny przecina wewnątrz państwa łączność organiczną z przeszłością, — w rzeczach międzynarodowych, na widowni europejskiej, odziedziczy ciężary, a przecież niemocną będzie pełna wyzwolić się od ducha starej Francyi, i sprawdzi swoim przykładem sprawdzone o tamtej orzeczenie głębokiego znawcy państw i narodów: *stimano tanto l'utile e il danno presente, che cade in loro poca memoria delle ingiurie o benefizii passati, e poca cura del bene o del male futuro.*

Rozbiory.

W setną rocznicę pierwszego rozbioru Rzpltej polskiej przedsięwziął J. I. Kraszewski wydanie książki niniejszej, ukazującej się obecnie w nowej, ozdobnej szacie*). Od tej pory upłynęło dalsze trzydziestolecie. Przeminięło ono nie bez śladu dla nauki historycznej, nawet dla dość opieszalej, niestety, na tym właśnie terenie, spaźniającej się i zacofanej nauki polskiej. W rzeczy samej, uczyniono odtąd znaczne postępy naukowe w dziedzinie powszechnych dziejów nowożytnych wogóle, zaś polskiego okresu rozbiorowego w szczególności. Zyskała na obfitości wiedza nasza o tym okresie. Zyskały na dojrzałości nasze o nim sądy. Co prawda, te postępy, w ściślejszym obrębie historyografii swojskiej, dotychczas w pewnej tylko części i to w części nader niewystarczającej, zostały przetopione w czyn naukowy, pod postacią

*) J. I. Kraszewski »Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1799«.

jednej albo drugiej wybitniejszej pracy monograficznej. Skutkiem tego, w pewnej tylko, nader niedostatecznej mierze przeniknęły dotychczas do szerszej samowiedzy publicznej. Jest w tem wielkie zaniedbanie, jest wielka wina spóczesnego dziejopisarstwa polskiego, którą też co rychlej, na wszelki sposób, wypadałoby naprawić i nagrodzić. Jednakowoż, z tem wszystkim, postępy faktyczne, aczkolwiek należycie jeszcze niewyzyskane, nieuporządkowane, aczkolwiek nieprzystosowane jeszcze do poziomu i potrzeb nauki dzisiejszej i społeczeństwa, przecież niewątpliwie same przez się istnieją i objawiają swoje działanie. Pomnożyła się niepomąłu ilość uprzystępnionych przyczynków źródłowych, dotyczących doby rozbiorowej. Udoskonaliła się znacznie metoda krytyczna dla oceny ich jakości, celem właściwego ich użytkowania. Zmętniał, ustatkował się, uspokoił i poniekąd rozjaśnił sam kierunek wytyczny badania i wyrokowania, sam pogląd zasadniczy na niniejszą dobę oraz na jej dziejowo-polityczny charakter i znaczenie.

»Czas trzech rozbiorów« jest to właściwie pojęcie pod względem ściśle naukowym dowolne. To znaczy — dowolnie odgraniczone przez swoje punkty kresowe początku i końca. Okres od 1772 do 1799 roku nie posiada właściwie żadnej innej, ściśle ograniczonej, istotnej cechy specyficznej, ani ze stanowiska wewnętrznych dziejów polskich, ani też powszechno-europejskich, oprócz tej jednej, że

w tym to czasie ułożone, spisane i wykonane zostały trzy pierwsze umowy podziałowe. Nie zamyka on nawet ostatecznie samej czysto terytorialnej czynności podziałowej. W istocie bowiem ta czynność, pozornie tylko wtedy zakończona, wnet, w najbliższym zaraz czasie, w kilka lat za ledwie po formalnem dokonaniu trzeciego podziału, całkiem nanowo zostaje otwartą i znajduje sobie niebawem całkiem nowy wyraz w czwartym traktatowym akcie podziałowym tyłżyckim 1807 roku, dalej w piątym traktatowym akcie podziałowym wiedeńskim 1809 roku, wreszcie w szóstym kongresowym akcie podziałowym wiedeńskim 1815 r., zmodyfikowanym ostatecznie i dopełnionym, na dzisiejszą modłę terytorialną, przez wiedeński akt cesyi krakowskiej 1846 roku. Jeśli tak rzecz się ma ze stroną czysto terytorialną pierwotnych trzech umów podziałowych, to w wyższym jeszcze stopniu podobny zachodzi stosunek względem ich strony prawno-politycznej, ulegającej kolejnym modyfikacyom zasadniczym już wewnątrz samych tych trzech aktów pierwotnych, a odmienianej do szczętnie we wszystkich niemal następnych.

Tym sposobem t. zw. epoka rozbiorów z punktu widzenia samej już najistotniejszej czynności podziałowej przedstawia się jako ułamkowy i przechodni epizod dziejowy. Tembardziej przedstawia się ona jedynie jako taki epizod z punktu widze-

nia powszechnego rozwoju dziejów europejskich, oraz wewnętrznego rozwoju dziejów polskich.

Pierwsze trzy podziały Rzpltej to było jedno łączne zjawisko, niezamknięte, niewykończone jeszcze w swoim istotnym przebiegu, a równie skomplikowane w różnolitych swoich przyczynowych zaczątkach, jak dalekonośne w wielostronnych swoich konsekwencyach, lecz przedewszystkiem należące w jednakowej mierze ze swojej istoty, genezy i następstw do rzędu zjawisk ogólnej polityki międzynarodowej Europy nowoczesnej. Źródło podziałów spoczywało bezpośrednio w ogólnym kierunku i duchu nowożytnej ewolucji politycznej, jaka zapanowała w wielkim europejskim świecie mocarstwowym; ich sposób wykonania został od niej bezpośrednio zależnym; ich skutki bezpośrednio na jej dalszym odbiły się toku. Podziały polskie były jednym ze zjawisk pochodnych tamtej ewolucji zasadniczej, a mianowicie zjawiskiem o tyle wyjątkowym, że w niem mogła ona wcielić się i wyrazić najwydatniej, najjaśniej, najzupełniej, niejako najdoskonalej, dzięki wyjątkowemu w tym wypadku zbiegowi sprzyjających okoliczności i czynników specjalnych. Jedną z takich okoliczności, które ułatwiły dojście i urzeczywistnienie w całej pełni onego zjawiska, była niedostateczna odporność Rzpltej. Z kolei, jednym z czynników, które złożyły się na tę umniejszoną odporność, był niepomysłny obrót wewnętrznych

stosunków polskich w ciągu końcowych okresów konania państwa polskiego. To był czynnik nader ważny, niezmiernie ważny: ale to był tylko czynnik, tylko jeden ze spótczynników; — to nie była przyczyna, ani jedyna, ani wystarczająca, ani nawet główna przyczyna. Ta nie tkwiła w Rzpltej: miała siedlisko w Europie owoczesnej.

W Europie owoczesnej XVIII stulecia odbywało się radykalne przeobrażenie dotychczasowej odwiecznej składni międzymocarstwowej. Odbywało się ono już od samego zaczącia stulecia, przyspieszone pod środek wieku ręką Fryderyka II, rozpędzone pod koniec ręką Katarzyny II. To przeobrażenie polegało w szczególności na dwóch całkiem nowych a niesłychanie doniosłych faktach dziejowych: na mocarstwowem wyniesieniu się Prus pośród Niemiec, oraz Rosyi pośród Europy. Obadwa te fakta epokowe, swoim ściśle równoległym i dopełniającym się wzajemnie spótdziałaniem, przyśpieszyły i uczyniły nieuniknioną koniecznością ostateczny upadek dotychczasowych panujących pojęć starego europejskiego prawa narodów (*jus gentium*) oraz starego europejskiego systematu stałej równowagi zachowawczej (*aequilibrium in statu quo*). Rzeczony pojęcia, wprawdzie i dawniej już wielokrotnie w chwili ponawiających się burzliwych przesileń dziejowych ciężko na szwank narażane, na rozmaity sposób dotkliwie gwałcone, nieraz nawet przejściowo całkiem zaćmiewane przez

wręcz sprzeczną z niemi wojenną i dyplomatyczną praktykę międzynarodową, bądźco bądź jednak ciągle dotychczas były obecne, ważne i uznawane w zasadzie jako niewzruszona podstawa normalnego prawnego porządku rzeczy: odtąd zaś uległy pełnemu zawieszeniu na całej linii i zostały zastąpione w ten sposób, iż na miejscu pierwszego z nich stanęło nowe pojęcie prawa mocarstw, opartego na związkach sojuszniczo-spółkowych, na miejscu drugiego — nowe pojęcie systematu postępowej równowagi spółdzielczej, opartego na umownem ustosunkowaniu wzajemnych odszkodowań we wspólnych zyskach. Te obiedwie rdzenne innowacje tak miały się do tamtych obudwu faktów kardynalnych, jak skutek do przyczyny. W rzeczy samej, z chwilą wyłonienia się na gruncie wszech-europejskim i środkowo-europejskim dwóch nowych pierwszorzędných czynników mocarstwowych, wynikła konieczność zaspokojenia niedopartych ekspansywnych dążeń i potrzeb tych czynników. Zaś temsamem, dla zrównoważenia powstałych stąd przewrotów w składzie sił międzynarodowych, przewrotów radykalnych, sięgających do głębi i utrwalających się na daleką przyszłość, a nie tylko, jak dotychczas, powierzchownych jeno i przejściowych, wynikła z kolei konieczność odpowiednich indemnizacji dla wszelkich innych potęg, zdolnych o nie upomnieć się i pokusić i na własną rękę je sobie przyswoić. To znowuz było możli-

wem li tylko w drodze działów na słabszych ustrojach państwowych i narodowych. Tak ustaliła się powszechna dążność podziałowa, już nietylko jako przygodny wyjątek, lecz jako stała samozachowawcza reguła, krępowana przy zastosowaniu swoim w praktyce jedynie przez niezawisłe względy wykonalności faktycznej w tym lub owym następującym się wypadku, w miarę warunków, niezbędnych dla porozumienia się stron czynnie interesowanych w danym akcie podziałowym, jakoteż w miarę szans, wymaganych dla przełamania rzeczywistej odporności danego biernego podziałowego przedmiotu.

Istotnie też cały wiek XVIII wypełniony jest po brzegi nieprzerwaną koleją tłoczących się obok siebie, krzyżujących się z sobą, prześcigających się nawzajem, planów i robót podziałowych. Są one snowane i wprowadzane w wykonanie jednym nieustannym ciągiem, w najrozleglejszym zakresie i w najrozmaitszym kierunku. Ogarniają swoją siecią wszystkie niemal ziemie i ludy europejskie, daleko nawet wykraczając po za granice lądu stałego tej części świata. A więc chodzi tutaj o podział Rzeszy niemieckiej, w szczególności Bawaryi, Saksonii, ziem nadreńskich, posiadłości kościelnych — pomiędzy Prusami, Austryą, Francją, w rozlicznych dwoistych skojarzeniach. Chodzi o podział Austrii, a w szczególności Szląska, Czech, Niderlandów i Włoch austriackich — po-

między Prusami a Francją. Chodzi o podział Anglii, a głównie Hanoweru i kolonii angielskich — znowuż pomiędzy Francją a Prusami. Chodzi przecież kiedyindziej, naodwrot, o podział Francji i kolonii francuskich pomiędzy Austryą, Prusami i Anglią. Chodzi na uboczu o podział Holandyi i kolonii holenderskich — pomiędzy Anglią a Prusami. Chodzi o podział Szwecyi, zwłaszcza Pomorza szwedzkiego, Inflant i Finlandyi — pomiędzy Prusami a Rosyą. Chodzi o podział samychże Prus — pomiędzy Austryą a Rosyą. Chodzi o podział Turcyi i jej posiadłości w trzech częściach świata — pomiędzy Rosyą a Austryą, z dopuszczeniem do uczestnictwa Francji i Anglii. Chodzi wreszcie o podział Rzpltej polskiej — pomiędzy Prusami, Rosyą i Austryą.

Wszystkie te plany i roboty podziałowe nie tylko były obmyślane i formułowane, lecz wszystkie bez żadnego wyjątku, w mniejszym lub większym stopniu, były wcielane w czyn realny w ciągu XVIII wieku. Zbrojną ręką, przewagą wojenną, imano się w tym wieku ich niezwłocznego urzeczywistnienia we wszystkich wyliczonych kierunkach i w mnogich jeszcze innych. Tak więc w przeciągu tego jednego XVIII stulecia, wojenne i zbrojnie znaleźli się Anglicy w Tulonie, Korsyce, Wandei, Kanadzie francuskiej; Francuzi — w Brukseli, Moguncyi, Medyolanie, Irlandyi, Indyach angielskich; Austriacy -- w Strasburgu, Ver-

dunie, Monachium, Belgradzie, Czerniowcach, Lwowie, Krakowie; Prusacy — w Szczecinie, Wrocławiu, Pradze, Hadze, Hanowerze, Elblągu, Poznaniu, Gdańsku, Toruniu, Krakowie, Warszawie; Rosyane wreszcie — w Azowie, Bachczyseraju, Tyflisie, Bukareszcie, Atenach, Szlezwigu, Berlinie, Królewcu, Wyborgu, Rewlu, Rydze, Gdańsku, Wilnie, Krakowie, Warszawie. Jak łatwo dostrzedz, jak samo rzuca się w oczy, — co leżało zresztą w naturze rzeczy, w zaznaczonem pierwotnem źródle, pierwotnym motorze tego zjawiska, — przodowały tutaj w najpierwszym rzędzie obadwa najmłodsze i najruchliwsze, rozrastające się najspieszniej i najprzestronniej, mocarstwowe ustroje. Jednakowoż, nie wszystkie oczywiście z tych ułożonych planów i dokonanych czynów podziałowych dało się utrzymać i utrwalić nazawsze. Od znacznej ich części wypadło niebawem odstąpić, wyrzec się, jeśli nie myśli, to doraźnego ich wykonania. Natomiast pewną ich część, tam zwłaszcza, gdzie lwie było uczestnictwo obudwu przodujących potęg najsprawniejszych, udało się napocząć, dokonać, ubezpieczyć na stałe, aczkolwiek do czasu w postaci ułamkowej i okrojonej. Tak Prusy ubezpieczyły sobie zdobycze podziałowe na Pomorzu szwedzkim oraz Szląsku austryackim, tak Rosya — na Inflantach i w Finlandyi szwedzkiej oraz na Czarnomorzu i w Krymie tureckim. W jednym zaś wypadku udało się rzecz uskutecznić już nie

w połowicznej i urywkowej postaci, lecz w najdoskonalszym i najpełniejszym sposobie, w całej rozciągłości i zawartości podziałowego przedmiotu: w wypadku podziału Rzpltej polskiej.

Z powyższego, bardzo prostego zestawienia faktycznego oraz bardzo prostego logicznego wywodu wynika z całą oczywistością prawda zupełnie elementarna, jaką wyraziliśmy u góry: iż podziały polskie należą przedewszystkiem, w najściślejszem i najobszerniejszem znaczeniu słowa, do rzędu zjawisk ogólnych dziejów politycznych Europy nowożytnej. Ta prawda, zdawałoby się, to jest bijący w oczy, najwidoczniejszy aksyomat, najpospolitszy truizm. A jednak bywała ona częstokroć i jeszcze po dziś dzień nieraz bywa zapoznawaną z gruntu, w głównej swojej treści, a zwłaszcza w doniosłych swoich konsekwencyach, przesłaniana natomiast przez wręcz przeciwny zdawkowy paradoks, jakoby polskie podziały należały przedewszystkiem do rzędu specjalnych zjawisk dziejów społecznych Polski nowożytnej. Takie zboczenie sądu historyczno-politycznego poniekąd tłumaczy się wyjątkową naturą tego bezprzykładnego dziejowego zjawiska, wyjątkową atoli nie ze względu na swoją zasadniczą genezę — gdyż ta była mu wspólną ze wszelkimi innymi zjawiskami tego samego rzędu, — lecz wyjątkową ze względu na techniczną formę swego wykonania,

w tym jednym wypadku tak raptowną, wyczerpującą, doszczętną i absolutną.

To jest okoliczność najpierwszej wagi. Zarówno ze stanowiska nauki historycznej, jakoteż z politycznego punktu widzenia, jest rzeczą najpierwszej wagi rozróżnić ściśle pomiędzy powszechną genetyczną przyczyną podziałów polskich a technicznymi spólczynnikami ich wyjątkowo zupełnego uskutecznienia. Te spólczynniki były nader różnorodne. Sprowadzały się one, jak zaznaczyliśmy, bądź do wyższego w tym wypadku stopnia porozumienia się zobopólnych interesów stron czynnych, bądź do niższego tym razem stopnia odporności strony biernej. Z samego już swego położenia Rzplta polska znajdowała się wprost na linii najbliższych ekspansywnych dążności tych właśnie obudwu potęg, które swoim wystąpieniem na szerszej widowni dziejowej nadały nowy wywrotowy kierunek dotychczasowemu biegowi starej konstelacji mocarstwowej w Europie. Dla Prus, dobijających się przodującego stanowiska w Niemczech, najkrótsza, choć napozór okolna droga, zmierzająca przede wszystkim do złączenia Prus Wschodnich z Marchią Brandeburską, następnie zaś tędy, z tej zjednoczonej, niedostępnej opoki, wprost już do groźnego wywyższenia hegemonii pruskiej ponad wszystką Rzeszą, prowadziła oczywiście na Prusy Królewskie i Wielkopolskę. Dla Rosyi, dobijającej się przodującego stanowiska

w Europie, najkrótsza, choć tymczasowa dopiero droga, otwierająca jednocześnie szeroki wylot broni rosyjskiej od strony tureckiego Wschodu oraz hegemonicznym wpływom rosyjskim od strony europejskiego Zachodu, prowadziła widocznie na Wołyń i Litwę. Tak zbiegły się tutaj, u wspólnego celownika polskiego, najżywoźniejsze interesy ekspansywne pruski i rosyjski. Wprawdzie podobnie były zbiegły się one obiedwie w innym jeszcze przypadku, u celownika szwedzkiego, nie wywołując tam przecie skutków, w równej mierze aż do szczętu niweczających. Wszelako, jeśli tam skutek w rzeczy samej był mniej kompletny, aniżeli tutaj, stało się to bynajmniej nie dzięki większej tęgości odpornej samych Szwedów aniżeli Polaków, lecz jedynie dzięki niezawisłemu społecznikowi odporności przyrodzonej, dzięki odmiennym, pomyślniejszym warunkom geograficznym: Sztokholm albo Chrystyanię łącniej było zachować, aniżeli Wilno albo Warszawę; zaś poza tem zresztą, co tylko w tamtym przypadku było do odjęcia i do stracenia, to też zostało odjęte i stracone, a więc szwedzkie wyspy i Pomorze do Prus, szwedzkie Inflanty i Finlandya do Rosyi. Przeciwnie, w otwartej zewsząd na ścieżaj Rzpltej, wszelkie pożądane nabytki, od kresów aż do serca państwa, były zgoła dostępne dla ręki sąsiedzkiej, zdecydowanej a dosyć mocnej, ażeby po nie sięgnąć. Jeżeli jednakowoż tym sposobem zeszyły się w Polsce interesy na-

bywczę pruski i rosyjski, nie znaczy to jeszcze wcale, aby one były identyczne, ani nawet z sobą zgodne. Owszem, w wielu punktach były z sobą w wyraźnej sprzeczności, a bodaj poniekąd, w pierwotnym zwłaszcza dążeniu i kształcie, wręcz wyłączały się nawzajem. Pierwotna dążność rosyjska, już za Piotra Wielkiego skierowana ku najrozsądniejszemu, największemu widokom wszech europejskim od linii Bałtyku aż do Dardanelów, ogarniała wszystką bez wyjątku Rzpltę, od Gdańska aż do Lwowa, od Kurlandyi aż do Ukrainy; polegała też wtedy przede wszystkim na ścisłym, zazdrośnym przestrzeganiu, póki jeno było można, nie tylko uprzywilejowanej, lecz wyłącznej własnej roli jedyne go superarbitra w sprawach Rzpltej; objawiała się tutaj z całą konsekwencją w duchu wyłącznej, jednostronnej gwarancyi i protekcyi, mającej przygotować grunt dla wyłącznej w następstwie unii albo wcielenia: to też wtedy, w pierwotnej swojej postaci, owa kierownicza dążność rosyjska, wyłączając z góry dopuszczenie do współudziału jakiegokolwiek innego postronnego uczestnika, obracała się tem samem naprawdę i świadomie — pomimo niektórych pozornych i chwilowych zbroczeń — przeciw wszelkiej myśli podziału. Wprost naodwrot, na takiej właśnie myśli podziałowej wspierała się od początku XVIII stulecia polityczna dążność pruska, zwłaszcza jasno w tym względzie uświadomiona od czasów Fryderyka

Wilhelma I. Wprawdzie i z tej strony większa ambicya owładnięcia całą Polską w drodze pokojowej, przez elekcyę, była błysnęła wcześniej, w XVII wieku, w głowie Wielkiego Elektora, ażeby później, w XIX wieku, parokrotnie jeszcze przewinąć się na jedno i drugie krótkie mgnienie. Ale ponad tą ambitną mrzonką wrychle zapanowało realniejsze pragnienie owładnięcia najbliższym, a z rozlicznych względów najcenniejszym dla monarchii Hohenzollernów, będącym pod samą ręką, odłamek ziem polskich, Prusami Królewskimi, Wielkopolską. Małe Prusy ówczesne nie mogły oczywiście ani marzyć o pochłonięciu powszechności ogromnej Rzpltej. O to zaledwo kusić się mogła Rosya. To też Prusy poprzestawały na mniejszem, w myśl orzeczenia, że niekiedy część bywa większą od całości. A i ta część nawet, dosyć jeszcze obfita zdobycz królewsko-pruska i wielkopolska, długi czas wydawała się poprostu niedościągłą odrazu, niemożliwą do zabrania, do strawienia od jednego zamachu, dla karłowatego organizmu państwowego ówczesnej monarchii pruskiej. To też pierwotna dążność pruska w nader skromnych objawia się kształtach: zagarniać wieś po wsi, miasto za miastem, jak się spożywa karczoch liść po liściu — tak formułowana była początkowo przez Fryderyka Wilhelma I i jeszcze w pierwszych latach przez Fryderyka II. Dopiero z kompromisu pomiędzy temi dwiema ideami pierwotnemi: rosyj-

ską — objęcia całości, oraz pruską — zarywania cząstek, wyłoniło się ostatecznie, dzięki zbiegowi sprzyjających okoliczności, oraz dzięki umiejętnemu wyzyskaniu ich w lot przez Prusy, środkowe rozwiązanie praktyczne w kształcie pierwszego podziału, za którym wnet poszły, a pójść musiały, dwa następne, aż do zupełnego wyczerpania podziałowego obiektu. Jasną jest rzeczą, że tego rodzaju kompromis, z punktu widzenia rosyjskiego, był ogromnem ustępstwem i stratą, zaś zarazem, z punktu widzenia pruskiego, był równie wielkim tryumfem i korzyścią. Rosya, zamiast spełna zebrać wszystek owoc polski, musiała godzić się na działą z niepożądanym, niepokaznym spółnikiem; Prusy, zamiast homeopatycznie zdzierać przygodne skrawki, miały odrazu wznieść się do uczestnictwa na równych prawach z potęgą spółdzielczą, nieskończenie możniejszą, a oddawna utwierdzoną na własną rękę wewnątrz Rzpltej. Zadanie było niezwykle trudne. Uporać się z niem mogły Prusy, na początek przynajmniej, przy największej nawet zręczności i sztuce, nie inaczej jak tylko sprowadzając sobie pewien sukurs z zewnątrz, a mianowicie ściągając trzecią jeszcze stronę spółkową dla zrównoważenia dominującej potęgi rosyjskiej, wyparcia jej ze stanowiska wyłącznej spadkobierczyni i zmuszenia jej do porównej dystrybucyi kaduka polskiego.

Tę rolę pomocniczej strony trzeciej odegrać

niała Austria. Występowała ona tym sposobem w czynności podziałowej polskiej naprawdę nietylko jako samodzielny, niezawisły czynnik przyczynowy, ile raczej jako mimowolne pośrednie narzędzie, przykładające się skutecznie do przyśpieszenia, udoskonalenia, a nawet samego umożliwienia trudnej operacji podziałowej. W istocie, stanowisko Austrii względem rozbiorowego zagadnienia polskiego przedstawiało się z natury rzeczy całkiem odrębnie i odmiennie od położenia Rosyi i Prus. Dążności rosyjska i pruska w sprawach polskich, czy to w duchu pochłonięcia wszystkiej Rzpltej, czy też powolniejszego lub przyśpieszonego jej rozbioru, bez względu na istniejące między nimi różnice a nawet sprzeczności, bez względu na mniejszy albo większy ich zakrój, na taką albo inną metodę wykonawczą, przecież z natury rzeczy były sobie obiedwie ściśle pokrewne, wynikając obiedwie z pokrewnych ekspansywnych pobudek przyrodzonych i dziejowych, geograficznych i politycznych. Obiedwie te dążności, jakkolwiek odbiegałyby od siebie lub bodaj krzyżowałyby się ze sobą w pochodnych punktach szczegółowych, w każdym razie, z ogólnego, genetycznego punktu wyjścia, były równorzędne, były jednakowo bezpośrednie, nieuchronne, absolutne, jednakowo górujące naówczas ponad wszelkimi innymi dążeniami mocarstwowymi obu tych państw, Rosyi i Prus w tej przełomowej dla nich dobie XVIII stulecia,

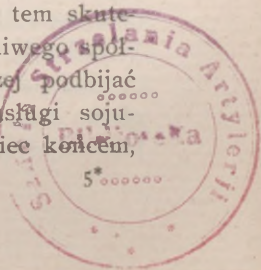
w zaraniu ich zobopólnej wielkiej karyery światowej, biegnącej zobopólnie poprzez gruzy Rzpltej polskiej. Zupełnie inne było spóczesne położenie Austrii. Jeśli chodziło o ekspansję w Europie, to naówczas starożytna monarchia rakuska miała sobie wskazany szlak postępowy, nie na linię Wisły, jak młoda monarchia Piotrowa, lecz na linię Dunaju, Renu i Po. Jeśli chodziło o ekspansję w Niemczech, to naówczas prastara dynastia Habsburgów miała sobie wskazaną drogę postępową, nie przez kresowe, krzyżackie podboje północne u sąsiada, na zewnątrz świętego germańskorzymskiego imperyum, jak dorabiająca się margrabiowska dynastia Hohenzollernów, lecz ku samym źródłom narodowym i państwowym cesarstwa, ku rdzennym południowym ziemiom niemieckim. Ku południowej i zachodniej stronie, ku opanowaniu Włoch, wcieleniu Bawaryi, nie zaś ku Wschodowi i Północy, nie ku podbojowi dalekich krajów polskich, powoływały Austryę czynniki i pobudki polityczne, chociażby dyktowane przez najbezwzględniejszą, najdalej sięgającą ambycję, lecz, bądźco bądź, jedynie z tej strony ugruntowane na rzeczywistej głębszej logice warunków i precedensów dziejowych. Atoli, skutkiem szczególniejszej politycznej reakcyi, dlatego właśnie, że z przeciwnej strony polskiej była Austria historycznie i geograficznie najmniej przygotowaną i przysposobioną do zaboru, — stawiona nagle wobec

ewentualności samodzielnego z tej strony zaboru prusko-rosyjskiego, zamiast zdobyć się na trudny wysiłek niedopuszczenia takiej ewentualności, uznała Austria za właściwsze raczej sama wyprzedzić wypadki i sama najpierwsza gwałtownym aktem okupacyjnym na własną rękę dognać i prześcignąć konsekwentną negocjację podziałową prusko-rosyjską. Był to zwrot, z własnego austriackiego punktu widzenia, zgoła paradoksalny, lecz właśnie przez swoją paradoksalność wewnętrzną a pozorną praktyczność, łatwość i wygodę tem snadniej dopasowany do całego zakroju owoczesnej dyplomacji Józefińskiej, wyzutej z wszelkiego wyższego poczucia rozumu stanu na dłuższą metę, równie pożądlivej jak nieporadnej, równie wyniosłej względem słabych, jak trwożnej względem mocnych, skwapliwie schodzącej z drogi spornym »kompli-kacyom«, a chwytającej się odruchowo każdej nadarzonej zyskowej »konjunktury«. Niniejsza »konjunktura« polska, nadarzająca się z poczęcia prusko-rosyjskiego, zaś w szczególności prowokacyjnie podsuwana, niemal wpychana w ręce Austrii przez króla pruskiego, oczywiście w żadnym względzie nie była tego rodzaju, aby mogła obrócić się na istotny pożytek Austrii. Jasnym było, jak na dłoni, że podział musiał ilościowo najbardziej powiększyć Rosyę, jakościowo — najsilniej wzmóc Prusy, zaś Austrii najmniejszego przysporzyć dorobku, czy to w ilościowym stosunku w porównaniu

z Rosyą, czy też w jakościowym — w porównaniu z Prusami. Przedewszystkiem było jasnym, że dwór wiedeński nie miał istotnego realno-politycznego interesu — gdyż o tytułach moralno-prawnych, rzecz prosta, w tem wszystkim nie mogło wcale być mowy, — w kuszeniu się o podboje na Rzpltej polskiej, gdyż nie miał bynajmniej interesu w takiej, całkiem dla siebie nowej orientacji politycznej, prowadzącej przymusowo do spaczenia, do skrępowania dotychczasowych specyficznie austriackich dążeń ekspansywnych, do odwrócenia ich, z naturalnego ich łożyska południowo-zachodniego, we wstecznym kierunku północno-wschodnim. Jednakowoż, im mniej prawdziwego interesu miał w tym wypadku ówczesny rząd wiedeński, im bardziej skutkiem tego czuł się jakgdyby intruzem w systemacie podziałowym prusko-rosyjskim względem Polski, — tem mniej też panował nad sobą, nad pożądlivym własnym niepokojem, tem mniej liczył się z rzeczywistymi intencjami spóźzawodników, tem bardziej z natarczywą porywcznością intruza poddawał się zazdrosnej obawie, aby go całkiem nie pominięto, i tem łacniej, podcinany taką obawą, zdobył się najwcześniej na nagły, nieodwołalny czyn zaborczy. Poczynając sobie w ten sposób, ówczesna Austria Józefińska nie obiecywała sobie pierwotnie zbytnej pociechy z tej ubocznej, nieprzewidzianej i z wielu względów wcale niepożądaney zdobyczy polskiej: upa-

trywała w niej raczej przedmiot tymczasowego sekwestru, aniżeli trwałego posiadania, ceniła w niej nietylę integralny nabytek własny, ile łup, eskamotowany z pod ręki Prusom i Rosyi. Stąd też pierwotnie w Wiedniu szacowano wartość austriackiego działu w Polsce przedewszystkiem jako wartość drogocennego zastawu, za którego wydanie w ręce Rosyi i Prus będzie można wymówić sobie następnie odpowiednią sowitą kompensatę gdzieindziej, zamieniając Lwów albo Kraków na Belgrad, Monachium albo bodaj Wrocław. Taki pogląd, takie złudzenie długo jeszcze przetrwało w kancelaryach dyplomatycznych wiedeńskich i dopiero po upływie blisko pół wieku ostatecznie zostało pogrzebane na Kongresie wiedeńskim. W każdym razie ta to ułudna mrzonka, ta fantastyczna rachuba niepomalu wpłynęła na pierwotną, tak raptowną, czynną inicjatywę austriacką, będącą naprawdę faktycznem napoczęciem czynności rozbiorowych w Polsce. Kardynalne, na własną największą szkodę, zboczenie z tradycyjnych torów swojej polityki europejskiej, jakiego dopuściła się najpierwsza powagą potencya w Europie, wspaniała monarchia Habsburgów, uwieńczonych starożytną rzymsko-niemiecką koroną cesarską, podało dopiero stosowną okazję, pozór i hasło dla sąsiedzkich młodszych, a istotnie zainteresowanych potęg do podjęcia i wypełnienia do dna operacyi rozbiorowej na Rzpltej polskiej.

Arcydziełem sztuki politycznej Fryderyka II, szczytem jego dyplomatycznego kunsztu było właśnie, że potrafił on w najkrótszym czasie, bez narażenia kruchego swego państewka, bez wojennego wysiłku, w drodze czysto pokojowej, jedynie przez mistrzowską negocjację podwójną, dokonać tej arcytrudnej, prawie niepodobnej do wykonania podwójnej rzeczy: wywołać i sprowokować tak nie-naturalne zboczenie Austrii w kierunku podziału, zaś w ten sposób, dzięki mimowolnej austriackiej pomocy, zobojętnić i przełamać tak naturalną oporność Rosyi przeciw podziałowi. Dobrawszy sobie do tej całej, niesłychanie misternej roboty jedynie sposobną porę wojny rosyjsko-polsko-tureckiej, tj. pośród warunków, krępujących swobodę działania Rosyi, a zachęcających do działania Austryę, Fryderyk umiał swoim sojuszem rosyjskim równocześnie drażnić do żywego Austryę i kusić ją widokami swojego wyparcia się tego sojuszu, umiał równocześnie straszyć ją i ośmielać, ażeby wreszcie, skompromitowaną już wobec Rosyi przez związki z Barzanami i Turkiem, skompromitować ostatecznie wobec świata przez najpierwszy gwałtowny czyn okupacyjny w Rzpltej polskiej: a w tej samej chwili niezrównany Prusak umiał tem skuteczniej wygrywać u Rosyi groźbę pożądliwego spozawodnictwa austriackiego i tem wyżej podbijać w szacunku u Rosyi swoje własne usługi sojuznicze przeciw Austrii, — ażeby, koniec końcem,



z aprobatą rosyjską, rozszerzyć otwór okupacyjny austriacki do rozmiarów wszechstronnego umownego aktu spółdzielczego. Takim to sposobem Wielki Fryderyk, mały król pruski, wyłamując się z pierwotnej bojaźliwej, zajęczej idei pruskiej oskubywania »liścia po liściu«, wzniosł się odrazu do śmiałej koncepcyi podziałowej, w jednym rządzie z dwoma potężnymi imperyami, a nawet poniekąd z przywilejem lwiego dla siebie działu. W rzeczy samej bowiem, w tej koncepcyi, obok jawnych porównych zysków dla wszystkich trzech umawiających się stron spółdzielczych, kryła się niejawnie wynikająca stąd szkoda, *damnum emergens*, dla wielkiego kontrahenta austriackiego, a kryły się także niejawnie tracone stąd korzyści, *lucrum cessans*, dla ogromnego kontrahenta rosyjskiego, kiedy natomiast najczystszy, niezmacony zarobek przypadał na dobro najmniejszego kontrahenta pruskiego.

Początek bywa natrudniejszy, jak we wszystkim, tak też przy podziałach. Trzeba było Fryderyka Wielkiego, zaś jemu trzeba było i sposobnego momentu pierwszej tureckiej wojny Katarzyny i poręcznego uczestnictwa Austrii, ażeby rzecz szczęśliwie doprowadzić do końca. Fryderyk Wilhelm II, po latach dwudziestu, po rozlicznych powikłaniach, w których doszczętnie pograżył zarówno honor jakoteż interes swego państwa, mógł już obejść się bez Austrii, mógł obejść Austryę,

i nazajutrz po drugiej wojnie tureckiej ubić samowtór drugi podział z cesarzową. Z kolei, połowiczny już tylko, oplakany odwet udało się wziąć Austrii w trzecim podziale, napoły tylko udało się obejść Prusy, które jeszcze w ostatniej godzinie zdążyły stawić się do obrachunku, ledwo dały sobie wydrzeć przez Austryę Kraków i zatrzymały dla siebie Warszawę. Rosya, z tej strony, nie robiła żadnych trudności. Przeciwnie, sama sobie odmierzając najdogodniejsze dla siebie rozległe terytorya rusko-litewskie, zajęła stanowisko obojętnego superarbitra w kresowych sporach podziałowych prusko-austryackich. Skoro tylko Rosya, w osobie cesarzowej Katarzyny, raz wyrzekła się Piotrowej oryentacji wszechpolskiej, dając natomiast zgodę na pierwszy trójsąsiedzki podział, — już odtąd konsekwentnie w drugim i trzecim podziale stanęła poprostu na zasadzie etnograficzno-militarnej. Zatrzymała Litwę i Ruś; sąsiadom oddała kraje, obciążone serwitutem najrdzenniejszej polskości, jaknajchętniej oddała Kraków Austryakom, wydała Prusakom Warszawę. Niewielu lat było potrzeba dla udowodnienia całej kruchości i dowolności wewnętrznej, utajonej i w tem nawet, napozór tak trzeźwym, tak praktycznym rozwiązaniu, które wnet miało zostać cofnięte i zniesione przez Napoleona, a niebawem także przez samego wnuka cesarzowej Katarzyny, przez Aleksandra I.

Zakreślając powyżej w najpobieżniejszych ry-

sach bezpośrednio najpierwsze przyczyny zjawiska podziałowego, zastrześliśmy z góry, że wyjątkowo chyżemu i zupełnemu jego przebiegowi spółdziałał w znacznej mierze doniosły spódczynnik pochodny: niedostateczna odporność Rzpltej. Chodziło tutaj wtedy faktycznie w pierwszym rzędzie o dwie rzeczy realne, o dwie główne podwaliny odporności państwowej: wojsko i skarb. Obadwa odpowiednie narządy państwowe znajdowały się w Polsce XVIII wieku w stanie pełnej degeneracji. Była to okoliczność tembardziej decydująca, że obadwa te narządy w dwóch kierowniczych państwach rozbiorowych uległy właśnie w tym samym czasie potężnej reorganizacji. Za Piotra I, Anny i Katarzyny II, przez Münnicha, Panina, Rumiancewa, dokonana została obszerna reforma armii i finansów rosyjskich. Za Fryderyka Wilhelma I i Fryderyka II została dokonana jeszcze nierównie doskonalsza reforma armii i finansów pruskich. Zwyródnienie tych obu, tak żywotnych organów w ustroju państwowym Rzpltej polskiej było zresztą, rzecz prosta, poszczególnym tylko wynikiem powszechniejszego zbroczenia całego tego ustroju w kierunku wybujałej nadmiernie decentralizacji, było bezpośrednio związane z nieszczęsnym systematem elekcyjnym, spaczoną zasadą parlamentarną, zabójczą praktyką oligarchiczną. Wprawdzie pod tym względem wiele światlejszych umysłów w Polsce, bez różnicy strónnictwa, za najgorszych nawet

czasów saskich, z całą świadomością niebezpieczeństwa, wiszącego nad krajem, upominało się o skuteczną naprawę. Wprawdzie w szczególności względem owych obudwu najbliższych rzeczy realnych, wojska i skarbu, zdanie opinii publicznej, nawet ciemnej opinii szlacheckiej za Sasów, jeszcze dostatecznie wcześniej i jasno a z biegiem czasu coraz jaśniej i dobitniej przemawiało za nieodzowną, nieodwołną reformą. Jednakowoż taka reforma, sama przez się już dość utrudniona przez naturalne przeszkody wewnętrzne, była nadto sztucznie z zewnątrz powstrzymywana, tamowana, w końcu wręcz zniweczona przez zainteresowane w jej niedośćcu sąsiedzkie mocarstwa rozbiorowe. Pogarszały wreszcie położenie polityczne upadającej Rzpltej niepomyślne warunki społeczne, które już atoli w przeważnej mierze były wspólne Polsce owoczesnej ze wszystką owoczesną Europą. Uciemiężenie ludu włościańskiego, poniżenie stanu średniego, uprzywilejowane stanowisko szlachty, nietolerancja religijna, ogólny przytem upadek obyczajów, — to były chorobliwe objawy, które bez żadnego absolutnie wyjątku, bądź w równej, bądź nawet w wyższej jeszcze mierze występowały we wszystkich społeczeństwach europejskich XVIII wieku i doprowadziły je też wszystkie do straszliwych przesileń polityczno-społecznych, w tym jednym tylko wypadku polskim towarzysząc odrębnemu przesileniu podziałowemu.

Z czasów Stanisława-Augusta.

Nieobcą nam była oddawna wiadomość o istnieniu obszernych, w języku francuskim, pamiętników Heykinga, sięgających od doby Augusta III aż do panowania Aleksandra I. Znajdowały się one długi czas w ręku rodziny Medemów. Stąd niektóre ustępy końcowe już po dwakroć były ogłaszane w języku niemieckim; inne, wcześniejsze, były użytkowane przez ks. Kalinkę. Nareszcie krewny pamiętnikarza, p. A. Heyking sen., do którego przeszedł oryginał rękopisu, wydał go w całości w tłumaczeniu niemieckim, opuściwszy tylko ogłoszony już dawniej ustęp o cesarzu Pawle, a przydawszy natomiast w kilku miejscach własne uzupełnienia, niepozbawione wartości, gdyż czerpane przeważnie z papierów sejmowych kurońskich ¹⁾.

¹⁾ »*Aus Polens und Kurlands letzten Tagen. Memoiren des Baron Karl Heinrich Heyking 1752—1796*« hrg. von Barou Alfons Heyking.

Powiedzmy nasamprzód w dwóch słowach, co nas głównie zajęło w pamiętnikach niniejszych i skłoniło do zwrócenia na nie raz jeszcze uwagi czytelników polskich. Nie indywidualność autora, — bo był człowiek nieosobliwy. Ani też nowość jego relacji, — bo jakkolwiek jest w niej dosyć szczegółów skądinąd nieznanych, lecz bez wyjątku druzgórzednej tylko doniosłości. Wartość pamiętników Heykinga gdzieindziej spoczywa. Jestto nasamprzód dokument historyczny, ujawniający bardzo żywo ścisłą łączność polityczną i kulturalną pomiędzy b. Rzpltą polską a jej lennem kurońskim, która tak nieopatrznie, tak zupełnie zadarmo zaprzepieczona została w XVIII wieku. A jestto następnie dość urozmaicone, i na swój sposób oryginalne, bo napoły domowe, napoły obce świadectwo, nastęrczające z tego tytułu niejedną uwagę w pewnych, mniej dotykanych zagadnieniach z czasów Stanisława Augusta.

Karol Heyking pochodził ze starej rodziny rycerskiej, osiadłej w Kuronii od XV stulecia. Jego dziad i ojciec, mocno stojąc przy przywilejach swojego kraju i stanu, mocno przecie trzymali się Rzpltej i królów Sasów, jako przyrodzonej opiekuńczej macierzy i naturalnych protektorów przeciw najbliższemu sąsiedztwu i zawieszanej stamtąd coraz natarczywszej groźbie zupełnego pochłonięcia. Heyking-ojciec był za Augusta III delegatem rycerstwa kurońskiego w Warszawie podczas

blisko dwudziestoletniego lokalnego *interregnum*, w jakim trwało księstwo pomiędzy zesłaniem Birena, a inwestyturą królewicza Karola. Delegat wyprosił sobie przez ministra Brühla łaskę królewską, iż mu syna pierworodnego, właśnie naszego pamiętnikarza, wpisano w stopniu chorążego do regimentu królowej. Sprawa inwestytury królewicza przypadła w czasie, kiedy pamiętnikarz był dzieckiem jeszcze, a miała wpłynąć decydująco na przyszłe jego losy, gdyż najbliższą jego rodzinę pozbawiła majątku i stanowiska. Wydawca obecny, p. A. Heyking sen., pieczołowity widać i poważny stróż starych tradycji rodowych, poświęcił też tej sprawie całą oddzielną pracę własnego pióra; a choć historykiem nie jest i widocznie z dziejami polskimi mniej obeznany, przecież, idąc za prawdą, słuszością i poczciwą tradycją swego domu, doszedł do wniosków zgoła trafnych, na które całkowicie pisać się można.

Sprawa sama, swego czasu rozmyślnie zaciemniona przez intrygę polityczną, a nawet dziś jeszcze przez uprzedzoną historyografię, w gruncie rzeczy była bardzo jasna. Księstwo kurońskie, na prawie lennem przez Kettlerów rządzone, po wygaśnięciu tego rodu książęcego spadało na Rzpltę. Wprawdzie August II, póki był sprzymierzeńcem Piotra Wielkiego, pośród innych nielegalnych rokowań, godzących w nietykalność terytorium Rzpltej, tytułem okupu bądź za orężną pomoc carską przeciw

Karolowi XII, bądź też za mniemaną zgodę Piotrową na swoje plany przewrotu monarchicznego w Polsce, był wdawał się również w negocjację, dotyczącą Kurlandyi. Ale na szczęście ta negocjacja, koniec końcem, spełzła na niczem, w ostatnich zaś latach panowania cara i króla dokonała się, jak wiadomo, radykalna odmiana wzajemnego ich stosunku, przemiana dawnych nienaturalnych sprzymierzeńców na przyrodzonych przeciwników śmiertelnych. Pospieszył też August II skorzystać natychmiast ze zgonu Piotra. Syn przyrodni królewski, awanturniczy Maurycy Saski, spróbował usadowić się na tronie książęcym mitawskim. Nie powiodła się ta próba, lecz jeszcze bez krzywdy dla Polski. W tej samej bowiem chwili, warując prawa państwa przeciw awanturze saskiej, a tem samem i przeciw wszelkiej innej groźbie, całkiem wyraźnie, w myśl najściślejszego legalizmu, prawomocną uchwałą sejmową grodzieńską 1726 r. zapowiedziano, a nawet właściwie już z góry ogłoszono, prostą inkorporację Kurlandyi do Rzpltej na wypadek niewątpliwego już blizkiego wygaśnięcia dynastyi lenniczej na dogorywającym ostatnim bezdzietnym Kettlerze. »Ponieważ według doświadczenia powszechnego — głosiła na taki wypadek konstytucya sejmowa — wszystkie państwa i narody skupione i zjednoczone *in unum*, pod jednostajnym rządem i panowaniem, *corpus* daleko zwykł bywać mocniejsze, szczęśliwsze i spo-

sobniejsze do obrony i konserwacji pospolitej, aniżeli rozdzielone, przeto, mocą wieczystych pak-tów podległości i inkorporacji najzupełniejszej i całkowitej, bez żadnej najmniejszej rezerwacji, *libere, rite ac legitime* obustronnie ustanowionych i przysięgą zatwierdzonych... Księstwo Kurlandzkie i Semigalskie, zdawna inkorpowane i wcielone *ad corpus* Rzpltej,... do Korony Polskiej i W. Ks. Litewskiego przyłączamy i inkorporujemy; za spółnych i nierozdzielnych obywatelów koronnych i W. Ks. L. pierwiej przyjętych przyjmujemy,... do wszystkich praw, honorów, prerogatyw i wolności koronnych i W. Ks. L. przypuszczonych narówni przyjmujemy, jednostajnymi siłami, posiłkami i wojskami całej Rzpltej przeciw wszelakim uzurpacyom i jakimkolwiek pokrzywdzeniom zastępować, bro-nić i zaszczycać obiecujemy«. Łatwiej jednak było powziąć uchwałę, aniżeli ją wykonać. Tymczasem zaś po kilku leciech, podczas bezkrólewia 1733 r., w walce elekcyjnej z Leszczyńskim zmuszony zo-stał August III poparcie swego obioru przez Annę Iwanównę okupić znowuż obietnicą lenna kuroń-skiego dla faworyta carowej, Birena. Wypłacić się wypadło z tej obietnicy na sejmie pacyfikacyjnym warszawskim 1736 r., który na ten jeden wyłącz-nie wypadek upoważnił króla do sankcyi nadaw-czej na rzecz swego lennika i jego potomstwa po mieczu. Wnet przecie, po śmierci carowej, w 1740 r., nastąpił upadek Birena, otwierając właściwie zno-

wuż wakans kuroński. Przyszła tem samem w gruncie rzeczy kolej legalna na inkorporacyę, na unię. Wykonać jej atoli nie było faktycznie sposobu. Rosya wyparła się Birena, lecz bynajmniej nie wyrzekła się Kurlandyi. Zaraz też, w imieniu nowej regentki rosyjskiej, zalecony był Stanom kurońskim jej szwagier, ks. Brunświcki, — zarazem też szwagier Fryderyka Wielkiego, którego myśl dalekosiężna już teraz wysuwała swe żądło do spraw i posiadłości Rzpltej. Uchyliły się Stany mitawskie od tej niebezpiecznej propozycyi, odpowiedziały grzecznie, lecz niedwuznacznie, że, zastrzegając sobie wszelkie swoje wolności i przywileje krajowe, obstawać muszą »w niewzruszonej wierności i dewocyi przy Jego Królewskiej Mości i Najjaśniejszej Rzpltej«. Co prawda, rade też były, w zazdrosnej obawie o tamte swoje drogocenne przywileje i wolności lokalne, uchylać się jednocześnie jak najdłużej od inkorporacyi polskiej.

Wyrodziła się stąd osobliwsza sytuacya prawnopolityczna. W urzędach i sądach kurońskich żadnej odtąd nie było wzmianki o owym szcześniejszym księciu, o żyjącym gdzieś na dalekiem sybirskim czy jarosławskim wygnaniu, starym Birenem; czynności oficyalne odbywały się poprostu, wedle uświęconej formuły, »na wysoki rozkaz królewski«. Pozornie więc mogło się wydawać, że udzielny autorytet króla i Rzpltej nietylko został dochowany, lecz nawet uczyniony jedyną odtąd

powagą prawno-polityczną w wakującym lennie bez lennika, W rzeczywistości jednak było inaczej. Księstwo przez cały ten swój okres bezksiążęcy, przez lat blisko dwadzieścia pod regencyjną władzą rycerską, stało się jakąś dziwną republikańską oligarchiczną, daleko bardziej kierowaną z Petersburga i Rygi, aniżeli z Warszawy. Rosya, raz położywszy rękę na Księstwie, nie brała go wprawdzie jeszcze, ale też nie wypuszczała z garści. Rezydent rosyjski w Mitawie na wszystko miał oko i wpływ, zazwyczaj stanowczy. Były nawet chwile, kiedy wprost sama aneksya bardzo już wydawała się blizką. Wszczynała Elżbieta Piotrówna poufne rokowania z dworem sasko-polskim w sprawie ostatecznej cesyi kurońskiej, otwierała natomiast widoki indemnizacyi, a nawet tak świetne, jak ta, którą zapowiadała u wstępu wojny siedmioletniej: Prusy Książęce za Kuronię, Królewiec za Mitawę, — hojna zaiste zamiana, zbyt hojna, ułudna. Niebawem wszakże wyniki tej wojny miały dowodnie okazać, że przedwcześnie dzielono skórę na niedźwiedziu - Fryderyku; tak więc i indemnizacya i cesya razem wpadły w wodę. Trwało tymczasem ciągle w Księstwie położenie bezrządne, dwuznaczne, niebezpieczne. Aż nareszcie August III, korzystając z chwilowej pomyślniejszej w Petersburgu konjunktury, z osobistej przychylności Elżbiety, wystąpił z myślą osadzenia w Mitawie ulubionego syna, królewicza Karola. Była to myśl, powodo-

wana niezawodnie w znacznej mierze przez uczucie ojcowskie, dynastyczne. Ale była, swoją drogą, myśl w tej chwili politycznie zdrowa; co więcej, w tej chwili jedynie możliwa. Wszak o natychmiastowym skutecznieniu unii kurońskiej na razie nie mogło być wcale mowy. Sprzeciwiały się temu nietylko względy polityki zagranicznej, lecz oraz poważne trudności polityki wewnętrznej. W rzeczy samej, pomijając już rosyjskie na Kurońię widoki, trzeba było rachować się z ówczesnym anormalnym położeniem Rzpltej, rozerwanej przez zacieklą walkę stronnictw, pozbawionej zupełnie, za niedochodzeniem wszystkich sejmów, swego głównego ustawodawczego organu, a tem samem niezdolnej na razie do dopełnienia tak doniosłego aktu ustawodawczego, jak akt unii. Trzeba było także rachować się z nadzwyczaj drażliwym czynnikiem kościelno-politycznym, który w owej chwili, mieszczącej już w sobie genezę przyszłego dysydenckiego przesilenia, niezmiernie utrudniał sprawę inkorporacji luterskiego Księstwa do katolickiej Rzpltej. W takim położeniu myśl królewska osadzenia na lennie kurońskim królewicza polskiego, katolika Karola, niebawem małżonka Krasieńskiej, a zawsze księcia krwi saskiej, niemieckiej, i niedawnych tradycji protestanckich, — to było *medium* całkiem poręczne, praktyczne, właściwe, które zabiegało tymczasem niebezpieczeństwu aneksyi obcej, a otwierało na przyszłość

stosowną drogę przechodnią do unii polskiej. Owóż, ta rzecz uskutecznią prawnie być mogła jedynie przez zgromadzone Stany Rzpltej, przez podniesienie tamtych ustaw sejmowych 1726 i 1736 r. Tutaj zaś w poprzek stawała Familia, od lat kilku śmiertelnie z Mniszchem, Małachowskim, Brühlem, z samym monarchą skłócona, naprzeciw związku króla z dworem cesarskim Elżbiety, wystawiając swoje wpływy przy dworze wielkoksiążęcym Katarzyny, krzyżując zawzięcie na każdym kroku politykę zagraniczną i wewnętrzną królewską, przede wszystkim zaś z zasady wszystkie psując sejmy. Długo mocował się król — nadaremnie. Nakoniec, bez sejmu, z jednym tylko senatem, przeprowadził inwestyturę królewicza na lenno kurońskie: wbrew literze prawa, — ani słowa, lecz zgodnie z istotnym interesem państwa, a innego nie mając sposobu. Z tem większą atoli zawziętością na ten punkt niedość bronny, a dla króla i ojca najboleśniejszy, uderzali opozycyjni przywódcy Familii. Nie mogli oni wprawdzie tymczasowo przeszkodzić urzeczywistnieniu woli królewskiej, popartej przez zgodę imperatorowej. Ale starali się przynajmniej bruździć na wszelki sposób, zohydzać w opinii publicznej nadanie Kuronii królewiczowi, gotować materyał do zwalenia tego aktu w najbliższej przyszłości, — gdyż na przyszłość rachowali już śmieie, czując za sobą protekcję przyszłej władczyni, wschodzącej gwiazdy wielkoksiążęcej.

W rzeczy samej, w tym to właśnie czasie, kiedy cesarzowa Elżbieta Piotrówna łaskawie potwierdziła inwestyturę królewicza Karola, Wielka Księżna Katarzyna Aleksiejówna spisywała dla siebie samoistne swoje rozmyślania polityczne, gdzie najsurowiej potępiała wyrozumiałą politykę kurońską imperatorowej panującej. Zdaniem argumentującej na zimno Wielkiej Księżny, istniały dla polityki rosyjskiej dwa sposoby rozwiązania sprawy kurlandzkiej: albo pójść za głosem »sprawiedliwości« i zwrócić Księstwo dzieciom Birena; albo też za głosem »interesu« (*koryst'*) i wcielić je do Rosyi. »Czyliż jest do wiary, że znaleziono sposób trzeci: popełniono niesprawiedliwość całkiem bezinteresowną!... Jeśli być niesprawiedliwym, to już chyba dla własnej wygody. Im więcej zastanawiam się nad sprawą kurońską, tem mniej znajduję w niej zdrowego sensu«. Owóż, na usługi tego obosiecznego sylogizmu dalekowidzącej Wielkiej Księżny Katarzyny w zupełności oddali się Czartoryscy. Sześćioletnia ich w sprawie kurońskiej zaciekle opozycja — trzebaż to nareszcie wyraźnie powiedzieć — stanowi bezwarunkowo godną potępienia winę polityczną Familii, stanowi jedną z najfatalniejszych pozycji w obrachunku obywatelskim tego domu, mającego za sobą skądinąd tyle rzetelnej i znamienitej dla kraju zasługi, ale obciążonego też nie małą, nieleką odpowiedzialnością dziejową. Obciążają pamięć ks. Michała Czartoryskiego do-

nioślejsze jeszcze w swych skutkach błędy, lecz przynajmniej wolno je w znacznej mierze uważać za błędy, wolno też przysądzać mu za nie poważne okoliczności łagodzące. Niczem natomiast nie daje się usprawiedliwić ani nawet złagodzić jego rozmyślna w sprawie kurońskiej opozycja, pozorowana fałszywym legalizmem, fałszywą o dobro publiczne dbałością, w istocie zaś od początku do końca dyktowana przez prywatę, przez osobistą, rodową i stronnictwą mściwość: i na zawsze pozostaną ciemną plamą na pamięci kanclerza litewskiego jego kurońskie na radach senatu oracye i memoryały, pełne nieszczerzego namaszczenia gorliwego stróża praw, pełne krętackich cytacyi z uświęconych ustaw sejmowych, wielomówne, kunsztowne i podstępne, zalatujące raczej jakąś dyalektyką dyakowską, aniżeli senatorską powagą, a które on, wielki kanclerz litewski, z własnego natchnienia posyła do powinnej kontroli i zastużonej aprobaty wielkiemu kanclerzowi rosyjskiemu.

Tymczasem królewicz Karol wedle wszelkich reguł — z jednym tylko wyjątkiem uniemożliwionej faktycznie sankcyi sejmowej — objął tron książęcy mitawski. Wziął w Warszawie uroczyste z ojcowskich rąk królewskich inwestyturę, wziął dyplom z ręki kanclerza wielkiego koronnego, pozyskał osobiście w Petersburgu zatwierdzenie publiczne cesarzowej Elżbiety. Odebrał w Mitawie hołd i przysięgę od rycerstwa kurońskiego, uło-

żywszy się z niem najformalniej względem rewersałów książęcych na mocy najszczegółowszych rokowań polubownych, uwieńczonych zupełną zgodą i porozumieniem obustronnem. Te rokowania — powiedzmy nawiasem — przedstawiają same w sobie sporo szczegółów nadzwyczaj ciekawych, rzucających ubocznie i pośrednio światło dość niespodziane na pewne nader żywotne, ogólniejsze zagadnienia doby ówczesnej, pojmowane zazwyczaj niecałkiem trafnie ani też sprawiedliwie, bo nazbyt jednostronnie. Taki szczegół arcyciekawy stanowi, między innymi, drażliwa negocyacya pomiędzy Stanami kurońskimi a królewiczem Karolem w sprawie artykułów religijnych. Występowały tutaj Stany z bezwzględnością wielką, z gorliwością protestancką bardzo jaskrawą, napozór niemal fanatyczną. Pierwotnie domagały się nawet, aby królewicz wprost zmienił wiarę i przyjął luterstwo. Niezawisłe od tego warowały na wszelki wypadek, iż nie będzie on mógł dozwalać w Księstwie budowy nowych kościołów i kaplic katolickich; nie będzie mógł dopuszczać publicznych procesyi katolickich, — z czego ledwo udało się wytargować wyjątek dla pogrzebów; nie będzie mógł wprowadzać jezuitów, ani innych zakonów i towarzystw religijnych katolickich; nie będzie mógł w liczbie radców i starostów generalnych (*Oberrätthe, Oberhauptleute*) mianować więcej jak jednego katolika itd. Otóż, okazuje się, że podczas poprzedniej,

przed dwudziestu laty, podobnej negocjacji z Birenem, te same Stany, obecnie w tym względzie tak nieprzejednane, poczynają sobie wprost przeciwnie, rokowały mianowicie w duchu bardzo szerokiej tolerancji religijnej. Tak więc podówczas, w konwencji gdańskiej 1737 r., zawartej z protestantem Birenem, zastrzeżona była pełna swoboda wykonywania przez katolików wszelkich obrządków religijnych, nie wyłączając procesji publicznych; zapewniony katolikom dostęp do wszystkich urzędów, z jednym tylko wyjątkiem kanclerstwa; zapowiedziana nawet wyraźnie budowę nowego kościoła katolickiego w Libawie, — kiedy natomiast obecnie, w rewersałach mitawskich, zawartych z katolikiem Karolem, umieszczone zostały rzeczony nietolerancyjne ograniczenia i zakazy. Cóż to miało znaczyć? Znaczyło przedewszystkiem, że nie czynnik fanatyzmu religijnego był główną w tych sprawach pobudką i sprężyną, ale czynnik interesu politycznego. Zapewne, wśród szlacheckiego tłumu w Księstwie kurońskim nie brakło wtedy ciemnej zawziętości wyznaniowej przeciw katolikom, jak nie brakło jej wśród współczesnych tłumów szlacheckich Rzpltej polskiej przeciw dysydemtom. Inaczej być nie mogło przy ówczesnym poziomie duchowym wielkich mas, kiedy zarzewie fanatyzmu religijnego tliło się nietylko w Kuronii lub Polsce, lecz nawet w takiej Francji albo Anglii. Ale dla kierowników kraju, dla Stanów rządzących, złożo-

nych w znacznej części z ludzi oświeconych, poniekąd nawet sceptyków zdeklarowanych na punkcie wyznaniowym, — wielu z nich np. należało do wolnomularstwa, — odgrywały tutaj rolę decydującą realne względy czysto polityczne. Dlatego też, kiedy chodziło o obiór Birena, grożący aneksją rosyjską, zaraz wprowadzano dla przeciwwagi ustępstwa na rzecz katolików, tj. na rzecz żywiołu polskiego; kiedy zaś chodziło o obiór Karola, zapowiadający inkorporację polską, wprowadzano znowuż dla przeciwwagi mocne ścięśnienia, skierowane przeciw temu samemu żywiołowi polskokatolickiemu. To wszystko są rzeczy nadzwyczaj nauczające. Pozwalają one bowiem dokładniej pochwycić właściwy charakter ówczesnych zagadnień wyznaniowych, tak ściśle wtedy związanych z politycznymi, czy to w katolickiej Rzpltej, czy w luterskiej Kuronii; pozwalają też z wyższego stanowiska porównawczego ocenić z większem umiarkowaniem wiadomy obrót tych zagadnień w Polsce, niepomyślny, fatalny, na zgubę kraju wyzyskany, którego jednak niepodobna kłaść poprostu i wyłącznie na karb samej tylko jakiejś wyjątkowej, ślepej zaciekłości fanatycznej, lecz w którym rozpoznawać należy także ogólniejszą cechę specyficzną spraw i wymagań kościelno-politycznych z połowy XVIII wieku.

Jakkolwiekbydz zresztą, zarówno ten punkt tak drażliwy, warujący *cautiones religionis*, jakoteż

inne, obejmujące *formam regiminis* czy też *pactum subjectionis*, polubownie zostały ułożone i zaprzyiężone między nowym księciem mitawskim a jego poddanymi. Podług całkiem niepodejrzanego świadectwa najprawowierniejszej protestanckiej teologii i najskrupulatniejszej stanowej jurysprudencji kurońskiej, ks. Karol nietylko trzymał się sumiennie zaciągniętych w tym względzie zobowiązań, lecz nawet — wedle takiego właśnie, całkiem chyba wiarogodnego świadectwa — »można tylko podziwiać jego spokój i umiarkowanie, wobec dotkliwych nieraz napastowań, jakich doświadczał ze strony mniejszości opozycyjnej«. Nie na wiele jednak to wszystko się zdało, starczyło nie na długo. Po paru już latach rządu królewiczowskie runęły niepowrotnie. Zmiana tronu w Petersburgu miała zdecydować o losach tronu w Mitawie. Śmierć Elżbiety wyniosła Piotra III, który wnet sprowadził z wygnania Birena i obrócił go przeciw nienawistnemu sobie osobiście Karolowi dla dość przypadkowych pobudek prywatno-familijnych, pragnąc obdarzyć Kurlandją swego kuzyna holsztyńskiego. Ten zwrot i to życzenie swego carskiego wielbiiciela w lot wyzyskał czujny Fryderyk; w traktacie sprzymierzeńczym, pośpiesznie zawartym z Piotrem, umieścił on artykuł tajny, napozór przeznaczony jedynie dla tem pewniejszego przychylenia księstwa kurońskiego Holsztyńczykowi, w gruncie rzeczy przecie oznaczający przyznanie Prusom, na równi

z Rosyą, prawa gwarancyi urzędzeń księstwa, a tem samem prawa decydowania o jego losach, albowiem — tak głosił odpowiedni sekretny ustęp traktatowy — »J. K. M. królowi pruskiemu równie zależy na konserwacyi sąsiedzkich księstw Kurlandyi i Semigalii«. Niestety, sprytny ten pomysł wpadł w wodę razem z całym traktatem, którego ratyfikacyi odmówiła Katarzyna II, niebawem, po nagłym zgonie Piotra, wyniesiona na tron wszechrosyjski. Cesarzowa, odsadziwszy oczywiście kandydata holsztyńskiego, odrazu z całą konsekwencyą postanowiła zużytkować Birena dla realnych celów politycznych, jako najdogodniejsze przejście do bezpośredniej już aneksyi Kurlandyi. Wprowadzony przez wojska imperatorowej, powracał tym sposobem Jan Ernest Biren po blisko ćwierci wieku do godności książęcej, sprawowanej odtąd przez niego i jego syna już tylko jakby w tymczasowem zastępstwie blizkich rządów rosyjskich. Wynosić się musiał z Mitawy pod prostym przymusem ks. Karol. Lecz niepodobna było poprzestać na samym czynie dokonanym. Trzeba było jeszcze legalizacyi, której dostarczyć mogła tylko Warszawa w imieniu lennodawczej Rzpltej. Tymczasem stary August III, do żywego dotknięty jako ojciec, jako monarcha, aż do końca z całą stanowczością, z rzadkim u niego uporem i uniesieniem, obstawał przy swoim prawie i swojej godności monarszej. Na ostatniej radzie senatorskiej,

jaką odbył w Warszawie przed ostatnim stąd wyjazdem, przed rychłym już zgonem, przeprowadził uroczyste zatwierdzenie zdeptanych praw książęcych syna i potępienie bezprawnych roszczeń jego spółzawodnika. W poważnym reskrypcie do wiernych Księstw Kurlandyi i Semigalii ogłosił Birena za uzurpatora i krzywoprzysięzcę, gwałciciela spokoju publicznego i prawa lennego, buntownika przeciw autorytetowi królewskiemu i powadze Rzpltej. Ale tutaj właśnie otworzyło się pole dla działalności Czartoryskich. Jeśli dotychczas, za Elżbiety, opierali się oni w sprawie kurońskiej dworowi przedewszystkiem w negatywnej myśli opozycyjnej, to obecnie, za Katarzyny, mieli w tem już pozytywny rachunek elekcyjny. Ułożyli sobie teraz wyzyskać tę sprawę dla siebie zupełnie w podobnym sposobie, jak to był uczynił sam król przed trzydziestu laty w poprzednim bezkrólewiu: chcieli użyć jej mianowicie znowuż jako zapłaty za poparcie swojej kandydatury elekcyjnej przez Rosyę. Nie znali Katarzyny, i mniemali, że tym tanim kosztem się okupią. Nie wiedzieli, że cesarzowa zupełnie inaczej pojmowała rachunki, że w sprawie kurlandzkiej nie widziała nawet zadatku, bo uważała ją za przesądzoną i całkiem usuwała poza nawias, że innego zgoła, powszechniejszego i cenniejszego dopominać się będzie okupu. Nie przeczuwali tego wszystkiego zrazu Czartoryscy i z tem większą gorliwością jęli się tymczasem

dokonania swojej roboty kurlandzkiej. Wtedy to, na tej samej radzie senatorskiej, z całą elokwencyą wystąpił kanclerz litewski, ks. Michał, ze swoim namaszczoneym wywodem o nieprawności inwestytury Karola a nieprzedawnionej legalności tytułów Birenowych. Wtedy to ostatnie godziny w Polsce spędzone, ostatnie dni życia, nielitościwie zatrute zostały sędziwemu, schorowanemu, umierającym królowi. Wtedy także, pod okrywką sprawy kurońskiej, podsunięty został Katarzynie przez Familię plan faktycznej jego detronizacji. Ale imperatorowa, idąc za mądrą radą przenikliwego Pannina, uchyliła się od tej ryzykownej propozycji, którą zresztą niebawem uczynił zbyteczną zgon Augusta III; omyliła w połowie najtajniejsze widoki Familii, sadowiąc na opróżnionym tronie Poniatowskiego zamiast Czartoryskiego; tymczasem zaś jaknajdokładniej, wedle swego życzenia, przeprowadziła w całości sprawę kurlandzką. Zaraz w połowie bezkrólewia, na sejmie konwokacyjnym warszawskim 1764 r. potwierdzona została i podniesiona pierwotna inwestytura Birena na Księstwo kurlandzkie i semigalskie. »Zaszcze zaś bez wiadomości Stanu rycerskiego i bez zezwolenia sejmowego, *ex resultatu* tylko *senatus consiliorum* pośredniejsze do tych Księstw dyspozycye i wydane *diplomata* oraz z tego wszystkie wydane *actus*, jako prawom Rzpltej przeciwne i przez to nieważne deklarujemy«. Uświęcone zostały te uchwały

samobójcze na sejmie koronacyjnym t. r. wraz z udzieleniem nakazu »szlachcie obywatelom Księstw kurlandzkich, którzy dotąd homagium księciu swemu nie złożyli, ażeby... takowe powinny oddali«. Piękny młody król miał przyjemność w dzień sylwestrowy, z całą teatralną wystawnością, dopełnić aktu inwestytury hołdownika w osobie przybyłego do Warszawy syna Birena. Stanisław August Poniatowski rozpoczynał panowanie, we wspaniałej Zygmuntońskiej postawie, z wysokości tronu odbierając na Zamku przysięgę lenniczą od kłęczącego Piotra Birena, osobliwy wasal od osobliwego feudalnego pana, ostatni król polski od ostatniego księcia kurlandzkiego, którzy obadwaj, po trzydziestu latach, wypędzeni z Mitawy i Warszawy, pójdą kończyć żywot na łaskawym chlebie wygnania.

Ze śmiercią Augusta III, wyniesieniem Stanisława Augusta, legalizacją rządów Birenowych, sprawa ks. Karola ostatecznie została pogrzebana. Przerzedzały się coraz bardziej szeregi owej »szlachty obywateli«, którzy pozostali wierni swemu prawemu władcy. Należeli do nich Borchowie, Howenowie, Taubowie, Medemowie, oraz — z wyjątkiem jednego Dietricha Heykinga, sprytnego stronnika partyi zwycięskiej, — Heykingowie. Zwłaszcza zaś właśnie ojciec pamiętnikarza, Wilhelm Heyking, oberhauptmann mitawski, okazał się najwierniejszym i najwytrwalszym sługą kró-

lewicza. Wyprawiony do Warszawy jako delegat rycerstwa ze skargą na uzurpacyę Birena, pozostał aż do ostatka na stanowisku nieprzejednanego przeciwnika uzurpatora, niezłomnie stojąc przy swojej przysiędze, przy zasadzie prawności i przy rzeczywistym interesie Kuronii i Rzpltej. Zasłużył sobie też na najsurowsze środki represyjne. »Uważać go należy — czytamy w reskrypcie do posłów rosyjskich w Warszawie, Kayserlinga i Repnina — za najpierwsze teraz narzędzie podburzające duchy w Kurlandyi,... zaczem przedewszystkiem potrzeba dołożyć wszelkich starań, aby jakimkolwiekbądź przyzwoitym i skutecznym sposobem został on stamtąd (z Warszawy) wypędzony«. Dobra jego w Kurlandyi obłożono egzekucją wojskową, zrujnowano go materyalnie, zgola najsurowszych jęto się środków, byle złamać upór twardego szlachcica. Heyking tymczasem, zrezygnowany na wszystko, w towarzystwie młodych synów osiadł w Warszawie, gdzie dwór drezdeński wyznaczył wiernemu słudze pomieszkanie w Pałacu Saskim, stanowiącym własność prywatną domu królewskiego. Tutaj to, wśród takich warunków wyjątkowych, wychował się i z dziecka na młodzieńca wyrósł nasz pamiętnikarz.

Wspomnienia młodego Heykinga z tych jego pierwszych wspomnień i doświadczeń warszawskich, są ujmujące i wcale ciekawe. Te lata, tak krytyczne dla jego rodziny, zachował on przecie aż do

zgonu w niezatartej a najmilszej pamięci. Nie dziwota: wszak nie troszczył się wtedy wiele o kłopoty polityczne i materyalne, był młody, wstępował dopiero w życie, kształcił myśl i uczucie, czytywał piękne wiersze, słuchał dobrej muzyki, kochał się. Pamiętnikarze najzgrzyźliwsi, najdotkliwiej wypróbowani i zdesperowani przez zawody życiowe, zwykli na stare lata ze szczególnem wzruszeniem powracać myślą do owych lat młodych, kiedy świat był podobno nierównie lepszy, a kiedy naprawdę tylko oni sami byli inni, kiedy mieli jeszcze te dwie rzeczy tak rychło niszczejące, tak łatwo zbrukane: wiarę w siebie i czystość duszy. Miał zapewne jedno i drugie młody Heyking, syn godnego ojca, poważnie i starannie chowany, ale nie miał w naturze swojej dość zdrowia i siły, aby te szlachetniejsze zarodki utrwalić i rozwinąć. »Bywają nieszczęśliwe istoty, — tak sam powiada o sobie, — które przez nadmiar czułości sprawiają, że w ich duszy wnet więdną nawet róże wiosenne. Byłem z liczby takich nieszczęśliwych«. Istotnie, posiadał pewną szlachetną nadwrażliwość, która jednak sztucznie wyrastała na charakterze bardzo słabym, wygodnym, chętnie z okolicznościami pakującym, ostatecznie dość pospolitym. Wychowanie odebrał nader staranne. Szczegół to godny uwagi. Ta szlachta polsko-kurońska stała na wysokim poziomie kulturalnym. Stary Heyking, sam człowiek wszechstronnie ukształcony, choć był

wtedy w ciężkich kłopotach, nie szczędził niczego, byle synowi zapewnić edukację stosowną. Młody chłopak od najlepszych w Warszawie nauczycieli, prócz gruntownej nauki języka polskiego i niemieckiego, brał lekcye włoskiego, francuskiego, łaciny, logiki, matematyki, historii, a nie zapomniano o fechtunku, jeździe konnej, tańcach. Rzecz również ciekawa: ten dysydent powierzony był przez ojca pod kierownictwo głównego księdza Teatyna. Z polecenia zacnego księdza Portulupiego, tyle zasłużonego dla spraw wychowania w Polsce w dobie Augustowskiej, świątły ksiądz Fokowich, uczony zwolennik filozofii Wolffa, został głównym kierownikiem młodego Heykinga, który też z serdecznym pietyzmem błogosławi pamięć ukochanego mistrza a przyjaciela. Godzien zapisania taki szczegół wobec gorzkich skądinąd w tym samym niemal czasie doświadczeń jezuickich biednego Wybickiego. Te studia poważne nie przeszkadzały jednak bynajmniej urozmaiconemu życiu towarzyskiemu. Młody Kurlandczyk został tymczasem podporucznikiem *à la suite* regimentu ks. Karola, w kompanii wciąż jeszcze trzymającej wartość w Pałacu Saskim, — skromne odszkodowanie za utraconą pensję królewską starego Heykinga, odebraną przez oszczędny dwór drezdeński. Gładki podporucznik w ładnym mundurze saskim zaczął bywać dużo w towarzystwie warszawskiem. Rzecz prosta, zaczął od rozkochania się na zabój w ślicznej pa-

nience, której nazwiska z czułą dyskrecją nie wymienia, lecz w której łatwo się domyśleć panny Luizy d'Aloy. Ojciec jej, pułkownik Aloy, Francuz-Piemontczyk, rodem z Turynu, był agentem ks. Karola. Heyking, który bywał stałym gościem w jego domu, korzystał z jego protekcji drezdeńskiej i kochał się w jego córce, oczywiście wysokiego jest zdania o swoim dobrodziejcu i ojcu swojej bogdanki. W rzeczywistości Aloy była to figura bardzo podejrzana i licha. Był on niegdyś sekretarzem kanclerza w. k. Jana Małachowskiego, po którym odziedziczył go ks. Karol. Gorący napozór adherent dworski, dziwne miał pomysły: tak np. swego czasu, wobec opozycji Familii, on to radził dworowi, »aby ks. Czartoryskiego, kanclerza lit., kto sekretnie w kancelaryi jego wołyńskiej napadł i przymierzywszy do piersi jego pistolet z odwiedzionym kurkiem, do tego go przymusił, aby gotowy list do imperatorowej, odwołując wszystkie swoje machinacje ułożone, podpisał«. Owóż okazuje się, że ten gorliwiec saski, w tym samym czasie, kiedy Heyking wzdychał do jego córki, sam potajemnie ofiarował swoje usługi ambasadzie rosyjskiej. »Zgadzam się zupełnie — pisał Panin do Repnina — abyś wyznaczył Aloemu pewne wynagrodzenie pieniężne... lecz ponieważ jestto, ile mi wiadomo, człowiek chytry i niepewny, radzę przeto używać go z należyłą ostrożnością, aby czasem nie skompromitować się przez

jego dezercyę«. Miał więc pewną słuszność bystry biskup Krasiński, kiedy ostrzegął ks. Karola, iż jego zaufany agent jest »całkowicie sprzedany i oddany Rosyi«. Jednakowoż, kogo właściwie oszukiwał Aloy, człowiek nadzwyczaj sprytny i ruchliwy, z którego nazwiskiem jeszcze znacznie później, w okolicznościach niezwykłych, spotyka się nam przychodziło, — trudno orzec napewno: zdaje się, że wszystkich, bo był to najprawdopodobniej prosto polityczny rycerz przemysłu na własną rękę, jakich wówczas napłodziło się tak wiele w rozdartej Polsce. Nasz pamiętnikarz tymczasem przez niego dostał się do świata warszawskiego. Zaraz na samym wstępie popełnił młodzieńczą nieostrożność, bił się na szpady z bratem wszechwładnego pośła, młodym Repninem, w którym nie nawidził szczęśliwego spółzawodnika do łask pięknej Luizy. Wzgardzony od bogdanki, pocieszał się lekturą czułych wierszy Metastasia, szukał rozrywki w teatrze francuskim, na włoskiej *opera buffa*. Nowy król bardzo o tem pamiętał; a jeśli nie bez słuszności wychwalany jest Stanisław August przez poczciwego Wojciecha Bogusławskiego za protekcję, udzielaną scenie narodowej, szczególnie przeciw gustował, zwłaszcza w początkach panowania, w wykwintnych spektaklach cudzoziemskich, którymi był zachwycał się w swej wesołej podróży zagranicznej i które teraz skwapliwie do stolicy swej przeschzcepiał. Szczęśliwie sprowadzony został

z Paryża wielki Vestris, »bóg tańca«, przywieziona z Medyolanu słynna primadonna diva Ristorini. »Warszawa — woła zachwycony Heyking — stała się ogniskiem zabawy i dobrego smaku«. Ze szczególnem uniesieniem opisuje świetne bale maskowe latem w Ogrodzie Saskim, czarodziejsko oświetlonym barwnymi lampionami, rozbrzmiewającym doborową muzyką po gustownych namiotach, gdzie pełne gracyi odbywają się tańce i pełna wykwintu toczy się rozmowa. Nie może się dość nachwalić wybornego tonu tych zabaw: »niepodobna wyobrazić sobie nic bardziej zachwycającego«. Nie może się też oczywiście nachwalić dam warszawskich, i nietylko ich piękności i wdzięku, lecz oraz wykształcenia i obejścia. »Prawie wszystkie mówią po francusku i niemiecku, wiele z nich po angielsku i włosku, uprawiają muzykę, śpiew i malarstwo«.

Rzecz doprawdy ciekawa, jak ta nasza kochana Warszawa umiała zawsze, w najgorszych nawet czasach, przywiązywać do siebie swoich i obcych. Zapewne, pod względem politycznym przedstawiała ona wtedy rozpaczliwy obraz poniżenia i rozkładu. Ale pod względem kulturalnym wyróżniała się korzystnie nawet pośród najpierwszych ówczesnych stolic europejskich. Była w tem pewna zasługa jeszcze Sasów, naprzód wspaniałego Augusta Monego, kochającego się w blasku, potem hojnego Augusta III, kochającego się w sztuce, rywalizują-

jących poniekąd na swój sposób ze świetnością wersalską. Tędy, drogą na dwór elektorski w Dreźnie, na królewski Pałac Saski w Warszawie, wpływ kultury i obyczajów zachodnich przenikał do szerokich warstw towarzyskich, w rzeczach dużych i małych, nieraz zapewne szkodliwy, ale skądinąd też dodatni i doprawdy, jak wtedy mawiano, »polerujący«. Jerzy Mniszech, marszałek w. k., opowiadał, że ojciec jego pierwszy za Augusta II wprowadził do Warszawy łyżki, noże, widelce i serwety do stołu, gdyż przedtem goście przynosili te przybory w pokrowcu ze sobą, a ucierali usta długim ręcznikiem od końca do końca stołu rozciągnionym. Podobnie rzecz miała się naogół z wieloma formami i całym nastrojem życia towarzyskiego, które w krótkim czasie wypolerowało się w rzeczy samej, przybrało nieznaną przedtem barwę europejskiego wykwiutu i ogłady. Za Stanisława Augusta, będącego już osobiście wykwiutem tej ewolucyi, a nie dopiero jej twórcą, doczekała się ona dalszego, bardziej swoistego udoskonalenia, i to w tym stopniu, że dziwiła i podbijała najwybredniejszych cudzoziemców. Nawet stary ks. de Ligne, *arbiter elegantiarum* Europy, prawodawca dobrego smaku, pisarz subtelny a wielki bywalec, który znał równie dobrze salony Paryża i Wiednia, Berlina i Petersburga, wręcz deklarował się, że ze wszystkich stolic świata woli Warszawę, »gdzie panuje najlepszy

ton francuski, zaprawiony jakąś swoistą przymieszką wschodnią«, — niby w rodzaju pewnych załotnych kombinacji toaletowych ówczesnych elegantek warszawskich, ukazujących się w gustownym kołpaczku na pudrowanej fryzurze, albo w barwnym kontusiku na sukni paryskiej z trenem. Lecz obok tych wszystkich świetnych pozorów »Paryża północy«, wiele szczegółów fatalnych, wiele haniebnych dysonansów musiało uderzać i boleśnie ranić każdego głębiej patrzącego cudzoziemca. Takie głębsze strony ujemne, pomijane zazwyczaj przez lekkich Francuzów, podnosili zwłaszcza Anglicy, których los zarzucał nad Wisłę, a którzy wprost nie mogli zrozumieć podobnego połączenia wysokiej kultury społecznej z głęboką dekadencją moralno-polityczną. Rezydent angielski, Wroughton, patrzący się z bliska na cały oplakany przebieg bezkrólewia po Auguście III, z zadziwieniem opowiada, jak jego lokaj Polak w dzień elekcyi z gęstą miną przypasuje szablę i idzie na Wolę obierać króla. Wraxall zapisuje z uśmiechem, jak Stanisław August, ze swoją kobiecą duszą i twarzą, wmawia sobie całkiem na seryo, że jest podobny z profilu do Henryka IV. Jakże zgryźliwie, a niestety prawdziwie, brzmią anegdoty warszawskie ciętej lady Craven. Jakże tragicznie brzmią postrzeżenia, poczynione przez młodego Elliota, który trafił do Warszawy w samą chwilę pierwszego podziału i widział »rozpacz i zgryzoty sumienia, przebija-

jące przez udaną wesołość«. Dwudziestoletni gorący Anglik, patrząc się na smutek Stanisława Augusta, wręcz zagadnął go: czemu nie zwołuje ludu na ochotnika do obrony? — i usłyszał zrezygnowaną odpowiedź królewską: »mój kochany, nie jesteśmy Anglikami«. Nieco wcześniej, właśnie w dobie opisywanej przez Heykinga, zimą 1767/8 r., bawił w Warszawie sławny Harris, hr. Malmesbury. Wieleż okrutnych obserwacji wniósł do dziennika tego pobytu przenikliwy, zjadliwy, nielitościwy Harris. On to wtedy słyszał ów kapitalny dowcip na Zamku, gdy jakoś mowa była o królu-wygnąncu, co to ongi we Florencyi miał trudnić się dla zarobku złotnictwem, na co żartobliwie wtrącił Stanisław August, że nie umiałby zarobić sobie na życie, — kiedy nagle odezwał się zimno Repnin: »*Pardonnez, Sire*, wszak W. K. M. bardzo dobrze tańczysz«. On również widział, jak na balu, urządzonym przez Repnina w samą Środę popielcową, nikogo nie było oprócz księcia gospodarza, członków jego ambasady, i — księżny Izabeli. On również wtedy, będąc na polowaniu z królem i widząc go w złotym humorze, nie powstrzymał się od złośliwego komplementu, że dawno nie widział J. K. M. w usposobieniu tak wesołym. »Trzeba czasem oszukiwać siebie samego«, wytłomaczył się nie bez zakłopotania Stanisław August. Odbywało się zaś to wesołe polowanie już podczas najmocniejszego rozjątrzenia sprawy dysydenckiej, już

po śmiałym zamachu Repninowskim, po wzięciu opornych senatorów, kiedy położenie króla stawało się trudnem nad wszelki wyraz, kiedy to, wedle własnych jego słów żałosnych do Katarzyny, purpura królewska zamieniała się dlań na pałacą »suknię Nessusa«.

Młody Heyking miał doskonałą sposobność patrzeć się zbliżka na ten ostatni mianowicie nadzwyczajny epizod, istotnie niemający sobie jeszcze wtedy precedensu. Mieszkał on na lewem skrzydle pałacu Saskiego, przytykającym do pałacu Brühlowskiego, gdzie mieściła się ambasada ks. Repnina. Pewnego dnia październikowego 1767 r. — wkrótce po jednym z owych wspaniałych festynów maskowych, wyprawionych przez króla z takim wybranym smakiem w Ogrodzie Saskim, — wyjrawszy rankiem przez okno, obaczył tę część ogrodu oraz cały sąsiedni dziedziniec Brühlowski szczelnie zajęte wojskiem rosyjskiem pod bronią. Był to pułk grenadyerów i kilka sotni kozaków czugujewskich. Właśnie nocy poprzedniej dokonane zostało usunięcie Sołtyka, Załuskiego, Rzewuskich. Niezwykły ten krok ambasadora przyspieszył, jak wiadomo, reakcyę krajową pod postacią konfederacyi barskiej, kiedy zarazem ożywiły się starania o pomoc zagraniczną, a w szczególności tajne rokowania z dworem drezdeńskim, gdzie jeszcze bynajmniej nie zrezygnowano z widoków do korony polskiej. Nawiązały się znowuż liczne nici tajemne

między Warszawą a Dreznem. W tej niewidzialnej robocie politycznej wypadło po raz pierwszy wziąć udział początkującemu Kurlandczykowi, a wypadło pod osobliwszem przewodnictwem — prymasa Gabriela Podoskiego. Prymas, niewolniczy stronnik Rosyi, a więc przeciwnik naturalny i Baru i Drezna, nawiązał w największym sekrecie korespondencję przyjacielską ze stolicą saską; zaś zalecony mu przez pułkownika Aloy młody Heyking, na którego wierność i dyskrecję śmiało liczyć było można, użyty został do cyfrowania tej ciekawej korespondencji prymasowskiej z Dreznem.

Heyking dość dobrze ocenił nikczemny charakter prywatny prymasa, mającego już wtedy ustaloną opinię, a odbywającego z nim konferencje w domu starej swej przyjaciółki, — lecz nie rozpoznał się należycie w jego charakterze politycznym ani też w naturze ówczesnego położenia wewnętrznego. Położenie to, niesłychanie wtedy w szczegółach powikłane, w gruncie rzeczy było dość proste, jak prostą była w samej swojej istocie owa fatalna antynomia elekcyjno-detronizacyjna, hetmańsko-królewska, demokratyczno-oligarchiczna, która gubiła Rzpltę. Były więc i teraz, jak dawniej, dwa zwalczające się żywioły stronnice i magnackie; był król, przed trzema laty obrany, od trzech lat balansujący na chwiejnym tronie elekcyjnym, i była opozycja, zmierzająca do strącenia go z tego tronu. Dawne stronnictwo saskie

a zarazem stronnictwo hetmańskie i stronnictwo Potockich, pobite podczas bezkrólewia, szukało odwetu na zwycięzcach, na Poniatowskich i Czartoryskich. To wszystko było stare: tak bywało i za Augusta III i za Augusta II, i dawniej. Nowość i komplikacja polegała na dwóch czynnikach. Nasamprzód — na szczególnej tym razem naturze stronnictwa dworskiego, którego naprawdę nie było wcale, gdyż sam król był niczem, jego bracia niczem, wszystko stało na Czartoryskich, a między nimi a królem był stosunek nie monarchy do stronników, ale kreatury do twórców, stosunek do głębi zatruty przez upokorzenie, przez żal, przez nieufność. Następnie — na uświadomionem już spełna dążeniu mocarstwowych sprzymierzeńców Familii i króla podczas elekcji, Rosyi i Prus, zgłaszających się po nagrodę za pomoc elekcyjną. Nagrodę tę, obok załatwionej już sprawy kurlandzkiej, stanowiły dwa przedmioty główne: popierwsze, utrwalenie anarchii, zniweczenie, uniemożliwienie reform ustawodawczych, wojskowych, skarbowych; powtóre, zapewnienie sobie nowego otworu interwencyjnego pod postacią opieki nad dysydentami. Już z wiosną 1766 r. część dawnego stronnictwa saskiego, a mianowicie niektórzy z Potockich, zaczęli szukać zetknięcia z Repninem. Jesienią t. r. nastąpiło zerwanie Repnina z Czartoryskimi, pragnącymi bronić tych reform, które udało się im wprowadzić kontrabandą podczas

bezkrólewia, a które, obecnie skazane na zagładę, istotnie w przeważnej części zniweczone zostały przez posła, przy pomocy dawnej partii antyrosyjskiej, teraz przede wszystkim antykrólewskiej, antyfamilijnej, na sejmie październikowym t. r. Już tutaj odstępował twardych wujów Czartoryskich giętki Stanisław August, hojnie nagradzany pieniężnie z Petersburga. Ale jeszcze ta pierwsza sprawa nie była załatwiona gruntownie, jeszcze anarchia nie została uświęcona ostatecznie i poręczona nietykalnie przez gwarancyę sąsiedzka; a jeszcze nadto pozostawała osobno do załatwienia druga z kolei sprawa — dysydencka. Raz jeszcze zwrócił się Repnin do Czartoryskich, ofiarując im samobójczą inicjatywę dysydencką; oni nietylko odmówili, lecz nawet porwali za sobą króla, który, widząc swych dawnych wrogów elekcyjnych, ciągnących teraz do Repnina, przeraził się niepopularnej sprawy równouprawnienia dysydentów, zaczął za nową katolicko-austryacką oglądać się protekcyą. Wywrócił wtedy do reszty sytuację partyjną Repnin: powołał partyę saską — Potockich, otworzył im widoki detronizacyi króla, obalenia Familii; zebrał ich a przez nich naród szlachecki do konfederacyi radomskiej, zyskał od nich ustępstwa dysydenckie, ciągle widokami detronizacyi ich nęcąc i łudząc; — aż nareszcie, mając w ręku skonfederowaną przeciw królowi powszechność, nawrócił nagle do przerażonego króla, który, opu-

szczoney od wszystkich, mienił się być zdradzonym przez Czartoryskich i rozmyślnie przez nich na sztych wystawionym; przymusił go tym sposobem znieńska do przystąpienia do konfederacji; i ostatecznie na sejmie warszawskim przy jego pomocy przeprowadził obadwa dzieła, i równouprawnienie dysydentów i traktatową gwarancję nierządu. Taki był prawdziwy rdzeń rzeczy. Konfederacja radomska 1767 r., w tem rzeczywistem świetle oglądana, okazuje się pod względem metody najdosłowniejszą analogią do konfederacji targowickiej 1792 r. W jednym i drugim wypadku ta sama przynęta detronizacji, to samo zażycie oligarchii, ten sam nacisk na monarchę, ten sam skutek. *Probatum est*, można było powiedzieć sobie po dwudziestu pięciu latach, tej samej najdokładniej mając się metody. Karol Radziwiłł w tym względzie nie był wcale nierozumnijszy od Szczęsnego Potockiego, ani Bułhakow nie był mędrszy od Repnina. Ta tak łatwo dokonana rekapitulacja tej samej sztuki, ten fatalny precedens z przed ćwierci wieku, ten dowód namacalny, że tam niczego nie zapomniano, tutaj niczego się nie nauczono, — to jest może najdrażliwsza okoliczność obciążająca w obrachunku politycznym Targowiczian.

Zawód konfederacji radomskiej, zaskoczony przez nagły zwrot Repninowski ku królowi, wywołał gwałtowną z jej strony reakcję i ponowny jej powrót do opozycji; przeciągnięcie struny

przez bezwzględne goście wywołało wybuch barski. Ten wybuch, zainicjowany przez zawiedzioną, wyprowadzoną w pole oligarchię, odrazu wyrósł daleko i wysoko ponad jej samolubne i mściwe pobudki i widoki, ogarnął znaczną część szlacheckiego narodu, rozpłomiął w nim utajone poczucie instynktu samozachowawczego, opanował zdrową opinię publiczną i wnet aż po za granice kraju rzucił zarzewie wojny tureckiej. Król, który w ciągu lat trzech trzy razy był zmieniał stanowisko, na ten widok znowuż odmienił i poddał się wpływowi twardo stojących Czartoryskich. W tym to czasie, wobec nieprzewidzianych kłopotów barskich, Repnin, zmiękczony przez księżnę Izabelę, latem 1768 r. odnowił układy z Czartoryskimi. Z początku dość wstrzeźliwie traktowano tę próbę z Petersburga, lecz niebawem, po nagłym, w październiku t. r., wypowiedzeniu wojny przez Portę, cesarzowa, jeszcze niedość zbrojna do podwójnej walki tureckiej i polskiej, skwapliwie poparła tę negocjację ugodową. Żądano od Czartoryskich podjęcia się na własną rękę uspokojenia kraju, uskutecznienia pacyfikacji w drodze rekonfederacji przeciw Barzanom. Ofiarowano w zamian pewne ograniczenie zabójczej gwarancji nierządu, uchwalonej dopiero co na sejmie traktatowym warszawskim. Ta oferta sformułowaną została pod postacią projektu deklaracji rosyjskiej w listopadzie t. r., zawierającej ogólne ścieśnienie gwarancji oraz uroczyste zape-

wnienie, że owa gwarancja rosyjska nie będzie mogła nigdy zostać obroconą przeciw samej Rzpltej ani też o niczem «przesądzać najwyższej władzy prawodawczej, spoczywającej udzielnie i bezpośrednio w samym państwie (polskiem), które zawsze, pod względem konstytucyi, jaką sobie nadaje i jaką ono jedno tylko uprawnione jest sobie nadawać, będzie władne przedsiębrać takie postanowienia, jakich okoliczności i własne potrzeby wymagać będą». To było *maximum* ustępstw. Było to może i coś, brzmiało wcale pięknie, ale brzmiało nadto ogólnikowo, niby muzyka przyszłości, pozostawiając tymczasem w nicości obalone reformy realne Czar-toryskich, a natomiast zachowując w mocy świeżo uchwalone prawa kardynalne, uświęcenie *liberi veto* i nierządu. Za taką abstrakcyjną cenę mieli zejść ze swego wyniosłego obywatelskiego stanowiska, wdać się w zaognioną niesłychanie sprawę pacyfikacyjno-dysydencką, zdepopularyzować się do reszty starzy Czartoryscy. Mądrzy książęta po namyśle odmówili: żądali wprost skasowania gwarancji i ograniczenia rzeczy dysydenckiej do równouprawnienia w zakresie wyznaniowym, nie politycznym. Równocześnie zaś nawiązane zostały, jak się zdaje, jakieś tajne próby porozumienia między Familią a dworem francuskim: bądź to na wypadek zwycięstwa Turków, ażeby tędy mieć drogę powrotu do narodu, cisnącego się pod sztandar Baru; bądź też, ażeby na podstawie protekcji

francuskiej módz większy nacisk wyrzucić na Rosyi i tędy ułatwić przyjęcie swoich warunków. Ale tymczasem, wobec obosiecznych ofert Repninowych, starzy książęta trzymali się twardo, nie ustępowali na krok od swoich postulatów, nie wchodzili na otwieraną im drogę ślizką i karkołomną. Postąpili sobie dobrze. Postąpili jak dobrzy obywatele i wytrawni statyści. Jeśli dawniej w najczynniejszej ich akcji niejednokroć zgrzytała prywatna, obecnie w biernym ich wyczekiwaniu razem i szczytna objawiała się godność i dojrzały rozum stanu. Zachowanie się ich w tym czasie, od pograżenia ich roboty reformatorskiej na sejmie 1766 r., razem i mądre i wspaniałe. Kuszeni obietnicami, straszeni groźbami, gnębieni egzekucjami, nie dają się ani złudzić, ani przerazić, ani przymusić: stoją na boku z podniesioną głową. Nawet bezwzględny poseł Saldern wyznaje, że czynią wrażenie »Rzymian«. Wtedy rehabilitowali się naprawdę, wtedy, oddaleni od borykającego się narodu, a wnet świadkowie pierwszego podziału, podwójną goryczą okupili swoje błędy, i wtedy także rzucili pomost pomiędzy sobą a wnukiem, pomiędzy swoją a przyszlą generacją.

Że Czartoryscy mieli rację, nie ulega wątpliwości. O co wtedy chodziło Rosyi, jest jasne. Wyraził to najjaśniej sam głęboki Panin: »Położenie nasze względem Turków wymaga obecnie, ażeby Polska względem nas podzielona była na dwie

części, z których jedna działałaby zgodnie z nami, wyobrażając jądro (*korpus*) narodu, druga zaś, wyobrażając przeciwników naszych, służyłaby nam poniekąd do samego prowadzenia wojny na jej rachunek, ile się tylko da. Taki podział pod tym ostatnim względem byłby dogodnym dla utrzymania armii naszych, pod pierwszym zaś względem odpowiadałby sławie i powadze J. C. M., jakoteż byłby w zgodzie z zasadami (*pryncypiami*) naszymi we wszystkich podziśdzień sprawach«. I jeszcze z powodu tych rokowań z Czartoryskimi pisał ten niepospolity statysta rosyjski: »Pożytek służby J. C. M. koniecznie tego wymaga, aby tyły naszej armii ofensywnej były w miarę możności zabezpieczone od strony Polski... Na czas wojny tureckiej potrzeba nam, li tylko dla zabezpieczenia tyłów armii naszej, mieć po naszej stronie jądro Rzpltej, aby mogła ona służyć nam za pomoc i usprawiedliwienie (*oprawdanie*) naszego względem niej postępowania«. Te uderzające wynurzenia, dziś dopiero ujawnione, najlepsze dają świadectwo przenikliwości starych ksiąg i najdobitniej stwierdzają słuszność ich oporu i abstynencyi.

Rokowania Czartoryskich z Rosją i Francją budziły jednakowy niepokój w obozie rosyjskim i w obozie barskim. Po zupełnem wycofaniu się Czartoryskich, po tymczasowem odsunięciu się króla, — który zresztą, jak się zdaje, na własną rękę, za pośrednictwem Ksawerego Branickiego

kich pokątnych, najciemniejszych odnajdywany skrętach, nawiązał sekretne stosunki z Dreznem, z tameczną główną kwaterą dyplomacyi barskiej, bądź to w widokach reasekuracyi, na wypadek tryumfu sprawy barskiej, zrzucenia Poniatowskiego, wyniesienia na tron Sasa, bądź też, najprawdopodobniej, ażeby po prostu, dobiwszy się do sekretu zabiegów saskich, przez ich wydanie umocnić swe stanowisko i nową wysłużyć nagrodę. Gdyż taką realną nagrodę wtedy właśnie miał na widoku, nie poprzestając na niedość popłatnej godności prymasowskiej, ani na darnej wstędze Andrzeja, wziętej za sprawę dysydencką. Starał się mianowicie z całą natarczywością o otrzymanie bogatego biskupstwa krakowskiego po zesłanym Sołtyku. Gorzko się żalił, że dochody jego prymacyalne wynoszą zaledwo 300 tys. złp., kiedy biskupstwo krakowskie daje milion dwakroć. Powoływał się wymownie na precedensa Fryderyka Kłólewicza, Gamrata, Maciejowskiego, którzy dzierżyli razem obadwa dostojeństwa. To wszystko oczywiście przekładał rządowi petersburskiemu, jako istotnemu nadawcy dostojeństw duchownych Rzpltej. Ale Panin dobrze wiedział, co trzymać o tym stronniku i suplikancie. Domyślny Panin przenikał go doskonale i zawczasu wyraził Repninowi podejrzenie, czy też elektorowa saska »nie utrzymuje komunikacyi z naszym przyjacielem prymasem?«, a nawet wnet to podejrzenie obrócił

na pewnoś, iż Podoski, »rzekomy subtelny polityk, wierci się między wodą a ogniem«, między Dreznem a Petersburgiem, skąd wysnuł wniosek, iż tego »przyjaciela« trzeba trzymać »w żelaznych rękawicach«.

Rozpocząwszy karierę polityczną pod tak nie-szczególnym, jak Podoskiego, kierownictwem, młody Heyking wrychle rzucony został w najgorętszy wir intryg i walki. Pod koniec 1769 r. opuścił Warszawę, udając się do Drezna, gdzie spodziewał się, ze względu na zasługi ojca dla domu saskiego, znaleźć ułatwioną karierę dyplomatyczną w służbie elektorskiej. Trochę przecie się zawiódł, wpadł tutaj w stosunki ciasne, trudne, nadzwyczaj drażliwe. Młody elektor Fryderyk August, późniejszy nasz poczciwy książę warszawski, choć wtedy właśnie od roku sprawował już osobiście rządy, jednak naprawdę pozostawał jeszcze ciągle pod opieką ambitnej matki, elektorowej-wdowy, Maryi Antonii. Ta znowuż oddawna prowadziła cichą lecz zaciętą wojnę domową z całą prawie rodziną elektorską, a więc zarówno ze swemi bratowemi, jakoteż ze szwagrami, synami nieboszczyka Augusta III, zwłaszcza zaś z ks. Ksawerym, byłym administratorem Saksonii za małoletności elektora, i z ks. Karolem, wypędzonym z Kurlandyi i żyjącym na koszt elektorstwa. Królewicze przeciw znienawidzonej bratowej, elektorowej, używali dotychczas możnej protekcyi swoich sióstr, dwóch

córek Augusta III, powołanych na dwa świetne trony Zachodu, Maryi Amelii, królowej hiszpańskiej i Maryi Józefy, delfinowej francuskiej. Ale pierwsza już dość dawno, przed kilku jeszcze laty, przedwcześnie zmarła; następnie zmarł delfin, wreszcie świeżo, przed dwoma laty, sama delfinowa, a tem samem znikł główny osobisty punkt oparcia interesów sasko-polskich w Paryżu. Właśnie w czasie, kiedy Heyking przybył do Drezna, ks. Karol bawił przy dworze wersalskim, dokąd udał się celem uzyskania pomocy francuskiej dla Barzan, a właściwie dla swojej własnej kandydatury do tronu polskiego, wbrew kandydaturze swego bratanka, młodego elektora, planowanej przez Maryę Antonię. W ten zamęt krzyżujących się dążeń i konszachtów wpadł niedoświadczony Heyking. Przywiózł on sekretne listy od prymasa Podoskiego do niejakiego Ponceta, zegarmistrza genewskiego, osiadłego w Dreźnie, a zaufanego sługi elektorowej, który przez swego syna, znanego jubilera w Warszawie, utrzymywał potajemnie stosunki z tamtejszymi cichymi stronnikami domu saskiego i konfederacją barską. Owóż, czego nie wiedział nikt z tych panów, a o czem dowiadujemy się dzisiaj z Korespondencyi politycznej Katarzyny II, o wszystkich tych sekretach jaknajdokładniej byli informowani Panin i Repnin przez zdrajcę konfederata. Tymczasem biedny Heyking napróżno wycierał przedpokoje saskiego ministra

spraw zagranicznych Sackena, który w gruncie rzeczy, jak również dziś dokładnie nam wiadomo, oddany był Rosyi i przeciwny wdawaniu się Saksonii w awantury polskie. Nareszcie wiosną 1770 r. wrócił z Wersalu ks. Karol, nie bez pewnego zresztą rezultatu, skoro uzyskał od rządu francuskiego wyprawienie Dumouriera do Polski. Dostał się natychmiast młody Kurlandczyk do swego księcia, do księcia kurlandzkiego *in partibus infidelium*, wprowadzony do niego przez zaufanego jego szambelana, którego nie wymienia z nazwiska, a w którym odnajdujemy nikogo innego, jak tylko dobrego naszego znajomego z późniejszej doby Sejmu Czteroletniego, — nieoszacowanego Bischoffwerdera, który później z totumfackiego ksiąźco-saskiego miał zaawansować na królewsko-pruskiego faworyta. Przez niego teraz Heyking został wpuszczony do gabinetu ks. Karola i sekretów konfederackich. Niestety, te sekreta źle, najgorzej były strzeżone. Dostał się do nich w tym samym czasie szczywany lis w owczej skórze, urodzony felon w konfederackiej skórze patrioty, Poniński Adam, z wczorajszego delegata sejmu traktatowego wyrabiający się na jutrzejszego marszałka sejmu podziałowego, a który teraz, wdarszy się do zaufania generalicyi barskiej i dworu saskiego, przesiadywał w Dreźnie, Cieszynie, Przeszowie, wywęszył co tylko się dało, wydobył nawet pieniądze na zakup broni dla konfederatów, prze-

grał je naturalnie natychmiast w karty, poczem wyniósł się pocichu do Warszawy, wyśpiewał wszystko następcy Repnina, Wołkońskiemu i przedstawił mu, wspólnie z Branickim Ksawerym, swój plan pacyfikacji kraju. Ten osobliwszy plan pacyfikacyjny Ponińskiego, wśród tak osobliwych warunków podówczas zrodzony, z innego zresztą względu nadzwyczaj jest interesującym: odnajdujemy w nim mianowicie osobiste pomysły Stanisława Augusta, będącego wtedy najniewątpliwiej w ścisłych z Ponińskim stosunkach, odnajdujemy i »Wolną Radę«, t. j. Radę Nieustającą, i sojusz z Rosyą, i wspólną akcyę wojenną przeciw Turkom, i nagrodę dla Rzpltej pod postacią Besarabii i Mołdawii; jednym słowem, odnajdujemy wszystkie piękne rzeczy, wypraszone przez króla po latach dwudziestu w Kaniowie, a które w oświetleniu takiej swojej najpierwszej genezy, w świetle niniejszej inicjatywy takiego, jak Poniński, projektodawcy, występują dopiero w pełnej swojej wartości moralno-politycznej. Heyking o wszystkich tych sprawach najłżejszego nie miał pojęcia, ale widział Ponińskiego przy robocie w Dreźnie i wcale niezgorzej portret jego pochwycił. »Nigdy zdrada lepszej nie przybrała maski. Postać szlachetna, rysy regularne, głos przyjemny, wiadomości obszerne, nadzwyczajna krew zimna, na ustach piękne wyrazy cnoty, patriotyzmu, bezinteresowności, — tak przedstawiał się człowiek, którego

głęboka nikczemność mogła iść w paragon jedynie z jego nienasyconą ambycją».

Niedługo wytrzymał Heyking w dusznej kuchni politycznej drezdeńskiej. Skorzystał z pierwszej okazji, aby się wyrwać do jakiej roli czynniejszej. Pod koniec lata 1771 r. przybył do Dreżna jeden z wybitniejszych konfederatów, Józef Miączyński, świeżo wzięty przez Rosyan pod Lanckoroną, wypuszczony z Kijowa za cyrografem i za kaucją, a zdecydowany walczyć dalej do upadłego. Już jednak wówczas w gruncie rzeczy wszystko doszczętnie się psuło. Upadek Choiseula, spóźnionego, lecz bądźco bądź jedyne go czynnego opiekuna Barzan, zwycięstwa Orłowa i Rumiancewa nad flotą i armią turecką, porozumienie prusko-austryackie napoczęte na zjazdach Fryderyka z Józefem w Neustadt i Nisie, porozumienie prusko-rosyjskie podczas wizyty ks. Henryka w Petersburgu, a tu znowuż coraz bardziej jątrzące się niesnaski w łonie konfederacyi, porażki pod Stołowiczami i Lanckoroną, zawód nowej komendy Dumouriera, — wszystko to zwiastowało początek końca. Pod takimi niewesołemi wróżbami wybrał się niefortunny Heyking z początkiem jesieni t. r. razem z Miączyńskim do generalności barskiej. Ciekawe są postrzeżenia pamiętnikarskie o podróży z tym towarzyszem. »Niektóre modne książki doprowadziły go do tego, że wątpił o zasadniczych prawdach chrześcijaństwa i żartował sobie z religii.

Mówił z pogardą o fanatyzmie księży, o dogmatach itp. Ograniczyłem się do zaznaczenia, że i ja również — to »również« w ustach dysydenta, silącego się podążyć za tolerancyjnym, bezwyznaniowym rozpędem konfederata barskiego, jest doprawdy kapitalne, — uważam za niewłaściwą nienawiść, panującą w Polsce przeciw inowiercom, gdyż prawdziwe chrześcijaństwo jest tolerancyjne; że jednakowoż religia pozytywna, a zwłaszcza wiara w Boga i w nieśmiertelność duszy, są to rzeczy niezbędne dla natury ludzkiej«. Spojrzał na mnie z uśmiechem Miączyński i rzekł: »I Pan wierzysz w duszę niematerialną i nieśmiertelną? Na cóż między nami ta obłuda?« Tłomaczył się Heyking, jak mógł, przed oświeconym towarzyszem, powołując się na powagę Roussa, gdyż Miączyński miał szacunek dla wolnomyślnego Jean Jacqua, choć zresztą, jak się okazało, z jego pism znał tylko czułą *Nową Heloizę*. Czyliż nie jest arcyzabawną podobna dyskusja przyjacielska, w wywróconych naopak rolach, pomiędzy dysydem a konfederatem, wybierającymi się społem do ultrakatolickiej generalności barskiej? I czyliż nie rzuca ona więcej światła na prawdziwego ducha rządów konfederackich, aniżeli całe stopy dokumentów? Lecz niedość na tem. Ciąg dalszy jest równie nauczający, kiedy już obadwaj oponenti szczęśliwie przybyli na miejsce i kiedy wypadło lutra Heykinga umieścić urzędownie w samej generalności. Wszak

jako dysydent nie powinien on być, broń Boże, mieć przystępu do urzędów cywilnych. Lecz oczywiście nikt tam na seryo nie myślał stosować tego zakazu z jakąś srogą, fanatyczną surowością. Odrazu też całą kwestyę rozwiązał Pac w ten sposób, że, ponieważ »mamy znaczną ilość dysydentów wśród oficerów naszych« — znów szczegóły nadzwyczaj uderzający, — zamianowano Heykinga dla formy adjutantem hetmana w. l. Ogińskiego, a zarazem zrobiono go rzeczywistym sekretarzem do najpoufniejszej korespondencji francuskiej i niemieckiej przy Wydziale spraw zagranicznych. Uczciwy dysydent został tym sposobem sekretarzem politycznym biskupa kamienieckiego. Doprawdy, że i dzisiaj trudnoby o lepszy dowód rozsądnej wyrozumiałości, o namacalniejszy dowód braku przesądów religijnych. Ależ bo, w rzeczy samej, ci naczelnicy konfederacy to nie byli bynajmniej jacyś ciemni fanatycy, jakimi malował ich Fryderyk albo Voltaire, jakimi dziś jeszcze nieraz maluje ich stronna lub nieświadoma historyografia; to byli w znacznej części ludzie nietylko bardzo światli, lecz nawet bardzo zaawansowani w pojęciach. Niedarmo zwracali się po rady do filozofów francuskich, do Mablych i Roussów; niedarmo tyłu z nich, jak np. Wielhorski, ich poseł oficjalny w Paryżu, należeli wprost do wolnomularstwa. Fanatyzmu religijnego w najcelniejszych z nich nie było ani cienia, choć uży-

wali go z konieczności, jako potężnej dźwigni dla podniesienia i obrony swojej dobrej sprawy czysto politycznej.

Heyking przywiózł od ks. Karola ważne listy do żony i marszałków konfederackich: chodziło wtedy właśnie o sprowadzenie ks. Karola dla objęcia komendy naczelnej, czego nie życzyli sobie Potoccy a czego natomiast bardzo napierała się ambitna księżna, gdyż wedle jej myśli miał to być najprostszy krok do tronu. Rezydowała ona wtedy w Lublińcu pod Opolem na Szląsku, skąd dyrygowała osobiście czynnościami generalności, rozlokowanej w Cieszynie i Przeszowie. Franciszka z Krasińskich księżna Karolowa miała wtedy lat około trzydziestu, była w rozkwicie wdzięku i energii, i Heyking »wyznaje, że był oślepiony« jej osobą. W Cieszynie poznał innych głównych działaczy, biskupa kamienieckiego Krasińskiego, stryja księżny, polityczną głowę konfederacji, dalej Paca, Bohusza, Ogińskiego, Potockiego Maryana i wielu innych. Interesujące to wszystko bez wyjątku postaci, a w istocie podziśdzień równie mało znane, jak i wieloliczne ich roboty mało rozjaśnione. Zwłaszcza dwie tu osoby niepospolite budziły zawsze szczególniejsze nasze zajęcie i koniecznie wymagałyby, naszym zdaniem, wydobycia z niepamięci i utrwalenia w galerii dziejowych portretów narodowych: Michał Pac, starosta ziołowski, w zastępstwie marszałek generalny i kie-

rownik Wydziału spraw zagranicznych, silna i szlachetna figura męża stanu, oraz Ignacy Bohusz, miecznik litewski, sekretarz generalny konfederacki, rzadko tęga, śmiała i jasna głowa szlachecka.

Rozstrzelenie umysłów wewnątrz konfederacji było jednak już wtedy w całej pełni widoczne. Do najszkodliwszych tego objawów należała biegunowa sprzeczność działań u Porty Ottomańskiej, gdzie dwaj szefowie barscy, Michał Krasiński i Joachim Potocki, we wprost przeciwnych ciągali kierunkach, i gdzie zwłaszcza Potocki, regimentarz generalny, w dziwnie upokarzającej stanął roli i w dziwnie zgubne, wprost podziałowe, wdawał się rokowania. Przeciwieństwo Potockich a Krasińskich tkwiło bardzo głęboko, było z natury swej nieuleczalne, bo było właściwie w tych warunkach wyjątkowych niczem innym, jeno nowym a wiecznie starym epizodem przyrodzonej rywalizacji oligarchicznej. Podejrzliwie patrzyli się Potoccy na Krasińskich, tak żwawo wybijających się ze szlachty na magnatów, tak silnie jeszcze stojących przy i na opinii szlacheckiej, a już tak znacznie wywyższonych przez koligacje z Lubomirskimi i z domem saskim, z własnym kandydatem do korony; patrzyli się z wzrastającą niechęcią i niepokojem na tę niby nową edycję Czartoryskich. Wówczas też część Potockich już wstępowała potajemnie w porozumienie z Wołkońskim. Dochodziły do tego inne znów, nader ostre zatargi Potockich

z Pułaskimi, których natura dzielna lecz buńczuczna nie znosiła ani magnackiej samowoli ani nawet rygoru komendy, i z których sławny Kazimierz, zakochany w księżnie Franciszce, dopiero pod osobliwszą jej własną »gwarancją« osobistą zgodził się zaprzysiąc subordynację rozkazom Dumouriera. Dochodziły wreszcie najtajniejsze i najdrażliwsze niezgody pomiędzy samym roztropnym biskupem kamienieckim, korespondującym bezpośrednio z elektorową Maryą Antonią i skłonnyim zapewnić koronę młodemu elektorowi, a jego ambitną synowicą księżną Karolową, radą przychylić tron mężowi. Pośród wszystkich tych komplikacji, wkrótce po przybyciu Heykinga, przypadł epizod fatalny: niefortunny zamach na Stanisława Augusta, niewątpliwie za wiedzą Pułaskiego i księżny kurońskiej, najpewniej za plecami generalności, a prawdopodobnie nie bez udziału pokątnej roboty prowokatorskiej. Odtąd rzeczy coraz gwałtowniej potoczyły się ku zupełnemu upadkowi sprawy barskiej. Nastąpił rozejm, wnet pokój rosyjsko turecki. W Petersburgu dobito umów podziałowych. Generalność doczekała się wygnania przez Austryę z Cieszyna. Rzecz dziwna, jak dalece zaskoczeni byli tym ostatnim ciosem przywódcy konfederacy, jak dalece nieprzygotowani na to *consilium abeundi* ze strony cesarza Józefa: uderzający dowód, jak źle informowali się, jak mylnie rachowali, jak długo, aż

do ostatniej chwili, się łudzili. Odebrawszy znie-nacka banicyjny nakaz wiedeński, zgromadzili się stropieni i długo aż w północ radzili. Uchwalili i zaprzysięgli z miejsca: nie zrywać uświęconego węzła konfederackiego i zalimitować konfederację na czas nieograniczony. To był doniosły precedens limitacyjnych uchwał sejmowych 1792 i 1831 r. Tymczasem zaczęła się tułaczka, najpierwszy znou- wuż precedens emigracji politycznej na wielką skalę. Udano się nasamprzód do Bawaryi, gdzie liczono na pomoc elektora, żonatego z trzecią córką Augusta III; zbierano się kolejno na więk- sze narady w Landshucie i Monachium, bez skutku oczywiście, wkrótce bez nadziei. Ogromna więk- szość emigrantów wrychle doszła do wniosku, że darmo *contra spem sperare*. Zaczął się ze wszech stron walny nacisk o rozwiązanie cieszyńskiej przysięgi limitacyjnej. Pac, osiadły w Lucernie, a osobiście zdecydowany dotrzymać do końca, nie ugiąć się, do kraju nie wrócić, ujrzał przecież ko- nieczność pofolgowania, aby uniknąć wręcz łama- nia przysięgi przez wielu. Zwołał tedy ogólny zjazd do Szafhuzy. To był znou- wuż, zaznaczyć warto, początek lokacyi spraw emigracyjnych pol- skich na republikańskiej ziemi szwajcarskiej. Po- czątek zresztą, dodajmy zaraz, niebardzo zachęca- jący, co nie będzie dziwiło nikogo, kto zna spó- tczesne ciężkie przeprawy biednego Roussa z re- publikantami szwajcarskimi onej doby. Wysoka

Rada kantonu Szafhuzy, »niechętnie widząc tak znaczne zgromadzenie katolików«, poprostu wy-mówiła im gościnę i zaleciła wynieść się do kantonu katolickiego. W listopadzie 1773 r. zebrano się tedy w Rhynecku i tu zredagowano ostatecznie manifest, rozwiązujący konfederację, oraz protest uroczysty przeciw podziałowi kraju, podpisany przez marszałków generalnych, Michała Krasieńskiego i Paca wraz z Bohuszem. Nowa jednak trudność wynikła z publikacją tego ważnego dokumentu: skoro konsyliarz generalności, Zboiński, zawiózł go do wydrukowania do Szafhuzy, żadna drukarnia tameczna nie chciała się podjąć takiej roboty. Kłopot był niemały. Na szczęście, Heyking przypomniał sobie, że jest wolnomularzem; pojechał tedy w te pędy do pobliskiego Lindau, na wysepce na jeziorze bodeńskim, »gdzie istniała loża wolnomularska wedle rytuału angielskiego... Charakter mój, jako niemieckiego wolnomularza i protestanta, znakomicie pomógł mi w załatwieniu tej sprawy«. Jakże dziwaczny doprawdy dysonans w tym tragicznym epilogu.

Po pięciu latach tułaczki wrócił Heyking w 1774 r. do Warszawy. Stracił nietylko złudzenia młodości, ale, co gorsza, stracił zupełnie skrupuły, wiarę, czystość moralno-polityczną. Dał od-tąd pokój ideałom, skwitował ze wszelkiej szlachetniejszej ambicyi, zaczął poprostu szukać kariery za wszelką cenę. Sprytnie też rozpoczyna

ponowne swoje teraz wejście na zmienioną scenę warszawską od powinnej rannej wizyty u wszechwładnej wtedy księżny Radziwiłłowej z Przeździeckich, wojewodziny wileńskiej, gdzie też *comme de raison* ma szczęście odrazu spotkać stałego domownika, w domowym stroju niedbałym, — wszechmocnego ambasadora Stackelberga. Tą drogą exsekretarz konfederacki szuka teraz protekcji dworsko-rosyjskiej, a nawet wprost już stara się o wstęp do służby imperatorowej. Czyliż bowiem — tak rozumuje — inny prosty szlachcic kurlandzki, Kayserling, nie dorobił się tą drogą zaszczytów i bogactw? Bierze się do rzeczy nader gorliwie, uczy się na gwałt języka rosyjskiego, wyprasza sobie u króla polecenie do Panina, u Stackelberga do Potemkina, i rusza po złote runo do Petersburga. Tutaj, wstąpiwszy w stopniu majora do pułku kirasyerów im. cesarzowej, próbuje osobliwie wysługiwać się Potemkinowi, który wtedy właśnie wyciągał rękę po Kurlandycę, myślał o wysadzeniu Piotra Birena, mógł więc istotnie potrzebować usługi Kurlandczyka, należącego z urodzenia do wrogów Birenowych. Ale Heyking, gorączka, sangwinik, zanadto jeszcze był szlachcic, zamało jeszcze otarty i wytarty, aby potrafił sobie poradzić na ślizkim bruku petersburskim. Spotykał się on tam wtedy ze swoim kompatriotą kurońskim, młodym Pahlenem, który mu się przyznawał, że nie uprawiał u teatynów filozofii, ale natomiast

na własną rękę »studycował *Pfifficologię*«, i który w rzeczy samej z tej nauki »spryciarstwa« miał wyciągnąć nadzwyczajne plony polityczne. Biedny Heyking, niezdolny połapać się w pogmatwanych stosunkach petersburskich, nieumiejący dość zręcznie lawirować między dworem cesarskim a wieloksiążęcym, między faworytami a ministrami, na próżno błąkał się, nadarmo się wysługiwał, aż nareszcie z rozpaczyc ożenił się. Nad tym przykrym incydensem dyskretnie przechodzi milczeniem w swoich pamiętnikach. Żona jego, córka pani Lafont, przełożonej instytutu Smolneńskiego pańien szlacheckich, była podobno »garbata i poczwaranie brzydka, ale dobra i miła, a pełna wiadomości i nauki, więcej z pewnością była warta od swego męża«. Spekulował oczywiście na wpływy jej matki, lecz przeliczył się i za swój zawód mścił się na żonie; kwitując nareszcie ze świetnej kariery rosyjskiej, powrócił do Warszawy jako stały delegat rycerstwa kurlandzkiego. Tutaj na wszystkie strony się rzucał; Potockiego Ignacego przyjął do wolnomularstwa i przez niego utrzymywał styczność z opozycją; u króla wyprosił order Stanisława i polecał się do jakiej misji zagranicznej. Gdy w tym czasie, po zgonie Fryderyka II, wstąpił na tron Fryderyk Wilhelm II, a zarazem dostał wpływ jego faworyt Bischoffwerder, Heyking natychmiast skoczył do Berlina, aby tam popróbować szczęścia przy pomocy dawnego swego

przyjaciela, ex-szambelana ks. Karola. Nie wskórał nic, chyba tyle tylko, że podczas tej wycieczki za pośrednictwem posła szwedzkiego w Berlinie, Carésiena, miał sobie powierzoną tajną korespondencję z Warszawy dla Gustawa III, który wtedy już przemyślał o wojnie z Rosją, a sprawami polskimi interesował się oddawna, odkąd jeszcze jako następca tronu bacznie okiem był śledził wypadki warszawskie i rosyjską w Rzpltej gospodarkę, wyprowadzając stąd roztropną dla siebie i Szwecyi naukę. Jednak korespondencja ta trwała niedługo i przerwała się z chwilą, gdy poczciwy Engeström jako poseł szwedzki przybył do Warszawy. Hr. Engeström wcale trafnie charakteryzuje swego poprzednika. »Heyking miał wielkie zdolności, lecz, udręczony swoim położeniem nic nie znaczącem, pałając chęcią zajęcia w świecie jakiegoś stanowiska, wdawał się zanadto w rozmaite intrygi, a w istocie do żadnego kraju przywiązania nie miał... Trudno było powiedzieć, kogo on oszukiwał a komu służył. Zdaje się, że ten, co lepiej płacił, miał go za sobą«. Można to zdanie potwierdzić, rozglądając się w dwuznacznych funkcjach Heykinga w czasie Sejmu Czteroletniego. Kiedy w początku 1789 r. Stackelberg uczynił ostatnią próbę pozyskania Ignacego Potockiego i oderwania go od wpływów pruskich, do tej dwuznacznej negocjacji, mającej jedynie na celu obłąkać marszałka litewskiego i zyskać na czasie, użyty został

usłużny dostojnik wolnomularski kuroński. »Wybrałem na pośrednika — donosił Stackelberg cesarzowej — Kurlandczyka Heykinga, który, bywając codziennie w jego (Potockiego) domu i moim, nie wzbudzi żadnego podejrzenia. Że zaś będzie on (Heyking) w tym celu musiał tu pozostać, a jest ubogi, wyznaczyłem mu przeto pensję z kasy ambasady«. W rzeczy samej, w rachunkach ambasady rosyjskiej pod odpowiednią datą znajdujemy pozycję: »Baron Heyking dukatów 300«. Nie znajdujemy natomiast ani jednego słowa o tem wszystkim w opowieści pamiętnikarza, co jest tem ciekawsze, że znajdujemy tutaj wyrazy żywego uznania dla Ignacego Potockiego i Stanisława Małachowskiego, od których w tym samym czasie, jak wyznaje Heyking, »w ciężkim mojem położeniu otrzymywałem wsparcie, za co też zachowam dla nich wieczną wdzięczność«. Brał więc z obu stron jednocześnie, i istotnie trudno orzec, »kogo oszukiwał?« Z odwołaniem Stackelberga, przybyciem Bułhakowa, zdeklarowaniem się ostatecznem sejmu za Prusami, ustały te dochody i trudy.

Zresztą koło tej pory w zupełności pochłonęły Heykinga najbliższe sprawy kurlandzkie. Wynikły gwałtowne a poważne spory finansowe między Stanami kurońskimi a ks. Piotrem Birenem. Chodziło tu o cały szereg kwestyi nader zawiłych: między innymi o samowolny sposób »allodyfika-

cyi«, praktykowany przez księcia, który najpiękniejsze majątki z domen państwowych zamieniał na dobra »allodialne«, t. j. z własności publicznej na swoją prywatną, w ten bardzo prosty sposób, że wykupywał je za pieniądze, otrzymywane z pożyczek, zaciąganych na samo lenno, na księstwo, czyli, innemi słowy, że nabywał je na rachunek powszechności tychże domen i skarbu księstwa. Z drugiej znów strony i Stany w okresie regencyjnym, za nieobecności księcia, odbijały się przez wypuszczanie sobie domen w dzierżawę na warunkach, krzywdzących skarb książęcy. Powstały stąd zatargi ogromnej wysokości pieniężnej, których rozstrzygnięcie w ostatniej instancyi zawisło od sejmu warszawskiego. Heyking, jak się zdaje, pod koniec, po zawarciu przymierza polsko-pruskiego 1790 r., wraz ze szlachtą kurońską, z natury rzeczy ciągnącą ku Prusom, zaufał fortunie Rzpltej, oddał się pod protekcję Ignacego Potockiego i większości sejmowej. Książę Piotr nie znalazł innej przeciwwagi, jak posłać do Warszawy piękną jeszcze księżnę, która też w mig rozkochała czułego króla i zyskała poparcie dworskie. Nie wchodząc w szczegóły, zaznaczamy tylko nawiasem, że tutaj tkwi początek szczególniejszej zażyłości ks. Piatolego, wtedy mentora królewskiego, z księżną kurlandzką, której później, po końcowej katastrofie podziałowej, uczepli się w Petersburgu, z której córką będzie chciał żenić ks. Adama

Czartoryskiego, a ożeni ostatecznie synowca Talleyranda, dzięki poparciu cesarza Aleksandra — (bogate jej wiano stanowiło właściwą zapłatę za zdradę księcia Benewentu, a papiery Piatolego tą drogą w spuściźnie Talleyranda znalezione zostały przez Thiersa), — a z której damą dworu, panią Vietinghoff, sam sześćdziesięcioletni ex-pijar Piatoli nareszcie się ożeni, rzuciwszy sutannę »w pokrzywy«. Tymczasem Heyking, zawsze niefortunny w wyborze środków, prowadzących do kariery, postawił swój los na kartę lojalności kurlandzkiej i polskiej: w lutym 1790 r. na sesji uroczystej sejmku w imieniu rycerstwa kurońskiego zdeklarował dar dwunastu armat na potrzeby Rzpltej. Lecz niedługo trwał w błędzie, niebawem zwąchał, że źle się dzieje. Był właśnie na obiedzie u króla, kiedy nagle Bułhakow zajechał sześciokonną karocą. Król się zmieszał: wszak poseł rosyjski od tak dawna nie pokazywał się na Zamku, lecz wysiadywał spokojnie u siebie, grywał w faraona i tylko nadśtuchiwał. Cóż tedy oznaczać miały te niespodziane odwiedziny? Cóż się stało? Nic wielkiego: poseł przychodził z grzecznym dygiem, aby donieść Jego Królewskiej Mości pocieszającą nowinę o szczęśliwym zawarciu przez imperatorową rozejmu z Turkami. Stanisław August tak stracił kontenans, że ledwo zdołał wykrztusić przyzwoitą gratulację. To dalekie echo pokojowe od granic tureckich wpadało groźną pobudką wojenną w gra-

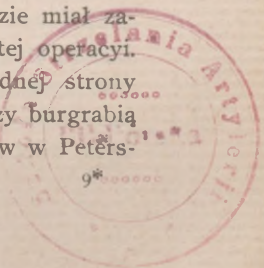
nice Rzpltej. Cesarzowa, wolne ręce mając teraz od Porty, wnet przyjdzie porachować się, pomścić na Polsce, na Sejmie Wielkim, na małym królu. To były pierwsze odgłosy pogrzebowego dzwonu.

Nie czekał oczywiście aż do samego urzeczywistnienia tych fatalnych zapowiedzi przemyślny Heyking, wyniósł się zawczasu z Warszawy i powrócił dopiero po wkroczeniu do stolicy wojsk rosyjskich generała Kachowskiego. Z podwójną gorliwością starał się odtąd odrobić świeże grzechy, wczorajsze darowane armaty kurlandzkie, wczorajsze lojalne deklaracje i zakłęcia. Wysunął się na czoło akcesów Kurlandyi do Targowicy, osobiście popieszył do Grodna na audyencyę uroczystą u Najjaśniejszej Konfederacyi, w kilkanaście miesięcy zaledwo po tamtej swej audyencyi sejmowej warszawskiej. Został w Grodnie u Szczęsnego Potockiego równie stałym gościem, jakim dotychczas był w Warszawie u Ignacego Potockiego. Pod egidą nowego wszechwładnego posła rosyjskiego, swego spółrodaka Sieverssa, czule pogodził się z Birenem i w jego imieniu udał się do Petersburga dla obmycia księcia z winy niedawnych stosunków z dworem warszawskim i berlińskim. Aliści znowuż nieszczęśliwy Heyking wybrał się z tą misją najzupełniej nie w porę. Już w Petersburgu ani słyszeć nie chciano o ks. Piotrze, już tylko szukano motywów do jego potępienia, bo już tam wtedy wcielenie Kurlandyi było rzeczą postanowioną. Był to jeszcze se-

kret stanu między cesarzową, Zubowem, Morkowem, Repinem i Pahlenem. Niedziw, że cesarzowa całkiem nie była zbudowana z pojawienia się Heykinga; kazała poprostu Zubowowi odprawić go do Kurlandi, »gdzie jego obecność mogłaby być bardziej użyteczną«. Tymczasem wybuch Kościuszkowski przyspieszył ostateczne rozwiązanie sprawy kurlandzkiej. Płomień ogarnął Litwę, Żmudź, wreszcie w ręce powstańców dostała się Libawa, — najdoskonalsza do aneksyi sposobność i racya. Wtedy wystąpił na scenę wtajemniczony *Pfifficus* Pahlen, już podówczas daleko w godnościach posunięty, generał i gubernator ryski, i przybył do Mitawy poradzić księciu, aby »oddał się pod opiekę cesarzowej, gdyż inaczej kraj niechybnie stanie się pastwą hord barbarzyńców niszczących i płądrujących«. Heyking, zdolny do pióra, zredagował zaraz odpowiednie pismo błagalne do imperatorowej. »Zburzenie całego porządku prawnego w Polsce — tak brzmiało to pismo w redakcyi byłego Barzaina, — gdzie liga buntownicza niecną ręką zrywa wszelkie węzły społeczne, zmusza Kurlandyę.. błagać W. C. M., jako Bóstwo opiekuńcze tych Księstw, abyś raczyła osłonić Kurlandyę swoją wysoką i potężną protekcyą«. Z tą supliką natychmiast, w maju 1794 r., ponownie pośpieszył Heyking osobiście do Petersburga. Równocześnie zebrał się w Mitawie nadzwyczajny sejm krajowy, który jednak, pomimo wywieranego nacisku, na obradach

swoich w połowie lipca nie dał jeszcze uchwał całkiem zadowolających, bo wprawdzie oddał się pod zaleconą protekcję, ale prosił zarazem o »zachowanie nas przy terażniejszym bycie państwowym naszym, jakoteż przy wszystkich przywilejach, immunitetach i prerogatywach, *tam in ecclesiasticis quam in politicis*«. Łudziło się widać jeszcze rycerstwo, że chodzi jedynie o zmianę stosunku zawisłości lenniczej, o zamianę Rzpltej, jako lennodawcy, na imperyum rosyjskie. Rozprawiano też tutaj jeszcze o jakimś »szczęśliwem poddaniu się feudalnem pod sławne berło nieśmiertelnej Katarzyny«, wyobrażano sobie ciągle możliwość prowadzenia w Petersburgu, jak dawniej w Warszawie, jakichś rokowań dwustronnych o »warunki lenne«, »tytuły inwestyturowe«, »pakty poddańcze« itp. Złudzenia te trwały niedługo, w każdym razie niedłużej jak do nadejścia wiadomości o klęsce maciejowickiej i wzięciu Pragi. Wyjaśniło się wtedy zaraz z zupełną oczywistością, że chodzi już tylko o wcielenie proste i absolutne.

Rozpoczęły się wówczas bardzo ciekawe wyścigi co sprytniejszych działaczy kurońskich: kto najwięcej przyłoży się do ułatwienia i przyśpieszenia takiego rezultatu, kto największą będzie miał zasługę w pomyślnem przeprowadzeniu tej operacji. Między rycerstwem kurońskim z jednej strony a samym ks. Piotrem z drugiej, między Burgrabią Howenem, jako pełnomocnikiem Stanów w Peters-



burgu, a Heykingem, jako reprezentantem księcia, rozpoczęła się formalna licytacja *in minus* co do sposobu aneksyi Księstwa. Osobliwe te targi były wcale niemałoważne. Zapewne, ze względu na samą Kurlandyę cesarzowa mogłaby nie oglądać się zgoła na taką lub inną formę submisyi, albo też najprościej całkiem bez tego się obejść. Ale ta forma posiadała swoje znaczenie ze względu na ogół toczących się wtedy rokowań podziałowych, ze względu mianowicie na mocarstwo spółdzielcze, które miało teraz pożegnać się ostatecznie ze starymi widokami swemi na Kurlandyę, a które mogło policzyć sobie z tego tytułu sute odszkodowanie w innych ziemiach polskich. W rzeczy samej pełnomocnik pruski, Tauenzien, prowadzący w Petersburgu negocyacyę rozbiorową, miał sobie w instrukcyi wyraźnie przepisane z Berlina »wszelkiemi sposoby przeszkodzić Rosyi w opanowaniu Kurlandyi a zwłaszcza portu libawskiego«, zaś w razie niepowodzenia »przynajmniej dobić się dla Prus równoważnego odszkodowania terytoryalnego«. Domyślił się tego w tajnym swym memoryale sprytny Howen: »Jeśli poddanie się Kurlandyi jest dobrowolne i ofiarowane przez samo rycerstwo bez żadnej kondycyi, w takim razie dwór pruski nie będzie mógł domagać się ekwiwalentu«. Skoro zaś tym sposobem kwestya formalna posiadała takie znaczenie realne, zatem rozwiązanie jej w pożądanym duchu stanowiło tytuł do realnej nagrody.

To też konkurencyjne w tym względzie wyścigi pomiędzy Stanami a księciem, podniecane widokiem takiej nagrody, rozпалиły się w najlepsze. Podniecał je, podcinał gorliwość spórzawodników arcyzręczny Pahlen. Tak więc z jednej strony gotował Howen od Stanów deklarację uroczystą, gdzie z uwagi na upadek Rzpltej polskiej ogłaszano bez żadnej ceremonii prawne wygaśnięcie wszelkich książęcych tytułów lennych i rycerskiej przysięgi poddańczej. Z drugiej znów strony gotował Heyking na gwałt akt abdykacyjny księcia, mający uprzedzić tamtą deklarację i zdający wszystko na łaskę imperatorowej. Spóźnił się biedny książę, uprzedziły go Stany. Przydały się zresztą, bo dopełniały nawzajem obadwa akty, dokonane wśród podobnych warunków niemal spólcześnie, w marcu 1795 r. Na ich podstawie mogła już w kwietniu zostać dokonana uroczystość poddania się Księstw pod nowe berło. Odbyła się w Pałacu Letnim z wystawnością wielką: przed obliczem imperatorowej, zasiadającej na tronie w otoczeniu dostojników cesarstwa, stanęła deputacya kurońska, a pośród niej nasz pamiętnikarz, niosąc na poduszce akt submisyjny. Pozwolono deputatom wygłosić mowy wiernopoddańcze w języku niemieckim, lecz odpowiedź w imieniu cesarzowej odczytał wicekanclerz Ostermann w języku rosyjskim. Byli tacy, co biadali. Heyking się pocieszał. »Dotychczas — rozumował — byliśmy niewolnikami niewolników, teraz należymy

do wielkiego mocarstwa, dzierżącego panowanie nad całą północą«. Osobiście zresztą czuł się pokrzywdzonym, nazbyt skąpo zapłaconym za swoje trudy. Innym uśmiechnęło się szczęście: ks. Piotr wziął kilkadziesiąt tysięcy pensyi dożywotniej i parę milionów talarów gotówką odszkodowania; reżyser główny, Pahlen, został generał-gubernatorem kurlandzkim; nawet pomniejsi aktorowie, Hohen, Korff i inni zdobyli znaczne donacye i godność radców tajnych: on sam nieborak wziął za ledwo radcostwo stanu, prezydyum trybunału w Mitawie, i dzierżawę, jak twierdzi, dość chudą. Na tym zgrzycie upadłej duszy można pożegnać nauczającą i smutną opowieść pamiętnikarską Heykinga.

Książę Denasów.

Stare przysłowie o szydłach i brzytwie, stara prawda, że do wszystkiego trzeba mieć szczęście — nawet do sławy pośmiertnej, — narzuciły się nam mimowoli na widok jednej jeszcze nowej książki o cudzoziemskim włóczędze, któremu trafkiem wypadło dorabiać się i umrzeć na ziemi polskiej*). Śród cudzoziemców, zabłąkanych do Polski, trafiali się ludzie istotnie niepospolicci. Lecz ani tak potężna postać jak Fleming, ani tak zajmująca jak Piatoli, nie doczekały się biografy. Widać nie mieli do tego szczęścia. Tem szczęśliwsi natomiast byli pod tym względem inni ich towarzysze, acz nieskończenie od nich pośledniejsi. I oto doczekały się swoich życiopisów figury tak mizerne jak Glayre, albo tak liche jak ks. Nassau.

*) Lucyan Rydel: *»Awanturnik XVIII wieku. Książę Denasów«*. — Marquis d'Aragon: *»Un paladin au XVIII siècle, le prince Ch. de Nassau-Siegen d'après sa correspondance inédite«*.

Nie ulega wątpliwości, że autor niniejszej najnowszej biografii polskiej pomylił się w wyborze swego bohatera, w ocenie jego osoby, w poglądzie na jego działalność. Lecz nie ulega również żadnej kwestyi, że ma on za sobą jedną kapitalną okoliczność łagodzącą, która dostatecznie pomyłkę jego tłumaczy. Jest on poetą, a poetę mogła pociągnąć i złudzić, że własnych jego słów obrazowych użyjemy, »piękna, nerwowa i wyrazista twarz... wyzutego z dziedzictwa ojców błędnego rycerza«, mającego w sobie »coś z Don Juana i Don Kichota, coś z Aryostowego Rinalda lub Ruggiera«. To też bynajmniej nie bierzemy za złe pocie, że jako historyk padł ofiarą grubego nieporozumienia. Tembardziej jednak darować nie możemy istotnemu winowajcy, samemu ksiązęcemu mistyfikatorowi, który nie od dziś swoją buńczuczną i czułą postawą rycerza bez strachu i bez skazy wyprowadza na lód swoich nazbyt łaskawych biografów. To też wyznajemy, że już nas mocno niecierpliwi ta fortuna pośmiertna tego kawalera fortuny, natarczywego Nassaua, który tyle hałasował za życia a nie przestaje pokutować w lat sto po przeniesieniu się do wieczności. Czyliż poważny Naruszewicz nie uwiecznił go w madygale weselnym a wytworny Trembecki w odzie bohaterskiej? Czyliż Rzewuski nie umieścił go w »Teofraście polskim« a Bartoszewicz nawet w poczcie »Znakomitych mężów polskich«? Czyliż

wreszcie poczciwy Wojski nie uczynił jego nazwiska poufałym każdemu czytelnikowi »Pana Tadeusza«? A jednak, pomimo tak wyjątkowego rozgłosu, możnaby mniemać, że istotny charakter tego sławnego człowieka, a zwłaszcza rola przez niego w Polsce odegrana, nie były po dziś dzień postawione w świetle właściwym.

Nie będziemy zatrzymywali się długo na precedensach zagranicznych i zamorskich Nassau. Są one zresztą dosyć mętne i dwuznaczne od samego początku. Ta niejasność datuje się nawet aż gdzieś daleko przed jego urodzeniem. Jego babka była jedną z trzech sławnych panien Nesle, głośnych pod koniec panowania Ludwika XIV a w początku XV-go z wdzięków, dowcipu i łatwości. Skutkiem tego, ojciec naszego bohatera został zakwestyonowany przez męża swojej matki i pomimo długiego procesu nie potrafił wylegitymować ani siebie, ani swego syna. Ten syn, nasz rycerz i indygena, nie krępował się oczywiście taką drobnostką, przez całe życie pisał się Nassau i miał rację. »Jakiem prawem piszesz się pan: de Seingalt? — pytał Casanovę pedancki burmistrz norymberski: — wszak niema o tem ani słowa w pańskich papierach?« »Prawem alfabetu« — odparł zimno Wenecyanin. Jednak nie na wiele przydało się gołe książęce nazwisko bez książęcego majątku. Ubogi pseudo-Nassau, nie mając wielkich widoków w domu, we Francyi ani w Niemczech, po-

stanowił aż za morzami upolować trochę fortuny a przynajmniej rozgłosu. Zaciągnął się tedy na okręt Bougainvilla, wybierającego się właśnie w słynną podróż dokoła ziemi.

Wyprawy tego rodzaju były podówczas w modzie. Szukano nowych lądów i światów, aby gdzieś u dzikich wyspiarzy odnaleźć jakiś wymarzony ideał życia prywatnego i publicznego, zarazem niby dowód namacalny na rzecz »kontraktu społecznego« Jana Jakóba, oraz argument przyrodzony przeciw rozkładającemu się *ancien régime*. Szukano także nowej rozrywki towarzyskiej dla znudzonych gustów przeżywającego się wieku. Bougainville, Francuz typowy, był dobry marynarz i matematyk, ale był też wykwintny światowiec, bywalec salonów i Palais-Royalu; wybrał się w swoją podróż ryzykowną tyleż dla nauki i polityki, ile dla oryginalności i dowcipu, tyleż dla zbadania Oceanu Spokojnego i dokuczenia Anglikom, ile dla przywiezienia pięknym paniom paryskim nowego tematu konwersacyi. Ten kapitan fregaty Ludwika XV to był swego rodzaju »Loti« z przed stulecia, tylko w nierównie lepszym guście, nie kwapiący się do fotelu akademickiego ani do sentymentalnej prozy powieściowej, spisujący swoje przygody prosto, dokładnie, rzeczowo, zwięźle i dyskretnie. Nowość pomysłu, dzielność wykonania istotnie odrazu uczyniły go sławnym. Powrót jego po dwuletniej z górą wędrówce był prawdziwym tryum-

fem. P. de Voltaire zaraz wziął stąd asumpt do nieporównanej powiastki a p. Diderot do głębokiego dyalogu. Z podziwem oglądano przywiezionego przez Bougainvilla i oprowadzanego po salonach paryskich całkiem autentycznego i bardzo przystojnego młodego Tahityjczyka, który był tak swobodny z damami, jak wolteryński Hurończyk z piękną panną Saint-Yves, który tak ładnie wymawiał tahityjski czasownik »kochać«, i który nazywał się Aoturu. To wszystko było zachwycające. Bougainville i jego towarzysze byli bohaterami dnia. Owóż, jak największą część tego splendoru potrafił ściągnąć na siebie najsprytniejszy z tych towarzyszków, rozpoczynający karierę Nassau. Opowiadano cuda o jego zamorskich powodzeniach miłosnych, o jego romansie z ciemnoskórą królową Tahiti, która gdzieś na dalekim Oceanie opłakiwała teraz, jak Dydona, albo jak »Rarahu«, zbiegłego do Wersalu Eneasza. Opowiadano również cuda o jego zamorskich tryumfach myśliwskimi, o nadzwyczajnej mianowicie przygodzie, kiedy to »w Libijskiej ziemi Goszcząc, polował z królmi murzyńskimi, I tam tygrysa spisą w ręcznym boju zwałił, Z czego się bardzo książę ów Denasów chwalił«. Chwalił się bo chwalił reklamista pierwszorzędny. Nie pożałował nawet pieniędzy, których wszak nie miał do zbytku, aby głośnemu malarzowi kazać z wyobraźni uwiecznić ten epicki pojedynek z tygrysem. Jak tam było w rzeczywi-

stości, trudno orzec dokumentnie, gdyż innych świadków prócz Murzynów podobno nie było, w relacji Bougainvilla nic o tem niema, a zresztą, jak wiadomo, *a beau mentir qui vient de loin*. Tyle tylko wiemy napewno, że ów pogromca tygrysów wkrótce potem w najzwyczajniejszym pojedynku na szpady został szpetnie pocięty przez skromnego Ségura: możnaby więc raczej podejrzewać, że i w późniejszej potrzebie, gdyby nie celny strzał pana Wojskiego, mógłby bodaj skromny, lecz źle wychowany »dzik Nalibockich lasów« okazać się mniej zdrowym dla zamorskiego Nemroda, aniżeli srogie libijskie potwory.

Tymczasem jednak samą sławą australską czy afrykańską trudno było wyżyć w drogim Paryżu. Praktyczny Nassau pomyślał o jej zrealizowaniu. Ofiarował się rządowi francuskiemu z własną, nie geograficzną już, lecz zdobywczą wyprawą do Afryki, gdzie miał dla Francyi, w zamian utraciwiech Indyj, zawojować nowe kolonie, a dla siebie — tron dahomejski. Zaczął już nawet zbierać w tym celu własną legię. Naraz, pośród tych bajecznych projektów, wybuchła wojna prawdziwa. Francya, sprzymierzywszy się ze Stanami amerykańskimi, dobijającemi się niepodległości, stanęła w ich obronie do walki z Anglią. Natychmiast Nassau obrócił w tę stronę swój ferwor wojowniczy, ofiarując swoje usługi do zdobycia na Anglikach wyspy Jersey. Skończyło się na sromotnem

fiasco; przedsiębiorczy książę nie wziął ani korony dahomejskiej, ani wyspy angielskiej, ale czasu i zachodu nie stracił za darmo, gdyż, nasamprzód, łatwowiernym młodym szlachcicom bretońskim z góry za grube pieniądze wyprzedał fikcyjne szarże oficerskie w swojej legii, zaś następnie, zwerbowanych szeregowców po paręset liwrów od głowy odstąpił rządowi francuskiemu. Ta rola prostego wydrwigrosza i werbownika mniej zapewne była stosowna dla Aryostowego bohatera a nawet spowodowała na niego kłopotliwe procesy ze strony pokrzywdzonych naiwnych Bretończyków, ale, bądź co bądź, poprawiła jego finanse. Wtedy to, zamieszkawszy we wspiałym pałacu radziwiłowskim w Paryżu, uczynił intendentem swego majątku, t. j. swoich długów i pozwów sądowych, zdatnego do takiej funkcji człowieka, dowcipnego Beaumarchaisgo, który był wcale odpowiednim Figarem takiego Almavivy. Zresztą w Paryżu Nassau trzymany był zdaleka od dworu, gdzie młoda para królewska, skrupulatny Ludwik XVI i dumna Marya Antonina, nie okazywali żadnej ciekawości dla pseudo-książęcego awanturnika. Tem bliżej natomiast zeszedł się on z podziemną opozycją dworską, zbiegającą się dokoła nikczemnego kuzyna królewskiego, Filipa Orleańskiego, wnet Filipa Egalité, zięjącego śmiertelną nienawiścią dla króla a zwłaszcza dla królowej; zżył się i zaprzyjaźnił z godnem siebie towarzystwem Palais-Royalu, ze

stkiem doskonałych cyników moralnych i politycznych, którzy pod sztandarem: Orléansa, bez głębszego przekonania, bez żadnej myśli wyższej, prowadzeni samą tylko rodzinną i fakcyjną zawziętością przeciw domowi Bourbonów, przez samobójcze swoje knowania torowali drogę żywiołowej fali rewolucyjnej, mającej niebawem zmieść ich wszystkich wraz z podkopanym przez nich tronem.

W tym to czasie wypadło Nassauowi sprzęgnąć trafem swoje losy z dalekimi stosunkami polskimi. Stało się to w Spa, najmodniejszym wówczas miejscu kąpielowym, międzynarodowym punkcie zbornym wielkiego i pięknego świata, gdzie chmurny Alfieri spotykał się z pierwszą damą swego serca, gdzie dymisyonowany Repnin szukał z księżną Izabelą odetchnienia po trudach warszawskich, gdzie sentymentalny Lauzun rozkochiwał się w swojej polskiej bogdance. Tutaj poznał Nassau Karolinę z Gozdzkich rozwiedzioną Sanguszkową. Nie była ani piękna, ani młoda, ani mądra, ale bardzo podobna do niego, — jakby to grzecznie powiedzieć? — z niewybrednej imaginacyi i zabójczej wymowy. Mogli sobie oboje opowiadać bez końca rzeczy niestworzone. Ona jemu tłómaczyła swoje pochodzenie, jako Gozdzkiej, od królów gockich i powinowactwo z domem monarszym Wazów; on przed nią rozgadywał się o swoich dzierzawach nassauskich i powinowactwie z panującym domem orańskim. Jak się zdaje, wmówili

sobie nawzajem krezusowe majątki i sperandy. Pomylili się srodze oboje: ona z posagowych kilkadziesiąt tysięcy dukatów zdążyła już sporo rozrzucić na bruku paryskim; on posiadał obraz z tygrysem i imponujące długi. Tymczasem jednak w błogiem złudzeniu podążyli razem do Warszawy. Już dawniej dotarła była nad Wisłę egzotyczna sława Nassaua. Jeszcze przed kilku laty, zapewne przez pośrednictwo księdza Baudeau i Massalskich, król Stanisław August, mający szczególną predylekcyę i zęczność do zawieszania znaków orderowych polskich na piersiach najniedobrańszych, obdarzył był Nassaua Stanisławem. Obecnie zajął się król najczulej skojarzeniem związku szczęśliwej pary. Ślub odbył się w kaplicy na Zamku, brat królewski, biskup płocki, udzielił błogosławieństwa, król osobiście prowadził oblubienicę do ołtarza i wyprawił huczną biesiadę weselną w wielkiej sali zamkowej. Wieszcz oficjalny, Naruszewicz, uświetnił uroczystość pompatyczną odą: »Honor, szacunek (!) wszędzie dla Nassawa, Żonę mu sama mogła dać Warszawa«. Wtedy to wziął Nassau za żonę starą rudę po Lubomirskich i Tarłach nad Wisłą, by przebudować ją na wspaniałą pałac »De Nassau« i tym sposobem całej tej dzielnicy warszawskiej przyswoić zachowaną po dziś dzień, a nie najmilej brzmiącą po obcym awanturniku, nazwę Dynasów.

Jednak narazie, po tak świetnym wstępie we-

selnym, był on trochę w kłopotcie, jak utrzymać się dalej w Warszawie na tym dyapazonie wielkopiętnym. »Gocka« małżonka, owa, jak śpiewał poetyczny biskup smoleński, »Nimfa od jasnych wód bystrego Buga«, nie posiadała, jak się okazało, potrzebnej prozaicznej mamony. Z tem gorzkim przeświadczeniem wnet rzucił Nassau Warszawę, aby znowu szukać szczęścia za górami, tym razem aż za Pirenejami. Popędził do Hiszpanii, wziął udział w słynnym ataku na angielski Gibraltar, nie zdobył oczywiście twierdzy, ale okazał szaloną odwagę straceńca, i otrzymał od Karola III hiszpańskiego tytuł granda pierwszej klasy i sówite wynagrodzenie. Nie było ono wprawdzie tak bajeczne, jak zaraz rozgłosił Nassau na pocieszenie swoich wierzyieli; nie była to kwota milionowa »liwrów«, jak powtarza za nim biograf, gdyż naprawdę chodziło o skromniejszą walutę w realach, tj. pięć razy mniejszą od liwra, wartości mniej więcej naszej półzłotówki, zresztą nie w gotowiznie, lecz w ładunku okrętowym, więc napewno nie było to Peru. Zawszeć jednak, dzięki temu zasiłkowi, mógł się teraz trochę ogarnąć zbiedzony Nassau a zwłaszcza ponowić starania o legitymację w Sądzie Nadwornym wiedeńskim, gdzie wtedy bez protekcji, a szczególnie bez pieniędzy, niczego wskórać nie było podobna. Upragnionego celu wprawdzie nie osiągnął, legitymacji się nie dobił; lecz tyle przynajmniej skorzystał, że poznał i ugłaskał starego

kanclerza Kaunitza, prezentowany był urzędownie, w charakterze generała i granda hiszpańskiego, cesarzowi Józefowi II, i, co główna, dorwał się potrosze do zakulisowych robót wielkiej polityki, zawsze nadzwyczaj ponętnych dla bezdomnej rzeszy awanturniczej tego gatunku, a wtedy właśnie wyjątkowo ciekawych i obiecujących, w zachmurzonej dobie przechodniej pomiędzy przesileniem krymskiem a wojną turecką. Tutaj uczeplił się Nassau, bez przekonania, bez zdolności, bez żadnej zgoła myśli wytycznej, oprócz chyba myśli o zarobku i karierze, nietyle działacz polityczny, ile ruchliwy, natrętny owad, brzęczący nad uchem istotnych działaczy, prawdziwa *mouche du coche*, wirująca odtąd bez ustanku, na chybił trafił, pomiędzy Madrytem, Paryżem, Konstantynopolem, Wiedniem, Berlinem i Warszawą.

Na Warszawie, na Polsce, umyślił nasamprzód wypróbować swoje talenty i widoki męża stanu. Przemyślna jego głowa podniosła ważną istotnie sprawę spławności Dniestru, związaną w pewnej mierze z ówczesnemi staraniami, podjętymi przez rząd francuski koło ożywienia handlu lewantyńskiego. Nassau puścił się w dół Dniestru, przeprowadził dwie szkuty obładowane zbożem z Kamieńca do Akermanu, stwierdził, że dwa razy do roku, na wiosnę i jesień, spław dniestrzański mógłby regularnie być wyzyskiwany, sporządził wreszcie mapę hydrograficzną z dokładnym wy-

miarem głębokości od Uszycy aż do Benderu, doręczoną w dwóch egzemplarzach królowi oraz sejmikowi podolskiemu. Czacki Tadeusz, który w lat kilka ponawiał te wymiary, sprawdził zupełną ścisłość zdjęć hydrograficznych swego poprzednika. Sam Nassau, rzecz prosta, trudził się nietylko *pro publico bono*; spodziewał się on wyciągnąć stąd znakomite dla siebie korzyści, uzyskać monopol spławu Dniestrem, z jakichś niezmiernych lasów posagowych żony sprowadzać budulec aż hen do Barcelony, dla floty hiszpańskiej. Tymczasem występował w roli dobrodzieja Rzpltej i obywatelstwa miejscowego, obiecywał pomnożyć znakomicie dochody skarbowe i z bogacić w czambuł szlachtę województwa. Na rachunek tych zasług już na najbliższym sejmie grodzieńskim (1784 r.) przez Stanisława Augusta przedstawiony został do indygenatu. Niepodobna bez uśmiechu odczytać motywów tej uchwały sejmowej w *Voluminach legum*. »Jako prawem 1775... uznaliśmy użyteczność publiczną w dozwoleniu cudzoziemcom *majątnym* wnoszenia do ojczyzny naszej *fortun swoich*, tak i dzisiaj skłaniamy się chętnie do próśb nam uczynionych od... ks. de Nassau-Siegen«. Niema zapewne żadnego powodu dziwować się samemu udzieleniu indygenatu podobnej figurze. Wiadomo, jak hojnie szafowano w tym względzie za Stanisława Augusta. Wcześniej jeszcze dostali wtedy indygenat: Apraksin, Szerbatow, Kachowski, Potemkin,

Rumiancew, Michelson i wielu innych. Wszak na ogólną liczbę wiadomych około 1800 nobilitacy i indygenatów, przyznanych za cały czas trwania Rzpltej, połowa z górą, około tysiąca, przyznana była za jednego panowania Stanisława Augusta. Ale zabawnie doprawdy wygląda wyprowadzenie tej łaski w niniejszym przypadku z tytułu »majątności« i »fortuny« książęcego indygeny, który, jak lilia polna, żył z Opatrzności niebieskiej. Lecz za Stanisława Augusta niewiele się oglądano na podobne drobne nieścistości. Sam król od tej pory, odkąd uczynił Nassaua obywatelem Rpltej, uważał go za swoją wierną kreaturę. Posiłkował się nim odtąd w roli dość dwuznaczej. Posyłał go na wywiady do Puław do Familii Czartoryskich, sprzężonej wtedy z opozycją hetmańską przeciw dworowi. Wyprawiał go z kolei z denuncyacją na Czartoryskich do Wiednia, do cesarza Józefa. Używał go w skandalicznej aferze Dogrumowej. Próbował nawet, oczywiście bez skutku, wysunąć jego kandydaturę poselską na sejmiku podolskim (1786 r.) przeciw kuzynowi, księciu generałowi ziem podolskich, Adamowi Czartoryskiemu. Wreszcie dał mu największy dowód zaufania, a zarazem dał nowy dowód dziwnej swej lekkomyślności w wyborze sług swoich, powierzając w ręce obcego awanturnika sprawę wagi istotnie pierwszorzędnej, wyprawiając go mianowicie z misją dyplomatyczną do ówczesnego rządcy polityki rosyjskiej, do ks. Po-

temkina Tauryckiego, w chwili, kiedy między Polską a Rosyą najdonioślejsze dojrzewały zagadnienia, w przededniu zjazdu kaniowskiego i zwołania Sejmu Wielkiego.

Była to, w rzeczy samej, z najrozmaitszych względów, chwila przełomowa, zarówno dla stosunków polsko-rosyjskich, jakoteż dla powszechnej sytuacji europejskiej. Od lat kilku, od zjazdu Katarzyny z Józefem w Mohylowie i następnego aliansu austro-rosyjskiego, wyłonił się na światło dzienne ogromny, sięgający po Bizancyum, »grecki projekt« imperatorowej. Natychmiast zebrała stąd Katarzyna sute żniwo zdobyczy krymskiej i kubańskiej, kiedy natomiast Józef z próżnemi rękoma wciąż jeszcze wyczekiwał nadaremnie korzyści namacalnych z sojuszu rosyjskiego. Przewidywana wojna turecka miała wynagrodzić cesarza a zarazem zbliżyć urzeczywistnienie tytanicznych widozków cesarzowej. Tej to nowej kombinacji pragnął ucześcić się Stanisław August, gotując sejm walny warszawski, przymierze zaczepne z Rosyą, akces Rzpltej do najazdu na Portę, odgrzewając jeno tym sposobem stare swoje plany z przed ćwierci wieku, z którymi na tron był wstąpił, a które obecnie, pod koniec panowania, myślał uskutecznić przez protekcję Potemkina i zjazd z Katarzyną. Rzutki i wścibski Nassau, wężący wszędzie okazję do odznaczenia się i zarobku, skwapliwie podjęły się powierzonej sobie od króla misji przegot-

wawczej do Rosyi, względem wszystkich tych rzeczy wogóle a zjazdu kaniowskiego w szczególności. Miał on zresztą w tym kierunku utworowane sobie drogi przez żonę. Księżna Karolina nie była bowiem bynajmniej ową nieprzejednaną, zapaloną republikanką, za jaką wydadzą ją nazbyt wyrozumiali biografowie, a nie była taką ani ze swego usposobienia przeciętnej kosmopolitycznej damy owoczesnej w lichym raczej gatunku, ani też ze swoich tradycji rodzinnych. Ojciec jej, Stanisław Bernard Gozdzki, wojewoda podlaski, oddawna figurował na tajnej liście ambasady rosyjskiej w Warszawie ze stałą pensją 60.000 złp. rocznie, wypłacaną mu przez posłów Kayserlinga i Repnina; a po jego śmierci, uwzględniając natarczywe suppliki pozostałej po nim wdowy, Barbary Gozdzkiej, matki księżny Karoliny, polecono posłowi Saldernowi wypłacać jej i nadal ten datek. To też księżna Karolina, czy to w kraju czy zagranicą, ostentacyjnie deklarowała się ze swemi uczuciami podziwu dla cesarzowej Katarzyny i mogła służyć jedynie za żywą rekomendację swemu mężowi oraz ułatwiać mu wstępy w sferach rządowych rosyjskich. Z tej pomyślnej sytuacji potrafił w lot skorzystać sprytny Nassau. Dostał się on zaraz do wszechwładnego księcia Tauryckiego, umiał mu się przypodobać, trafił do samej cesarzowej, asystował w Kaniowie przy opłakanem spotkaniu dwojga dawnych przyjaciół, niby wysługiwał się

gorliwie królowi, paraliżował intrygi hetmańskie, dobadywał się sekretów Potemkina, odkrywał intencje Katarzyny, a tymczasem pośrodku, na stronie, półgębkiem, umieszczał pod adresem Stanisława Augusta małą prośbę o »pożyczkę« trzydziestu tysięcy talarów — talarów (*écus*), zauważmy nawiasem, nie złp., jak pisze względny biograf, który tutaj przecenił skromność nagabywań polskich swego bohatera, jak poprzednio przecenił wspaniałość jego nagród hiszpańskich. Zauważmy jeszcze, co dużo ważniejsza, że podobniez myli się tutaj optymistyczny biograf, kiedy roboty kaniowskie Nassaua przypisuje czystej jego życzliwości dla osoby królewskiej, a nawet wyraża przekonanie o »szczerości« Potemkina. W rzeczywistości Nassau po prostu pomagał Potemkinowi łudzić i tumanić Stanisława Augusta, co zresztą nie było wcale zbyt trudnem. Wogóle Nassau, jeśli służył tutaj komukolwiek, to, jak zwykle, jedynie samemu sobie. Pod pozorem służby królewskiej dobijał się on na własną rękę popłatniejszej kariery rosyjskiej. Uwijał się też w tym celu z całym, sobie właściwym, lokajskim sprytem, dworował i płaszczył się ponad wszelki wyraz. Już dawniej dla Kaunitza potrafił być jeźdźcą aż do Madrytu po oryginalną tabakę hiszpańską; teraz osobiście przywozi cesarzowej suczkę »Heureuse« z Warszawy, a Potemkinowi własnoręcznie w kuchni gotuje obiad i przyrządza smakołyki. Jest

wprost oślepiony widokiem sześćdziesięcioletniej imperatorowej: »Jej twarz tak jest imponująca, że aż onieśmiela... mimo całego majestatu ma w sobie dużo łagodności, przytem ze ślicznych oczu widać wielką szczerłość duszy, dźwięk jej głosu jest miły, a słodki wyraz spojrzenia budzi zaufanie«.

Talenty kuchmistrzowskie błędnego rycerza Zachodu i estetyczne jego zachwyty nie pozostały bez zasłużonej nagrody. W wybuchłej niebawem wojnie tureckiej otrzymał on dowództwo nad flotą wiosłową rosyjską i zaraz na wstępie, śmiałym atakiem na Kapudana-paszę, szczęśliwie rozbił w Limanie okręty tureckie. Zwycięstwo zapewne nie było zbyt trudne: wszak ówczesne walki rosyjsko-tureckie to była, jak mawiał stary Fryderyk, wojna jednookich ze ślepyimi. Zawsze jednak to łatwe zwycięstwo opromieniło nowym blaskiem rycerską postać bohatera Libii i Gibraltaru. Dostał zaraz godność wiceadmiralską, łańcuch św. Jerzego i sporą liczbę, bo aż 3000 dusz białoruskich. Wyśpiewał go zaraz z tego tytułu łatwy do rymu szambelan Trembecki, z jeżem go porównał a Turka z psem, ba! na najwyższą nutę polityczną nastroił swą lutnię z powodu tryumfu indygeny polskiego w Limanie czarnomorskim. »Szczęście to, albo raczej mądrość Katarzyny Przyciąga zacnych mężów przez waleczne czyny. Prawdziwą wielkość duszy któż posunie dalej? Żaden od niej monarcha nie myśli wspanialej... Nassau, bitnych Pola-

ków bracie znamienity, Twojej nowej ojczyzny pomnażaj zaszczyty!« Rym dobry, jak zawsze u Trembeckiego, równie dobry, jak np. w odzie na Repnina; treść jednak nawet w ówczesnej dobie musiała wzbudzić niesmak i wywołać odprawę. Udzielił zaraz takiej odprawy inny, anonimowy poeta, w którym najchętniej wolelibyśmy domyślić się Zabłockiego, i skarcił surowo pochlebcę, nie pożądał Nassaua, upomniał się o pamięć dla swoich własnych raczej spraw i ludzi, raczej dla ks. Józefa aniżeli dla obcego włóczęgi. »Liman twój wpadł mi w ręce; pomyślałem sobie: Chwalił też Erazm głupstwo, lecz w innym sposobie. Bo pytam: przez cóż tedy pomnożył zaszczyty Ten indygena naszej Rzeczypospolitej?... Wierzę, że awanturnik, aby zostać panem, Raz leci pod Gibraltar, drugi pod Limanem. Cóż straci, jeśli zginie z zuchwałego kroku? Księżstwo? Ależ go nie ma syn lewego boku... Był w wojsku Poniatowski, został ranny, zaczem Przynosi Polsce zaszczyt męstwo pod Sabaczem. A Nassau cóżby wskórał z śmiałego zapędu?« Gorszy tu może rym, niż pana szambelana, ale napewno sens dużo lepszy.

Od laurów wojennych przedsiębiorczy Nassau wnet przerzucił się ponownie do trudów dyplomatycznych. Tym razem założył sobie wystąpić już nie w roli skromnego agenta pomiędzy Warszawą a Petersburgiem, lecz opatrnościowego pośrednika pomiędzy Zachodem a Wschodem. Położenie dwóch

cesarskich sojuszników, Katarzyny i Józefa, nie było wtedy najświetniejsze. Wojna turecka szła jak z kamienia; Porta broniła się twardo, ponad wszelkie spodziewanie; skonfundowani sojusznicy wyczerpywali swoje siły; tymczasem podnosiła się na nich od tyłów groźna nieprzyjacielska dywersja wypoczętych, zbrojnych Prus. Prusy Fryderyka Wilhelma II, sprzymierzone z Anglią, Holandją, Szwecją, zaczęły właśnie wiązać się z dzielnie broniącą się Turcją, a już szły zarazem ku przymierzcu z mężniejszą Polską Wielkiego Sejmu. Rzeczą było nieodzowną, nagłą, rozproszyć na wszelki sposób, lub przynajmniej pohamować tę wieloramienną groźbę koalicyjną pruską. W tym celu, obok innych środków ochronnych, wpadnięto w Petersburgu na sprytny pomysł, ażeby przeciw związanej z Anglią niebezpiecznej grze pruskiej zużytkować wpływy naturalnej współzawodniczki angielskiej — Francji. Była jednak w skutecznieniu tego zręcznego pomysłu trudność niemała. Francja, będąc także naturalną opiekunką Porty Otomańskiej, od samego początku była śledziła z najwyższym niepokojem tureckie plany podziałowe Józefa i Katarzyny. Roztropny kierownik polityki zagranicznej francuskiej, minister Vergennes, nie przestawał w tym względzie posyłać pod adresem Petersburga, a zwłaszcza Wiednia, najmocniejszych ostrzeżeń i protestów. Ale cesarz Józef, zapalony, zaślepiony, nie zrażał się niczem, nie wątpił

o niczem, sam prowadzony na pasku cesarzowej, spodziewał się tedy pociągnąć za sobą i Francję, używał wszelkich w tym celu sprężyn w Paryżu, kusił gabinet wersalski obietnicą Egiptu ze wspólnej tureckiej zdobyczy, przedewszystkiem zaś dla swoich szalonych widoków politycznych wyzyskiwał nielitościwie swoją biedną siostrę, nieszczęsną królowę Maryę Antoninę, i tym sposobem już z góry gubił ją w zdrowej opinii publicznej francuskiej, solidaryzując płochą i niedoświadczoną kobietę ze swoim fałszywym rachunkiem politycznym i wyciskając na niej to nienawistne piętno »Austryaczki«, które miała przypłacić głową. Następca Vergenna, mniej wytrawny Montmorin, zaczął ulegać natarczywości Józefa, a sama biedna Marya Antonina, ustępując gwałtownym namowom starszego brata, poczyniała wyrzekać się swoich osobistych, kobiecych »uprzedzeń«, jakie żywiła do jego sojuszniczki.

W ten to sposób, w samym przededniu wybuchu wojny tureckiej było nastąpiło niejakię zbliżenie rosyjsko-francuskie. Gorącym poplecznikiem i wykonawcą głównym tej dziwnej kombinacji został poseł francuski w Petersburgu, lekkomyślny Ségur, ongi przeciwnik w pojedynku, teraz zażyły przyjaciel naszego Nassaua, którego też tutaj odnajdujemy przy robocie, maczającego ręce w tej niezdrowej intrydze. Udało się było Ségurowi, przed samą podróżą kaniowską, dobrym stosunkom

wzajemnym dać wyraz dotykalny w traktacie handlowym francusko-rosyjskim, który zresztą pozostał martwą literą, skutkiem niebawnego zamknięcia portów czarnomorskich z chwilą wybuchu wojny tureckiej. Owóż obecnie, pośrodku kłopotów wojennych a wobec nawisłej chmury pruskiej, sprytny Bezborodko wrócił ponownie do czułości francuskich i zaproponował wprost już sojusz polityczny, trójprzymierze Rosyi, Austryi i Francyi, skierowane nietylko przeciw Prusom i Anglii, lecz oraz przeciw pozostałym sekundantom pruskim, przeciw Turcyi, Szwecyi i Polsce, to jest właśnie przeciw trzem głównym dotychczas, odwiecznym przyjaciołom i protegowanym francuskim. Myśl zbyt była dzika, zbyt przeciwna najelementarniejszym wskazaniom interesu politycznego francuskiego, ażeby mądry Bezborodko mógł ją brać istotnie na seryo, ażeby doprawdy mógł wierzyć w jej urzeczywistnienie: ale sama już negocjacya tego rodzaju była ze wszechmiar pożądana, jako skuteczny środek zastraszenia Prus, powstrzymania wojowniczych zapędów Fryderyka Wilhelma. Nie zrozumiał tego Ségur, wziął rzecz całkiem na seryo, i z całą naiwnością i zapałem rozpoczął te kompromitujące rokowania, przy pomocy takiego godnego partnera, jak nieoszacowany Nassau. Są też w tej niezwyklej negocjacyi szczegóły zaiste nieoszacowane.

Do takich np. szczegółów należy pocieszny epizod,

kiedy Ségur, dla przekonania cesarzowej o nieograniczonym dla niej zaufaniu dworu wersalskiego, odważył się na własną rękę na krok niepraktykowany, niedozwolony: posłał jej przez Nassaua swoje oryginalne depesze cyfrowane, otrzymane z Wersalu, odsłaniając w ten sposób sekret stanu, swoją cyfrę urzędową, gdyż łatwo było stąd dostać się do klucza, odnotowawszy po prostu parę wyrazów. Sam Ségur z serdecznym wzruszeniem opowiada w swoich Pamiętnikach o tym rycerskim a ryzykownym swoim kroku i o szlachetnym sposobie, jak mu za szlachetną ufność odpłacono. Opowiada mianowicie piękną scenę, kiedy wysłany przez niego Nassau, którego miał za swego wiernego Pyladesa i którego lojalności widocznie święcie dowierzał, w gabinecie cesarzowej, na cztery oczy, pokazuje jej drogocenne depesze. Cesarzowa objawiła głębokie rozczulenie. »Nie wychodź księżę, nie wychodź! — zawołała do Nassaua; — nie chcę ani chwili zostać sama!« — ażeby nie być posądzoną o odnotowanie cyfry. Czytała papiery długo i uważnie, poczem znów zawołała, oddając Nassauowi depeszę: »Biegnij, księżę, czempredziej do hr. Ségura i powiedz mu, że póki żyję, nie zapomnę jego szlachetnego zaufania; zna mnie on lepiej, niż sądziłam; to też dowiodę mu, że tego zaufania godna«. Tyle Ségur, oczywiście wedle relacji, przyniesionej mu przez Nassaua, a wziętej przez niego dosłownie za dobrą monetę. Otóż, co w tem

wszystkiem wyda się zapewne dość pociesznem, to następująca okoliczność. Cesarzowa w owym czasie miała oddawna w ręku klucz do cyfry korespondencji Ségura i oddawna przez perlustrację odczytywała codziennie jego depesze, o których ze zjadliwym przekąsem odzywała się w rozmowach z przybocznym sekretarzem swoim, Chrapowickim. Dodajmy na dobitkę, że jakkolwiek nie posiadamy namacalnych po temu dowodów, skłonni przecie jesteśmy do nader prawdopodobnego przypuszczenia, iż Pylades-Nassau, wice-admirał rosyjski, blisko już wtedy wtajemniczony w sprawy zakulisowe dyplomacji petersburskiej, musiał co najmniej domyślać się tej ciekawej okoliczności, o ile nawet sam raczej swego czasu nie ułatwił przystępu do odcyfrowania korespondencji swego przyjaciela. W każdym razie ten drobny epizod rzuca światło wcale charakterystyczne na całą osobliwszą negocjację niniejszą, będącą wybitnym etapem w dalszej karierze naszego bohatera.

W rzeczy samej Nassau, do spółki z prostodusznym Ségurem, nie przestawał trudzić się dalej w najlepsze nad *grande affaire*, nad onym bajecznym trójprzymierzem rosyjsko-austro-francuskim. Jednakże, jak było do przewidzenia, wzdrygnięto się w Paryżu przed ostatecznym wykonaniem jawnej niedorzeczności politycznej: znaleziono sobie grzeczną wymówkę, żądając włączenia do projektowanego przymierza, jako czwartego kontrahenta,

króla hiszpańskiego. Ale Karol IV i jego minister Florida Blanca objawili mocne skrupuły, nie chcieli łączyć się z Rosyą przeciw Turcyi i Polsce. Sama Marya Antonina, już wśród odgłosów burzy rewolucyjnej paryskiej, zawahała się ponownie, wracając do dawnych zakorzenionych swoich »uprzedzeń« osobistych. Zawód bardzo był nie na rękę usłużnemu pośrednikowi. Rzucił się też na wszystkie strony gorliwy Nassau, aby przełamać te przeszkody i wstręty. Niestrudzony wojażer w początku 1789 r. stawił się w Madrycie i Wersalu z misyą poufną rosyjską, jako wymowny głosiciel onej »wielkiej sprawy« sprzymierzeńczej. Wszystkie te trudy były daremne. Nastąpiło wzięcie Bastylii: sprawy Zachodu wzięły obrót zgoła nieprzewidziany, i nie mogło być dłużej mowy o skojarzeniu ich ze sprawami Wschodu. Dał na razie za wygraną Nassau, powrócił na posterunek wschodni, a zarazem od niewdzięcznej dyplomacji znowuż powrócił, na swoje nieszczęście, do niewdzięczniejszej jeszcze dla niego sztuki wojennej.

Nim tedy dalej podążymy w jego ślady, nie możemy nawiasowo nie podnieść na tem miejscu, że dzisiejszy dobroduszny jego biograf polski, złudzony rycerskością swego paladyna, wszystkie rzeczy powyższe zrozumiał i oddał wprost naopak. »Dochodziło już do tego, — pisze dosłownie — że rozjątrzona cesarzowa chciała użyć siły zbrojnej, aby przeszkodzić obaleniu dawnego porządku,

a raczej nieporządku w Polsce... Ledwo że się udało Nassauowi powstrzymać ją od kroków nieprzyjacielskich. Godziła się (Katarzyna) na poczwórne przymierze, co większa, gotowa nawet była na gwarantowanie wspólnie z Francją całości i niepodzielności Rzeczypospolitej«. Wypadałoby z tego, że poczciwy Nassau, pracując nad onem zbawiennym potrójnym czy poczwórnym przymierzem, pracował właściwie dla dobra Rzpltej działał jako prawdziwy patriota polski.

Owóż, niestety, rzeczy miały się wprost naopak. Cała niniejsza negocjacja sprzymierzeńcza, jak zaznaczyliśmy, miała jedynie na widoku osłonięcie do czasu flanki rosyjskiej od strony Prus, wiążących się właśnie sojuszem z Polską Sejmu Wielkiego; a tem samem miała przedewszystkiem na celu zabezpieczenie i ułatwienie niebawnej rozprawy odwetowej z Rzpltą. »Gwarancya«, o której podczas tych rokowań pisał Bezborodko, ścierała się do nietykalności terytorium polskiego nie ze strony Rosyi, lecz ze strony Prus, dla zapobieżenia tym sposobem sojuszowi polsko-pruskiemu, opieranemu pierwotnie na cesyi Torunia i Gdańska; zarazem zaś, co główna, obejmowała nietykalność starej formy rządu w Polsce, czyli innymi słowy, mieściła już z góry doszczętne zniweczenie reform sejmowych warszawskich. W istocie więc rzecz tak się miała, że patriotyczny rzekomo Nassau-negocjator, świeży indygena polski, protego-

wany królewski, przeciwnik hetmański, wyprzedzał tutaj poprostu dyplomacyę targowicką, godził w sam rdzeń robót Sejmu Wielkiego.

Było to zresztą całkowiec w porządku rzeczy. Kondotyer, zmieniający służbę stosownie do okoliczności, w owej chwili był sługą imperatorowej i zwalczał jej nieprzyjaciół. Przed chwilą zwalczał był Turcyę. Niezadługo gromić będzie Polskę. Na razie, w przerwie między jedną a drugą czynnością, obrócił oręż przeciw Szwecyi.

Właśnie wtedy, w najniegodniejszej porze dla Katarzyny, zajętej walką turecką, groźbą pruską, kłopotami polskimi, wybuchła zniecka wojna szwedzko-rosyjska. Gustaw III, który przed laty kilkunastu, w tym samym czasie, kiedy dzielono Rzpltę, śmiałym zamachem wewnętrznym był uratował Szwecyę od podziału, postanowił obecnie wyzwolić ja i zabezpieczyć zupełnie przez odważny zamach zewnętrzny, uderzając zbrojnie na obywatelną imperatorową. Chciwy sławy Nassau pośpieszył wymówić dla siebie dowództwo nad flotylą wiosłową rosyjską na Bałtyku. Nie ograniczył się walką orężną, lecz nadto, dla przypodobania się swojej pani, chwycił za pióro, i na sposób bohaterów nie Aryosta ale Homera, dogadujących sobie przed bitwą, wystosował do Gustawa pismo otwarte, gdzie króla szwedzkiego, jak wiadomo, szczególnie nienawidzonego przez Katarzynę, zjadliwą i bezczelną obrzucił inwektywą.

Nieprzyzwoita napaść doczekała się natychmiast zasłużonej odprawy: zacny Engeström, poseł szwedzki w Warszawie, ogłosił w imieniu Gustawa pieprzną odpowiedź, nielitościwie karcącą czelne wystąpienie zarozumiałego awanturnika. Aliści sroższa nierównie kara czekała zarozumialca. Po rozpoczęciu kroków wojennych na wodach bałtyckich, w pierwszej kampanii szwedzko-rosyjskiej 1789 r., operował on wcale pomyślnie przeciw okrętom księcia Sudermańskiego; lecz zaraz w następnej, kiedy spotkał się oko w oko z główną flotą królewską i kiedy już zapowiadał cesarzowej w tryumfujących biuletynach, że samego Gustawa osaczył bez ratunku i że go żywcem, niewolnikiem, sprowadzi do Petersburga, — nagle sam, niespodzianie zaatakowany przez króla szwedzkiego, sromotną i doszczętną ponosi porażkę. Cesarzowa pośpieszyła zawrzeć pokój ze Szwecją, nie wystawiając więcej na próbę talentów wojennych Nassaua; okazała mu zresztą wiele pobłażania, oszczędziła wymówek za doznaną klęskę, wyraziła nawet spółczucie i uznanie dla jego waleczności osobistej, podarowała mu ciepły szlafrok i tytuł admirała. Jednakowoż karyera orężna admirała w szlafroku, a bez floty, była skończona: odtąd wypadło mu już na zawsze zawiesić na kołku szpadę i bardziej pokojowym przemysłem przebijać się dalej przez świat i życie.

Skonfundowany wojownik powrócił mianowicie

do bezpieczniejszego przemysłu dyplomaty. Najbliższej okazji dostarczyły mu dojrzewające sprawy polskie, zbliżający się już obrachunek cesarzowej z oporną Rzpltą. Uczony Bartoszewicz, wyprowadzony w pole szlachetnemi pozorami Nassaua i lokujący go najniepotrzebniej wśród »znakomitych mężów polskich«, z gruntu fałszywie ocenił jego uczucia i działania w owej chwili krytycznej. »W ruchu, jaki wywołał w Rzpltej Sejm Wielki, ks. de Nassau poczuł wyraźnie w sobie, że serce jego biło«. Ani słowa w tem prawdy. Kiedy na wiosnę 1791 roku zaczęły się w Warszawie przygotowania do przewrotu Trzeciego Maja i kiedy jednocześnie zanosilo się na wybuch wojny zaczepnej ze strony Prus i Anglii przeciw Rosyi, działał wówczas Nassau jako jeden z najgorliwszych i najruchliwszych agentów imperatorowej. Wtedy to, między innymi, dla odparcia ofensywy angielskiej, przedstawił on cesarzowej ciekawy swój projekt wyprawy rosyjskiej do Indyi przez Bucharę i Kaszmir, celem wypędzenia stamtąd Anglików i przywrócenia Wielkiego Mogoła pod protekcją rosyjską, — godny uwagi pierwowzór wielu projektów analogicznych z doby znacznie późniejszej. Wtedy także, zaraz po zapadnięciu uchwały majowej warszawskiej, posłany był latem 1791 r. przez cesarżową do Drezna, dla odmówienia elektora od przyjęcia ofiarowanej przez Sejm domowi saskiemu sukcesyi korony polskiej.

Załatwiwszy się z tą misją drezdeńską, w lutym 1792 roku wrócił na krótko do Petersburga, skąd znowu już w maju t. r. wysłany został z misją tajną od cesarzowej do kwatery głównej emigrantów francuskich w Koblencji. Dostał na drogę 20.000 rubli, znaczne też zawiózł subsydyum dla książąt francuskich, towarzyszył im i Prusakom w niefortunnym na Francję najeździe, w haniebnej wyprawie do Szampanii. Już wtedy, w lipcu t. r., układał się w Koblencji z Bischoffwerderem, osławionym faworytem króla pruskiego, względem ewentualności nowego podziału Polski, a mianowicie »cesyi przez Polskę takich okręgów, które mogłyby przydać się do zaokrąglenia dzierżaw« rosyjskich. Te rokowania podziałowe kontynuował następnie w Luksemburgu, w październiku t. r., ze specjalistą od spraw polskich, byłym posłem pruskim w Warszawie, Lucchesinim. Niepoprawny aferzysta wdawał się zresztą równocześnie w najciemniejsze intrygi poboczne, ofiarował nawet swoje usługi rewolucyjnym patryotom holenderskim, powołując się na swoich »przodków« orańskich i obiecując »przypomnieć prawdziwym Batawom imię Wilhelma I«. Zimą 1792 roku spędził w Berlinie, gdzie wszedł ostatecznie w najzażyłsze stosunki z najbliższym i najnikczemniejszym otoczeniem Fryderyka Wilhelma II, a mianowicie przede wszystkim na rachunek usług w sprawie dojrzewającego nowego rozbioru Polski. Po zwycię-

stwie Targowicy istotnie zjawił się znowu w Warszawie, latał stąd do Grodna i Petersburga, nie zdołał jednak, jak się zdaje, wiele zarobić na drugim podziale Polski. Jego położenie materialne było w tym czasie bardzo nieosobliwe, a moralne wprost spadło do poziomu najbrudniejszych sposobów i wysług rycerza przemysłu i denuncyanta. Tak np. złakomiwszy się na znaczną fortunę młodego hr. Rostopczyna, próbował złowić go w sidła i za pomocą jakichś szczególniejszych fortelów, wedle własnych słów Rostopczyna, *«un procédé infâme, un tour affreux»*, wydać za niego podstępem swoją córkę nieprawą. Od Rostopczyna również dowiadujemy się, że światły guwerner młodych W. Książąt, Aleksandra i Konstantego, życzliwy przyjaciel Polski, zacny Laharpe, został u Katarzyny zadenuncyowany przez Nassaua, który wykrył zbyt jakoby liberalną korespondencję jego ze Szwajcaryą; obrzydliwy szczegół, w zupełności potwierdzony skądinąd przez świadectwo samego Laharpa. Na takich to, niekoniecznie rycerskich praktykach podupadły rycerz Okrągłego Stołu pędził w tym czasie żywot mizerny na bruku nadniewskiej stolicy.

Wkrótce potem trafiła się Nassauowi pożądana sposobność podźwignięcia się na chwilę z tej pokątnej mizeryi stołecznej i wydostania się znowu na szersze horyzonty polityczne. Sposobności tej dostarczyła mu raz jeszcze Polska, druga jego oj-

czynna, pod postacią powstania Kościuszki. Warto posłuchać, jak ówczesną rolę Nassaua wyobraża sobie dzisiejszy jego polski biograf-idealista. »Choć w Petersburgu, choć pod bokiem imperatorowej i związany z nią swemi dla niej obowiązками wdzięczności, patrzył de Nassau zapewne równie życzliwym okiem na Polskę, a bodaj, że nawet życzliwiej, bo nie zapominał nigdy, jak chętnie przygarnęła go Rzplta, uznając za swego obywatela. Zresztą, już sam nigdy i niczem niezachwiany patryotyzm księżny Karoliny (!) stanowił spójnię między Nassauem a Polakami. Iść do insurekcji i walczyć przeciw imperatorowej nie mógł, choćby pragnął, ale tem mniej nie przechodziło mu przez głowę stanąć na czele jakiegoś rosyjskiego korpusu i przelewać krew polską. Zdawała sobie z tego sprawę Katarzyna i ani jednym słowem nie wyraziła zamiaru użycia Nassaua przeciw Polsce. Najlepiej zaś o nim świadczyło, że, wiedziony jakąś delikatnością uczucia dla żony, a może dla samej Polski, czuje, że sam jego pobyt w Petersburgu byłby pewnego rodzaju uchybieniem przeciw Rzpltej. I dlatego to wyjechał Nassau z początkiem insurekcji z granic Rosyi, wystąpiwszy ze służby rosyjskiej i złożywszy wszystkie godności i tytuły, długoletniemi zabiegami zyskane«. Ani słowa: tak musieli czuć i postępować szlachetni towarzysze Orlanda, honorowi kawalerowie Aryosta. Jest w tem niewątpliwie wysoka podniosłość przeciwnych mo-

tywów, jest subtelna dystynkcya sprzecznych poruszeń duszy, jest prawdziwa poezya. Co się jednak tycze poziomej prozy, t. j. rzeczywistego postępowania Nassaua, to przedstawia się ono w nieco odmiennym, mniej poetycznym kształcie.

A mianowicie, jeszcze w grudniu 1793 r., upętomocniony własnoręcznem pismem cesarzowej, wysłany został Nassau do Berlina dla najpoufniejszych rokowań względem ostatecznego załatwienia się ze sprawami polskimi. »Wobec pełnego zaufania, które dla niego (Nassaua) żywię — pisała cesarzowa do Fryderyka Wilhelma II, — a które on umiał również zaskarbić sobie u W. K. M., poruczyłam mu zostać organem zarówno osobistych moich uczuć dla W. K. M., jakoteż moich poglądów na stan spraw politycznych, przyczem w razie potrzeby, uzupełni on to, co nie mogło być wyrażonem pisemnie«, t. j. uzupełni wyjaśnienia w sprawie aktualnych rokowań rozbiorowych polskich. Temi to rokowaniami odtąd zajęty był Nassau w Berlinie. Poseł angielski przy dworze pruskim, Harris, który go wtedy widział przy robocie, tak go opisuje: »Nazywa się on *habitant du monde*, uważają go wprawdzie za Prusaka, lecz naprawdę nie należy on do żadnego kraju, jestto po prostu awanturnik... Jestem w kłopotcie, co o nim powiedzieć. Wedle francuskiego przysłowia, nic nie jest tak podobnem do uczciwego człowiek, jak sprytny szubrawiec«. Tutaj też, w Berlinie, natychmiast po

wybuchu krakowsko-warszawskim, w początkach maja 1794 r., miał sobie następnie Nassau powierzoną tajną negocjację dyplomatyczno-militarną, celem ułożenia szczegółów wspólnej akcji wojennej prusko-rosyjskiej przeciw Kościuszcze. Miał on zarazem napędzać Prusaków do niezwłocznej interwencji zbrojnej i bacznie śledzić wszystkie ich kroki w Polsce. Umiał istotnie wpłynąć na przyspieszenie decyzji Fryderyka Wilhelma i pierwszy dostał języka o jego zamiarze udania się osobiście na pole walki nad Wisłę. Pierwszy też, wprost z Berlina popędziwszy do obozu rosyjskiego w Łowiczu, przywiózł stropionemu Igelstromowi pewną wieść o wymarszu samego króla pruskiego: i ta to właśnie ważna wiadomość, przywieziona przez Nassaua, według świadectwa kwatermistrza rosyjskiego, generała Pistora, bezpośrednio spowodowała natychmiastowe połączenie się Denisowa z Prusakami, które z kolei spowodowało klęskę szczekocińską. Wtedy również, wedle zgodnych świadectw Goltza, Zawadowskiego i Bezborodki, przywiózł Nassau do Petersburga pierwsze pismo Fryderyka Wilhelma do Katarzyny, z pocieszającym oświadczeniem o sprzymierzeńczej interwencji pruskiej przeciw powstaniu. Przez cały czas trwania operacji wojennych pośredniczył on stale pomiędzy gabinetem petersburskim a kwaterą główną pruską, latając bez ustanku tam i z powrotem pomiędzy Nową a Wisłą, bardzo wytrzymały kurjer,

bardzo sprytny agent wojskowy, bardzo czynny negocjator polityczny, wszystko co chcecie, tylko nie błędny trubadur, ani też polski indygena.

W tych to dniach mianowicie, latem 1794 r., wydarzył się także pewien mały epizod, dość romantyczny, gdzie właśnie Nassauowi wypadło odegrać rolę wprawdzie podrzędną, lecz wcale charakterystyczną, choć znowu bynajmniej nie w stylu messer Aryosta. Bohaterem i opowiadaczem tego epizodu jest książę Eustachy Sanguszko, wtedy generał-major u boku Kościuszki. Znajdował się on w oblężonej Warszawie wkrótce po jej osaczeniu przez Prusaków. A miał w Krakowie osobę bardzo kochaną. Naraz dowiaduje się, że piękna Julia śmiertelnie zasłała, że jest bez nadziei życia. Zrozpaczony kochanek odwołał się do czułego serca Kościuszki, otrzymał zaraz krótki urlop, przedostał się w przebraniu przez placówki pruskie, i robiąc po mil kilkanaście na dobę, popędził konno do Krakowa. Kraków był już wtedy w rękach nieprzyjacielskich. Szalona wyprawa Sanguszki była tembardziej ryzykowna, że był on poprzednio oficerem rosyjskim, figurował jako brygadyer i dowódca pułku kinburskiego dragonów, a więc w razie pochwycenia mógł być rozstrzelany prosto z mostu. Tymczasem przebrany wchodzi do Krakowa, wpada do mieszkania bogdanki i dowiaduje się od starego sługi, że właśnie wyprowadzono jej zwłoki i złożono w grobach kościoła Panny Maryi.

»Chciałem ją jeszcze raz widzieć... Mało znałem Kraków, pytam o miejsce, gdzie złożony skarb mój najdroższy... Opłaciwszy dziadów kościelnych, wszedłem do grobu i kazałem, żeby mi nie przeszkadzano, póki znać nie dam... Podniosłem wieko od trumny. Słaby promyk dzienny oświecił śliczną jej twarz i tę gracyjną kibić, nie mającą nic równego na świecie. Blandość zmieniła jej zwykłą cerę, zresztą wydała się żywą, tylko uśpioną. Wołałem ją po imieniu, najtkliwszemi budziłem zaklęciami... Ratują mnie słudzy kościelni, wychodzę bez przytomności... Puściłem się przez Stradom na Kazimierz, do mostu podgórskiego... kiedy postzegam, jak wprost przeciw mnie jedzie jakiś rosyjski generał; przypatruję się lepiej: znam go, to księżę de Nassau, ten sam urwisz i awanturnik, cośmy mu dali indygenat polski. Już miałem w bok dać kominka, ale, jak się domyślam, musiał być uprzedzony o mojej bytności, jako z domami polskimi zażyły, bo mnie poznał i krzyknął na gapiących się rosyjskich żołnierzy: *»Łowił' jowo, eto miateżnik!«* Widząc, że to nie przelewki, kopnąłem się z miejsca... utworowałem sobie drogę do mostu, który przeleciałem w największym pędzie... mijam bramę, staję w Galicyi«.

Dodajmy zresztą, że cesarzowa Katarzyna następnie w zupełności ułaskawiła ks. Sanguszkę. Bądź co bądź, wyznać należy, że w epizodycznym oświetleniu niniejszem występuje z zupełną wyra-

zistością znana nam już niezgorzej prawdziwa psychologia dzielnego spółzawodnika »Rinaldów lub Ruggierów«, rycerskiego księcia Denasów.

Nassau, jak rzekliśmy, uczestniczył osobiście w kampanii prusko-rosyjskiej przeciw powstaniu, aż do samego końca. Przy oblężeniu Warszawy, mając przy sobie jako adjutanta przybocznego Mikołaja Nowosilcowa, asystował w charakterze urzędowym ze szczególną misją wojskowo-polityczną. Miał sobie mianowicie polecone powstrzymać zřęcznie Prusaków od zbyt energicznych działań i opóźnić dostanie się stolicy w ich ręce, aby tym sposobem Suworow mógł jeszcze na czas nadążyć i wziąć miasto szturmem w imieniu imperatorowej. Cel ten, jak wiadomo, szczęśliwie został dopięty. Sam Nassau w tym czasie usilnie starał się u cesarzowej o otrzymanie dowództwa nad czynnym korpusem rosyjskim przeciw Kościuszce, lecz Katarzyna nie miała widocznie zbyt dużego zaufania do talentów wojskowych byłego niefortunnego admirała, a w dodatku podejrzewała go, zapewne nie bez powodu, że sprzedał się Prusakom: tak więc dowództwo otrzymał Fersen; biedny Nassau musiał zadowolić się bezpieczniejszą ale skromniejszą rolą negocyatorską. Istotnie, po zdobyciu Warszawy, pośredniczył on jesienią 1794 r., wspólnie z Alopeusem, posłem rosyjskim w Berlinie, w rokowaniach podziałowych prusko-rosyjskich i prowadził najtajniejszą cyfrę w tej sprawie pomiędzy gabine-

tem petersburskim a berlińskim. Jednakowoż, pomimo tylu zabiegów i wysług, znowu nie zrobił interesu na trzecim podziale Polski, wnet zepchnięty na drugi plan przez fortunniejszych spóźzawodników, którzy negocjację rozbiorową doprowadzili do końca i zebrali z niej owoce. Otrzymał nawet dymisyę na własną prośbę, podobno skutkiem rozżalenia, iż postponowany był na rzecz Fersena, ale otrzymał ją teraz dopiero, w listopadzie 1794 r., z zachowaniem »pełnej pensyi« (*soderżanija*), a nawet bez przerwania swoich tajnych funkcji negocyatorskich. Przykry ten zawód wynikał zresztą ze zmienionej sytuacji przy dworze petersburskim. Nassau należał jeszcze do ludzi nieboszczyka Potemkina; w owym zaś czasie, po zgonie księcia Tauryckiego, stali u steru Zubowowie i ich stronicy, spychający dawnych Potemkinowych adherentów. Raz jeszcze, w grudniu 1795 r., zgłaszał się w Petersburgu Nassau z prośbami do cesarzowej, lecz, jak się zdaje, wskórał niewiele. Niezadługo, po śmierci samej cesarzowej, gorsze jeszcze czasy nastąpiły dla Nassaua za rządów Pawła I, który, jak wiadomo, z zasady okazywał niełaskę faworytom poprzedniego panowania a zwłaszcza kreaturom Potemkina.

Na szczęście, w tej właśnie dobie krytycznej przyszła Nassauowi pomoc z drugiej jego ojczyzny, pod postacią sutej sukcesyi polskiej. Zesłał mu ją szwagier, Józef Gozdcki, typowy przedstawiciel tę-

żyzny i bałagulstwa podolskiego owych czasów, szalona pałka, sławny z burd i hulanek, ale dusza w gruncie poczciwa, dobry Polak, który swego czasu ostatni grosz złożył w ofierze Kościuszce. Tego szwagra już dawniej Nassau wspólnie z żoną był zarywał systematycznie, ile się tylko dało; obecnie zaś odziedziczył po nim dobra dość znaczne w Galicyi i klucz tynnieński na Ukrainie. Natychmiast też widzimy go ofiarującego się skwapliwie z usłużną atencją ówczesnemu wielkorządcy tamecznemu, sławnemu Tutołminowi. Niedługo jednak wysiedział na prowincjonalnych śmieciach wielki europejski paladyn. Podreperowawszy się nieco dzięki owej spadłej z nieba sukcesyi, t. j. w te pędy zaciągnąwszy odpowiednią pożyczkę, nie mając żadnych więcej widoków na terenie rosyjskim, a brzydząc się oczywiście pobytem pośród polskiej dziczy, zaraz przeniósł swe lary i penaty na Zachód, do pierwszego miejsca swoich tryumfów młodzieńczych, do Paryża. Powtarza w tem miejscu dzisiejszy jego biograf za Bartoszewiczem, Bartoszewicz za Przeddzieckim, a Przeddziecki za Daru, jakoby wówczas sławny Nassau miał sobie od Wenecyan, naciskanych przez Bonapartego, ofiarowaną godność wodza i obrońcy. Znajdujemy istotnie wzmiankę o pobycie Nassaua w Wenecyi w sierpniu 1796 r., lecz wypadło mu pozostać w roli prostego turysty. Również pozbawioną znaczenia jest wiadomość, jakoby Nassau w Paryżu

pozyskał sobie zaufanie pierwszego konsula, jakoby w jakichś wielkich materyach politycznych odbywał narady poufne z Napoleonem. Mógł on wprawdzie — byłoby to bardzo do niego podobne — narzucać się Bonapartemu np. swojemi projektami wypraw indyjskich, lecz tyle pewna, że bajeczny pogromca tygrysów nie mógł żadną miarą być brany na seryo przez małego kaprala.

Jakiego gatunku były w tym czasie istotne zajęcia Nassaua nad Sekwaną, o tem zresztą posiadamy skądinąd dość dokładne, całkiem pozytywne informacje. Odszukał on tutaj starych swoich przyjaciół ze stronnictwa orleańskiego, dawnych kompanów z pijatyk w Palais-Royalu, a więc przedewszystkiem odszukał wśród nich byłego biskupa, byłego posła, byłego emigranta, a obecnie ministra spraw zagranicznych Konsulatu, Talleyranda. Talleyrand żył wtedy z osławioną panią Grand, którą później musiał poślubić z rozkazu Napoleona, a która teraz prowadziła u siebie dom otwarty, trochę miejsce schadzek, trochę salon gry, a przedewszystkiem ognisko wszelkich niedozwolonych konszachców, targów i przekupstw dyplomacyi półurzędowej. Rola, jaką w tym domu zaczął odgrywać nasz bohater, nie była sekretem dla nikogo. »Słynny książę Nassau-Siegen — pisał do Koczubeja poseł rosyjski w Paryżu, Morkow — jest obecnie dyplomatycznym meklerem i faktorem (*courtier et facteur*) p. Talleyranda«. W innej de-

peszy tegoż posta znajdujemy bliższe wyjaśnienie niniejszej lapidarnej definicyi. »Ta pani (Grand) — donosił Paninowi Morkow — dała mi do zrozumienia (*m'a fait insinuer*) przez księcia de Nassau, że, ponieważ jest we zwyczaju dawać podarunki ministrom, podpisującym traktaty, bardzoby sobie życzyła, aby podarunek dworu naszego dla p. Talleyranda nie składał się z futer, albowiem... jest ona już dostatecznie zabezpieczona od mrozów, lecz nie jest natomiast zaopatrzona destatecznie w ozdoby brylantowe«. To rzemiosło grzecznego pośrednika musiało okazać się wcale zyskownem, skoro jeszcze przez szereg lat bez przerwy uprawiane było w Paryżu przez Nassaua. Świadczy o tem późniejsza korespondencya poufna, otrzymana przez ks. Adama Czartoryskiego, jako rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, od tajnego agenta paryskiego, którym, jak wiadomo, był znany mąż stanu i historyk, wspomniany wyżej Daru. »Pomiędzy cudzoziemcami tutejszymi — pisał Daru — kręci się widmo wersalskie, Nassau-Siegen, wystawiany ongi w madrygałach bohaterskich Ligna... Włóczy się on na uboczu, wygaduje na Czartoryskiego i milcząco kładzie do kieszeni pokątne kubany, udzielane mu przez Talleyranda ze sprawy sekularyzacyjnej«. Z powodu tej samej, niesłychanie brudnej sprawy odszkodowań za sekularyzacye niemieckie, później jeszcze donosi Daru: »Talleyrand użył do tego mnóstwa łotrów (*coquins*)...

a pomiędzy nimi największego łotra i najędźniej-szego żebraka (*le plus vil gueux*) ze wszystkich, księcia de Nassau, który swoim wyrafinowaniem oszusta i wyzyskiwacza przewyższa wszystko, na co mogliby się zdobyć zawodowcy w tem rzemio-śle... Sam słyszałem, jak jeszcze przechwalał się z tego przed p. Talleyrandem... Księżę Czartoryski ma w nim najzaciętszego wroga... Widziałem go przy robocie«. Niestety, ta popłatna »robotka« pa-ryska Nassaua urwała się wkrótce potem, skutkiem upadku jego protektora i współnika, Talleyranda; a nawet, jak się zdaje, sam on otrzymał od Napo-leona *consilium abeundi*. Wtedy to nareszcie, straciwszy wszelką nadzieję kariery europejskiej, świa-towej, przypomniał sobie polski indygena swoją drugą ojczyznę polską. Wrócił na Ukrainę, do za-padłej Tynny, zostawionej mu przez zmarłą tym-czasem małżonkę, prowadził tutaj żywot sybaryty, pieczeniarka i fanfaron, podkochał się na stare lata we wdowie po Szczęsnym, pani Wittowej-Potockiej, zabawiał się w wygnańca i ofiarę losów zawistnych, imponował sąsiadom-prowincjonalistom wspomnieniami świetnej przeszłości, historyjami o tygrysach i Gibraltarach, o swoich czynach bo-haterskich, przyjaźniach monarszych, przygodach miłosnych, i w końcu pożegnał się z tym światem, w sędziwym już wieku, w zasłużonem zapomnieniu, sławny Nassau-Siegen, księżę niemiecki, gwardzista

francuski, admirał rosyjski i uszlachcony obywatel polski.

Tak wyglądają w najkrótszym ale prawdziwym zarysie dzieje żywota tego osobliwego bohatera. Nie wdawaliśmy się w szczegóły, — choć pomnożyć je moglibyśmy z łatwością, — gdyż tym pustym i nędnym dziejom nie warto zbyt wiele poświęcać zachodu. Tuszymy sobie jednak, że w przygodnych uwagach niniejszych ostatecznie, być może, uprzętnęliśmy niemiłą, fałszywą legendę, i że odtąd ustali się nareszcie prawdziwa, zasłużona reputacya »książęcia Denasów«.

Alfieri.

Sto lat temu zmarł we Florencji na Lungarno i złożony został obok prochów Michała Anioła i Machiawela w kościele Świętokrzyżkim Vittorio Alfieri *). Setną rocznicę zgonu swego wielkiego obywatela i wieszczka temi dniami uroczycie święciły Włochy. W rodzinnem starem piemonckiem Asti odsłonięto młodzieńczy wyniosły jego posąg. Pałac jego dziedziczny obrócono na Muzeum narodowe. W mnogich pięknych i uczonych pismach odnowiono pamięć jego żywota i twórczości. W niezliczonych poważnych obchodach, na całym obszarze ziemi włoskiej z wdzięcznym pietyzmem sławiono czyste i zasłużone jego imię.

Godzi się i nam zdaleka oddać hołd przynależny szlachetnej postaci znakomitego patrioty i poety włoskiego. Choć odległe to dla nas rzeczy, przecie nieobce. Istniało zawsze szczególniejsze powinowactwo między Włochami a Polską. Między

*) † 8 października 1803.

tym najdalej na Wschód wysuniętym posterunkiem wiary i kultury rzymskiej i zachodniej, a tamtem najpierwotniejszym i głównem jej ogniskiem. Z tych odległych krańców naszych zawsze, od czasów najdawniejszych, bieżono tam skwapliwie umacniać się w jednej i drugiej, rozpalać tam i zasilać swoją, niesioną w dał, pochodnię. A jakże tłumnie bieżono w jasnej dobie renesansu, kiedy najcelniejsze duchy polskie pod włoskiem odradzały się niebem, — pod tem samym niebem, gdzie znowuż w chmurnej dobie nowoczesnej najwyższe nasze poetyckie geniusze wypoczywały znużone na niewzruszonej skale Piotrowej i rzeźwiły się tchnieniem róż i wawrzynu, wykwitających z nieśmiertelnego kapitołińskiego rumowiska. Ale i potem także i przedtem, a więc właśnie w niniejszem stuleciu XVIII, które wydało Alfierego, nie przeżywała się nic duchowego powinowactwa polsko-włoskiego. Za przykładem królów Sasów, obu Augustów, tam nawróconych i kształconych, podawnemu pilnie podążano z Polski do Włoch od samego zarania aż do samego schyłku tego stulecia. Odbyli wtedy i skrzętnie opisali swoje *iter italicum* dwaj prymasi polscy, przychodzili tu w odwiedziny polscy mężowie nauki i stanu, ludzie pióra i szabli, Konarski i Staszic, Węgierski i Krasicki, Naruszewicz i Piramowicz, Wacław Rzewuski i Potocki Ignacy, pod koniec stawili się zbrojnie Kniaziewicz i Dąbrowski, wszystko zgoła

co wyższe, co tętsze, tędy przeszło, tędy się otarło, stąd szacowny do domu wynosiło nabytek. Miała też kultura włoska w tym czasie mir i wzięcie w Polsce Augustowskiej i Stanisławowskiej. W lot tłoczono nad Wisłą polski przekład mądrych nauk Filangiiego, nucono na salonach warszawskich wdzięczne piosnki Metastasia, owacyjnie witano melodyjnego Paësiella, kiedy w kaplicy na Zamku dyrygował swoim oratoryum, albo na scenie narodowej słucał swoich zalotnych »Fraskatanek«. I jeszcze ostatniem, nieziszczonem marzeniem staro, gasnącego Stanisława Augusta było już tylko skołatany żywot módz zakończyć pod szczęśliwszem słońcem włoskiem.

A jednak — owe Włochy XVIII wieku, uczone, śpiewne, ponętne, jakże same w gruncie rzeczy głęboko były nieszczęśliwe. Gdyż ów olśniewający wiek oświecenia był wszak zarazem ponurym wiekiem klęski, który pod błyskotliwą powłoką zewnętrznęj ogłady, postępowęj myśli i rządów krył rdzenną brutalną swoją naturę, chował deprawacyę polityczną, wydoskonaloną, bezlitosną, bezdenną. Takim przenikał go i napiętnował ktoś, co go znał najlepiej i najjaśniej w nim błyszczał: »to stulecie, ściek stuleci«, *ce siècle, l'égoût des siècles*, słowa są Voltaira. Czasy były twarde dla wszystkiego, co słabe, co niebronne, i twardem też nie-miłosiernie brzemieniem zaciężyły na bezsilnych Włoszech.

Od początku XVIII wieku utrwaliły się we Włoszech obce, wrogie rządy Habsburgów, w jednym nasamprzód ośrodku lombardzkim, potem stąd coraz dalej, wzdłuż i wszerz oplątując półwysp. Wraz z Lombardją i Mantowańskiem dostał się w ręce cesarskie Medyolan, stolica woli i myśli włoskiej, najdumniejsza ongi opoka przeciw najdumdom cesarzów germańskich. Niebawem, jako owoc wojny o sukcesję polską, dostało się domowi habsburskiemu Wielkie Księstwo Toskańskie, gdzie najczystsze brzmieniem wpada w ucho harmonijna mowa italska, a wraz z niem Florencya, stolica piękna i sztuki włoskiej. Niedługo, a w Królestwie Neapolitańskim, największej, najsuciej przez naturę obdarzonej połaci Włoch, zasiadła na tronie arcyksiężniczka habsburska. W opłakanym półbycie wegetowało Państwo Kościelne w dobie, kiedy papież, zmuszony stawić się w Wiedniu, chylił głowę przed urągliwą wyższością cesarza Józefa. W hucznym karnawale weneckim napróżno strach przed niechybną aneksją austriacką odpędzała poniżona Republika św. Marka. Drobne despotęta Parmy i Modeny, gnębiąc nielicznych swoich poddanych, kornie ulegały wiedeńskim nakazom. Całe niemal Włochy, rozdarte na zawisłe strzępy państwowe, a co gorsza, rozbite na nienawidzące się nawzajem atomy społeczne i plemienne, ugięły się społem pod cudzoziemską, kulturalnie

niższą, militarną i biurokratyczną przemocą austro-niemieckiego sąsiedztwa.

Osobno stało na północy Królestwo Sardyńskie. Tutaj, hartowniejsza ludność górską Piemontu w jedyne oporniejsze zespalała się jądro pod rządą i ambitną dynastją sabaudzką. Tu była przyszłość Włoch. Ale też właśnie dlatego musiało tutaj nastąpić większe przystosowanie się do wymagań państwowości owoczesnej. Małe to, ubogie państewko, utrzymujące czterdziestotysięczną armię, wyobrażało jedyną siłę militarną włoską. Było to ponad jego możność a stąd znowu musiało odbić się na całym nastroju życia i rządów. Sardynia owoczesna to były na swój sposób włoskie Prusy, Turyn — włoski Berlin, dom sabaudzki zapatrywał się na dom Hohenzollernów, Karol Emanuel III a zwłaszcza Wiktor Amadeusz III — na Fryderyka Wielkiego. Nie było tu lekkomyślnej łatwości innych krain włoskich; była raczej jakaś oschła powaga, jakaś ponurość, właściwsza piemonckiej, niż włoskiej naturze, a właściwa też dorabiającym się dopiero państwom i dynastjom. W stosunkach politycznych i dworskich trudne zachodziły komplikacje i dziwne panowało napięcie. Z zewnątrz wisiała sąsiedzka podejrzliwość austriacka, szły niebezpieczne kuszenia francuskie. Wewnątrz domu królewskiego tkwiły głucho rozdźwięki rodzinne, przypominające spółczesny zatarg bourbońsko-orleański: wygasła panująca starsza linia sabaudz-

ka, a czekała swojej kolei boczna linia carignańska, z »jakóbińskiej księżniczki«, z królewicza polskiego i Franciszki Krasińskiej, rodzicielki dynastyi dzisiejszej. Atmosfera naogół duszna i ciężka, stron ujemnych pełno: rządy patryarchalno-despotyczne a małostkowe i nieoświecone, militaryzm uciążliwy a wyczekujący i nieczynny, wysiłek bez owoców, bierność bez piękna, rygor bez chwały: — ale zawszeć, pod tem wszystkim, tutaj i tutaj tylko tliła się iskra przeznaczeń wyzwolenicznych narodu.

Śród takich warunków zjawił się i wychował Alfieri, z nich czerpał rozliczne, bądź sprzeczne, bądź ewolucyjne czynniki swojej osobowości duchowej. Szarpać się on będzie w tem rodzimem środowisku, ciasnem, miałkiem, zatęchłym; pomstować na rządy w niem tyrańskie, dyscyplinę żołdacką, skostniałość i niewolnictwo czucia i czynu; wyrwać się stąd do nieuskromionej rozkoszy i swobody i za niemi po szerokim wędrować świecie: aż wreszcie powróci, odarty z wielu złudzeń, zgorzkniały od zawodów, ale wyniesiony ukochaniem szerszej swojej, wielkiej ojczyzny włoskiej i wiarą w jej przyszłość. Piemontczyk-arystokrata, sceptyk-republikanin, wyłuska z siebie narodowego poetę-Włocha.

Urodzony w samym środku XVIII wieku, wyszedł Alfieri z jednego z kilkudziesięciu najstarszych rodów arystokratycznych Piemontu, związanych od czasów niepamiętnych feudalną tradycją

służby wojskowej i cywilnej za swoją dynastją. Mimo cały swój liberalizm, z dumą lubił powoływać się na krew swoją starodawną a nawet wywodzić się od któregoś legionariusza rzymskiego, co już stanowiło pewną licencyę poetycką, gdyż ścisły jego rodowód, dość chyba starożytny, bo wyraźny aż do XIII wieku, dalej już zaciera się w pomroce średniowiecza. »Z rodziców — powiada o sobie — szlachetnie urodzonych, dostatnich i zacnych«, niemowlęciem straciwszy ojca, w matce dobrej, kochającej, lecz wnet przez drugie małżeństwo od syna oddalonej, nie znalazł silnej opieki, jakiej wymagała przyrodzona burzliwość jego temperamentu. Oddany w młodym wieku do t. zw. Akademii turyńskiej, t. j. bursy szlacheckiej, swego czasu ponad zasługę słynnej, dokąd zdaleka się zjeżdżano i gdzie miał też, jak sam wspomina, kolegów Polaków, niczego się tu nie nauczył, prócz doskonałej francuszczyzny i niezrównanej zręczności w jeździe konnej. Szlachetne konie to pierwsza odtąd, prawie szalona jego namiętność, zanim przyjdzie wolność, kobiety, poezya i Włochy. Po wyjściu z Akademii, zamożny, niezależny młodzieniec, zrażony do stosunków miejscowych i służby wojskowej lub dworskiej, dokąd powoływało go urodzenie, na los fantazyi i trafu puścił się w światy nieznanne, dokąd z domowej cieśni gnała go buntownicza tęsknica. Przebiegł skrępowane Włochy, wyleciał za Alpy, przeszedł całą prawie Europę

i wszędy dotkliwie zebrał rozczarowania. Zawiódł go świetny Paryż, gdzie południowe jego oko, kształcone na harmonii klasycznych linii romańskich, oburza »nikczemna i barbarzyńska« architektura, »śmieszna i uboga pompatyczność gmachów, udających pałace«, »gotycyzm kościołów i wandalizm teatrów«, a zwłaszcza »przebrzydłe, malowane twarze kobiece«; gdzie na przyjęciu noworocznem Ludwika XV rzymska jego dusza pieni się na widok wzdorliwej buty królewskiej i służalczej pokory dworackiej. Jeszcze mocniej zgnębił go Berlin Fryderycyjański. »Byłem prezentowany — pisze w Autobiografii — królowi Fryderykowi Wielkiemu. Nie uczułem na jego widok żadnego poruszenia podziwu ani szacunku, lecz raczej poryw zgrozy i gniewu. Król wyrzekł do mnie kilka słów pospolitych, wpatrzyłem się w niego uparcie, utkwivszy spojrzenie prosto w jego oczy, i dziękowałem niebu, że nie kazało mi urodzić się jego niewolnikiem«. Ciepłym natomiast słowem spótczucia młody podróżnik wspomina swój pobyt w starym Gdańsku: »tem mieście, dotychczas wolnem i możnem, teraz właśnie męczonem już przez złęgo sąsiada pruskiego, który siłą wprowadza tam zbirów swoich«. Rosyę znał dotychczas z hyperbol Voltaira i obiecywał też sobie cuda po stolicy nadnewskiej, która przecie w rzeczywistości nie zadowolila bynajmniej jego gustów i pojęć estetycznych. »Ledwom nogę postawił na prostolinij-

nych ulicach Petersburga, niby w obozie ustawionym w szeregi namiotów, stanęły mi w pamięci Rzym, Genua, Wenecja, Florencja, i chwycił mnie śmiech pusty... Wyrzekłem się audyencji... zaniechałem również planowanej pierwotnie wycieczki do Moskwy, i zdało mi się lat tysiąc do powrotu...« Długo jeszcze się włóczył po obczyźnie w tych podwakroć odbywanych podróżach, ten szczególniejszy Child Harold *avant la lettre*: był w Szwecyi, Danii, Anglii, Holandyi, Niemczech, a wszędzie źle się działo synowi południa, — z wyjątkiem chyba jednej Hiszpanii, która go zatrzymała i zachwyciła. Tutaj, na półdzikiej a półrzymskiej ziemi iberyjskiej, szedł pieszo, ze stąpającym za nim luźno ulubionym wierzchowcem andaluzyjskim: »i dobrze nam obu było sam na sam w tych wielkich pustkowiach Aragonii, gwarzyliśmy sobie we dwoje, ...gdybym był wtedy umiał, byłbym pewno wiersze pisał bez końca, a tak szedłem poprostu, zatopiony w sobie, naprzemiany smucąc się i weseląc jednakowo bez powodu — dwie rzeczy, uważane zazwyczaj za szaleństwo i będące niem, skoro za nimi nie idzie pisanie; zaś skoro rodzą twórcy pisany, nazywane poezją i będące nią«. Urodzony klasyk oczywiście sam nie był świadom, jak światały tutaj w jego czuciu pierwsze brzaski romantyzmu.

W tej swojej pielgrzymce europejskiej przeszedł także Alfieri przez nieuniknione opaty sercowe.

Naprzód w Holandyi zznał pierwszego kochania i pierwszej straty, jeszcze bez zbyt ostrych rozdźwięków; potem w Londynie przebył jaskrawą tragikomedję namiętności, ze wszystkimi krzykliwymi akcesoryami, skandalem po gazetach, pojedynkiem nocnym w Greenparku, procesem rozwodowym przed Kings Bench i, co gorsza, ze smakiem mętów wypitych w duszy. Za powrotem do Turynu znowuż dostał się w doświadczone ręce pięknej rodaczki, skąd po ciężkiej dopiero walce wyratował siebie i wolę swoją. Wzmiankować tu wypadło choćby przelotem o tych wszystkich sentymentach, które po tylekroć, zwłaszcza w słynnych swoich Konfesyach, z takim ogniem uwiecznił poeta, a które w kraju Petrarcki stanowią po dziś dzień nieodzowną ingrediencyę jego legendy. Pokazują dziś jeszcze cudzoziemcowi ze sceptycznym uśmiechem uczeni dyletanci turyńscy na placu San Carlo balkon pałacu Cambiano, gdzie opuszczona margrabina napróżno wyczekiwała zbiega; a wprost naprzeciw pokazują okno pałacu Avogadro, gdzie Alfieri, półszalony, nie racząc uciekać, a nie ufając własnej odporności wobec swego syreniego *vis-à-vis*, kazał, jak Odyseusz, mocnemi sznurami przywiązywać się do fotelu, i tak pisał pierwsze swoje tragedye. Są w tem wszystkim zapewne obyczaje kraju i epoki; ale jest też jakaś nuta fałszywa, jakiś odcień sztuczny, graniczący prawie ze złym smakiem, a mający

swe źródło w samej naturze poety, skłonnej do afektacyi, nawet wprost do pozy. Ażeby wreszcie skończyć o tej stronie sercowej, aż nazbyt natarczywie narzucającej się w żywocie Alfieriego, choć naprawdę i u niego, jak dość często u ludzi piszących, skażonej przez zanadto świadomą percepcyę, oprzędywaną z lubością dokoła własnego *ia*, — wypada wspomnieć tutaj zaraz o ostatnim tego rodzaju epizodzie dozgonnym, o jego rozgłosnym, oficjalnie niejako usankcyonowanym związku z małżonką ostatniego Stuarta. Kochał się Alfieri z zasady tylko w cudzych żonach, czy to holenderskiego patrycyusza, czy angielskiego lorda, czy piemonckiego markiza, czy wreszcie pretendenta do korony brytańskiej: wyżej już nie awansował. I niepodobna twierdzić, ażeby ten ostatni epizod nie przedstawiał się w rzeczywistości daleko mniej idealnie, aniżeli go przedstawia sam poeta. Nieszczęśliwy, tułający się po Włoszech Karol Edward, syn Klementyny Sobieskiej, prawnuk króla Jana, jeśli nawet nie był tym bohaterem, jakiego maluje lojalne szkockie pióro Waltera Scotta, nie był też napewno tym wyrzutkiem, jakiego czyni z niego nielitościwe pióro włoskiego rywala i następcy. Ani też niewierna małżonka pretendenta, która wyłącznie dla ambicyi poślubiła Stuarta już złamanego wiekiem, nieszczęściem, szukającego zapomnienia w winie, a która potem dla otrzymania separacyi wprowadzi w błąd Piusa VI,

nie była bynajmniej tym ideałem, jakim wyobraża ją poeta. Widnieją po dziś dzień w Uffiziach florenckich obok siebie obadwa portrety sławnych kochanków: Alfieriego ruda, pochylona, szlachetna głowa, twarz blada, wyczerpana, zorane czoło, głębokie posępne oko niebieskie, zaciśnięte piękne usta, taki, jak sam siebie zwiędłe w jednym sportretował sonecie; a obok rzekoma królowa Anglii, Szkocyi, Irlandyi, czyli poprostu pani Albany, jasnooka, jasnowłosa, ładność obfita a dość pospolita, wcale nie taka, jaką w niezliczonych sonetach upiększył poeta. Był ten klasyczny związek miłosny, zdaje się, w gruncie rzeczy raczej związkiem dwóch miłości własnych: ona jego nazwiskiem podnosiła blask fikcyjnego swego królowania, głaskała jego ambycję literacką, słuchała cierpliwie jego wierszy, przepowiadała mu nieśmiertelność, a po śmierci wystawiła tyleż sobie co jemu wspinały pomnik Canovy w kościele Santa Croce i poślubiła młodego Francuza, z którym oszukiwała go za życia; on, raz na zawsze, żadnej zmayı nie chciał widzieć w tej, która wydała się godnym stałym objektem jego liryki i która w jego legendzie poetyckiej miała zostać nieodzowną Beatryczą czy Laurą. Na tem można poprzestać, zapuścić zasłonę na te nieuniknione słabości człowieka i wrócić do dziejów właściwych jego ducha.

Ze swoich dalekich zagranicznych podróży przyniósł Alfieri do domu zdobycz osobliwą a dla

niego nieoszacowaną: przywiózł z Paryża kilkadziesiąt tomów poetów i prozaików włoskich, Danta, Petrarę, Boccacia, Tassa, Machiawela. Było to dla niego istne odkrycie i przełom. Dotychczas był hrabiowskim kosmopolitycznym włóczęgą, daleko lepiej władał francuszczyzną niż językiem rodzimym, o piśmiennictwie rodzimem nie miał pojęcia. Teraz nagle poczuł brak i upokorzenie. »Zaprzyśniętem sobie, że nie będę szczędził trudu ani starań, aż nie poznam języka ojczystego, jakkolwiek we Włoszech«. Teraz z zupełnem oddaniem się, z niewysłowioną rozkoszą, z całą impetycznością swojej natury, skąpał się, odrodził w cudnej mowie, w bogatej literaturze ojczystej. Awanturniczy panicz zrobił się najpilniejszym uczniakiem, uczył się własnego języka, zgłębiał wszelkie jego subtelności, archaizmy, odcienia, ślęczał nad słownictwem i gramatyką, rozczytywał się w pismach Cinquecenta i Trecenta, od nich dotarł do klasyków rzymskich, od tych do helleńskich, owdadnął łaciną i greką. Nadzwyczajny to był wysiłek w człowieku jego stanu, wieku, a zwłaszcza jego usposobienia. Ale w tym wysiłku podtrzymywała go niezwykajna a wysoko mierząca ambicya. Nie mogła być ona inną w ówczesnych spętanych Włoszech, jeno kulturalna, piśmiennicza, poetycka. »Założyłem sobie — powiada Alfieri — zostać wielkim poetą, choćby przyszło umrzeć w tem przedsięwzięciu«. Zapewne, był poniekąd błąd za-

sadniczy w takim racjonalistycznym postawieniu rzeczy, w tem wrywaniu się przez samą wolę do owych szczytów, dokąd tylko bezwłasnowolnie wynosi sam geniusz. Lecz dążenie było podniosłe, czyste i piękne. Raz obrawszy taką drogę, Alfieri tyleż z naturalnego popędu, ile przez logikę swojej ambicyi pisarskiej zwrócił się do tragedyi. Tędy popychała go przyrodzona posępnosc duszy. Tędy również pociągało go dumne pragnienie zostać pierwszym, jedynym. Piśmiennictwo włoskie, które wydało tyle niezrównanych arcydzieł wiersza i prozy, przecie nie posiadało wtedy ani jednej wielkiej tragedyi. »Zapytałem sam siebie: — pisze Alfieri — czemu ta boska nasza mowa, tak męska jeszcze, silna i sroga w ustach Danta, musiałyby stawać się tak bezbarwną i mizerną w dyalogu tragicznym?« Postanowił sobie stanąć na tym wyłomie i zasłużyć sobie na pochwałę, jaką w prześlicznym sonecie od da mu później Giuseppe Parini: iżby z jego to ręki świetna Muza włoska odebrała jedyny jeszcze brakujący w jej włosach wieniec sztuki tragicznej.

Tak powstało dwadzieścia tragedyi Alfieriego. Tak on został uznanym »ojcem tragedyi włoskiej«. Czy nim został w istocie? Czy czasem nie było to ojcowstwo bezdzietne? czyliż bowiem naprawdę wielkiej tragedyi nie brak Włochom po dziś dzień? Zadalekoby wdawać się tutaj w rozstrzyganie tych zagadnień estetycznych. Tyle pewna, że pomściła

się na Alfierim sztuczność samego punktu wyjścia jego kariery piśmienniczej, tej jego wyprawy zdobywczej na Parnas, który on chciał ubiedz szturmem, jak jego przodkowie jaki zamek warowny. W dodatku, pomimo namiętnych i płodnych swoich studyów włoskich, racjonalista XVIII wieku pozostał przez całe życie pod silnym wpływem współczesnej literatury francuskiej, a mianowicie teatru francuskiego. Wypierał się on tych wpływów, zwłaszcza odkąd pod koniec życia znienawidził śmiertelnie wszystkiego, co francuskie; odwoływał się wyłącznie do czystego klasycznego i romańskiego źródła, do wzorów starożytnych i starowłoskich. Jednak ten klasyk naprawdę nie otrząsnął się nigdy z pęt pseudoklasycyzmu; ten uczeń Horacego pozostał uczniem p. Boileau, wychowaniec Eschyla i Eurypidesa — naśladowcą Corneilla i p. Voltaira, ba, nawet Crébillona Ojca i Campistrona. Zapewne, w niejednej rzeczy odstąpił się od Francuzów; pewne poboczne szczegóły ich dramaturgii przyniósł w ofierze własnej górnej koncepcji o napięciu tragicznym i bohaterskim w człowieku i sztuce; skreślił sporo ich środków konwencyonalnych, wydalil postaci podrzędne, rezonerów, przyjaciół, świadków, wzbrownił długich dyskursów konającym, zaprowadził skrajną ekonomię budowy, motywów, osób, rzeczy, a zwłaszcza słowa. Tragedya, wedle jego definicyi, winna być »raptowna ile tylko dopuszcza rodzaj

namiętności, prosta ile tylko zezwala możliwość artystyczna, okrutna ile tylko znosi natura, ogni-
sta ile tylko stać na to autora«. Szczególny kładł nacisk na krótkość; chlubił się, że z zasady nie przekraczał 1.400 wierszy, a parę razy potrafił ścisnąć się prawie do 1.300. Rzecz prosta, że te wszystkie rzekome reformy, dość tanie, bo dotyczące powłoki, nie istoty, żadnego też rzetelnego nie oznaczały postępu. Zamiast jednego konwensansu podstawił inny i niekoniecznie znośniejszy. Grecy i Rzymianie Alfierego równie są szablonowi, równie wyzuci głębszej prawdy ludzkiej i indywidualnej, równie wydarci z warunków swego czasu i miejsca, jak wolterykańscy; tyle tylko, że zamiast pięknej, okrągłej manieri wersalskiej mają jakieś kurczowe rzuty automatów, zamiast perfumowanym powietrzem wersalskim oddychają zupełnie *in vacuo*, w absolutnej, zimnej próżni dyalektyki namiętnościowej, i zamiast wedle wykwintnego smaku wersalskiego, są robieni na obraz i podobieństwo swego surowego włoskiego twórcy, albo raczej tego ideału mocy i grozy, jaki on w swojej osobie i twórczości pragnął wcielić i narzucić współczesnym i potomnym. Zawisły faktycznie w swojej produkcji od panującej dramaturgii francuskiej, Alfieri zarazem teoretycznie pozostał zupełnym niewolnikiem poetyki starożytnej. »Wieczny uczeń retoryki«, spóźniony samouk, im z większym trudem dostał się do klasyków, z tem bardziej nie-

wolniczem poszanowaniem na nich się zapatrywał, nie waząc się nigdy, czy to pogwałcić sakramentalnej liczby pięciu aktów, czy to podnieść na serwo ręki na sakramentalne trzy jedności, czy zamiast wielkich królewskich i pańskich pośledniejsze wystawiać figury. Koniec końcem, pozostał »klasykiem francuskim w najwyższym stopniu koncentracji«, i jego dwadzieścia okutych w żelazo i szczękających żelazem tragedyi, wcale dowcipnie nazwano »szwadronem kirasyerów, osłaniającym odwrót tragedyi klasycznej«. Ta sroga aryergarda oddawna już znikła z oczu niepowrotnie; teatr Alfieriego przeszedł do historycznych zabytków piśmiennictwa; i dziś bodaj czy ktoś jeszcze mógłby zapalić się wspomnieniem pani Ristori jako Alfierowskiej *Mirry*, nikt już chyba pamiętać nie może pani Ledóchowskiej jako królowej Izabelli w Alfierowskim *Filipie II*.

Trafił istotnie dość wczesnie Alfieri na scenę warszawską i pewne echo znalazł w piśmiennictwie polkiem. Wystawiono u nas pół tuzina jego tragedyi: Saula, Filipa, Wirginię, Agamemnona, Antygonę. Jeszcze za Księstwa Warszawskiego Wojciech Bogusławski przełożył i piękniej zagrał *Saula*. Unosił się Osiński nad »wystawieniem tej sztuki, jednym z najdoskonalszych«; a sam tłumacz w »Uwagach nad Saulem« złożył ciepłe wspomnienie na świeżym wtedy grobie włoskiego poety, wysławiał »poetycką uroczyść stylu«,

zwięzłość, moc, ogień. Pochwały to pewnie nie ze wszystkim trafne, jakkolwiek istotnie jeszcze chyba najwięcej zasługiwał na nie *Saul*, utwór daty późniejszej, zarówno odrębnością tematu z Pisma św., jak i całym miększym nastrojem wyłamujący się dodatnio z jego pseudoklasycznej manieri. Nieco później, podczas gromów napoleońskiej wyprawy do Moskwy, Feliński w swoim zaciszu wiejskiem, pomiędzy Barbarą Radziwiłłówną a Ismeną, zajął się Alfierowską *Wirginią* i swoim ciężkim przełożył ją wierszem. Zgłębił starannie przyszły dyrektor krzemieniecki pisma tragika włoskiego, uczenie rozbierał obce o nim sądy Sismondego i Schlegla, ważył następczające się zarzuty suchości, cierpkości, przesady, lecz wyżej stawiał zalety, »prostotę, jasność, prowadzenie zawsze rozsądne«, a co najważniejsza, »że w moralnym względzie są to bardzo piękne dzieła«. Za Królestwa Kongresowego, jeszcze za miodowych jego miesiący, można było na scenie narodowej wystawić *Filipa II*, ten utwór dziwny, mający istotnie coś z zaciętej i krwawej grozy starohiszpańskiej, lepiej wyczutej tu przez Włocha, niż przez Niemca, a jednak tak nieskończenie mniej zajmujący i uboższy od arcydzieła Schillera. Kajetan Koźmian, który znał *Don Carlosa*, ze smakiem wytknął słabości *Filipa*, brak majestatu w postaci królewskiej, nadmierne w niej skupienie wszelkiej ohydy, nadmierne w całej akcji piętrzenie samych efektów okropnych, brak sto-

pniowania, różnaitości, umiaru. »Serce widza, — pisał roztropny referendarz stanu — długo dręczone okropnemi obrazami, potrzebuje odetchnienia i spoczynku, szuka i ugląda pociechy w cnotach tej samej ludzkości, której strapiły go zbrodnie; inaczej, odrażając się od niej, odraża razem od sztuki«. Jeszcze po latach kilku, właśnie w czasie rozstrożonej literackiej wojny domowej z powodu dopiero co wydanych dwóch pierwszych tomików Mickiewicza, przypadło wystawienie w Warszawie *Agamemnona* i wojowniczym przedstawicielem obu przeciwnych obozów dało zaraz okazyę do ostrej utarczki. Znalazł się Alfieri wśród ówczesnych bojujących klasyków i romantyków warszawskich w położeniu człowieka, co siadł między dwa krzesła. Wszak miał on niezawodnie »śmiałość w składniach mniej giętkich, obok prostoty jakiś hart i tęgość, w wyrażeniach blask i częstokroć nastrzępienie«, t. j. cechy, dosłownie przyznawane przez Mickiewicza »stylowi romantycznemu«; a miał znowuż tyle najnieznośniejszych cech najsztywniejszego pseudoklasycyzmu. Z obu też stron wzięty na świadka za i przeciw, Alfieri z obu wziął ciągi i z obu pochwały; ścięto go nielitościwie w *Gazecie Warszawskiej*, ogłoszono oschłym, nudnym, bez wdzięku i czułości; w *Astrei* impetycznie wzięto go w obronę, pokazywano tryumfalnie, jak »Melpomena Alfieriego w prostej sukni greckiej, krwią tylko zbroczonej, z nagim style-

tem w ręku, jednym rzutem okropnego wejrzenia odpędza daleko od siebie romantyczne zgraje, depce po ich lalkach, urąga się z ich widziadeł...» Na ogół jednak przyjęcie i tego, i wszystkich innych dzieł Alfierego na scenie warszawskiej było oziębłe. O głębszym jego wpływie u nas wtedy nie mogło być mowy. Jeśli nawet przypadkiem cały prawie schemat jego lakonicznej *Maria Stuarda* wchłonie Słowacki w zamknięciu swego dramatu, przecież chyba uczyni to właśnie przez przypadkowy jeno wybór tematu, najpewniej nie znając wcale rzekomego swego pierwowzoru włoskiego, i pozostanie też tutaj w rzeczy samej nieskończenie dalekim od ubóstwa czucia i fantazyi Włocha; a jeśli znowu obiecuje aż w *Lilli Wenedzie* »szczebiotać Alfierego językiem«, to nasuwa jedynie przypuszczenie, że o tym twardym języku chyba żadnego nie miał pojęcia. Krasieński, który gdzieś powołuje najmocniejszą scenę z *Filipa*, pewnie lepiej mógł znać Alfierego, ale podobnież był od niego przegrodzony niewspółmiernością zbyt wielką i rdzenną. Na tem, mniej więcej, wyczerpywałyby się podobno namacalne punkty zetknięcia umysłowości polskiej z dziełem Alfierego.

Jednakowoż, cokolwiekby sądzić o stronie estetycznej w twórczości »ojca tragedyi włoskiej«, niepodobna pominąć tak doniosłej w jego teatrze, tak w nim nawskróś, od początku do końca, dominującej stronie politycznej. Wszystkie prawie

jego tragedye są osnute na tle czysto politycznem, poczynając od wściekłego okrzyku rozpętanego tłumy we wczesnej *Wirginii*, a kończąc na ojcobójczym czynie ostatniego *Brutusa*. Miłość tu wszędzie bądź na drugi plan usunięta, bądź zgoła wydalona na rzecz racji stanu. W obu Brutusach, Starszym i Młodszym, zostały nawet wprost skreślone wszelkie role kobiece, sami mężowie rzymscy dopuszczeni do głosu. Dla tej samej pobudki nie masz tu nigdzie charakterów połowicznych, słabych, więc najbardziej ludzkich; zostawiono same tylko dusze jednolite i silne, w złem czy w dobrem, w zbrodni despotycznej czy cnocie republikańskiej: albowiem teatr, według Alfierego, winien być przede wszystkim »szkołą mocnych uczuć i czynów«. Winien być nią mianowicie dla Włoch owoczesnych, wydelikaconych, zniewieściałych, znikczemniałych. Dla nich to przeznaczają poeta te ich własne praojcowskie wzory rzymskie; dla nich niekiedy, jak w *Sprzysiężeniu Pazzich*, *Don Garcii*, sięga do bliższych tematów florenckich z doby Lorenza de' Medici. Taka bezpośrednia intencja polityczna znalazła wyraz zwłaszcza w tych pięciu jego tragediach, które on stawiał najwyżej, w pięciu *tragedie di liberta*: *Wirginii*, *Pazzach*, *Tymoleonie*, obu *Brutusach*. Poświęcając *Brutusa Starszego* »sławnemu i wolnemu mężowi, generałowi Waszyngtonowi«, szczęśliwym go mienił, iż mógł on swojej ojczyźnie służyć czynem, nietylko

pisaniem. Zaś ostatnią tragedję, jaką napisał, *Brutusa Młodszego*, ofiarował w prostej dedykacji »przyszłemu Narodowi włoskiemu«.

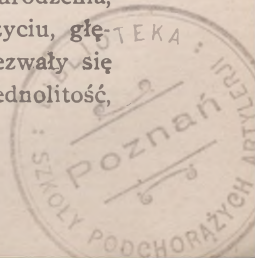
Te słowa dedykacji Włochom przyszłości kładł Alfieri pośrodku wzburzonego Paryża w przededniu wzięcia Bastylji, pośrodku wstępującej w nową przyszłość Francji rewolucyjnej. Owóż tutaj najcięższe czekało go przesilenie duchowe, doszczętne wywrócenie wszystkich jego pojęć społecznych i politycznych. Karmiony i pod tym względem na pseudoklasycyzmie republikańskim a głównie na współczesnych myślicielach francuskich, na encyklopedystach, na Roussie, oświecony arystokrata, teoretyczny wielbiciel wolności, srogi pogromca tyranii na koturnie tragicznym, lecz wyobrażający sobie, iż »rewolucye się przyrządza z esencją różaną«, radośnie był witał pierwsze znaki wielkiego przewrotu i stylem pindarowym opiewał »Paryż Debastyliowany«. Ale kiedy niebawem jako świadek naoczny asystować musiał przy wypadkach paryskich, tak błyskawicznie postępujących naprzód a tak coraz straszliwszych, kiedy słuchał huków Konstytuanty i Legislatywy, przeciskał się na ulicach przez rozjuszony tłumy, oglądał rzeź szwajcarów królewskich, trupy na latarniach i pracującą gilotynę, wtedy cofnął się, wzdrygnął i zwątpił. Już po faktycznej detronizacji Ludwika XVI i zaprowadzeniu Republiki francuskiej biedny ex-republikanin ateński czy rzymski, wraz ze swoją

ex-królową brytańską, z niebezpieczeństwem życia ledwo zdołał się z rąk tłuszczy jakobińskiej wy dostać za rogatkę paryską i granice Francyi. Opłacał swoje iluzje znaczną stratą majątkową na asygnatach francuskich oraz stratą zrabowanej pierwszej pełnej edycji swoich tragedyi, czego nigdy barbarzyńcom republikańskim nie zapomniał zgorzony autor. Najdotkliwszą oczywiście była jednak strata moralna, duchowa. W jego duszy ognistej i porywczej dokonała się raptowna a głęboka odmiana, w swojej części miarkującej pewnie uzasadniona i zrozumiała, lecz w swoim kierunku wstecznym wylatująca daleko poza wszelkie sprawiedliwe granice. Nadewszystko zaś z całą mściwą pasją południowca znieawidził tych, którym zawdzięczał zburzenie swoich idealnych złudzeń, znieawidził śmiertelnie wszystek naród francuski. Dotychczas jego ataki poetyckie mierzyły bądź w wewnętrznych despotów włoskich, bądź w Austryę. W austryackiego władcę Toskanii był godził ów sonet, pełen pogardy, o podeptanej Florencyi, po której ongi chadzał Michał Anioł a gdzie dziś stróży leopoldyńskie żołdactwo. Austryackie barbarzyństwo był piętnował ów drugi, pełen goryczy, o zamknięciu słynnej Akademii *della Crusca*, czuwającej nad czystością dźwięcznej mowy włoskiej, tej najdroższej po ojcach spuścizny, wypieranej przez nikczemne narzecze panujących Gotów. Teraz natarł Alfieri z furią na samych Francuzów.

Ci pokrewni barbarzyńcy gallijscy wszak nietylko splamili pianą demagogiczną i przelaną krwią niewinną biały marmur jego klasycznej fikcji republikańskiej, lecz nadto ręką świętokradczą sięgnęli po wawrzyn zdobywców świata, już przekroczyli Alpy, i pod nowym Brennušem, Bonapartem, zstępowali do równin lombardzkich i tokańskich. Tak powstał Alfieriego dziwaczny *Misogallo*, »Galłożerca«, niby ogromna machina wojenna starożytnej konstrukcyi, niby ciężka jakaś katapulta, skąd, niby wyostrzone pociski, odłamy prozy, sonety, epigramaty, lecą na nacierających Gallów. Są tu rzeczy istotnie niepospolite; i bodaj aż w Byronowskim *Don Juanie* można odnaleźć wyraźne ślady bijącej stąd potężnej satyrycznej sugestyi. Ale jeśli istotnie do najwyższej potęgi dochodzi tutaj inwektywa poetycka Alfieriego, — dochodzi tu także do skrajnej brutalności, a wreszcie — do śmieszności. Gdyż doprawdy zbyt dotkliwa była dysproporcya pomiędzy temi papierowemi strzałami z apollinowego kołczanu a piorunami gromowładcy z pod Arcole i Marengo. A jakże dotkliwy wyniknie dysonans, kiedy to — po zwycięstwie Suworowa nad Trebbią, gdzie ulegną chwilowo Francuzi, ranny nasz Dąbrowski, — Alfieri, zapamiętały w ślepej gallożerczej nienawiści, będzie witał jak zbawców wracające do Florencyi wojska austriackie. Zabrnąwszy tak daleko w swojej kampanii antyfrancuskiej, znajdzie się on w położeniu

nawskroś fałszywem, wparty do obozów właściwie zgoła sobie obcych, do wszelakiej reakcyi i koalicji antyfrancuskiej. Tą drogą jego sława, nietyle poetycka ile właśnie sława *misogalla*, dotrze aż do dalekiego Wilna, i uczony profesor wileński, prawnik i filozof, Capelli, pospieszy w *Dzienniku wileńskim* umieścić pierwszą jego polską apoteozę, podnosząc z naciskiem tę jego wiekopomną zasługę, iż »Alfieri niczego nie spodziewał się od Francuzów, których z gruntu lekkomyślność i niestateczność poznawał«. Taka pochwała, wygłoszona w Wilnie między Austerlitzem a Jeną, kiedy wszystkiego »spodziewano się od Francuzów«, bardzo była na czasie: — ale też tutaj tkwiła jedna z przyczyn tej oziębłości, jaka musiała później spotykać imię Alfieriego w przeniknionej duchem francuskim i napoleońskim Warszawie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego.

Tak u zmierzchu życia zabłąkał się Alfieri w powikłaniach surowej rzeczywistości społecznej, ugrzązł w negacyi, w sprzeczności z samym sobą, z istotnem przeznaczeniem swojej ojczyzny, która wszak po upływie pół wieku właśnie z ręki francuskiej, napoleońskiej, miała wziąć odrodzenie i zjednoczenie polityczne. W starzejącym się poecie, republikaninie z zasady a arystokracie z urodzenia, klasyku w twórczości a romantyku w życiu, głębokie wystąpiły rysy i przenikliwie odezwały się zgrzyty. Rozpadła się w nim sztuczna jednolitość,



zmałała sztuczna posągowość tej wspaniałej pozy, którą on przybierał jako wieszcz i jako człowiek, którą częściej, zamiast imponować, tylko niecierpliwi przy bliższym wejrzeniu, a bez której wszak obejść się może doskonale jego postać szlachetna i jego narodowe stanowisko poetyckie. Niewolny od maluczkich słabości ludzkich, przecie jasne piętno szlachetności nosi na czole ten człowiek, co ze wzgardą patrzył w oczy Fryderykowe i z podniesioną głową przeszedł przez zginającą karki i dusze deprawację swego stulecia. A zarazem, co główna, co najistotniejsza, nosi on wielkie znamię *narodowego* poety, jednego z najwcześniejszych uświadomionych tego swego nowożytnego narodowego posłannictwa. W owym końcowym rozbiściu wielu swoich porywów i wierzeń znalazł Alfieri tem mocniejsze ukojenie i oparcie w tem świadomszem ukochaniu ojczyzny własnej, tem ściślej-szem z nią zespoleniu się, tem pełniejszym rozplynięciu się w jej swoistej naturze i tradycyi, w jej idei wiecznej i istności realnej. Pókim był młody — mówi szczerem sonetowym wierszem syn marnotrawny, wracający do swoich rozbitek, — karciełem ciebie, Italio, nie szczędziłem ci gorzkich wyrzutów: teraz, po raz dziesiąty, bogdaj ostatni, przekraczając Alpy, przychodzę strudzone ciało pielgrzyma złożyć w Twojej miłościwej, macierzystej ziemi. Tutaj, na tej ziemi pędząc odtąd zachód żywota, obok zatrutych wybuchów złości przeciw

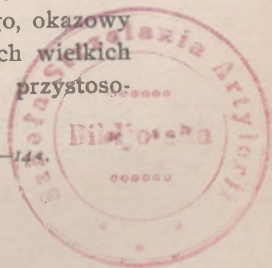
narodowi obcemu, najczystszy może, najpiękniejszym głosem serca przemówił do narodu własnego, schodząc do samej treści jego przeznaczeń, kultury, nawet wiary. Wtedy to podglądnięto go przypadkiem, jak gdzieś skrycie w kościółku ustronnym, wśród prostego ludu florenckiego, przystępował do Komunii św. Wtedy, najdumniejszym lotem myśli ogarniając świetną przeszłość i nieśmiertelną przyszłość Włoch, nawoływał je do wygórowanej ambycyi narodowej i upominał się o ich prymacyalne tytuły kulturalne w powszechnym europejskim zespole. Wtedy, w spiżowej pieśni zapowiadał niechybny »dzień, kiedy z martwych powstanie Italia«: *Giorno verrà tornerà giorno in cui Redivivi ormai l'Itali staranno*. Te przedśmiertne jego liryki należy zaliczyć do najbardziej pociągającej, prostej i szczerzej jego twórczości poetyckiej. Ukazuje się nam tutaj poeta, jak samotnie długie odbywa przechadzki, już nie gdzieś po zamorskiej obczyźnie, ale po umiłowanych kątach swoich rodzimych, jak zwolna kroczy wśród harmonijnych gmachów florenckich i toskańskiego dobrego ludu, jak wychodzi za miasto w ciszę wieczorną, pod pogodne etruskie niebo, między krzaki róż i oliwków na wzgórzach San Miniato, między gaje pinowe nad pluskającym łagodnie Arno. Takim widział go wtedy daleki gość polski, rzucony tędy przelotnym losu trafunkiem, poseł cesarza Pawła na dworze florenckim, młody ks. Adam Czartoryski,

widział i opisał Alfieriego, jak schorowany, znużony, pogrążony w myślach, błądzi samotnie po okolicach Florencyi, skandując swoje wiersze. Takim błąkającym się, bledszym, lecz nieodrodnym cieniem starego Danta, oglądać go będzie wyobraźnia Leopardiego; takim, w ognistych Mazziniego oczach wyda się on »najpierwszym nowożytnym Włochem«, a w Giobertiego marzeniach apostołem »prymatu włoskiego«, odnowicielem przedniości rodzimego geniuszu; takim, obok większych od niego, lecz pokrewnych mu poprzedników dawniejszej doby, godne zachowa miejsce w Panteonie piśmienniczym narodu włoskiego; i takim też u obcych, w towarzystwie pokrewnych, choć większych poetów narodowych nowożytności, z szacunkiem wspominane będzie to imię brzmiące na skraju dwóch stuleci, dwóch epok, jak dźwięczna i ostra pobudka: Vittorio Alfieri.

Sprawy gdańskie.

Sprawy gdańskie, choć leżą raczej na uboczu, jak gdyby poza nawiasem właściwych dziejów nowożytnych polskich, zawsze jednak mieściły w sobie dla nas jakiś osobliwszy urok. Z głównego traktu dziejowego zawsze chętnie zbaczamy w tę stronę, kędy widnieją rozległe wyloty portowe, ciężkie bastiony, strzeliste wieże, patrycyuszowskie kamienice, poważne ulice i place starego Gdańska: i chętnie w tej chwili do takiej wycieczki korzystamy z pierwszej nadarzonej sposobności*). To stare miasto polsko-niemieckie, wyniosłe, uparte, przekorne, a przecie roztropne, uczciwe i wierne, to wszak była świetna perła w koronie dawnej Rzpltej, arcyważna placówka terytoryalna i gospodarcza dawnej Polski, jedno z głównych w niej ognisk najtęższego żywiołu niemieckiego, okazowy punkt przyjaznego zetknięcia się dwóch wielkich narodowości sąsiedzkich i pokojowego przystoso-

*) Maximilian Schultze: »Um Danzig. 1813—144.



wania się pracowitej, prawej, wiernopoddańczej niemczyzny do opiekuńczych rządów polskich.

Wiadome są zmienne koleje i twarde doświadczenia dziejowe miasta Gdańska. Od najdawniejszych czasów handlowało ono z Polską, żyło z Polski. A w owych nawet czasach dalekich, pódzikich, znajdowało tam zawsze w książętach i panach polskich dostawców dobrych, skrupulatnych, pewnych, znajdowało »opiekę prawną szybką, troskliwie czuwającą nad interesem kupców obcych«, jak stwierdza nie bez zadziwienia nowożytny pruski historyk handlu gdańskiego, bynajmniej na Polskę niełaskawy, na podstawie najdawniejszej księgi ławniczej miejskiej. Ledwo jednak zaczynało rozkwitać miasto, kiedy w początku XIV wieku spadła na nie żelazna pięść Zakonu. Zdobyto miasto morderczym nocnym napadem, wycięto część ludności, precz wygnano niedobitków, zburzono, z ziemią zrównano spokojne siedziby, zostawiono pustkowie i zgliszcza. To wszystko później prokurator zakonny w piśmie obrończem przed tronem papieskim nazywał aktem wymiaru sprawiedliwości, prawiąc o ścięciu jakichś kilkunastu »zbójów« (*latrones*) i ledwo napomykając półgębkiem, iż mieszczanom polecono przenieść się na inne miejsce. Dzisiejszy pruski generał-historyk twierdzy gdańskiej z większą otwartością przyznaje dość swobodnie, a zarazem technicznie tłumaczy i uzasadnia krzyżackie dzieło zniszczenia. »W postępowaniu

Zakonu względem Gdańska ujawnia się ówczesny mongolski sposób prowadzenia wojny. Podobnie, na większą jeszcze skalę, poczynął sobie Czyngischan, gdyż nie posiadał dość licznych wojsk, aby zostawiać załogi w większych miastach. Wobec nielicznej siły zbrojnej, jaką rozporządzał Zakon, nie pozostawało mu nic innego, tylko radzić sobie podobnym sposobem«. Argumentacja tego gatunku nie może oczywiście dziwić bynajmniej w dziele uczonego specjalisty dzisiejszej doby, generał-majora pruskiego, poświęconem na karcie tytułowej rycerskiemu a wymownemu monarsze, który, jak wiadomo, publicznie uczynił się apologetą i odnowicielem zaniedbanej taktyki »Hunnów« starożytnych na pożytek nowoczesnej sztuki wojennej.

Półtora wieku musiał wytrzymać Gdańsk pod surową władzą zakonną. Dotkliwie, rzecz prosta, zostało skrępowane i powstrzymane w zdrowym gospodarczym swoim rozwoju miasto czysto handlowe pośrodku czysto militarnej organizacji państwa krzyżackiego. Zapewne, z samej natury rzeczy, dzięki swemu wyjątkowo szczęśliwemu położeniu geograficznemu, i w tym nawet fatalnym okresie pozostawało ono ważną europejską arterią handlową, goszcząc u siebie po paręset okrętów angielskich, dochodząc do obrotów milionowych, wybierając się na czoło wszystkich miast pruskich. Ale ten przyrodzony wzrost dobrobytu miejskiego dotkliwie był opóźniany i tamowany nietylko twardą

ale i chciwą nadmiernie ręką zakonną. Gdyż Zakon nietylko w żelaznym rygorze trzymał swoich Gdańszczan i nietylko wysokimi opłatami obciążał ich handel, ale na dobitkę sam prowadził handel na własną rękę a na skalę coraz większą, stając się tym sposobem, zamiast protektora, nietylko ciemieżcą lecz nadto spółzawodnikiem miasta, spółzawodnikiem nieznośnym, bo panującym, więc uprzywilejowanym. Niedziwota też wśród podobnych warunków, że odgłos wielkiego zwycięstwa Polski nad Zakonem powitany był przez Gdańszczan jako błogosławiona zapowiedź wyzwolenia z pod jarzma krzyżackiego. Natychmiast, aż nazbyt skwapliwie, bo aż ze śmiertelnem narażeniem się na mściwość nierozbrojonego jeszcze do szczętu Zakonu, pośpieszyli burmistrz i rajcowie gdańscy stawić się w obozie Władysława Jagiełły, gdzie dobrotliwie przyjęci, ważne i hojne odebrawszy łaski dla swego miasta, pokwapili się nieboracy z hołdem, jeszcze niestety przedwczesnym. Czekają ich w domu straszliwa pomsta Zakonu. Wiadomo, jak krwawy komtur, brat Wielkiego mistrza, siedzący na zamku gdańskim, przyjaznem zaproszeniem ściągnął do siebie w gościnę owego nierozważnego burmistrza i ratmanów, jak ich wymordował bez zmiłowania, i jak dopiero w tydzień trzymane u siebie trupy wydał przerażonemu miastu. Dobrze to opowiada stary kronikarz, jak zdjęci zgrozą mieszczanie w milczeniu stoją przed pogardliwym komturem,

i jak jedna tylko nieszczęsna burmistrzówna, Anna Gross, rozpaczłą wybucha skargą. »Gdybyś była mężem jakoś jest kobieta, rzekł gniewny komtur, byłbym ci uczynił, jakom oto uczynił ojcu i małżonkowi twemu«. »Gdybym była mężem jakom jest kobietą, — odparła pani Anna — i z tobą, komturze, samowtór w polu stała, byłabym tą oto ręką pomściła na tobie ojca i małżonka«. Poczem podniosła, dodaje kronikarz, głos wielce żałosny: »Bogu się skarzę na wysokościach niebieskich na tę okrutną przemoc i bezprawie, jakie stało się mnie, niewieście biednej i dzieciom moim małym wbrew Bogu i prawu wszelkiemu. Wyzbyłam ojca i małżonka i mienia i prawa, ja i dzieci moje sieroty, bez wszelkiej winy ani wyroku. Ty, Boże wszechmocny, miejże zmiłowanie i ześlij karę przynależną za bezprawie tak wielkie«. Przyszła narzeczcie i kara i odwet. Kiedy Stany pruskie wypowiedziały wojnę Zakonowi, odrazu w pierwszym szeregu pojawili się Gdańszczanie, chowający w sercu pamięć tylu krzywd okrutnych. Oni to wtedy, jak może nikt inny, zaciekli się na zgubę, na śmierć Zakonu. W okamgnieniu wzięli nienawistny swój zamek zakonny, nie zostawili w nim kamienia na kamieniu, zrównali z ziemią to gniazdo drapieżcze, jak ich spokojne miasto ongi było starte. W wojnie trzynastoletniej nie żałowali ani krwi ani mienia, byle dopomóż królowi polskiemu w doszczętnem zmiążdżeniu potęgi krzyżackiej, niez mordowani

w swej dobrowolnej służbie posiłkowej a dla nich odwetowej i wyzwolenczej, i najczynniejsi aż do końca, jeszcze przy wzięciu Malborga, jak świadczy dziś jeszcze obraz, przechowany w Artushofie gdańskim i stare pod nim rymy. Sowitą też, iście królewską nagrodę za pocziwą, ofiarną i mężną tę służbę — *zu widergeltung ihrer getrewen und mercklichen fleissigen diensten*, jak ze sprawiedliwą dumą zapisuje uczony Kacper Schutzius, miasta Gdańska sekretarz i dziejopis — odebrali wnet z rąk wdzięcznego Kazimierza Jagiellończyka: obszerną autonomię wewnętrzną, rozległe przywileje handlowe, niektóre przywileje wprost udzielne, własną moc prawodawczą i jurysdykcję, własne prawo menicze, własne bezpośrednio traktowanie z obcemi państwami, koronę w herbie miasta, czerwony wosk w burmistrzowskiej pieczęci, wolność trzymania fortecy, odmykania i zamknięcia portu wiślanego.

Tak odrazu z półtorawiecznej niewoli krzyżackiej wstępowali Gdańszczanie na blisko półczwarta stulecia w okres swobody i rozkwitu pod berłem polskim. Natychmiast też podwoiła się i potroiła liczba przybywających okrętów, prawie do 30 tysięcy łasztów ładunku i dwudziestu milionów talarów wartości dochodził wywóz roczny zboża polskiego z Gdańska. Jeden tylko Amsterdam mógł równać się podówczas z polskim Gdańskiem, jako ogniskiem wszechświatowego handlu zbożowego, i dzisiejszy historyk tego handlu dla okre-

ślenia ówczesnego wyjątkowego stanowiska obu tych miast wyznacza im rolę równorzędną do dzisiejszej Londynu i Nowego Jorku. »Więc jeśli się dobrze z nas mają Gdańszczanie — słusznie opiniował szlachcic polski — i że *per commercia* nasze bogacieją, toćby wyrodnymi byli błaznami, żeby mieli o odmianie Pana przemysliwać«. Oni też ani myśleli o czemś podobnem. Zapewne, nie obeszło się, bo i obejść się nie mogło, bez niektórych przejściowych zatargów. Rozruchy religijno-społeczne w mieście w początku XVI wieku doprowadziły do poważnej z królem rozprawy: »za stosowniejsze przecie — tak odzywał się Zygmunt I do wróconych w karby Gdańszczan — uznaliśmy dla łaskawości Naszej raczej działać w sposobie zbawiennego lekarza, aniżeli surowego tytu występków mściciela«; i istotnie, Ordynacya Zygmuntońska, ograniczając samowolę Rady miejskiej, wprowadzając na mocnej podstawie drugi Wydział ławników, trzeci setników, wyobrażający w wydatnej mierze — pomimo nominacyjnej podległości Radzie — właściwą ludność miejską, lepiej urządzając porządek administracyjny i bezpieczeństwa publiczne, ostatecznie na dobre tylko samemu wyszła miastu. Niebawem ze wzrostem reformacji w mieście drażliwą sprawę wyznaniową wyrozumiale ułatwił przywilej religijny Zygmunta Augusta, cichym na razie, tymczasowym, a najpraktyczniejszym i najdogodniejszym wtedy sposobem.

W łagodnej, pokojowej też drodze, bądźcobądź bez krwi przelewu, umiał ostatni Jagiellończyk przełamać opór Gdańska przeciw unii realnej: a już wówczas, w tym zatargu zasadniczym objawiła się mądrość tamtej Ordynacyi, objawił się ten fakt znamieny i odtąd aż do końca rządów polskich widoczny, że te rządy dobrotliwe i dobroczynne już zdobyły sobie trwałe oparcie moralno-polityczne w samej gminie gdańskiej chociażby nawet przeciw Radzie; że jeśli nawet tym rządóm gotowa była niekiedy wstręty czynić nieliczna górna warstwa patrycyuszów w Wydziale pierwszym, to natomiast szerokie warstwy ludności miejskiej w Wydziale trzecim, nominowanym wprawdzie przeważnie przez Radę, lecz stanowiącym właściwe przedstawicielstwo czterech »kwater« miejskich i czterech wielkich cechów rzeźników, szewców, kowali i piekarzy, naturalnem swoim ciężeniem pod wysoką opiekę królewską stanowiły silną i coraz silniejszą przewagę przeciw wszelkim partykularystycznym zachciankom radzieckim; że ta masa mieszczkańska handlująca, cechowa i wyrobnicza, zwłaszcza drobniejsi kupcy, rzemieślnicy, rybacy, ludzie prości, żyjący z portu, Wisły i morza, czuli się już nietylko unią osobistą związani ze swoim polskim monarchą ale rzeczywistą unią materyalną i duchową coraz bardziej zespoleni z Rzpltą polską. Raz jeden jeszcze stanąć miał Gdańsk w ostrym zatargu wojeunym z całą Rzpltą, z nieuznanym

przez siebie elektem Batorym, broił się uporczywie, ale poddał się wreszcie, bez krzywdy dla siebie, bez żalu ze strony niczyjej, z honorem, z lojalnością zupełną; i zamiast kary, zamiast pomsty na modłę krzyżacką, raz jeszcze otrzymał potwierdzenie wszelkich swych przywilejów a nawet nowe drogocenne znaki łaski z rąk zwycięskiego króla Stefana. W przyśpieszonym odtąd tempie dokonywał się dalszy wspaniały rozkwit dzielnego i przemysłnego miasta, które, w dobrze zrozumianym interesie własnym szczęśliwie połączone z Rzpltą, odzyskało dopiero przyrodzoną podstawę dobrobytu i świetności, odzyskało właściwy swój charakter, wyznaczony mu przez samą przyrodę, jako odbiorca bogactw naturalnych urodzajnej ziemi polskiej, jej pól, lasów i stepów, jej zboża, budulcu i bydła, jako dostawca produktów kolonialnych i wyrobów wytwórczości cudzoziemskiej, jako łącznik i pośrednik pomiędzy kulturą rolniczą Rzpltej a przemysłową Zachodu. Nie skąpiła też Rzplta miastu coraz innych szacownych przywilejów, utrwalających wyjątkowe jego stanowisko gospodarcze. Szły tutaj wolno »zboża, mąki i leśne roboty, a k'temu rzeczy wszystkie ku żywności gospodarstwa własnego szlacheckiego«, szły woły trawne i karmne, szły dęby masztowe do Holandyi i Anglii; a zarazem dany miastu drogocenny monopol »sygilacyi«, przywilej wyłączny, aby sukna angielskie i inne zamorskie tylko przez jeden port

gdański przepuszczane i cechowane były, »pod karą konfiskaty towaru na tych, którzyby się wazyli przez inne miejsce i bez cechy gdańskiej sukna przepuścić i przywozić«. Niedziwota znowuż, że wśród takich warunków to samo miasto, które ongi, cierpiąc straty i krzywdy, wyrywało się z pod krzyżackiego wyzysku i ucisku, obecnie, opływając w dobrobyt i wolność, przywiązywało się coraz mocniej do bogacącej je i osłaniającej Rzpltej.

W rzeczy samej, tego wdzięcznego, niewzruszonego przywiązania nie przestawali odtąd zacni Gdańszczanie najpiękniejszych dawać dowodów. Już w pierwszej wojnie szwedzkiej, blokowani przez groźną potęgę Gustawa Adolfa, nie dali się wziąć na lep czułym przymówieniom wielkiego chorążego protestantyzmu, głusi zarówno na jego kuszenia i postrachy, poważnej udzielili mu odprawy, i w dodatku nawet zażartowali sobie z zawiedzionego kusiciela i straszdyła szwedzkiego w szyderczych piosenkach pod jego adresem, ściśle dochowując zaprzysiężonej wiary Rzpltej i zasługując sobie słusznie na wysokie słowa uznania i podziękii od króla Zygmunta. Wnet po raz wtóry, w wielkiej wojnie północnej, dzielne miasto nie zachwiało się ani na chwilę przed sztuką oblężniczą Karola Gustawa i przez cały czas najokrutniejszych przejść krajowych i najopłakańszych dezercyi trzymało się jak wyspa wśród powszechnego potopu. Jestto jedna z najpiękniejszych kart dzie-

jów gdańskich, kiedy przezorni Gdańszczanie sami podpalają swoje przedmieścia, byle niedopuszczyć usadowienia się tam Szwedów; kiedy pełni otuchy, choć otoczeni od nieprzyjaciela, wałą mu nad uchem z armat na wałach i z muszkietów na rynku na pierwszą wieść radosną o powrocie prawego monarchy, Jana Kazimierza; albo kiedy Karolowi Gustawowi, szturmującemu już Mindę i wzywającemu ich natarczywie do poddania się pod jego »łagodną opiekę« spółwyznawcy-ewangelika, oni, proste mieszczany, z rozważną deferencyą, a przecie z mądrą godnością, udzielają nietylko stanowczej odmowy, lecz nadto wspaniałej a surowej nauki. »Od czasu jak zostają w poddaństwie i wierności Królowi Polskiemu, — tak Jego potężnej szwedzkiej Mości skromnie odpisują oblegani rajcowie — zawsze należytą cześć oddawali Gdańszczanie królom szwedzkim... Lecz, niestety, nadbiegły smutne gońce z wieścią, iż Najmiłościwszy Król, któremu wiarę poprzysięgli, napadnięty został od króla Karola, a wojsko szwedzkie plądruje Polskę, wiele ziem, miast i grodów spustoszone i do gruntu zburzone... Mają oni, Gdańszczanie, w poważaniu majestat (Jegomości szwedzkiego) królewski, i dlatego nie chcą wglądać i certować się, azali słusznie wydał wojnę w Polsce, albowiem o tem swego czasu sądzić będzie Ten, który nad nami mieszka i sądzi: aliści i On to widzi, że na świecie nie ma nikogo, ktoby mógł wywieść i twierdzić, jako

podług jego zdania mogą być dopuszczone powody wojny szwedzkiej... Gdańszczanie wiedzą dobrze, ile korzyści dla nich płynie z faworu panujących a szczególnie z łaski Karola Gustawa,... lecz przyjąć Jego warunków nie dozwoliła im wierność Królowi swemu Najmiłościwшему, od Boga samego przez wolną elekcyę im danego, Panu swemu prawemu, któremu być posłuszni zobowiązali się przysięgą. Wierność tę przechowali niezachwianie w ciągu lat dwustu, od czasu, jak zostali do Rzpltej wcieleni; a jeżeli w niedolę popadli, to dlatego tylko, że ojców swoich szli prawym torem i pragnęli mieć czyste sumienie przed Bogiem, a u ludzi, bezstronnie sądzących, dobre o sobie mniemanie. Te przyczyny spowodowały ich do ujęcia za oręż. Jeżeli J. K. M. oceni te powody, nie wątpią, że sam ich uniewinni: niechaj jeno zważy, że sam ewangelickiej jest wiary, niechaj przeto nie dopuści, aby im przeszkodzono w dopełnieniu tego, co wszak wszystkim chrześcianom nakazuje Nauka Ewangelii... Niechaj także rozważy, że burza, co spadła na Jana Kazimierza, Pana ze wszech miar łaskawego i miłościwego, jakoteż na Jego państwa i dzierżawy, może kiedyś dotknąć samego Karola Gustawa: a jeżeli natedy senatorowie Jego, albo poddani, albo miasto jakie z niezachwianą stałością będzie trzymało przy prawym panu, nie dając się zwieść żadnym darem, żadnem mamidłem, a nawet jeżeli dużo nieprzyja-

źniej jeszcze stawiać się będzie, niż obecnie czynią Gdańszczanie, zali będzie mógł sam król zaprzeczyć, że ta cnota chwalebna jest w poddanych i zaszczytną nawet w nieprzyjaciołach?... Zresztą, polegając całkowicie na Opatrzności Boskiej, pozostają, wyjąwszy co się obowiązków względem Polski tycze, najpokorniejszymi sługami J. K. M., Rajcy, Ławnicy i Rada Stu, czyli trzy Stany miasta Gdańska«. I raz jeszcze nazajutrz, kiedy posłany im z obozu szwedzkiego protestancki dostojnik duchowny ponowił nalegania, apelując już wprost do ich interesu kupieckiego, jako najpierwszej rzekomo i najwyższej pobudki, przemawiającej za poddaniem się, wtedy głęboko urażeni sławetni rajcowie oświecili duchownego wysłańca względem istotnych »sposobów i zasad, jakimi od wieków rządziło się miasto«, w te piękne i roztropne słowa: »Przodkowie Gdańszczan przedewszystkiem przywiązani byli do ewangelicznej Nauki Chrystusowej; zaraz potem kładli przywiązanie do Królów swoich, jako od Boga samego ustanowionej władzy; potrzecie strzeżli, by nie odpaść od Królestwa Polskiego, do którego ciała sami zostali wcieleni; poczwarte bronili, ile sił im stało, praw, przywilejów, swobód i zwyczajów; nakoniec przykładali się do wzrostu handlu, przemysłu i dobrego bytu. Nigdy zaś u nich pośledniejsze obowiązki nie szły przed pierwszemi, nigdy zysk i interes nie był górą nad prawdą i dobrem... Żaden człowiek przecie nie da

wiary, aby Bogu podobało się złamaniem wierności, Królowi przynależnej, podpierać sprawę religii. Sam wrodzony rozum Gdańszczan, aczkolwiek słaby, naucza ich, iż nic tak nie wraża religii w serca i nie umacnia jej bardziej, jak prostota ducha i pokój, o który wszystkie serca i wszystkie języki błagać winny Chrystusa«. I postavili na swoim, kosztem wysiłków niemałych, kosztem dobrej krwi mieszczańskiej, ogromnych strat w budowlach i handlu a półpięta miliona złp. zasiłku wojennego dla Rzpltej w gotowiźnie; doczekali się uroczystego wjazdu Jana Kazimierza do oswobodzonych swych murów; w przemowie powitalnej do syndyka Fabricyusza usłyszeli zaszczytne oświadczenie z ust kanclerza wielkiego koronnego, iż »w tem jedynem mieście, wbrew przemocy, tyranii i podstępom okrutnego nieprzyjaciela, całe państwo zostało utrzymane»; usłyszeli z ust króla i senatorów na najbliższych sejmach ponawiane gorące zalecenia do przyzwoitych dla Gdańska od Rzpltej nagród, ażeby »ucieszyć« i »tem skuteczniej ocucić miasto do trwania i nadal w tem jego posłuszeństwie, odwiecznie niejako zakorzenionem«. Kiedy wreszcie, po latach kilkudziesięciu, po raz ostatni spotkali się z potęgą szwedzką, stało się to już śród okoliczności zgoła odmiennych. Zresztą, jeśli stanęli wtedy przy Stanisławie Leszczyńskim za pierwszej jego elekcyi, nie czynili przecie wstrętów poważniejszych Augustowi II, skoro ten przez

powszechność uznany został prawym panem. Wtedy to także, podczas nowej wojny północnej, witano w Gdańsku podwakość nowego mocarza Wschodu, Piotra Wielkiego, przyjęto go w sali radzieckiej z powinną głowie koronowanej świetnością, słuchano jego, uczynionych w mowie polskiej, uwag z powinnym respektem, nie zdołano przecie zapobiedz mniej pochlebnym manifestacyom ludności miejskiej.

Wkrótce potem, w nowem ostrem przesileniu krajowem, w przedostatnim zatargu elekcyjnym, mieli Gdańszczanie sposobność złożyć dowód uderzający, że nietylko pod względem materyalnym, lecz oraz pod moralno-politycznym zespolili się prawdziwie z duchem narodowym Rzpltej. Nadarzyła się taka okazyja z powodu powtórnej elekcji Stanisława Leszczyńskiego. Niefortunny król Stanisław »I i II«, ledwo obrany, natychmiast wypędzony z Warszawy przez elekcyę Augusta III dokonaną pod osłoną broni cudzoziemskiej, opuszczony od szczęścia i adherentów, schronił się przed pościgiem do warownego Gdańska. Nie miało zapewne miasto żadnych obowiązków dla Leszczyńskiego. Nie miało też żadnego interesu przyjmować u siebie króla wyгнаńca, bez władzy, bez wojska, nawet bez funduszów. Nie mogło zaś żywić żadnej wątpliwości, że wraz z takim gościem będzie zmuszone wziąć na swoje barki jego sprawę zdesperowaną a właściwie już z góry doszczętnie

przegraną, narazić się na ciężkie przeprawy, dotkliwie straty, niebezpieczną a beznadziejną walkę zbrojną. Ale Stanisław, bądź co bądź, miał wtedy za sobą ogromną większość opinii szlacheckiej w Rzpltej, był prawym elektem-monarchą. To też szlachetni rajcowie gdańscy po dojrzałej rozwadze, idąc zresztą za jednomyślnym popędem wszystkiego mieszczaństwa, w lojalnem poczuciu swojej solidarności obywatelskiej i wiernopoddańczego obowiązku, nietylko nie odmówili gościny Leszczyńskiemu, lecz, raz przyjąwszy go u siebie, postawili sobie za punkt honoru wytrwać przy nim do ostatka, bronić do upadłego »świętej osoby Jego Królewskiej Mości«. *Willkommen, theurer Fürst, in dieser guten Stadt, Weil Danzig ganz allein das grosse Glück hat, Den König Stanislaum anjetzt bei sich zu sehn*, tak ustami namaszczonego miejskiego śpiewaka witał króla »Gdańsk uradowany« (*Das erfreute Danzig*). Trzeba czytać te ciekawe i zabawne wylewy uczuć wierszem i prozą, jakich pełno w tym czasie wychodziło z pod starannych tłoczni gdańskich: zabawne niewątpliwie w swojej pedanckiej czułości i przesadzie, ale niezawodnie ciekawe, nawet wzruszające, jeśli pomyśleć, z jak pocziwej rodziły się intencyi, wśród jakich powstawały warunków, pośród bicia dzwonów na alarm, okrzyku szturmujących kolumn nieprzyjacielskich, trzasku pękających bomb i grania ciężkich armat oblężniczych

sasko-rosyjskich. W istocie, jak było do przewidzenia, wnet okolone zostało miasto żelaznym pierścieniem i coraz srożej naciskane przez Münnicha; lecz ze starowną tęgością i uporem, jak ongi Szwedom, tak teraz broniło się skutecznie potężnej sztuce oblężniczej groźnego feldmarszałka. Wytrwale, odważnie, czujnie, we dnie i w nocy, pełnili służbę w kompaniach obywatelskich, obsługując działa, luzując się na wartach, bez różnicy stanu i cechu, bogaci patrycyusze-«rhederzy» narówni z prostymi tragarzami portowymi; ba, nawet dzielne niewiasty, jędrne mieszczyki gdańskie, miały podobno w tej wielkiej potrzebie próbować się w rzeniośle wojennem. *Auf, auf, ihr Frauenvolk, ihr Jungfern und ihr Weiber, Lasst euren Weibermuth auch euren Feinden sehn!* — tak nawoływał swoje współrodaczki zapalony gdański poeta Stanisławczyk. Doprawdy, biedny król Stanisław, umęczony przez krnąbrną magnaterę i szlachtę, którą tam miał z sobą a która, zupełnie upadłszy na duchu, codzień gorzkie mu czyniła wymówki za wspólny zawód, nieskończenie więcej respektu doznawał od prostego, ofiarnego i lojalnego mieszczaństwa, które nie przestawało w jego osobie czcić nietykalnego monarszego majestatu. Dość powiedzieć, że kiedy nareszcie król uciekł potajemnie z miasta, niespodziana o tem wiadomość ugodziła mieszkańców jak gromem, budząc w nich zamiast zrozumiałego uczucia odetchnienia, uczucie szczerego żalu, pra-

wie rozpaczy. Wtedy też dopiero, kiedy już nie było kogo bronić, poddali się Gdańszczanie. Kapitulowali z honorem, po oblężeniu półpięćmiesięcznym, po wytrzymaniu przeszło czterech tysięcy rzuconych bomb, przed armią z górą pięćdziesięciotysięczną, przed najznakomitszym wodzem swego czasu. Opłacili się ciężko: sporą ilością przełanej zaciej krwi mieszczańskiej, znaczną miasta ruiną, milionową nadomiar kontrybucją wojenną; lecz znowuż czynem pięknie dowiedli, że są dobrymi obywatelami Rzpltej.

Nie mogły oczywiście, z samej natury tych wypadków, ułożyć się nazbyt pomyślnie stosunki wzajemne między Augustem III a tem odważnym miastem, które tak uparcie aż do ostatka broniło królewskiego współzawodnika. Jednak rzeczą jest tem godniejszą uwagi, że pomimo to wszystko z chwilą uznania go za swego pana, pod jego to opiekę, tradycyjnym już niemal instynktem, oddawała się ufnie ludność miejska, ów gminny mianowicie żywioł, nawykły do troskliwej protekcji swego monarchy polskiego. Deputowani Trzeciego Wydziału udali się do Augusta po pomoc przeciw arystokratycznej samowoli Rady; uzyskali też istotnie nową Ordynację królewską w duchu demokratycznym, rozszerzającą znakomicie czynne prawo wyborcze gminy; poczem wdzięczny Wydział Trzeci wraz z kupiectwem wystawili wspaniały marmurowy posąg króla, widniejący po dziś dzień w starym Artushofie,

Biedny Lengnich, wtedy profesor prawa i historii w gimnazjum akademickiem gdańskim, słynny później syndyk, jurysta i dziejopis, musiał na rozkaz królewski uzasadniać sprawiedliwe żądania gminne, jakkolwiek sam w duszy skłaniał się raczej ku stronie patrycyuszowsko-radzieckiej. Ale i ten mąż uczony, sława Gdańska, członek Akademii cesarskiej rosyjskiej i radca legacyjny saski, których to obudwu tytułów, jak sam powiada, »zgoła używać wyrzekałem się z dobrą rozważką«, dyplomata wielki i ostrożny, nazywany przez nieżyczliwych »Tacytem pruskim, albowiem domilczał się do syndykatu«, gorliwy nadewszystko i uparty stróż wszelakich gdańskich fikcji prawnych, zwłaszcza względem sejmujących Stanów polskich, zrosły najgłębszą miłością ze swoją ściślejszą gdańską ojczyzną, przecież koniec końcem, choć niejedną jurydyczną warował dystynkcję i niejedną stanową żywił urazę, był dobrym i przywiązanym synem swojej szerszej ojczyzny, Rzplitej polskiej. Będzie się on mocno spierał o to, że Gdańsk jeno królowi samemu winien *getreu sein*, zaś Koronie polskiej winien tylko *Bestes befördern*, będzie się gniewał o nieprawne przyswojenie tytułu *domina* przez Rzplitą, ale z miłością i dumą będzie wyszczególniał zasługi Gdańska dla Polski i uznanie Polski dla Gdańska, lubować się będzie w wyliczeniu, jacy królowie polscy «to miasto obecnością swoją zaszczytili i bądź dłużej, bądź

krócej tu zabawiali», a więc »Kazimierz dwukrotnie, Zygmunt III. sześciokrotnie, Władysław IV. jako król trzykrotnie, równie często Jan Kazimierz, August II. czterokrotnie, Aleksander, Zygmunt I, Zygmunt August i Jan III jednokrotnie»; zaś co się tyczy tych monarchów, którzy, niestety, nie uradowali widokiem swym Gdańska, będzie zaraz skwapliwie tłumaczył, iż Jan Olbracht zmarł już będąc w drodze w Toruniu, Batory już się wybierał kiedy śmierć go zaskoczyła, Henrykowi krótkość tylko czasu stanęła na zawadzie, a królowi Michałowi zamieszki zewnętrzne, »jakkolwiek okazywał on wielkie pragnienie ujrzenia miasta naszego«. Sam sobie z tego dobrze nie zdając sprawy, protestując się przy swoim patryotyzmie lokalnym, znakomity Gdańszczanin został doskonałym Polakiem.

Tymczasem, po upływie ćwierci wieku od zawieruchy Stanisławowskiej, znowu zaczęły dochodzić do Gdańska nowe odgłosy wojenne i znowu z tejże strony, acz w odmiennej, mniej wyraźnej postaci, ta sama zbliżała się groźba. Było to w czasie wojny siedmioletniej. Na tej wojnie naogół nie tylko nie straciło, lecz owszem bogaciło się przemysłne miasto, będące niewyczerpanym śpi-chlerzem, dostarczającym za dobrą zapłatę zboża i furazu do magazynów stron wojujących. Ale była też odwrotna strona medalu. Obudwom stronom wojującym, Prusakom i Rosyanom, operują-

cym dokoła miasta, sama przez się fatalnie nasuwała się mocna pokusa położenia na niem swych ręku. Pod koniec zwłaszcza przeciągającej się walki, kiedy Fryderyk Wielki, już, zdawało się, całkiem pognębiony, ulegał liczebnej przewadze przeciwników, kiedy całe Prusy Książęce były w posiadaniu Rosyan, kiedy w Królewcu odbierano przysięgę na wierność Elżbiecie Piotrównie, kiedy w cerkwi królewieckiej (1758—62) spasso-jarosławski ojciec-archimandryta Tichon wygłaszał wielolecie za carrową jako monarchinią ziemi pruskiej, — wtedy w obozie rosyjskim zaczęto także na seryo rozważać myśl owładnięcia Gdańskiem. Myśl ta, powzięta przez wodza naczelnego armii rosyjskiej, feldmarszałka Buturlina, miała być wykonana przez generała-porucznika Czernyszewa, który w tym celu, pod pozorem chwilowej potrzeby strategicznej, miał zająć przedmieścia gdańskie. Wice-kanclerz Woroncow rozpoczął już nawet w tym przedmiocie tajne rokowania z dworem wersalskim. Z korespondencyi Brühla przekonywamy się, jak dalece wiadomość o tem przedsięwzięciu zaalarmowała Augusta III, przebywającego w Warszawie. Na szczęście, wpływy saskie na sprzymierzeńczym dworze petersburskim, a zwłaszcza osobiście u cesarzowej Elżbiety, były dość skuteczne; sam projekt, ile sądzić można, nie był dostatecznie przygotowany w gabinecie, lecz powstał zapewne w obozie, sposobem przygodnej próby; zresztą niebawem

zmieniło się z gruntu całe położenie wojenne i polityczne. Fryderyk się podniósł, nastąpiła pacyfikacja powszechna: dość, że niebezpieczeństwo, zagrożające miastu z tej strony, narazie bez dalszych szkodliwych następstw zostało uchylone.

Tymczasem jednak z innej strony już zbierała się nad Gdańskiem groźba nieskończenie poważniejsza, bliższa, nieodparta, która ledwo na czas jakiś dawała się odroczyć, lecz nie dała się zażegnać. Król pruski, sukcesor Zakonu, przychodził zgłosić się po tamtą utraconą grabież zakonną z przed czterech wieków. Fryderyk II oddawna na Gdańsk oglądał się i łakomił. On chciał, aby i jego kochali Gdańszczanie, a miał na to swój sposób szczególny: chciał być pokochany przez nadmiar nienawiści; chciał, aby oni tak znienawidzili w nim wroga, aż nie będą zmuszeni już raczej umiłować w nim władcę; chciał dopóty dusić ich jako sąsiadów, aż nie będą woleli zażyć nareszcie spokoju jako poddani. A więc pod najrozmaitszemi pretekstami, bądź czasowych represaliów bądź stałych tytułów zwierzchniczych, zaczął dławić mądrze, rozważnie, ze świadomą konsekwencyą, z wyrachowaniem mistrzostwem. Gdańsk żył z handlu polskiego, z wolnego wiślanego spławu. Fryderyk pośrodku założył komorę, zaprowadził niepomierne cła tranzytowe, zarządził nieznośne szykany rewizyjne, ustawił działa, i odrazu tym sposobem w swoją twardą rękę wzięwszy arterję życionośną miasta,

jął ścisnąć systematycznie, bez miłosierdzia. Urządził poprostu rodzaj formalnej blokady pokojowej, otoczył swemi szlabanami celnemi wszystkie wrota, szykanował obywateli przy wyjeździe do ich will podmiejskich, utrudniał dowóz żywności z okolicy, dla rozmaitości od czasu do czasu, pod pozorem szukania swoich dezertarów, posyłał do miasta oddziały werbownicze i wybierał rekruta przemocą, przedewszystkiem jednak — zabijał handel. Niebawem pod tym żelaznym naciskiem zaczęli tracić dech w piersi Gdańszczanie. Zagrożeni w samym swoim bycie, zwrócili się po ratunek do bezsilnej Rzpltej, do dalekich swoich odbiorców, Holendrów i Anglików, lecz wszędzie spotykali puste jeno wyrazy współczucia; odwołali się wreszcie do potężnej a blizkiej Rosyi i tutaj istotnie znaleźli pewne, przynajmniej chwilowe poparcie. Już dawniej Anna Iwanówna, po zdobyciu miasta przez Münnicha, w dyplomie amnestyjnym 1736 r. przyrzekała swoje »najjaśniejsze pośrednictwo do zachowania Gdańska w dotychczasowych prawach, wolnościach, majątkach i zwyczajach, jakoteż w rzeczach religijnych i innych«. Do tej obosiecznej gwarancyi obecnie, wobec natarczywszej jeszcze i bliższej groźby pruskiej, musiało odwołać się miasto. Umieli roztropni rajcowie trafić do niektórych ówczesnych mocarzów petersburskich, zdaje się do Orłowów; przemówiły także na ich korzyść wyższe względy polityczne, własne interesy han-

dłowe rosyjskie, własne nadto rosyjskie na Gdańsk widoki, datujące się od czasów Piotra i Elżbiety, a obecnie odzywające się mocnem echem w petersburskiej Radzie państwa pod postacią wcale ostrych protestów przeciw gwałtom Fryderykowym. Ale nadeszły tymczasem sprawy nieskończenie większe, które w kąć usunęły gdańską; nadszedł pierwszy podział Rzpltej. Teraz całą swoją sztukę negocyatorską wysilił Fryderyk, byle za jednym już zachodem, w spokojnej drodze traktatowej, obok innych nabytków podziałowych, włożyć do kieszeni Gdańsk jako przydatek. Zaczął umizgać się do Gdańszczan. Już poprzednio, kiedy rozpałał był sprawę dysydencką jako przegrywkę do podziału, na wszelki sposób starał się, w tym samym czasie, kiedy kładł haracz na ich zarobki i konfiskował ich towary, występować w roli obrońcy ich swobód religijnych wobec fanatyzmu polskiego i w imię wspólnej wiary protestanckiej, przez swego sprytnego w Gdańsku rezydenta, naciskał ich o przystąpienie do konfederacji dysydenckiej. Bronili się nieproszonej opiece poczcwi rajcowie, zaklinali się, że żadna im się krzywda na wierze nie dzieje, że żadnych swoich grawaminów dysydenckich nie mają potrzeby dochodzić na koronie polskiej; wreszcie, prawie zmuszeni, przystąpili ale w swoim akcesie najwyraźniej taką zawarowali restrykcję, że »nie zobowiązują się do niczego, co byłoby przeciwne wierności, powinnej królowi JMci i Naj-

jaśniejszej Rzplitej«. To było przed czterema niespełna laty. A teraz król pruski, ten sam gorliwy *defensor fidei*, łaskawie wyrażał gotowość zagarnięcia ich całkiem pod swoje berło. Aliści oni bynajmniej nie garnęli się pod skrzydła współdysydenckiego orła czarnego, którego nienasycony apetyt fiskalny doskonale był im znany. Podnieśli *larum* na całą Europę, i tym razem mało wsparci przez Anglików, lepiej natomiast wspomóceni przez Holendrów, znaleźli znowu drogę do Petersburga. O opozycję petersburską rozbiły się raz jeszcze widoki gdańskie Fryderyka. A trzeba mu oddać sprawiedliwość, że żadnych nie szczędził zachodów, naprzemiany nadskakujący, natarczywy, wygrażający się, niezrównany w swej taktyce i w swej chciwości. Nasamprzód, w pierwszych rokowaniach podziałowych, udał, że kwituje z Gdańska, policzwszy sobie naturalnie odpowiedni »ekwiwalent za to miasto«. Po kilku miesiącach, zabezpieczwszy sobie to »odszkodowanie«, naturalnie upomniał się o miasto, a nawet zajął już przystań gdańską. »Co się tycze Gdańska, — pisał do posła swego w Petersburgu — uważam tę sprawę za zupełną bagatelę. Wszak i Avignon należał niegdyś do papieża a zabrany był przez Francuzów; Strasburg był wolnem miastem a wcielony był przez Ludwika XIV. Wieleż podobnych przykładów dostarczają dzieje! Zresztą nie troszczyłbym się wcale o jakieś tam miasto handlujące. Czyliż jednak nie

widoczna na karcie, że ono przez swoje położenie geograficzne przecina wszystkie moje posiadłości?« Głęboko był zgorzony, że robi się »tyle hałasu«, o ten mizerny »Gdańsk, który jest tylko głupstwem (*une niaiserie*) dla Rosyan«. Zagroził nawet w razie odmowy niedotrzymaniem sojuszu z imperatorką, korzystając z jej kłopotów tureckich i straszając prowokowaną przez siebie interwencją austriacką. Jestem kupiec — pisał do Petersburga. Przychodźcie do mnie kupować towar, mój sukurs, moje subsydia; powiadam: »Proszę mi zapłacić tyle a tyle i w takiej monecie«; wy na to: »Nie chcę płacić tą monetą«; wtedy kupiec nisko się kłania, zamyka swój towar i radzi udać się do innego sklepu. Jakto? panowie Rosyanie chcecie, abym się narażał? chcecie odemnie posiłków? — owszem, ale Prusy polskie i Gdańsk — oto cena za moje usługi. Owóż, moi najukochańsi Rosyanie, raczcie zastanowić się sami, czy wam mój towar potrzebny? Czy możecie bez niego się obejść? A może ten Gdańsk, który miłujecie tak bardzo, dostarczy wam owych posiłków, które ja wam podobno sprzedaję zbyt drogo? ...Doprawdy, trudno mi wprost uwierzyć, że podobna marność (*misère*), jak Gdańsk, może zatrzymać na jedną chwilę światła i mądre zdanie wielkiej imperatorowej«.

Cała ta elokwencya na razie nie zdała się na nic. Jeszcze było zawcześnie. Biedny Fryderyk nie mógł jeszcze dostać się do Gdańska. Swoją drogą nie

mała w tem była zasługa samych Gdańszczan, brojących się rozpaczliwie przed nienawistnym sąsiadem pruskim. Zwłaszcza gmina, ludność pospolita, najtwardszy okazywała opór, kiedy już nawet pod oczywistą przemocą kruszeć i ulegać począł magistrat. Już zbiedzony senat miejski i ławnicy byli zdecydowani na wymuszane na nich ważne ustępstwo, na przyznanie Fryderykowi zwierzchnictwa terytoryalnego nad portem. »Lecz Wydział Trzeci nie chciał ani słyszeć o tem, a nawet przeciwnie, zawiadomił o tem giełdę kupiecką i cechy, które zgromadziwszy się natychmiast, na publicznych wykrzykiwały miejscach, że wolą raczej, aby ich w zwalinach zagrzebano miasta, niżby miały zezwolić na żądane zwierzchnictwo... Gmina groziła śmiercią każdemu, ktoby śmiał działać przeciwnie a nawet rzucić się odgrażała na komisarza i rezydenta pruskiego, gdyby się pokazali na ulicy«. Wobec podobnego zachowania się prostaków gdańskich i wobec wstrętów rosyjskich nie było danem Fryderykowi urzeczywistnić ulubionej swej myśli. Ale zostawił to zadanie swoim następcom. Kiedy w swoim Testamencie politycznym zalecał im obierać Rzplitą, jak karczoch albo głowę kapusty, »liść po liściu, miasto za miastem«, wyraźnie wspominał przedewszystkiem o smacznym liśtku gdańskim. Pamiętał o tem zaleceniu Fryderyk Wilhelm II, kiedy w swoich rokowaniach sprzymierzeńczych z Sejmem Czteroletnim nie przesta-

wał przede wszystkim gdańskiej dopraszać się nagrody. Ale i ze strony polskiej nauczono się cenić należycie swój klejnot gdański. Wymówiono się grzecznie od natrętnych nagabywań pruskich, a tymczasem w ustawie o miastach osobno potwierdzono Gdańszczanom delegację sejmową i głos od laski, »który nie ma im być odmówiony«. Kiedy zaś nadbiegła groźba powtórnego podziału kraju, powzięto nawet przez jedną chwilę myśl oparcia obrony narodowej o wierne mury gdańskie. Wtedy to mianowicie, jesienią 1792 r., Dąbrowski, uczony znawca historii wojennej, dobrze świadom sławnych dziejów oblężeń gdańskich, powziął swój plan arcyśmiały zgromadzenia armii i bądź przedarcia się z nią do Francji, bądź też obwarowania się w Gdańsku. Wysłany przez niego kapitan Fiszer dla potajemnego zrekonoskowania miasta, znalazł tam wprawdzie Prusaków, którzy już dawniej wdarli się byli do terytorium miejskiego, na Quadendorfie a nawet na samem przedmieściu Szotlandzkiem, ale znalazł wały, bastiony, arsenał »w najlepszym porządku« i, co główna, w mieszczaństwie niemieckiem, w miejskim korpusie oficerskim, w młodzieży obywatelskiej, znalazł najlepszego ducha polskiego, tego samego ducha, który przed półwiekiem ożywiał był wytrwałych obrońców króla Stanisława.

Tymczasem jednak, jak wiadomo, rzecz skutku nie osiągnęła; dokonano drugiego podziału, Gdańsk

dostał się do Prus. Już w marcu 1793 r. stawiło się u wrót miasta wojsko pruskie, żądając wstępu jakoby dla poskromienia ukrytych »jakóbinów«. Uledez musiał sile wyższej strapiony senat miejski, gwałtownie protestował niezłomny Wydział Trzeci, próbowała jeszcze odruchowo burzyć się i bronić wierna ludność, szturmowała do cekhauzu o broń przeciw Prusakom, doszło nawet do krwawych zamieszek na ulicach w kwietniu t. r. przy wejściu żołnierzy pruskich, nareszcie w maju t. r. nadeszła chwila fatalna złożenia przysięgi koronie pruskiej. Niedługo przecie, lat kilkanaście zaledwo, pozostawał Gdańsk w rękach pruskich. Po katastrofie jenańskiej, uciekający przed Napoleonem rząd berliński pomyślał o warownym Gdańsku, ale wnet wyrzekł się myśli szukania tam schronienia: zrozumiał chyba, że niema po temu żadnych słusznych tytułów. W rzeczy samej, Gdańsk, wzięty niebawem przez wojska napoleońskie, przez sprzymierzone wojska francusko-polskie, oddalony przecie od ułankowych granic Księstwa warszawskiego, otrzymał w Tylży, wraz z terytoryum dwumilowem, imię miasta wolnego, »pod protekcyą królów pruskiego i saskiego«, naprawdę jednak, z francuską komendanturą i załogą, uczyniony został najdalej wysuniętą twierdzą francuską. Nie ulega też wątpliwości, że mimo całą sympatyę, okazywaną i wtedy przez Gdańszczan dla sprawy polsko-francuskiej, położenie miasta handlowego nie było

zgoła pomyslnie w napoleońskim obozie blokady kontynentalnej. Nareszcie znowuż po kilku latach, po katastrofie moskiewskiej, dla tylekroć tak ciężko doświadczonego Gdańska nadeszła ostatnia, jak dotychczas, próba wojenna, a jedna z najcięższych. Już w styczniu 1813 r. miasto było otoczone przez wojska rosyjskie; po całorocznem oblężeniu, dzielnie bronione przez Rappa, kapitulowało w ręce Rosyan i przez nich było zajęte; w lutym 1814 r. zostało oddane Prusakom, aby pozostać w ich ręku po dziś dzień.

Ten ostatni epizod dziejów gdańskich jest z rozlicznych względów nader interesujący. Wiąże się on bezpośrednio z niektórymi najdonioślejszemi zagadnieniami doby ówczesnej. Wyprawa Napoleona do Rosyi zakończyła się klęską zupełną; lecz właśnie dlatego w najpowołańszych kołach wojskowych i politycznych rosyjskich nie życiono sobie bynajmniej wyprawy cesarza Aleksandra do Francyi. Kutuzow stanowczo był zdania, że należy zatrzymać się nad Wisłą, że nie należy sprzymierzać się z Prusami ani prowadzić dalszej wojny *pour le roi de Prusse*, że należy, wprost przeciwnie, porozumieć się z Napoleonem i zawrzeć pokój na warunkach dla Rosyi najdogodniejszych. Takie również było zdanie kanclerza Rumiancewa, całej prawie generalicyi, powszechny »głos opinii publicznej«; a i dzisiejszy historyk rosyjski, będący zarazem fachowcem wojskowym, generał Szyl-

der, nie wątpi wcale, że takie właśnie, nie inne, rozwiązanie odpowiadało »istotnym interesom« państwa. Otóż, owe najdogodniejsze warunki pokojowe, o jakich myślał Kutuzow, a które w położeniu ówczesnem łatwo można było otrzymać od Napoleona, polegały nietylko na przyłączeniu całego Księstwa, lecz oraz na pozyskaniu *linii Wisły* w pełnej rozciągłości, t. j. na wcieleniu całych Prus Wschodnich (Książęcych). Powracano więc z tej strony do pomysłów jeszcze z doby Elżbiety, godzących we Fryderyka Wielkiego; a w rzeczy samej, podobnie jak i wówczas, cała ta część Prus znajdowała się teraz faktycznie w rękach rosyjskich. Według kompetentnego świadka naocznego, feldmarszałka pruskiego Boyena, który w końcu 1812 r. konferował w Petersburgu z cesarzem Aleksandrem, tamtejsze stronnictwo wojskowe bezwarunkowo dopominało się owej granicy wiślanej: »byli oni gotowi za tę cenę oddać pozostałą Europę Napoleonowi lub bodaj djabłu samemu«. Cała część końcowa kampanii moskiewskiej, wypuszczenie Napoleona, zwolnienie pościgu, tłumaczy się poniekąd temi wyższymi względami. Adorowany przez sentymentalnych Prusaków *Grossvater* Kutuzow nie był bynajmniej czułym dla nich »dziadkiem«, ani też wogóle nie był prostodusznym starcem ewangelicznym, jakim wyobraża go poetyckie pióro hr. Tołstoja, lecz był naprawdę nadzwyczaj sprytnym dworakiem i bardzo mądrym, trzeźwym statystą

ze szkoły Katarzyny i Potemkina; rozumiał on doskonale, że doszczętne zgromienie Francji nie leży zgoła w interesie Rosji, że natomiast w jej interesie leży gruntowne zabezpieczenie się od Prus. To też dodany mu od Anglii przenikliwy obserwator, generał Wilson, wnet dostrzegł, że Kutuzow »pilnuje dobrze interesów swego przyjaciela« (Napoleona) i wprost oskarżył go, że »stary Agamemnon« rozmyślnie wypuścił z matni cesarza Francuzów. Zresztą Anglia, byle pchnąć Rosję do dalszej walki, gotowa była sprzyjać widokom rosyjskim na linię Wisły; angażowali się już w tym kierunku i Wilson, i poseł angielski w Petersburgu, lord Cathcart. W istocie zanosilo się na to nie na żarty. W styczniu 1813 r. Czernyszew i Rydygier zajęli Królewiec, gdzie rozpoczęła się nader dziwna gospodarka stanowa bez żadnego oglądania się na króla Fryderyka-Wilhelma III. Gubernator wojenny ryski, margrabia Paulucci, nieco wcześniej jeszcze zabrał Memel (Kłajpedę), zniósł władze pruskie, objął kasy rządowe, wprost zaprowadził administrację rosyjską.

Owóz w bezpośrednim związku z temi ważnemi sprawami stała sprawa Gdańska. Nie ulega żadnej wątpliwości, że widoki rosyjskie pod koniec 1812 i przez większą część 1813 r. zmierzały do tego, aby po zdobyciu miasta bądź zatrzymać je wprost przy Rosji, bądź też w najgorszym razie zostawić na stopniu miasta wolnego, według stopy tylżyc-

ckiej, z tą tylko oczywiście różnicą, że protektorem głównym zamiast króla saskiego zostałby król polski, cesarz Aleksander I. Istotnie, Kutuzow w nader znamienym ordynansie do Wittgensteina zalecał mu odsunąć wojska pruskie od Gdańska i używać do oblężenia wyłącznie wojsk rosyjskich. Skutkiem tego po osaczeniu miasta dowodził tu w styczniu 1813 r. Płatow, w lutym Wittgenstein, do końca kwietnia Lewis, odtąd zaś przysłany wprost z kwatery głównej rosyjskiej ks. Aleksander Wirtemberski, gubernator wojenny białoruski, rodzony wuj cesarza Aleksandra. Wybór osobistości tak wybitnej, jakoteż znaczne wzmocnienie korpusu oblężniczego, doprowadzonego do przeszło 30 tysięcy ludzi, wyraźną były wskazówką, jaką wagę w otoczeniu cesarza przywiązywano do owładnięcia Gdańskiem na własną rękę. Łacno też domyślił się niebezpieczeństwa Fryderyk-Wilhelm i już w kwietniu t. r. rozkazał »wysilić się, jak tylko można« (*alles Ersinnliche anstrengen*), byle postać pod Gdańsk jakieś oddziały pruskie, które mogłyby samą swoją obecnością warować niejako tytuły pruskie. Wysztyftowano też na gwałt słabiutką dywizję landwery w kilka tysięcy ludzi pod dowództwem hr. Dohny, którą w czerwcu t. r. posłano »do pomocy« ks. Wirtemberskiemu. Książę oczywiście przyjął ją najgorzej nieproszonych »pomocników«; traktował ich z góry, wydawał im rozkazy w języku rosyjskim zupełnie jak do swo-

ich »drużyn opołczenia«, odsuwał ich systematycznie na tyły i t. d. Pod murami obleganego Gdańska odegrała się tym sposobem kapitalna tragikomedya polityczno-militarna pomiędzy wojowniczymi landwerzystami pruskimi, prześcigającymi się w natrętnej gorliwości, a uchylającym się nielitościwie od usług tych gorliwców wodzem naczelnym rosyjskim. Nareszcie w końcu listopada podpisał Rapp kapitulację na warunkach zaszczytnych: 1 stycznia 1814 r. miał opuścić miasto, jeśli do tego czasu nie nadejdzie mu odsiecz. Teraz na dobre zaalarmowali się Prusacy, patrzący podejrzliwie na ręce ks. Wirtemberskiemu: wnet donieśli królowi, iż w sztabie rosyjskim postanowiono zburzyć fortyfikacje gdańskie, nie zwracać miasta koronie pruskiej, lecz ogłosić je wolnem; zarazem denuncyowali »niektórych panów z senatu gdańskiego, którzy zapewne pragną przywrócenia dawnego swego blasku i wpływają na niektóre znaczne osoby tutejsze (kwatery rosyjskiej)«. Król w te pędy przysłał rozkaz, mianujący generała Massenbacha gubernatorem a pułkownika Dohnę komendantem Gdańska. Tutaj jednak, jak wyraża się historyk pruski, nastąpiła »katastrofa«. Ks. Wirtemberski wręcz oświadczył, że na rozkaz królewski oglądać się nie myśli, że oczekuje rozkazów cesarza Aleksandra, że »sprawa Gdańska jest nierozdzielnie związana ze sprawą Polski«; obowiązek nakazuje mu przedewszystkiem pilnować inte-

resów swego monarchy. Tak więc 2 stycznia 1814 r. Rosyanie wkroczyli do miasta; klucze posłano cesarzowi Aleksandrowi; gubernatorem został generał-porucznik ks. Wołkoński, komendantem generał-major Rachmanow. Prusakom pozwolono obsadzić jedynie zewnętrzną bramę Neugastową, między Bischoffsbergiem a Hagelsbergiem. Doszło do gwałtownych scen między ks. Wirtemberskim a Massenbachem i Dohną; ten ostatni poważił się nawet rozlepić drukowane proklamacye w charakterze »komendanta«; były one jednak, jak się zdaje, zrywane przez samą ludność, która, jak świadczy relacya majora pruskiego Hakego, okazywała całkiem niedwuznacznie swoją nienawiść dla rządów pruskich; samemu Dohnie zagroził ks. Wirtemberski, że go każe aresztować. Przez cały miesiąc Rosyanie byli panami miasta. Dopiero w początku lutego nadszedł z Bazylei od cesarza Aleksandra rozkaz zwrócenia miasta Prusom. D. 2 lutego 1814 r. objęli Prusacy Gdańsk z powrotem w posiadanie. Na Kongresie wiedeńskim, gdzie jeszcze długo upierała się Rosya przy obronie Torunia, Gdańsk już nie mógł być kwestyonowany i ostatecznie Prusom przyznany został.

Nie ulega wątpliwości, że takie rozwiązanie sprawy gdańskiej w 1813/4 r. uznać należy za nader niepomysłne. Gdyby Gdańsk, wedle pierwotnej myśli rosyjskiej, pozostał wtedy przy Rosyi, t. j. przy odrodzonym przez Aleksandra I Królestwie

Polskiem, gdyby zwłaszcza pozostał miastem wolnem, uchroniłoby go to od sprusaczenia, a niezawodnie pod względem ekonomicznym znakomicie wyszłoby mu na dobre. Dziś, mimo wszelkie rzekome dobrodziejstwa kultury pruskiej, w gruncie rzeczy wyrugowane z przedniego swego stanowiska, upośledzone na rzecz Szczecina i Kilonii, wyprzedzone z drugiej strony przez Libawę i Rygę, zacne stare miasto w niewesołą spogląda przyszłość.

Autor pracy, którą wzięliśmy za punkt wyjścia uwag niniejszych, korzystał z cennych materiałów berlińskiego sztabu generalnego, ministerjum wojny i tajnego archiwum stanu. Nie był jednak należycie przygotowany do opracowania przedmiotu, gdyż, niezawisłe już od powziętej z góry tendencji, nie zapoznał się dostatecznie z literaturą odpowiednią, zwłaszcza z rosyjską, która zupełnie pozostała mu obcą; dał cenne przyczynki źródłowe, lecz wyczerpujące, bezstronne przedstawienie rzeczy zostawił gruntowniejszemu badaniu. Dla użytku takiego przyszłego badacza stwierdzamy, że w archiwum sztabu generalnego w Petersburgu znaleźliśmy aż kilkanaście woluminów rękopiśmiennych, dotyczących oblężenia Gdańska w 1813 r. a między innymi znaczną część zabranych z Gdańska papierów francusko-polskich, dotyczących administracji, a w szczególności robót fortyfikacyjnych w okresie wcześniejszym 1809—1811 r.

Rosya w Galicyi Wschodniej.

Rosya, której sądzonem było toczyć wojny z całym światem, a zwłaszcza najbliższem sąsiedztwem, przecież z ościenną Austryą nigdy dotychczas nie wojowała na seryo. Dwukrotnie tylko, pod przymusem Napoleońskim, w 1809 i 1812 r., wojowała z nią bezkrwawo, na żarty. Czyżby istotnie między tymi dwoma sąsiadami nigdy żadnego nie znalazło się rozdźwięku? Owszem, znalazły się, i bardzo nawet zgrzytliwe. Dochodziło też peryodycznie do bardzo ostrych przesileń austro-rosyjskich: w 1719, 1771, 1793, 1801, 1813, 1829, 1854, 1878 r. Jednak za każdym razem rozwiązywały się one pokojowo, jak gdyby wciąż odkładano groźne porachunki za obustronną milczącą umową. Tak nieraz się milczy, kiedy się za dużo ma sobie do powiedzenia. Aliści nawet w tem milczeniu był jeden moment wcale wymowny: owa jedyna, niekrwawa, fikcyjna wojna zaczęta Rosyi przeciw Austryi w 1809 r. i realny stąd wynik okupacyjny aż do 1815 r. Gdyż ta nieszkodliwa fikcyja

wojenna odrazu zaprowadziła Rosyę prosto do Lwowa i oddała jej w kilkoletnie prawne posiadanie znaczną część Galicyi wschodniej.

Austria wzięta była Galicyę wschodnią w pierwszym, zachodnią w trzecim podziale Rzpltej. Nie tyle dobrowolnie, ile pod naciskiem okoliczności, a nie bez tajnego żalu, wypuściła wtedy Rosya tę część zdobyczy, sobie w całości przeznaczoną, a zwłaszcza tamtą wschodnią jej połowę. Rzecz nader znamienita: kiedy już w sierpniu 1771 r., przed dojściem ugody, a raczej pośród groźnego z Wiedniem zatargu, cesarzowa Katarzyna sama ofiarowała Austrii Kraków, natomiast, po dokonaniem już w zasadzie porozumieniu podziałowem, Rada państwa petersburska jeszcze w kwietniu 1772 r. twardo upierała się przy odmowie Lwowa dla Austrii.

Daleko łatwiej też przyszło Rosyi, za następnym nawrotem, w grudniu 1794 r. istotnie obdarować Austryę Krakowem, wbrew natarczywemu roszczeniu Prus. Działy tutaj głębokie pobudki polityczne. Pierwotna polityka rosyjska, zakrojona na powszechność Rzpltej, uległa zupełnemu zбочeniu skutkiem podziałów, była srodze na nich stratną ze swego punktu widzenia. Dla zrównoważenia tej straty chwyciła się Rosya przy ich wykonaniu zasady możliwie dla siebie najdogodniejszej: rozgraniczenia etnograficznego. Starala się sama wyzbyć ryczałtu ludności rdzennie pol-

skiej na rzecz spółuczestników, sobie zaś zachować jak największą ludności litewsko-ruskiej, którą uważała za najsposobniejszą do etnograficznego z sobą zespolenia. Owóż pod tym względem Galicya wschodnia, zamieszkała przeważnie przez ludność rusińską, była stratą podwójnie dotkliwą, — tembardziej, że skądinąd był to zarazem jeden z ważnych etapów pochodnych na długiej drodze okolnej, wiodącej Rosyę do rozwiązania sprawy wschodniej. Jakkolwiekby, od najpierwszej niemal chwili, odkąd tylko wypadło oddać Austrii nabytek galicyjski, zrodziło się dla polityki rosyjskiej zadanie dość drażliwe, niejawne, ale nigdy nie spuszczone z uwagi i w każdej sposobniejszej porze wyraźnie naprzód wysuwane: odebranie z powrotem Galicyi, czy to w całości, czy też przynajmniej we wschodniej połowie.

Już w lat kilka zaledwo po spełnieniu trzeciego podziału, z nawału obfitych kombinacji wojenno-politycznych, następczo przez dobę Napoleońską, wyłoniła się, między innymi, także i ta specyficzna sprawa galicyjska. Wystąpiła mianowicie w całkiem odrębnej postaci, jako jeden szczególnie pochodny ogólnej myśli polsko-rosyjskiej, sformułowanej wtedy przez ks. Adama Czartoryskiego, jako rosyjskiego ministra spraw zagranicznych. We wrześniu 1805 r., kiedy cesarz Aleksander I w pałacu puławskim układał wielkie plany złączenia pod swoim berłem wszystkich

rozebranych ziem polskich, zwrócono się stąd także i do Austrii, ażeby, obok najbardziej uspokajających zapewnień, uczynić jej jednak propozycję polubownego wydania Galicyi, za sowitem zresztą odszkodowaniem szląsko-bawarskiem. Kładziono wtedy nacisk główny na Galicyę zachodnią, co się tem tłumaczy, że Czartoryski, Polak, był autorem projektu. Porażka austerlicka wnet rozwiała wszystkie te plany. Po latach kilku zwycięstwo wagramskie miało drobną ich część galicyjską odnowić na sposób zgoła odmienny, a raczej natomiastu założeniu wprost przeciwny. Wówczas to połowiczny udział Rosyi, jako sojuszniczki Napoleona, w wojnie austro-francuskiej 1809 r. pozwolił nareszcie w pewnej, bardzo ułamkowej mierze, urzeczywistnić widoki rosyjskie na Galicyę: tym zaś razem, ze stanowiska czysto-rosyjskiego, położono już nacisk główny i położono rękę przedewszystkiem na Galicyi wschodniej, na Kraju Tarnopolskim. Znowuż po paru latach, za nadejściem ostatecznej rozprawy między Francją a Rosją, wypłynęła ciągle ta sama sprawa, wciąż jednakowo żywotna i jak gdyby nienuikniona. Zaraz pierwsze czyniąc przygotowania do śmiertelnej walki z Napoleonem, w tajnych instrukcyach własnoręcznych dla posła swojego w Wiedniu, w lutym 1811 r., wyraził Aleksander »absolutną konieczność zdobycia całej Polski«, a więc i całej Galicyi, ofiarując w zamian Austrii odszkodowanie mołdawsko-wo-

łoskie. Po zniesieniu Napoleona, w 1814 i 1815 r., dążność Rosyi do zatrzymania wszystkich nabytków polskich, zarówno własnych jakoteż Księstwa Warszawskiego, a nawet do ich zaokrąglenia, omal nie doprowadziła do wojny rosyjsko-austryackiej. Wypadło jednak Rosyi na Kongresie wiedeńskim obniżyć znacznie swoje żądania, między innymi wydać napowrót Kraj Tarnopolski, poprzestać natomiast na bardzo ułamkowych ustępstwach Austrii na rzecz Królestwa Polskiego. Po dłuższej przerwie, już za rządów następnych Mikołaja I, podczas zatargów z Austryą z powodu wojny tureckiej, przypomniano sobie w Petersburgu swoje niezbyt dawne rządy w Galicyi wschodniej i uznano za właściwe zbadać usposobienie ludności tamecznej względem Rosyi. »Mieszkańcy ziemi tarnopolskiej i zaleszczyckiej — tak w czerwcu 1828 r. donosił do Petersburga ówczesny poseł rosyjski w Wiedniu, hr. Tatiszczew, któremu poruczono zbadanie tej interesującej kwestyi, — błogosławią lata przeżyte pod berłem rosyjskiem i opłakują tę dobę szczęśliwości swojej«. Wkrótce potem, na wiosnę 1829 r. w sztabie generalnym rosyjskim rozważany był szczegółowo plan zbrojnego wkroczenia do Galicyi. Wreszcie jeszcze w marcu 1846 r. cesarz Mikołaj zamierzał w drodze polubownej »zamienić się z Austryakami Galicyą za Polskę do Bzury i Wisły,... wziąłbym Galicyę natychmiast, bo to nasz stary kraj«. »Pozyskanie

Galicyi — taką opinię wydał wtedy Namiestnik ks. Paskiewicz z powodu tego projektu cesarskiego, — byłoby prawdziwem dziełem: (*nastojaszczaja miera*) Wielkiego Rosyjskiego Monarchy», gdyż »nieskończenie łatwiej rządzić w Galicyi, gdzie ustawicznie walczą z sobą dwie narodowości, polska i ruska, aniżeli w kraju z jednolitą ludnością polską. Zresztą Galicya za dawnych czasów była krajem rosyjskim, a i teraz jest zamieszkiwana przez prawosławnych i unitów«. Chociażby nawet dalej nie sięgać i na razie poprzestać jedynie na chronologicznych wskazówkach powyższych, łatwo z nich można wywnioskować, jak dalece żywotną, jak wyjątkowo zajmującą jest ta właśnie poboczna strona galicyjska stosunków austro-rosyjskich w dobie nowożytnej. W szczególności zaś, wśród wszystkich zaznaczonych z tej strony momentów dziejowych, zatrzymuje uwagę jeden mianowicie wydatny epizod, kiedy ciężenie Rosyi do Galicyi wcieliło się ułamkowo wprawdzie, lecz całkiem namacalnie, w czynie spełna dokonany: pod postacią naprzód inwazyi rosyjskiej do Galicyi w kampanii 1809 r., a następnie — pięcioletnich rządów rosyjskich w Galicyi wschodniej, w t. zw. Kraju Tarnopolskim, od 1809 do 1815 r.

Kampania rosyjska w Galicyi w 1809 r. należała do niedawna do najciekawszych a najmniej znanych zagadek historycznych. Ostatniemi dopiero czasy wyjaśniła się istotna jej natura, ale wiele

szczegółów kapitalnych jeszcze podziśdzię pozostało w ukryciu. Istnieje w rękopisie w archiwum Sztabu generalnego w Petersburgu wyczerpujące dzieło generała-porucznika Michajłowskiego-Danilewskiego, napisane na rozkaz własny Mikołaja I, p. t. »Wojna Rosyi z Austryą w 1809 r.« Wszakże skutkiem opinii ówczesnego ministra wojny, generała Czernyszewa, rzecz ta nie ukazała się z druku. »Cesarz Aleksander — tak wyrażał się Michajłowski-Danilewski w raporcie do Czernyszewa, składając ministrowi rzeczoną swoją pracę, — prowadził więcej wojen, niż którykolwiek inny monarcha rosyjski, lecz ani jedna jego wojna nie jest mniej znaną od przedsięwziętej w 1809 r.« Rdzeń rzeczy polegał tutaj na czterech punktach następujących: Po pierwsze, Rosya w tej wojnie uderzała na Austryę, jako sojuszniczka Napoleona. Powtóre, ułożyła się zawczasu potajemnie z Austryą, że będzie prowadziła wojnę fikcyjną. Po trzecie, miała na widoku, w razie porażki Napoleona, objąć po nim spuściznę Księstwa Warszawskiego. Po czwarte wreszcie, na wypadek porażki Austrii, zamierzała jak najdalej usadowić się w Galicyi. Ten punkt ostatni, jako z góry najprawdopodobniejszy, był też najszczególłowiej brany na uwagę. Ks. Golicyn, dowódca naczelny korpusu posiłkowego rosyjskiego, przeznaczonego do Galicyi, otrzymał od cesarza Aleksandra następującą poufną instrukcyę ogólną: »1. Przyciągać (*priwlekat'*) do Rosyi

mieszkańców Galicyi, utwierdzając w nich przekonanie, że Rosya, działając przeciw Austryi, uważa dobro Galicyi za swoje własne. Budząc taki przychylny nastrój w umysłach, urządzać działania armii w ten sposób, aby zbierające się w Galicyi popolite ruszenie (insurgencya) stanowiło jak gdyby awangardę wojsk naszych, które ze swojej strony powinny stanowić bezpieczny punkt oparcia dla insurgentów. 2. Zająć silną pozycję na prawym brzegu Wisły, a jeśli na lewym brzegu nie będzie znaczniejszych korpusów nieprzyjacielskich, to iść nawet za Wisłę, mając sobie za prawidło wytyczne, że interes Rosyi wymaga możliwie największego rozszerzenia się w Galicyi«. W tem wszystkim atoli jedna okoliczność, zgoła nieprzewidziana, nie była wzięta w rachubę: śmiała i szczęśliwa inicjatywa zaczepna nielicznej armii Księstwa Warszawskiego przeciw Austryakom i jej nadzwyczajne postępy w Galicyi. Skutek był ten, że kiedy w końcu, po walnem zwycięstwie Napoleona pod Wagramem przyszło we wrześniu i październiku 1809 r. do układów pokojowych z Austryą, do rokowań o cesye austriackie na podstawie *status possidendi*, zajmowanego przez wojska zwycięskie, wtedy okazało się, że w onej chwili cała prawie Galicya zachodnia i część wschodniej ogarnięta była przez wojska polskie ks. Poniatowskiego, a niecała tylko Galicya wschodnia i urywane pasy zachodniej były obsadzone porządnie

przez wojska rosyjskie ks. Golicyna. Wynikła stąd dla Napoleona konieczność wyznaczenia bardzo poważnej cesyi galicyjskiej na rzecz małego Księstwa, a otworzyła się możność udzielenia bardzo skromnej stosunkowo cesyi galicyjskiej na rzecz potężnej Rosyi. Zresztą Rosya, skrępowana swoim położeniem dziwnie drażliwym, swoim tajnym stosunkiem względem Austrii, nie miała nawet możności podczas rokowań pokojowo-cesyjnych zbyt ostro pilnować swoich przeciw Austrii interesów. Negocyatorowie zaś francusko-austriaccy z żadnej strony najmniejszego nie mieli powodu pilnować interesów nieobecnej Rosyi. Austria zresztą podczas tych układów nie bardzo drożyła się o Galicyę, którą już musiała uważać za straconą; i niektórzy mężowie stanu austriaccy (Wessenberg) byli nawet wtedy zdania, że lepiej byłoby odrazu oddać całą Galicyę — z wyjątkiem linii strategicznej od ujścia Sanu do Dniestru dla ochrony Węgier, — ale oddać Księstwu dla stworzenia polskiego przedmurza od Wschodu. Francya dla pozorów występowała wprawdzie z wielkimi roszczeniami na rzecz sprzymierzonej Rosyi i francuski minister spraw zagranicznych, Champagny, na pierwszych naradach z Austriakami upominał się ostentacyjnie dla Rosyi o okręgi: lwowski, żółkiewski, zamoyski, lecz w gruncie rzeczy Napoleon, doskonale świadomy istotnej roli Rosyi w minionej kampanii, z góry założył sobie okroić odpowiednio nagrodę

rosyjską i w końcu też istotnie w możliwie najskąpszej wydzielił ją mierze. W ten sposób, na mocy schönbrunńskiego traktatu pokoju z października 1809 r. otrzymała Rosya nominalnie ogółem 400.000 ludności wschodnio-galicyjskiej, zaś na mocy lwowskiego aktu cesyi i demarkacyi z marca 1810 r. otrzymała faktycznie t. zw. Kraj Tarnopolski i tym krajem, tą ludnością miała odtąd rządzić przez lat pięć, aż do zwrócenia go Austrii na mocy uchwał Kongresu wiedeńskiego z maja 1815 r.

Zbadanie tych pięcioletnich, tak mało znanych a tak ciekawych i ważnych rządów rosyjskich w Galicyi wschodniej uznaliśmy z rozlicznych względów za odpowiadające istotnej potrzebie naukowej. Autor specjalnej pracy źródłowej, temu przedmiotowi poświęconej, jeden ze zdrowej i tęgiej falangi najmłodszych historyków naszych, po których energii i zapale obiecujemy sobie wiele dobrego dla nauki polskiej, zajął się tem badaniem i w miarę możliwości, t. j. w miarę dostępnych źródeł, postarał się tej potrzebie zadość uczynić*). Według szczegółowych wyłuszczeń autora, rzeczywista cyfra ludności, oddanej Rosyi przez demarkację 1810 r., była znacznie niższą od sakramentalnej cyfry traktatowej 400.000 dusz. Jak

*) Jan Leszczyński: *»Rządy rosyjskie w Kraju Tarnopolskim 1809—1815«.*

twierdzi Michał Starzeński, jeden z głównych organizatorów Tarnopolskiego pod rządem rosyjskim, Austriacy mieliby zeskamotować przy rozgraniczeniu aż całą jedną trzecią pierwotnej cyfry ludnościowej; jak donosił do Petersburga senator Theyls, wielkorządca Kraju Tarnopolskiego, zeskamotowany niedobór wynosił jedną piątą; jak zaś obliczył dokładnie autor, różnica w każdym razie dochodziła conajmniej 50.000 głów. W dodatku, ze strony austriackiej wybrano część kraju najgęściej zaludnioną i skutkiem tego oddano powierzchnię, względnie do zaludnienia najszczuplejszą. Był to *escamotage*, który możemy ocenić całkiem obiektywnie, gdyż ludność galicyjska podówczas, nazajutrz po podziałach, nic, albo niewiele na tem nie miała ani do stracenia ani do zyskania. Że urzędnicy demarkacyjni austriaccy, w myśl swoich instrukcyi wiedeńskich, starali się możliwie zmniejszyć swoją stratę, nic w tem dziwnego; daleko ciekawsza, jak mogli komisarze rosyjscy, wbrew swoim instrukcyom petersburskim, — (gdyż cesarz Aleksander I najwyraźniej pragnął odebrać wszystko, co tylko wyznaczono mu w Schönbrunnie), — patrzeć przez palce na okrojenie swego nabytku. Dodajmy zaraz, że główną zasługę w tym wypadku skłonni jesteśmy przypisać komisarzowi rosyjskiemu baronowi Anstettowi, z którym często spotykaliśmy się w tym okresie, jako z nadzwyczaj zwinnym specjalistą od najbardziej śliskich robót dyplomatycznych w rzeczach

polских, jako z zaciętym przeciwnikiem Polaków wogóle a ks. Adama Czartoryskiego w szczególności, zaś zarazem jako ze statystą osobliwego kalibru, mającym zwyczaj negocyować na własną rękę i osobisty rachunek i sprzedawać się »ciałem i duszą«, jak wyraża się o nim sędzia rosyjski, więcej dającemu. Jakkolwiekbądź, nabytek tarnopolski, choć znacznie okrojony, przedstawiał się jeszcze dosyć pokaźnie, jako punkt oparcia Rosyi w Galicyi wschodniej. W rzeczy samej, na przestrzeni byłego Kraju Tarnopolskiego przemieszkuje dzisiaj przeszło 700.000 głów, a więc bardzo poważny odłam całej ludności wschodnio-galicyskiej.

Organizacyę i administracyę tego kraju pod berłem rosyjskiem ogniskował w swojej osobie jeden człowiek: senator Ignacy Antonowicz Theyls. Do roli wielkorządcy w dzielnicach polskich dostał się on szczególniejszym sposobem. Dostał się mianowicie nasamprzód do Białegostoku w 1807 r. śród okoliczności następujących. Kiedy, na mocy traktatu tylżyckiego, z odebranych Prusom ziem polskich wydzielony został przez Napoleona obwód białostocki na rzecz Rosyi, wówczas bezsilny, zdany na łaskę i niełaskę rząd pruski, przed chwilą jeszcze tak ściśle sprzymierzony z rosyjskim, łudził się nadzieją, że ta cesya będzie tylko fikcyjną, a w każdy razie nietrwałą i że Rosya, zmuszona na razie przyjąć ten dar z ręki Napoleońskiej, zechce, być może, w następstwie przy nadarzonej

sposobności wspaniałomyślnie oddać Prusom z powrotem swój nabytek białostocki. Wtedy to, podczas narad monarszych w Tylży, były minister Prus Nowo-Wschodnich, Schroetter, poradził królowej pruskiej Luizie, aby uprosiła osobiście cesarza Aleksandra o zamianowanie w Białymstoku zarządcy pochodzenia niemieckiego, a to rzekomo »dla uchronienia urzędników pruskich od zemsty krajowców«. Cesarz obiecał, nakazał wyszukać w senacie petersburskim senatora o nazwisku niemieckim i przedstawionego sobie Theylsa postawił na czele nowej prowincyi białostockiej. Theyls, stary już człowiek, słuźbista jeszcze z czasów Katarzyny II, pochodził właściwie z osiadłej w Rosyi rodziny flamandzkiej, ale z pojęć i usposobienia był istotnie czemś w rodzaju biurokraty niemieckiego, zaprawionego na rosyjskiej praktyce sądowo-administracyjnej z końca XVIII wieku. Zresztą nie bez wykształcenia, w wolnych godzinach chętnie bawił się w wolnomyślicielstwo, ba, w masoneryę, bawił się też literaturą, pisywał czułe »kawałki« prozą a nawet wierszem. Osobliwy mieszaniec, miał on zarazem dużo rutyny słuźbowej sztywnego biurokraty i dużo dyplomatycznej bezwzględności zamaszystego »pompadura«, tego nieśmiertelnego typu wielkożądcy uwiecznionego świetnem piórem satyryka rosyjskiego. A posiadał także bardzo wiele sprytu i zmysłu politycznego w stosunkach z podwładną sobie ludnością polską. Przybywszy do Białegostoku

ze swoim rządcą kancelaryjnym Popowem, bez żadnego pojęcia o stosunkach miejscowych, Theyls zaraz na wstępie spryt swój dowodnie okazał w wyborze pomocnika-Polaka, jakiego tutaj sobie wyszukał i do siebie przywiązał.

Był nim Michał Starzeński, starosta brański, zamożny i wpływowy obywatel podlaski, niemałych zasług dawniejszych, za czasów jeszcze Sejmu Czteroletniego, sceptyk do szpiku kości, który z całą konsekwencyą, wyższego, rozumującego na zimno umysłu, wziął sobie odtąd za hasło przewodnie w życiu publicznym oportunizm najczystszy, bezwarunkowy. Kilkotomowe »Pamiętniki« Starzeńskiego, spoczywające dotychczas w rękopisie, a powierzone nam przez rodzinę, pisane z pełną świadomością człowieka, który czytał *Konfesyje* Roussa, żadnych nie zachował złudzeń, niczego nie chce ukrywać, samego siebie i sobie najbliższych niełitościwie obnaża, stanowią dziwnie ciekawy pomnik obyczajowo-historyczny. Pomnik, wiele dający do myślenia i pod niejednym względem głęboko zasnucający. Widzimy tutaj przed sobą, wedle własnego, autobiograficznego świadectwa, postać wcale nie powszednią, ukształconego, sprawnego szlachcica-administratora, niemałych talentów, dużej bystrości, rzadkiej pracowitości, pierwotnie nawet wyższej ambycyi, mającego za sobą rzetelne obywatelskie wysługi, a przecie pod koniec zupełnie wykolejonego duchowo, pozbawionego trwałej bu-

solu w życiu publicznem a poniekąd i prywatnem, i jak gdyby rozszczepionego na strzępy w samej istocie poczucia swojej przynależności obywatelskiej. Starzeński należał mianowicie do tej części obywatelstwa, która, pomieszczona na stycznych krawędziach podziałowych, najmocniej wystawiona była na próbę, należał faktycznie, jeżeli nie urzędownie do t. zw. poddanych mieszanych (*sujets mixtes*). Possessyonowany po obu stronach kordonu, był on kolejno albo nawet równocześnie poddanym Prus, Austrii, Księstwa Warszawskiego i Rosyi i w tym trudnym rozgardyaszu prawno-politycznym, ostrożnie sterując losem swoim, swojej rodziny i swego mienia, koniec końcem przestał czuć się naprawdę działaczem-Polakiem w niejednym kroku zasadniczym swego dalszego zawodu publicznego. Swoją drogą, jako prawa ręka Theylsa w Białostockiem, prawdziwą oddał przysługę ściślejszym swoim spółobywatelom podlaskim, biorąc ich energicznie w obronę przeciw niesumiennym, rabunkowym porachunkom ustępujących stąd byłych władz pruskich. Prusacy na odchodnem z ziemi białostockiej wywieźli wszystkie kasy, zawierające depozyta sądowe, pupilarne, kapitały szlacheckie, a zostawili sposobem substytucyi rozliczne papiery pruskie, niemające kursu w kraju; podobnie odebrali w gotowiznie ze skarbu rosyjskiego zapłatę za magazyny prowiantowe dla konsystującej w kraju armii rosyjskiej generała Bennigsen, udzielili stąd

odszkodowania jedynie dzierżawcom pruskim, główny zaś ciężar prowiantowy zostawili obywatelstwu polskiemu, z którego też ściągnięte zostały dostawy w drodze rekwizycyjnej. Jednym słowem, »obywatele prowincyi białostockiej zostali okradzeni na miliony«, tak wyraża się dobitnie Starzeński, który istotnie w sprawie likwidacyi tych niesłychanych obrachunków pruskich podjął śmiało na całej linii wojnę zaciętą z b. nadprezydentem białostockim a obecnie komisarzem oddawczym pruskim, Wagnerem. Niestety, wskórać mógł niewiele. Prusacy mieli za sobą wyższą protekcję, mieli Theylsa, związanego przez przychylnie dla nich instrukcye. W rzeczy samej, Theyls zostawił prawie nietkniętą znaczną część dotychczasowej administracyi pruskiej, podpułkownika Schütza zrobił naczelnikiem policyi tajnej, wojskowej i pogranicznej, zatrzymał prawie połowę radców pruskich na stanowisku, innym pozwolił pozostać w kraju pod pozorem załatwienia interesów majątkowych. »Prusacy — pisze Starzeński — wodzili rej przez cały czas pobytu Theylsa w Białymstoku«. Pobyt ten przeciągnął się aż do wiosny 1810 r., kiedy Theyls wezwany został przez cesarza Aleksandra do objęcia zarządu w Kraju Tarnopolskim. W Białymstoku zostawiono gubernatora Szczerbinina i wicegubernatora Szczepanowskiego, lecz nadzór naczelny pozostał i nadal przy Theylsie, do którego odtąd szły w głównych materyach

stałe raporty z Białegostoku do Tarnopola, tak, że właściwie ten człowiek, tak mało dotychczas u nas znany, trzymał odtąd w swych rękach obiedwie tak ważne prowincye, białostocką i tarnopolską.

Położenie w Tarnopolskiem w chwili objęcia tutaj władzy przez Rosyę było z rozlicznych względów całkiem analogiczne do wcześniejszych stosunków przy wcieleniu Białostockiego. Starzeński, z umyślnego zalecenia cesarza Aleksandra wzięty i tutaj na pomoc do nowego dzieła organizacyjnego, przybywszy do Tarnopola na kilka dni przed Theylsem, w takich słowach maluje porządki miejscowe pod wojskowym zarządem okupacyjnym rosyjskim a likwidującą swoje interesa administracją austriacką: »Wszyscy, przybywający do Tarnopola w sprawach urzędowych, znajdowali drzwi wchodowe (do urzędu okręgowego) szczelnie zamknięte. Przed wejściem stał stary, nieubłagany żołnierz i dawał odprawę każdemu, kto nie miał w ręku papierów. Jeśli papiery zostały mu przedstawione, stary żołnierz obmacywał je albo oglądał pod światło: skoro wyczuł w nich bilet pieniężny, w takim razie papiery przechodziły do kancelaryi i audyencya była udzielaną. Komisarze, sekretarze, pisarze, wszyscy ci panowie wykonywali dokładnie ten sam manewr«. Co się tycze znowu pozostałych jeszcze tymczasem w kraju urzędników austriackich, to »każdy z nich należał do innej narodowości. Byli to Austriacy, Kroaci, Czeši, Wę-

grzy, Niemcy, Turcy, Włosi, Flamandczycy, Mołdawianie, Dalmatyńcy, Serbowie, Ormianie i t. d., żyjący między sobą jak pies z kotem, wedle zasady *destructio unius generatio alterius*, niezadowoleni z własnego rządu... niezmiernie okrojeni w swych pensjach i zmuszeni szukać zarobków kosztem włościan, mieszczan i obywateli«. Kraj był zniszczony doszczętnie. W ciągu minionej krótkiej kampanii wyciągnięto stąd za formalnymi kwitami wartość dwóch milionów złr. w rozlicznych produktach, zbożu, furazju na rzecz trzech armii operujących, a do tego dopiero dochodziły ogromne dostawy, ściągnięte bez żadnego pokwitowania, sposobem rekwizycji przymusowej. Niezależnie od tych świeżych ciężarów wojennych, później jeszcze, w czasie pokojowym, komisarz oddawczy austriacki, Dyke, na obraz i podobieństwo swego pruskiego kolegi Wagnera z Białegostoku, wynosił na gwałt z Tarnopola gotówkę, depozyty duchowne, obligacje skarbowe, sumy włościańskie, co tylko się dało, ogołacając bez miłosierdzia ludność, przechodzącą pod obce berło.

Opłakane położenie kraju, ujemne wspomnienie, zostawione przez Austryaków, utrudniało zapewne zadania administracyjne, lecz zarazem niepomagało ułatwiać intencje polityczne nowych rządów rosyjskich. Na tę stronę rzeczy główny nacisk należy położyć. Tutaj był rdzeń całej sprawy, tutaj tkwiła główna wartość nabytku tarnopolskiego

dla Rosyi. Ten nabytek, sam przez się ilościowo nieznaczny, był jakościowo nadzwyczaj cenny, jako zadatek. A mianowicie, jako zadatek na całą Galicyę wschodnią. Nikt lepiej nie zdawał sobie z tego sprawy od nowego wielkorządcy, senatora Theylsa. Wnet po objęciu urzędowania w Tarnopolu, w piśmie do cesarza Aleksandra doradzał on nadać »temu krajowi miano obwodu Nowo-Rosyjskiego, albo Czerwono-Ruskiego, albo Galicyjskiego«, oczywiście w myśli obdarzenia już z góry tej jednej części nazwą ogólną, przynależną przyszłej całości. Na takiej przewidującej myśli wytycznej osnuta też była w głównych zarysach cała polityka administracyjna, stosowana odtąd w Tarnopolu. Postawiono sobie za cel nadać nowym rządóm charakter opiekuńczy, ulgowy, dobroczynny w porównaniu z poprzednimi rządami austriackimi. Kierowano się w tem bardzo przeźroczystą pobudką czysto polityczną: chęcią skaptowania sobie sympatyj swych nowych poddanych tarnopolskich, ażeby tędy oddziałać na nastrój ogólny pozostałej ludności wschodnio-galicyjskiej. Bez względu jednak na naturę tej pobudki i związanych z nią dalszych widoków, przyznać należy, że taka dążność nowego rządu pod niejednym względem wyszła istotnie na dobre ludności Kraju Tarnopolskiego, skrzępowanej przez twarde centralizm i wy-czerpanej przez nienasycony fiskalizm dotychczasowej Józefińsko-Leopoldyńsko-Franciszkańskiej go-

spodarki austriackiej. A więc nastąpiła rzeczywista ulga w łagodniejszym odtąd sposobie opodatkowania, a zwłaszcza w prawidłowszej repartycji podatkowej. Realnej ulgi doznano również w zakresie rekrutacji, skutkiem ograniczenia nadzwyczajnych poborów wojskowych, do jakich dotychczas musiał uciekać się nieustannie poprzedni rząd austriacki, prowadząc prawie bez przerwy od lat kilkunastu ciężkie i nieszczęśliwe wojny. Innej, już raczej fikcyjnej ulgi doznano pod względem dopuszczenia żywołu miejscowego do uczestnictwa w zarządzie lokalnym. Stworzone zostało coś w rodzaju fikcyjnego organu napoły autonomicznego pod postacią Komitetu Tarnopolskiego, z nader obszerną napozór kompetencją administracyjno-sądową, lecz naprawdę cała i jedyna władza pozostała jak najściślej scentralizowana w ręku naczelnika prowincyi, senatora Theylsa. Ten swój rzeczywisty charakter autokratycznego wielkorządcy umiał Theyls z przedziwnym sprytem przesłaniać i łagodzić w osobistych stosunkach z żywołem miejscowym a w szczególności ze szlachtą tarnopolską. Pamiętać tutaj potrzeba, że w tej właśnie dobie pozyskanie szlachty polskiej w ośmiu guberniach zachodnich, celem zrównoważenia niebezpiecznych dla Rosyi wpływów przyciągających Księstwa Warszawskiego, było jednym z najpierwszych skaźników ówczesnego programu politycznego cesarza Aleksandra I. Theyls ściśle w myśl

takiego skaźnika postępował sobie wprzód w Białostockiem, obecnie w Tarnopolskiem. Powprowadzał sporo wybitniejszych i wpływowszych obywateli do Komitetu Tarnopolskiego, gdzie roboty mieli dużo, a władzy samodzielnej nic zgoła. Mądrze rozdawał »podriady« albo udzielał paszportów na wyjazd zagranicę. Ustanowił nieznanne pod rządem austriackim godności honorowe marszałków szlachty okręgowych i krajowego. Spraszał do siebie obywatelstwo okoliczne, pozwalał wybrancom »czynić honory domu pana senatora, zabawiać go, prowadzić z nim długie rozmowy«. Odrestaurował tanim kosztem stary zamek tarnopolski, dawną siedzibę Tarnowskich nad Seretem, urządził tutaj »kasyno tańczące«, salę gry, wyprawiał wspaniałe bale — *notabene* subskrypcyjne, — na wszelki sposób starał się niezwyčajne takich uciech towarzystwo parafiańskie puścić w »wir zabaw i rozrywek hucznych i szalonych«. Ta patryarchalna troskliwość senatora, czuwającego nietylko nad dobrobytem, lecz nawet nad dobrym humorem swojej prowincyi, przyniosła, jak się zdaje, oczekiwane owoce, w pewnej przynajmniej mierze. W pewnej części obywatelstwa tarnopolskiego zdobył sobie Theyls rzeczywiście dużo miru i zaufania, przez Starzeńskiego sławiony jest pod niebiosą za nieposzlakowaną uczciwość — (choć skądinąd znów dowiadujemy się, że senator był bardzo nieporządnym w osobistych swoich interesach majątkowych i srodze

obarczony długami), — wprost zyskał sobie imię dobrodzieja Kraju Tarnopolskiego.

Autór pracy niniejszej, stwierdzając całkiem obiektywnie, z bezstronnością zupełną, co w tych »dobrodziejstwach«, aczkolwiek dyktowanych przez pobudki polityczne, posiadało istotnie wartość dodatnią, nie omieszkał równocześnie uwydatnić odwrotnej strony medalu. Centralizacya absolutna wszystkich spraw prowincyi w jednych prokonsularnych ręku rządzącego senatora pociągała za sobą cały szereg skutków nader opłakanych. Brak prawa, brak prawności na każdym niemal kroku dotkliwie dawał się we znaki. Dla dowolności i nadużyć szerokie otwarło się pole w dziedzinie administracyi i, co gorsza, nawet sądownictwa. Były to zresztą zjawiska, całkiem analogiczne do występujących spólcześnie jaskrawych zбочeń w zarządzie sąsiedniego kraju Południowo-zachodniego, a ujawnionych niebawem i po części skarcanych przez cesarza Aleksandra I. Sprawy cywilne, zwłaszcza hipoteczne, depozytowe, opiekuńcze, ucierpiały mocno na nierozwikłanem pomieszaniu zasad prawnych, przepisów proceduralnych, kompetencyi sądowniczych, dróg instancyjnych.

Dziedzina juryzdykcyi karnej podobnym uległa powikłaniom skutkiem wprowadzenia licznych innowacyi w zakresie procedury oraz odmiennego systemu kar. Przeładowanie magistratury centralnej, owego Komitetu tarnopolskiego, któremu, obok tyłu

czynności administracyjnych, przypadły w udziale także sądownicze, prowadziło z konieczności do dotkliwego zabagnienia spraw sądowych, równającego się w wielu wypadkach wprost zawieszeniu jurysdykcyjnemu. Co się tycze spraw kościelno-politycznych, to rozwiązywane one były narazie wedle potrzeb chwili, na zasadach tymczasowych, gdyż trwałe ustalenie stosunków rządu rosyjskiego względem Kuryi nastąpić mogło dopiero znacznie później, w dobie pokojowej, na mocy umów konkordatowych 1818 roku. W codziennej praktyce administracyjnej wprowadzone zostały niektóre inowacje, odpowiadające porządkom istniejącym w sąsiednich guberniach południowo-zachodnich, zaprowadzony kalendarz juliański, system paszportowy, asygnaty itd. Naogół, w rzeczach dużych i małych, w treści i formie, skutkiem krótkości epoki okupacyjnej i ciągłego napięcia ogólnoeuropejskich warunków politycznych, wytworzył się i tutaj, w zakątku tarnopolskim, stan połowiczny, nieokreślony, a stąd pomimo zaznaczonych stron dodatnich, pod niejednym względem pozostawiający do życzenia.

Zbliżała się tymczasem chwila stanowczej rozprawy między Napoleonem a Aleksandrem. Senator Theyls wtajemniczony był zawczasu w zakulisowe precedensa gotującej się wojny. »Posiadał on swoich agentów w Galicyi i miewał stamtąd tajne raporty..., odbierał rozkazy z Petersburga, i utrzymy-

wał komunikacye urzędowe z władzami austryackimi we Lwowie«. Już tutaj występowała na jaw dwuznaczna rola Austrii, jako sojuszniczki Napoleona przeciw Rosyi, odpowiadająca jak najściślej wcześniejszej roli Rosyi, jako sojuszniczki Napoleona przeciw Austrii. Nadeszła wreszcie wielka wyprawa do Moskwy 1812 r. Theyls, osobiście zaprzyjaźniony z feldmarszałkiem Kutuzowem, był przez niego jak najdokładniej informowany o przebiegu kampanii i do tych informacji stosował swoje zachowanie się względem ludności tarnopolskiej. Niebawem porażka Napoleońska w całej ujawniła się grozie. W styczniu 1813 r. zjawiły się w Tarnopolu pierwsze niedobitki Wielkiej Armii: byli to Eustachy ks. Sanguszko, Michał Brzostowski, Józef Baworowski, którzy znękani, zrozpaczeni pospieszyli opuścić przegraną, beznadziejną sprawę Napoleona i Francyi, a zarazem — sprawę Ponia-towskiego i Księstwa Warszawskiego. Tryumfujące odezwy ogłaszane były w urzędach i kościołach Kraju Tarnopolskiego. Nastąpiły kampanie saska i francuska, zgromadził się Kongres wiedeński. Wyłoniła się raz jeszcze myśl zjednoczenia wszystkich ziem polskich pod berłem rosyjskiem. Chybiły przecież obszerne plany Aleksandra i Czartoryskiego, skończyło się na wiedeńskich traktatach majowych 1815 r., na stworzeniu Królestwa Kongresowego w dzisiejszych granicach, udało się wprawdzie Rosyi zatrzymać nadto wzięty na Pru-

sach obwód białostocki, lecz natomiast, dość niespodzianym sposobem, wypadło oddać z powrotem wzięty na Austryi Kraj Tarnopolski.

To ostatnie mianowicie, tak doniosłe ustępstwo, to wyrzeczenie się tak doniosłej zdobyczy tarnopolskiej, przez nikogo żywiej i boleśniej nie zostało odczute, jak przez kilkoletniego pana i rządcę tego kraju, senatora Theylsa. »Nareszcie prowincya tarnopolska — tak z goryczą i żalem pisał Theyls do Starzeńskiego z Tarnopola w połowie czerwca 1815 r., w tydzień po podpisaniu wiedeńskiego Aktu Zamknięcia, — nie należy więcej do Rosyi. Wkrótce Austryacy wypędzą mnie stąd, aczkolwiek nie mam żadnej skazówki, jak winienem sobie postąpić w tym wypadku... Wydaje mi się, że pełnomocnicy rosyjscy nie potrafili dopilnować należycie interesów Rosyi. Co prawda, nie dziwię się temu: gdyż hr. Razumowski ekspatryował się prawie zupełnie, wyprzedawszy wszystko, co tylko posiadał w Rosyi i osiedliwszy się w Austryi na stałe; hr. Stackelberg zna tylko Petersburg, lub co najwyżej Moskwę; hr. Nesselrode nigdy prawie nie przebywał w Rosyi; zaś pan Anstett jest niewolnikiem Austryi duszą i ciałem. Oto są przyczyny odstąpienia Tarnopolskiego, tego pięknego kraiku, którego nie mogłem zorganizować z winy okoliczności«.

Zgryziony wielkorządca, głęboko dotknięty, iż tak ważną i tak blisko dotyczącą go sprawę załatwiono w Wiedniu wbrew jego przekonaniom,

całkiem po za jego plecami, a wkrótce w rzeczy samej na mocy cesyi kongresowej wyparowany przez Austryaków z Tarnopola, wrócił do Białegostoku, skąd miał zamiar udać się do Petersburga, do stałej swej protektorki, cesarzowej-wdowy Maryi Teodorówny, z oskarżeniem, z pretensją za zaprzepaszczenie umiłowanej jego roboty organizatorskiej. Nie przeżył jednak doznanego rozczarowania. Zmarł nagle w Białymstoku w końcu września 1815 r., pochowany na cmentarzu klasztoru bazylikańskiego w Supraślu, — postać ciekawa, godna zapamiętania, poniekąd poprzednik i powinowaty duchowy pana senatora Nowosilcowa, jednoczyciel wysokiej miary, fortunny organizator kraju białostockiego, niefortuny wielkorządca Kraju Tarnopolskiego.

Emigrant w Polsce.

Wielkie burze dziejowe końca XVIII wieku zasiały rojem rozbitków Europę. Z jednego jej krańca na drugi poprzierzucane zostały już nietylko jednostki, lecz całe warstwy społeczne, całe odłamy narodowe. Krzyżowały się nawałnice, w przeciwnych kierunkach dały wicher polityczny a rewolucyjny, i w przeciwległe też strony leciały chmarą bezdomne liście ludzkie, oderwane gwałtownie od pnia rodzimego i w niewiadomą przestrzeń rzucone. Najdziwaczniejsze stąd potworzyły się skojarzenia i kontrasty. Schroniła się emigracja polska do Francji republikańskiej; zbiegła się równocześnie emigracja francuska do podzielonej Polski. Osiadł Kościuszko w skromnej chałupie berwilskiej pod Paryżem; Ludwik XVIII rozgościł się pod Warszawą w zbyt kownym Łazienkowskim pałacu. O ile różne były przyczyny i składniki tych obu rozmiągających się prądów emigracyjnych, o tyle też odmienna była natura i wartość obu żywiołów wychodźczych. Tam, na przymusowej tułaczce

imano się twardej i ofiarnej służby legionowej; tutaj prosto darnej i wygodnej szukano gościny, byle tylko w bezpieczeństwie, w beczynności przeczekać zdaleka domowe pioruny i ulewę rewolucyjną. Wprawdzie była zapewne i pośród emigrantów francuskich garstka ludzi dzielniejszych i bardziej przedsiębiorczych, ale ci, jak Langeron, oficer Potemkina i Kutuzowa, jak Richelieu, wielkorządca Odessy, i inni, rzucili się wnet do ponętnej służby rosyjskiej i tam własnych dorabiali się fortun. Natomiast *gros* tej błyskotliwej rzeszy dobrze urodzonych uciekinierów, diuków, markizów, hrabiów, wikontów, kawalerów św. Ludwika, składało się ze zwyczajnych pasożytów, mniej lub więcej wygłodzonych i zbiedzonych, mniej lub więcej godnych politowania, a najrzadziej godnych szacunku.

Do tego legionu pasożytniczych rozbitków zaliczał się hr. Moriolles, którego świeżo wydane Pamiętniki niemal w całości są poświęcone opisowi przygód autora w Polsce, podczas jego włości na Wołyniu i długoletniego pobytu w Warszawie kongresowej*). Nieosobliwy to był człowiek, nieszczególny charakter, figura całkiem podrzędna, z ciemnego kąta, prawie z przedpokoju. Nawet talentu pisarskiego nie masz w tych obszernych

*) »*Mémoires du comte de Moriolles sur l'émigration, la Pologne et la cour du Grand Duc Constantin 1789—1833*« précédés d'une introduction par Fréd. Masson (przekład polski pani Przyborowskiej w Bibl. dzieł wybor.).

wspomnieniach, kreślonych stylem naprzemiany pospolitym i napszyszym, urozmaiconych naprzemiany odegrzaną plotką z kredensu i staroświeckiem porównaniem z mitologią. Sam autor jest bląkającym się »Tezeuszem«, jego rzekoma wielbielka wołyńska opuszczoną »Aryadną«, gubernator Szeremetiew posiada znakomitego kucharza, a księżna Łowicka romansuje z guwernerem podczas drzemki poobiedniej W. Ks. Konstantego. To wszystko niekoniecznie rekomenduje tę grubą księgę pamiętnikarską, wydaną ze znacznym nakładem troskliwości edytorskiej, a jednak bez dostatecznej kompetencji, przez uczonego historyka »Kobiet Napoleona«. P. Masson, wytrawny erudyta, lepszy przecież, jak się okazuje, znawca poufnych dziejów napoleońskich, aniżeli publicznych polskich, nie pożałował trudu dla odbudowania nieciekawej genealogii i biografii Moriolla, odwołał się w tym celu aż do pomocy W. Ks. Mikołaja Michajłowicza, do wspomnień pani Adamowej Potockiej, szperał zawzięcie po archiwach paryskich i petersburskich, a zaniedbał oświetlić należycie pospolitą naturę pamiętnikarza i sprostować liczne, bądź mimowolne bądź też rozmyślne nieścisłości jego relacji. Nie chcemy jednak przez to powiedzieć, aby Pamiętniki niniejsze całkiem niewarte były czytania. Owszem, jeśli tylko korzystać z nich krytycznie, z dobrodziejstwem inwentarza, można je przerzucić nie bez pewnego pożytku. Posiadają one

tę ceną zaletę, że w pewnej części powstały, jak się zdaje, pod świeżym wrażeniem albo ze świeżej pamięci, prawie spólcześnie z wypadkami, o których w nich mowa, albo niewiele później. W pierwszej połowie kreślone są widocznie jeszcze przed zgonem Aleksandra I, więc przed 1825 r.; skądinąd zaś można wnioskować, że były spisywane przed końcem 1831 r., skoro w nich mowa o nieszczęśliwym Capo d'Istryi, jako o żyjącym, fortunnym naczelniku wolnej Grecyi, zatem przed dojściem wiadomości o jego zamordowaniu w październiku t. r. Taka spólcześnieść redakcyi, dość rzadka w literaturze pamiętnikarskiej, podnosi wartość, a poniekąd i wiarogodność tych zapisek. Poza tem zresztą mieszczą one sporo szczegółów, wprawdzie naogół mniej ważnych, ale i mniej znanych, i w każdym razie dostarczają niejednego przyczynku do dokładniejszej oceny niektórych, rzadziej dotykanych, stosunków, spraw i ludzi w Polsce porozbiorowej.

Aleksander Moriolles zamłodu z zapadłego ustroja Ardennów, skąd był rodem, trafił do Paryża, na dwór Ludwika XVI. Miał tytuł hrabiowski, mało majątku i trochę protekcyi, zwłaszcza w domu Orleańskim: dostał się do gwardyi królewskiej, kręcił się po salonach wersalskich i byłby pewnie na posadzce dworskiej dosłużył się karyery, co najmniej pułku i dotacyi, gdyby wybuch rewolucyjny nie wytrącił go nagle z tego szczęśliwego życia i tych pięknych widoków. Kapitan dragonii

królewskiej nie miał widać powołania do bohaterstwa, gdyż emigrował bardzo wcześnie, włączył się po Włoszech, przystał do kwatery głównej emigrantów w Koblencji, uczestniczył w niefortunnej inwazji do Francji w 1792 r. u boku sprzymierzeńców prusko-austriackich, lecz trzymał się zdaleka od ognia i w niebawnej sromotnej rejteradzie bardzo roztropnie wycofał się znowuż jeden z najpierwszych. Biedował odtąd po obczyźnie, zjadając skąpe grosze, zabrane z domu, a obliczone, wedle pierwotnych złudzeń emigranckich, na krótką, zabawną wycieczkę zagraniczną, na rychły powrót tryumfalny do kraju, do uczt Palais Royalu, do świetności Wersalu, kiedy tymczasem najniespodzianie wypadło wieloletnią, beznadziejną rozpoczynając włóczęgę. Spadał też coraz niżej biedny ex-kapitan i hrabia, w miarę jak topniały niewielkie jego fundusze zapasowe; wędrował o głodzie i chłodzie po niegościnnych miastach i wioskach niemieckich, pisując czułe romanse, których nikt nie chciał drukować, albo też zabawiając chłopów westfalskich przetykaniem nożów, co już popłaźniejszy stanowiło proceder. Na szczęście, kiedy już najtwardsza przycisnęła się potrzeba, znalazł się trafunkiem po drodze poczciwy szlachcic wołyński, który republikańskim swym sercem wzdragnął się na bezbożne królobójstwa paryskie i litościwie wziął w opiekę zabłąkanego szlachcica francuskiego. Tym dobrodziejem i zbawcą był kaszte-

lanic brzesko-litewski, Bystry, dziedzic znacznej fortuny po ojcu, sprytnym dorobkiewiczzu, niegdy kreaturze Michała Czartoryskiego kanclerza w. l., oraz po matce, niegdy ulubienicy bogacza Jerzego Fleminga podskarbiego w. l.; sam człowiek skromny, zacny, a okrutnie trwożliwy, sprzyjał w duszy robotom Sejmu Czteroletniego, lecz bronić ich nie ważył się, wołał usunąć się na dłuższy wojaż zagranicę, przesiedział we Florencyi podczas drugiego podziału kraju i powstania Kościuszki; tutaj poznał przypadkiem Moriolla, i w chwili najkrytyczniejszej przyszedł mu z pomocą, ofiarował schronienie u siebie na Wołyniu i jeszcze paręset dukatów dołożył na drogę. Ostrożny Francuz wyjechał jeszcze trocha, póki nie ucichły ostatnie podrygi konającego powstania, i z początkiem 1795 r., na Lwów, Brody, Radziwiłłów, wjechał do uspokojonej ziemi wołyńskiej.

Wołyń, w przeważnej części b. województwa, dostał się do Rosyi skutkiem drugiego podziału, z wiosną 1793 r. Kraj ten ulegał odtąd, pod względem zarządu, nadzwyczaj częstym zmianom. Pierwszym wielkorządcą, w stopniu generał-gubernatora, był tutaj Michał Nikitycz Kreczetnikow. Ogłosił on manifest inkorporacyjny i odebrał przysięgę na wierność cesarzowej Katarzynie II od ludności miejscowej oraz od b. wojska polskiego, stojącego tu wtedy jeszcze w liczbie kilkunastu tysięcy żołnierza. Zaprowadził też pierwszy podział na gu-

bernie podolską, braclawską i »izasławską«. Będąc w bardzo zażyłych stosunkach z księżną Januszową Sanguszkową strażnikową litewską, miał on na widoku uzyskać dla niej od rządu nabycie jej miasta Zasławia na stolicę gubernialną wołyńską i dlatego już z góry nadał tak dziwną nazwę późniejszej gubernii wołyńskiej. Prawą jego ręką i szefem jego kancelaryi, od lat dwudziestu w jego służbie osobistej, był Piotr Grocholski, Białorusin, dawniej dyrektor ekonomii i szkół w Kałudze, skąd — jak sam wyjaśnia w piśmie do Zubowa, dopraszając się nagrody za wyjątkowe swoje zasługi — »do tutejszego kraju był przetransportowany dla ważnych okoliczności zajęcia kraju polskiego pod panowanie Rosyi, gdzie przez swoją zdatność, znajomość obyczajów i osób polskich, którzy byli pomocnikami do dokonania tak ważnego i sławnego dzieła, nie oszczędzał ani pracy, ani zdrowia, ani zniszczenia swego majątku«. Kreczetnikowa zastąpił po dwóch niespełna latach Jurij Władimirowicz Dołgoruki, a znów tego, po kilku już miesiącach, w 1795 r., — Timofiej Iwanowicz Tutołmin, któremu, wobec dokonanego tymczasem trzeciego podziału, nadana została wspaniała, lepiej brzmiąca godność Namiestnika. Niezadługo jednak, po wstąpieniu na tron Pawła I, pod sam koniec 1796 r., wraz z radykalnymi zmianami w całej administracji państwowej, biedny Tutołmin nietylko zaraz zleciał z namiestnikostwa, lecz przez sprawiedliwy rozkaz

cesarza w tej chwili pod klucz się dostał; jego miejsce, już tylko w pierwotnym stopniu generał-gubernatora, zajął Bekleszew, zastąpiony wnet przez starego Gudowicza, a niebawem, za nowych rządów Aleksandra I, — przez generała Essena. Gdy tak luzowali się pośpiesznie wielkorządcy całego kraju południowo-zachodniego, równocześnie częstsze jeszcze odmiany zachodziły w samej gubernii »izasławsko«-wołyńskiej. Jeden tylko zręczny Grocholski umiał tutaj uczynić się niezbędnym i utrzymać się bez przerwy na skromnym a wpływowym stanowisku wicegubernatorskim; natomiast właściwi gospodarze prowincyi, gubernatorowie wołyńscy zmieniali się ciągle, jak w kalejdoskopie. Tak więc w krótkim, kilkoletnim przeciągu czasu następowali po sobie w Żytomierzu na krześle gubernatorskim: Szeremetjew, Mikłaszewski, Głazenapp, Kurys, Grews, Rieszetow, Wołkoński, aż do sławnego Komburleja, który najdłużej, przez blisko dziesięciolecie, potrafił osiedzieć się tutaj na ciepłym swoim urzędzie, póki nareszcie nie został wyrugowany surowym a sprawiedliwym, nadto tylko spóźnionym wyrokiem Aleksandra I.

Takiej ciągłej chwiejności i ustawicznym przemianom w obsadzie osobistej naczelnego i lokalnego zarządu, odpowiadał całkiem nieustatkowany i chaotyczny stan kraju pod względem prawno-administracyjnym. Obok zatrzymanego narazie Statutu litewskiego, obok zachowanego formalnie

wybornego sądownictwa polskiego, obowiązywały niezliczone nowe, czysto rosyjskie sankcye i instytucje cywilne, kryminalne, podatkowe, rekrucyjne itd., nieskodyfikowane jeszcze, nieuporządkowane nawet dla gubernii wewnętrznych cesarstwa, a zupełnie niezrozumiałe pod względem swej kompetencji, rozciągłości, samej nawet mocy prawnej, dla nowonabytych b. województw b. Rzpltej. Krzyżowały się te wszystkie przepisy i magistratury, stare i nowe, lokalne i centralne, tymczasowe i powszechne, gmatwały się bez końca, tworzyły nierozwikłaną plątaninę, gdzie nikt naprawdę dobrze rozeznac się nie umiał ani nawet próbował, a gdzie samowolna interpretacya i praktyka urzędnicza obfity zbierała połów. Otwierało się stąd szerokie pole dla nadużyć wszelkiego rodzaju, które niemałe ułatwienie znajdowały właśnie w nieustannej zmienności władz kierowniczych. Bajeczne wprost rozmiary tych nadużyć zostały, w rzeczy samej, stwierdzone namacalnie podczas dwukrotnej, przedsiębranej z Petersburga, generalnej rewizyi kraju, naprzód przez senatora Ilińskiego z ramienia Pawła I, później przez senatora Sieversa z ramienia Aleksandra I: w obu jednak wypadkach, pomimo chwilowej dość ostrej represyi, nie doszło wcale do istotnej, skutecznej naprawy i uzdrowienia wadliwej z gruntu, lecz przez lat kilkanaście zbyt głęboko zakorzenionej gospodarki tutejszej.

Co gorsza, ten opłakany stan rzeczy odbił się

bezpośrednio rozkładowym swoim wpływem na społeczeństwie miejscowem. W niezdrowym podnieceniu zapustnem, trwającym lata całe bez przerwy, w bankruckiej, »bałagulskiej« tężyznie, we fraternizującym pomieszaniu stosunków i pojęć, utonęła doszczętnie wszelka obywatelska powaga, godność, nawet proste uczucie samozachowawcze. Relacye pamiętnikarskie, jakie posiadamy z tych stron i czasów, Ochockiego, Bukara, Chrzęszczewskiego, Detiuka i innych, nietyle wprawiają w zdumienie samą jaskrawością podanych tu szczegółów obyczajowych, ile owym kapitalnym, całkiem pogodnym, prawie pyszniącym się tonem, w jakim te szczegóły są tu podawane, ową doskonałą równowagą ducha, ukontentowaniem, prawie niepo czytalnością, jaka cechuje opowiadaczów, ludzi skądinąd osobiście nienajgorszych, raczej dobrodusznych, zdolnych nawet do szlachetnego porywu, ale którzy tak już ugrzęźli w swoim miłym błocie prowincjonalnem, tak się doń wzwyczaili, tak z nim pogodzili, poprzyjaźnili, że zupełnie nie widzą jego koloru i nie czują zapachu. Nie gustujemy zaiste bynajmniej w niewesołych obrazach z bliższej nas doby, a z tej samej strefy wołyńskopodolskiej, w odgrzewanych dziś skandalicznych plotkach Tadeusza Bobrowskiego: bądźco bądź przecie, mając do wyboru, o wieleż wyżej postawimy zgryźliwą gorycz malkontenta z Kaźmierówki ponad dobry humor Jana Dukłana Ochoc-

kiego i towarzyszy. W samej tej goryczy, jakiegokolwiekby zresztą były jej uboczne pobudki psychiczne, zawsze, bez najmniejszego wątpienia, kryje się postęę pojęć i uczuć znakomity i zbawienny. Przeciwnie, w tamtym złotym humorze, biorącym wszystko z najlepszej strony w najlepszym ze światów, był poprostu rozkład i zguba. Taki »kapitan-sprawnik« Ochocki, — którego Kraśzewski, nie wiemy z jakiej dobrej racyi, przyrównywa aż do Paska, — dostarcza pod tym względem pełno najdobitniejszych świadectw. Oportunizm, jak najszerzej pojmowany i stosowany w najpospolitszym sposobie, stanął na porządku dziennym. Zacierały się elementarne pojęcia dobra publicznego, obywatelskiego obowiązku, prawowitości, niemal schludności. Znalazło się pobłażanie, ba, gorący afekt, dla pewnych figur, najśluszej napiętnowanych nawet przez samą władzę centralną. Po stracie kochanego Kreczetnikowa »nie mogli się obywatele odżałować tego zacnego człowieka«. Z boleścią żegnany był Bekleszew, »mąż wielkiej zacności«. Essen, »miły, grzeczny, pijał po polsku«, i najczulsze też po sobie zostawił wspomnienie. Noszono »wedle dawnego naszego zwyczaju, przyjacielskie mundury dla Tutołmina, frak granatowy z kołnierzem seledynowym i łapkami haftowanemi srebrem, guziki, spodnie i kamizelki białe« — zupełnie tak samo, jak onego czasu dla ks. Józefa Poniatowskiego, tylko widać okazalej i suciej, bo

dla nierównie ważniejszego dostojnika. Osławiony Komburlej, którego przeniewierstwa stały się wprost przysłowiowe i w końcu, dosadnie wytknięte przez powtórłą rewizję senatorską, ściągnęły nań zasłużoną niełaskę cesarza Aleksandra, jednakowoż, zdaniem wyrozumiałego pamiętnikarza wołyńskiego, był rządcą »takim, że lepszego życzyć sobie nie można«: w rzeczy samej wyprawiał on »pyszne śniadania« z szampanem i faraonem, od jego przybycia »zaczęło się w Żytomierzu świetne życie«; to też jego odwołanie, będące prawdziwym dobrodziejstwem dla prowincyi, opłakiwano jakgdyby ciężką klęskę publiczną, uczczono go na pożegnanie składkowym darem honorowym od obywatelstwa, ofiarowano mu piękną, brylantami wysadzaną tabakierę, wartującą kilka tysięcy dukatów, ze wzruszającym napisem: *Volhynia grata custodi legum Michaelo Comburlejo*. Na szczęście, do tego trzęsawiska nieco później wionęło czystsze, zdrowsze tchnienie z Litwy, od kuratora wileńskiego ks. Adama Czartoryskiego, od jego niestrudzonego współpracownika Tadeusza Czackiego, budząc w poczciwem sercu Wołyniaków przyćmioną, przydeptaną, lecz nie zgaszoną iskrę ducha publicznego, a nawet gdzieniegdzie w ciepły, jasny rozdmuchując ją płomień. Dziwuje się jednak i potrosze gorszy szlachecki historyograf prowincjonalny, że ks. Adam, kiedy zjechał do »świetnego« Żytomierza, wymówił się od sakramentalnego po-

częstunku i nie chciał wysuszać przygotowanych butelek wybornego berdyczowskiego szampana i łykać cudownych ostryg, sprowadzonych aż z samej Odessy. Możliwsze domy na ówczesnym Wołyniu nie świeciły bynajmniej przykładem obywatelstwu. Przeciwnie, możnaby powiedzieć, że zły przykład i tym razem szedł z góry, z miejscowych salonów magnackich schodził do dworów szlacheckich. Zapewne, były i tutaj szczęśliwe wyjątki. Takim zaszczytnym a odosobnionym wyjątkiem, istnym białym krukiem na ówczesnym Wołyniu, był stolnik litewski ks. Józef Czartoryski z Korca, postać mało albo wcale nieznaną dzisiejszemu pokoleniu, a przecie, w swojej cichej, trochę sztywnej i oryginalnej powadze, całkiem niepospolita i dziwnie sympatyczna, człowiek wysokiej miary, znakomity obywatel, którego zapomniane rysy godziłoby się kiedyś oddzielnie w starannym zebrać portrecie. Księżę stolnik onego czasu odsłużył był swoją powinność Rzpltej w ciężkich misjach publicznych, obecnie zaś nie przestawał aż do końca służyć krajowi w owocnej pracy gospodarczej i wychowawczej koło roli, przemysłu, oświaty ludu; stawiał fabryki, fundował szkoły, zakładał magazyny dla włościan, przedewszystkiem koło polepszenia doli włościańskiej trudił się i troskał; sam, szanowny starzec, wytwornej zachodniej ogłady, francuskiego poloru, ongi poseł na najpierwszych dworach europejskich, teraz, po upadku

kraju, skromne parafiańskie życie prowadził u siebie w domu, surowych przestrzegał obyczajów i pojęć, w ostatniej swojej woli pod błogosławieństwem nakazał córkom aby tylko Polakowi oddawały rękę, i tak siedział, okrzyczany dziwakiem, omijany zdaleka, w swoim zamku koreckim jak na wyspie, odcięty od rozbawionej, rozpuszczonej dokoła prowincyi. Ale to był wyjątek. Zgoła inaczej, niż na poważnych pokojach koreckich, biegło szumne, karnawałowe życie na balowej posadzce, za stołem biesiadnym, lub za suknem szulerskim, w bliższym i dalszym sąsiedztwie. Najróżniejsze, bardzo mieszane i bardzo niewybredne zbierało się tu i bratało towarzystwo. Grasował tutaj, między innymi, i tonu zadawał piękny huzar, generał Bauer, »jeden z najgrzeczniejszych i najprzyjemniejszych ludzi«, jak upewnia Kajetan Koźmian z własnej przyjacielskiej z nim znajomości, — a naprawdę, jak stwierdzić możemy z będących w naszym ręku dowodów źródłowych, ten sam tajemniczy a uczynny »Pylades drugi«, który mógłby najlepiej odpowiedzieć na pytanie: »Gdzie się owa piękna Angielka podziała? Napół smutna, wesoła, mdlejąca i żywa...«, lecz któremu ten świeży wtedy epizod służył podobno za doskonałą rekomendację w ówczesnych pałacach wołyńskich, gdzie też interesujący »Pylades« odgrywał rolę *coqueluche des dames*, był w szczególności urzędowym asystentem księżny Stanisławowej Jabłonowskiej i na

wszelki sposób święcił niezrównane tryumfy towarzyskie. Naogół w tych wysokich pałacach, na wyścigi sadzących się na pańskość, a zarazem prześcigających się w swojej osobliwej, tak szeroko pojętej i stosowanej gościnności, u wojewody Walewskiego w Tuczynie, u chorążego Steckiego w Szpanowie, i tylu innych, — jak zaświadcza częsty tam gość społeczny, nader umiarkowany, o surowość katońską niepodejrzany, raczej zanadto skłonny do pobłażania, — wegetowały wtedy przeważnie same »czcze głowy, serca zimne«, przeżywając swój wiek pusty w nicości i zubożeniu, fatalne wzory dla niższych duchów okolicznego ziemiaństwa, które tutaj właśnie, w tej części kraju bardziej jeszcze, niż gdziekolwiek, nawykło do wzorowania się na mało budującym przykładzie wielkopańskim. Dodać wreszcie potrzeba, że wytrzeźwienie nie nastąpiło nawet na widok najbliższych potężnych przewrotów dziejowych, na regeneracyjny widok Księstwa Warszawskiego, zrodzonego nagle jak gdyby cudem i krocącego naprzód po twardej drodze obowiązku ku nowym lepszym przeznaczeniom. Przeciwnie, dla kierowniczych żywiołów tutejszej, zytomierskiej opinii publicznej tamte nadzwyczajne nowości warszawskie były poniekąd dość niestrawną niespodzianką; żadną miarą jakoś oswoić się z niemi, zestroić, nie umiano, gdyż odczuwano z pewnym niesmakiem, że wytrącają one przymusowo z utartego już przyjem-

nego trybu życia i wygodnej rezygnacyi. Taki Ochocki, kiedy dla ciekawości zjeżdża do Warszawy napoleońskiej, nie może się dość nażalić na tameczne stosunki; na wszystko krzywi nosem, opłakuje »brak ruchu i życia«; »ze smutkiem — pisze — przypatrywałem się terażniejszości, która nic dobrego nie wróżyła,... cały ten kraj, biedne Księstwo Warszawskie, głębokimi wydał mi się obarczony ranami fizycznie i moralnie«; tak postępuje żalonym głosem pan kapitan-sprawnik, sam doszczętnie zrujnowany oddawna na szulercie i pijatykach żytomierskich. Więcej jeszcze dają do myślenia słowa innego, postronnego świadka naczynego, bawiącego podówczas na Wołyniu. »Nietyle napotkałem do Księstwa Warszawskiego sympatyj w jednowioskowej szlachcie, szczególnie w kontuszowej. Konstytucya tego Księstwa, zapewniająca równość w obliczu prawa, a przede wszystkim zniesienie niewoli, niepodobało się samolubnym przesądnym właścicielom, nawykłym orać ludem wiejskim, i przejęło ich obawą utracenia tych przywilejów, które im pod rządem rosyjskim zostawiono. Przenosili więc swój stan obecny nad wszystkie powrotu kraju nadzieje, gdy ten kraj już takim być nie mógł, jakim pamiętali dawny«. Znamienny ten szczegół — który później nieraz da się we znaki całkiem wyraźnie w najdonioślejszych momentach dziejowych, już niebawem w 1812 r., i nawet potem jeszcze, rzecz mniej wia-

doma lecz pewna, w 1831 r., — dopełnia niewesołego obrazu stosunków wołyńskich w pierwszej dobie porozbiorowej, jaki tutaj, w paru przynajmniej pobieżnych rysach, godziło się przywieść na pamięć.

Do tego pustego, obałamuczonego świątka wołyńskiego trafił, jak się rzekło, wykolejony, zbiedzony Moriolles. Trafił, jak ryba do wody. Kręcił się, od komina do komina, po zamożnych domach szlacheckich i półpańskich, u Olizarów, Karwicznych, Giżyckich i innych, wszędzie spotykał wykwintną kuchnię, wytrawną piwnicę, wszędzie serdeczną gościnność staropolską. Odplacił się w swoich Pamiętnikach, żaląc się ostro na liche umeblowanie pokojów gościnnych w tej barbarzyńskiej Polsce, — ten sam chudopachołek, który wczora dopiero pokazywał płatne sztuki na wiejskich jarmarkach niemieckich, — albo urągając zepsutym obyczajom polskim, »zamieniającym małżeństwo na prawdziwy konkubinat«, albo czule dowcipkując na temat »słodkiej swobody dam polskich«; osobno zaś odwdzińczył się szczególnie swemu dobrodziejowi Bystremu, rozpisując się obszernie, jako pani Bystrzyna dybała na jego, Moriolla cnotę, i jako on, czysty Józef, musiał aż ratować się nieborak ucieczką od jej nagabywań, gdyż Putyfara była niedość ładna ani młoda jak na wybredne gusta wersalskiego smakosza. Wprawdzie nie mamy żadnego powodu do zapalania się zbytnio w obronie

cnoty kobiecej pani Bystrzyny, której cnota obywatelska znana nam jest skądinąd z nienajlepszej strony. Jest nam mianowicie wiadoma skądinąd dość dziwna a mało budująca korespondencya tej pani z ks. Repninem, wtedy wielkorządcą Litwy, przed którym ona, nazajutrz po upadku powstania Kościuszki powróciwszy do kraju z zagranicznych wojażów, w szczególniejszy zaiste sposób spieszyła obmywać się ze wszelkich podejrzeń o jakiegokolwiek uczucia narodowe. »Przyznaję się — pisała »hrabina« Bystrzyna do Repnina, posyłając mu zarazem w czułym upominku piękną szlafmycę dla niego i ładne podarunki dla jego wnuków Wołkońskich, — że przez czas mego mieszkania w Wiedniu rodzinny mój naród stał się dla mnie nienawistnym... Do czego w Europie Polska się zdała? chyba by rodziła zamieszanie«. Ale to jest sprawa inna, nasza, a nie Moriolla, który bądźco-bądź wygląda dość szpetnie, kiedy za doznane dobrodziejstwa odpłaca się pamiętnikarską plotką, a najpewniej potwarzą. Zresztą, wyzyskawszy do syta gościnność państwa Bystrych, przeniósł się on zawczasu do innego, obfitszego żłobu. Gadatliwego pieczeniarsza-potwarcę wziął do siebie na stałe Morzkowski, prezes trybunału w Żytomierzu, mądry, typowy jurysta prowincjonalny onych czasów, który własnym przemyśłem dorobił się z niczego milionowej fortuny, z bogacił się naprzód jako pełnomocnik Prota Potockiego na egzekucjach upa-

dłości Ponińskiego, potem w chwili powszechnej ruiny potrafił wyjść z grubym zyskiem z likwidacji upadłego pana Prota, teraz pierwsza w gubernii figura trzymał mocno z nowym rządem, wybijał się na dostojnika i magnata, uczył się manier wielkoświatowych, i dla kilkomiesięcznej córeczki, razem z mamką, już przezornie obejrzał się także za guwernerem z dobrem nazwiskiem i akcentem, za autentycznym hrabią-Francuzem, zaleconym w dodatku przez samego gubernatora, ekscelecję Szeremetiewa. Niedługo wszakże pozostał Moriollles na tej osobliwszej synekurze metra panny w pieluszkach. Nadarzył mu się niebawem wstęp do wyższych progów, dostało się zaproszenie do hetmana Branickiego do Białocerkwi, gdzie odtąd przez czas dłuższy, bez określonych obowiązków, przesiedziały na łaskawym chlebie.

Hetman Ksawery Branicki był już wtedy człowiek stary, siedmdziesięcioletni. W oczach Moriolla był naturalnie »jeden z ludzi najwybitniejszych (*les plus distingués*) w Polsce«, »pocziwiec« (*bonhomme*), »pełen lojalności«. »Był przyjacielem Stanisława Augusta, którego, nawiasowo powiedziawszy, mógł detronizować«. Chciał, ale nie mógł, powiedzielibyśmy nawiasem, gdyby opłacało się spierać z domownikiem i dworakiem, który widocznie powtarza tylko to, co zasłyszał od gospodarza. A szczególniejsze być musiały te retrospektywne opowieści starego exhetmana Bra-

nickiego, siedzącego na spoczynku w Białocerkwi, o swoim »przyjacielu« ex-królu Poniatowskim, siedzącym na emeryturze w Petersburgu. Francuz bawił hetmana jak umiał, lekturą, gawędą, słuchaniem; »bezemnie byłby on umarł z nudów w swoim pięknym pałacu białocerkiewskim«. W rzeczy samej, nic już wtedy nie zostało z dawnej szalonej tężyzny, pasyi, ambicyi hetmańskiej. Wypalił się do szczytu, wygaś, przeżył samego siebie Brannicki. Człowiek, co niezbyt dawno trząś Rzplą, teraz został bezwłasnowolnym, znieoależniałym pupilem swej małżonki a pani. Były hetman byłej wielkiej koronnej buławy pozostał już tylko mężem rządnej Aleksandry Wasiliewny. Co prawda, bardzo wiele, pod koniec wszystko jej zawdzięczał. To małżeństwo swego czasu było zdecydowało ostatecznie o jego losie i roli dziejowej. Zapewne, bardzo wczesnie został on widomem wcieleniem, i jednym z najopłakańszych, wichrzycielskiej zasady oligarchicznej, która mąciła i gubiła Rzplę. Ale jeszcze, być może, w tamtej wcześniejszej fazie nie był dla Rzpltej niepowrotnie stracony. Nie był bez zalet, których mu nie odmawia nawet tak surowy sędzia jak ks. Adam Czartoryski, a które pociągały ku niemu takiego przyjaciela jak Ignacy Potocki. Wcześniej skłócony śmiertelnie z królem, któremu zawdzięczał majątek i stanowisko, Białocerkiewszczyznę i buławę, był on jednak w tem stadium pierwotnem przedewszystkiem sukcesyj-

nym niejako reprezentantem nieszczęsnej, zgubnej, ale oddawna zakorzenionej, oddawna przed nim praktykowanej przez jego poprzedników, opozycji hetmaństwa przeciw koronie. Natomiast od chwili owego małżeństwa musiał on z konieczności zostać narzędziem obcej, wszechmocnej ręki Potemkinowskiej. Branicki, już pięćdziesięcioletni, poślubił (w listopadzie 1781 r.) dwa razy prawie młodszą od siebie, dwudziestokilkuletnią Aleksandrę Engelhardtównę, najstarszą i do tej pory najulubieńszą siostrzenicę Potemkina. Bogato wyposażona przez wuja i cesarzową, wniosła mu w posagu 600 tys. rs., order Katarzyny i, co główna, potężne swoje wpływy. Te wpływy czując za sobą, w innej już, nierównie śmielszej niż dotychczas, wprost już zaczepnej postawie mógł stanąć hetman naprzeciw króla, mógł na pełnym sejmie rzucić mu otwarcie rękawicę, wystąpić przeciw niemu z formalnym, bezwzględnym aktem oskarżenia, mógł, a następnie już musiał prowadzić dalej tę akcję zabójczą i samobójczą aż do samego końca, aż do ruiny ostatnich usiłowań odnowicielskich, aż do upadku kraju, a wraz i pogrążenia własnej jego buławy, kierowany na każdym kroku, czy chciał czy nie chciał, to honorowany, to znów naprzód popychany, lecz nigdy odtąd z paska nie spuszczały przez Potemkina i przez samą imperatorowę. Otóż ta czynność kierownicza z natury rzeczy wykonywana była za pośrednictwem pani hetmanowej.

Cesarzowa Katarzyna, w ostatnich latach nieraz wcale niełaskawa na niedość karnego hetmana, niezmiennie względy zachowała dla jego małżonki. Zaszczycła ją korespondencją własnoręczną, częste pisywała jej listy, bądź ostentacyjne, do ogłoszenia przeznaczone, gdzie pod jej adresem wyrażała swoje ostrzeżenia i rozkazy dla ogółu, bądź też poufne, prawie familijne, gdzie ze szczególną troskliwością dopytywała się o edukację dzieci hetmańskich. »Pamiętaj, duszko, — pisała jej wkrótce po ślubie — wszak ty wcale nie Polka, ty Smolenszczanka«. Później, w chwili ostrego przesilenia, w dobie Sejmu Wielkiego, zalecała jej nadewszystko zachować przywiązanie do »ojczyzny, gdzieś się urodziła i wychowała«, »nie zmieniać swego przyrodzonego sposobu myślenia i starać się takowy... wpajać mężowi i dzieciom«, uczyć je języka »francuskiego, greckiego i rosyjskiego«. Czasem nawet dla tych dzieci, zwłaszcza dla najstarszego, ulubieńca swego, Władysława, posyłała upominki, zabawki, ładne figurki porcelanowe. Po śmierci Potemkina pani hetmanowa, która była obecną przy jego zgonie, wzięta została pod bezpośrednią, osobistą opiekę cesarzowej i wraz z całą swoją rodziną przez lat kilka trzymana w Petersburgu, mając sobie wyznaczone znaczne apanaże, do 200 tys. rs. rocznie, oraz obszerne apartamenty u boku monarchini w Peterhofie i w pałacu Tauryckim. Otrzymała też na własność w lipcu 1795 r. piękny

pałac, dawniej Szuwałowów, na Mojce, a w sierpniu t. r., wraz z siostrą Skawrońską, wzięła donację 8¹/₂ tys. dusz w obrębie trzeciego podziału. Co zaś najważniejsza, ułatwiono jej z góry i przyśpieszono objęcie i uregulowanie olbrzymiej spuścizny po ks. Potemkinie, którego główną spadkobierczynią, obok księżny Sergiuszowej Golicynowej, hrabiny Katarzyny Skawrońskiej, pani Szepelew, głośnego prokuratora generalnego Aleksandra Samożłowa i in., była hrabina Aleksandra Wasiliewna. Były tu, w chwili otwarcia sukcesyi po fantastycznym księciu Tauryckim, nadzwyczaj skomplikowane działy spadkowe, wielkie a nieokreślone zobowiązania skarbowe, niezliczone ciężary bankowe i prywatne, jednym słowem, prawdziwy chaos majątkowy. To wszystko, wraz z mocno nadszarpniętą fortuną męzowską, ujęła w energiczne swoje ręce rządną hrabina. Znacznie młodsza od hrabiego, trzydziestokilkuletnia, jeszcze niedawno królująca na rajskich festynach Potemkinowskich w Bukareszcie i Jassach, lecz już dawniej objawiająca dużo zmysłu praktycznego, obecnie, od nagłego zgonu wuja, Grzegorza Aleksandrowicza, zmieniła się znacznie, wzięła na powagę i rozwagę, dała pokój zabawie i polityce, zabrała się na dobre do administracyi, i w krótkim stosunkowo czasie istotnie zdołała podnieść, uporządkować i utrwalić ogromną fortunę rodzinną, — a nawet, sprawiedliwość nakazuje to stwierdzić, pamiętała o wspo-

maganiu włości swoich, których liczba w jej dobrach doszła pod koniec prawie do 100 tys. dusz. Rządziła też wszechwładnie w Białocerkwi, męża odsunęła od interesów, zgoła wzięła go w kluby. »Biedny hrabia, — pisze Moriolles — doprowadzony przez żonę do zupełnego poddaństwa, ugiął się pod jarzmem małżeńskim«. Za panowania cesarza Pawła starzy Branickcy, jak wszyscy wydatniejsi faworycy cesarzowej Katarzyny, byli w jawnej niełasce. Lepiej widziani za Aleksandra I, jednak z samej natury rzeczy pozostali już całkiem na uboczu w nowych, z gruntu zmienionych czasach Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, których jeszcze w bardzo późnym wieku doczekali się oboje zdaleka, bez żadnej prawie styczności z wypadkami publicznymi tej wielkiej doby. Raz tylko — nazajutrz po polskiej kampanii galicyjskiej nowego warszawskiego hetmana, ks. Józefa Poniatowskiego, — stary hetman Branicki asystował rosyjskiej kampanii naddunajskiej w kwaterze dawnego swego, jeszcze z czasów barskich, przyjaciela, generała Prozorowskiego, gdzie teraz syna umieścił na służbie, i gdzie sam mógł wspominać minione feralne chwile, spędzone ongi, również podczas wojny Rosyi z Turcyą, w dobie Sejmu Wielkiego, naprzekór Rzpltej, na tem samym miejscu w kwaterze Potemkina. Towarzyszył hrabiemu w tej ostatniej wyprawie nieodstępny Moriolles. Jednak wkrótce potem bezdomnemu

Francuzowi wypadło opuścić wygodne miejsce u Branickich. W Pamiętnikach jego jest tutaj przerwa, lecz skądinąd mamy skazówkę, że w tym czasie włączył się on po Galicyi, przesiadywał w Tarnowie, wdawał się w rozmaite ryzykowne spekulacye, np. w puszczenie dóbr na loteryę, i źle na tem wychodził. Na szczęście dla siebie znalazł znowuż bezpieczną przystań a nawet wyższego dobił się awansu dzięki poparciu Branickich: polecony przez nich W. Ks. Konstantemu, został przy nim gubernierem małoletniego jedynaka, Pawła Konstantynowicza Aleksandrowa, syna pułkownikowej Friedrichs-Weiss. W takim już charakterze dostał się po kilku latach, za Królestwa, na dwór W. Ks. Konstantego do Warszawy, gdzie przy boku swego wychowawca z małemi przerwami stale odtąd przebywał, aż do samego powstania listopadowego 1830 r.

Tym to stosunkom warszawskim a raczej belwederskim w dobie Królestwa Kongresowego poświęcona jest niemal w całości pozostała część Pamiętników niniejszych. Występują tutaj na pierwszy plan dwie zajmujące postaci W. Ks. Konstantego i księżny Łowickiej. Znane zresztą daleko lepiej z wielu innych, nierównie czystszych i wiarygodniejszych źródeł, występują one tutaj jakby w negliżu domowym, widziane okiem sługi-malkontenta i pochlebcy. Malkontentem oczywiście był Moriolles względem księżny Łowickiej. Za-

wziętość jego przeciw księżnie wynikała z samej jego sytuacji: wychowawca syna pani Friedrichs czuł się naturalnym antagonistą małżonki W. Księcia. Nie przestaje też oblewać jej żółcią, nie cofa się przed obrzydliwą kalumnią, nie waha się zarzucać jej romansu z jakimś »podguwernerem« Fawickim, wedle świadectwa generała Kołaczkowskiego »bardzo znacnym i uczonym Rosyjaninem«, a nienawistnym kolegą francuskiego »nadguwenera«. Rzecz prosta, nie ma żadnego powodu wchodzić w te pospolite plotki lokajskie. Przed pamiętnikarskim lokajem nie ostoi się widać nie tylko żaden wielki człowiek ale i żadna cnotliwa kobieta, skoro nie ostała się nawet biedna Żaneta Grudzińska. Delikatne jej rysy występują jednak, mimo całą złą wolę Francuza, nawet z pod jego własnego karykaturalnego pióra, kiedy przychodzi mu kreślić choćby zewnętrzną sylwetkę księżny. »Miniatura, cień, profil jak ostrze noża,... przed chwilą świeża jak róża, po pięciu minutach jakby śmiercią dotknięta,... nigdy nie widziałem twarzy tak ruchliwej, tak do samej siebie niepodobnej w rozmaitych swoich odmianach. Ta zadziwiająca zmienność pochodziła z egzaltowanej wyobraźni, z rozpalonej duszy, jaką umieściła natura w tym słabem i kruchem ciele«. Co zaś główna — wypadłoby dodać — los umieścił tę duszę mimozy w położeniu, jednym z najtrudniejszych, do niej właśnie jak najmniej dopasowanych. Radziła sobie

w niem jak mogła najlepiej, niezawsze z powodzeniem, zawsze z wysoką godnością, łagodna, smutna, a niezbyt mocna, trochę ciasna główka księżny Łowickiej. Wiadomo, jak bez żadnej dla siebie ujemy, samą tylko nieprzewartą swoją słodyczą, usunęła pierwotne uprzedzenia rodziny cesarskiej, zyskała nietylko przyjaźń serdeczną cesarza Aleksandra, lecz przywiązanie i szacunek swojej cesarskiej teściowej i bratowych. Jeśli dla W. Ks. Konstantego była aż do końca »najdoskonalszą z kobiet«, to nawet wedle własnych słów surowej cesarzowej Maryi Teodorówny albo cesarza Mikołaja była »aniołem dobroci«, »gołębicą«, »biedną męczennicą«. Niewątpliwie, nie były jej także obce pewne duchowe zboczenia. Była schorowana, nadczuła, skłonna do egzaltacji, podniecanej w niej przez fantazyje ze szkoły Mesmera, przez frazesy z kazania pani Krüdener. Ale miała ona również i poważniejsze, głębiej sięgające myśli i zamiary względem duchowego przerodzenia W. Ks. Konstantego. Wpływ jej na małżonka, acz powolny i raczej bierny, nie pozostał bez śladów i ujawniał się stopniowo coraz wyraźniej i dodatniej. Skądinąd znów, w jej zachowaniu się podczas niektórych momentów nader doniosłych, zwłaszcza po śmierci cesarza Aleksandra, albo w gwałtownych jej wybuchach w Wierzbnie nazajutrz po rewolucyi, mogłoby razić niejedno. Ale pamiętać potrzeba, że ona nigdy nie była kobietą stanu, była

tylko poprostu kobietą, a wtedy zrozpaczoną i jedną z najnieszcześniejszych. Nie tutaj jednak miejsce wdawać się w malowanie wizerunku księżny Łowickiej. Nie moglibyśmy tego uczynić inaczej, jak stawiając obok jej nikłej, delikatnej twarzyczki ciężką, masywną postać W. Ks. Konstantego, — a to zaprowadziłoby nas tutaj zadaleko. Pokazuje nam Moriolles i W. Księcia, u siebie w domu, w kole rodzinnem, na herbatce belwederskiej, grzejącego się u kominka, z cygarem w ustach, jak na znanej, bardzo charakterystycznej akwareli. Te szczególniejsze wieczory belwederskie opisał gdzieś indziej generał Kołaczkowski, który bywał zwykłym na nich gościem. »W. Księżę w surducie mundurowym, niedopiętym na jeden guzik, — był to znak, że nie jest w służbie, a wtedy etykieta ustawała, — schodził z górnych pokojów i rozpoczął rozmowę, którą niemal cały czas prowadził, bawiąc nas rozmaitemi anegdotami dworu petersburskiego i innych dworów; czasem, polityką zajęty, rozbierał po swojemu obecne kwestye, gromił dziennikarzy, rozbierał ich artykuły, chwalił lub ganił; o nowe dzieła wojskowe pytał się, nieraz mi które darował... Podawano nareszcie wyborną herbatę, którą księżna Łowicka sama wszystkim nalewała... Czasem przybywały osoby towarzystwa warszawskiego: minister Stanisław Grabowski, pani Zamoyska, pani Sobolewska, księżna Teresa Jabłonowska i wiele innych. Niektóre, bardziej lu-

bione przez W. Księcia, zatrzymywano na wieczór. Pamiętam panią Mokronowską, w wilię Nowego Roku, wróżącą W. Księciu przyszłość ze świeczek, pływających po naczyniu wodą napełnionem, co powód dało do wielu żartów i śmiechów ze strony W. Księcia«. To nie tamten W. Książę z Zamku Michajłowskiego, z Trebbii i Tylży, z placu Saskiego lub Sądu Sejmowego, z onegdajszej koronacyi moskiewskiej albo wczorajszej warszawskiej, a już zgoła nie z jutrzejszych przepraw Wierzbna, Grochowa, Brześcia, ale »niedopięty« człowiek prywatny, przystępny, rubaszny, prawie dobroduszny. Takim również przedstawia go nam Moriolles na jednym z tych wieczorów familijnych w saloniku Belwederu: ciszej jeszcze niż zwykle, nie ma obcych gości, rozmowa ustała; Francuz czyta z urzędu na głos jaką nową książkę, »Historję Konstyтуanty« Lacretella lub podobną obojętną lekturę; nikt go nie słucha, księżna pochylona nad robotką, W. Książę przerzuca gazety. Naraz jakieś wyrwane zdanie obilo się o niego i poruszyło zniecka wszystkie dręczące, najtajniejsze wspomnienia, obawy, żale; wstrząsnął się, zamyślił, nasepił, rzucił wieloznaczące słowo, więcej do siebie, niż do otoczenia. »Jednego wieczora, kiedym czytał o knowaniach partyi Orleańskiej, W. Książę przerwał mi nagle uwagą, że istnieje wielkie podobieństwo między położeniem ks. Orleańskiego a jego własnem«. W tem krótkim, dziwnem po-

strzeżeniu, całkiem niezrozumiałem dla cudzoziemca, wiele tkwiło rozmyślań, pragnień, strachów, wdziadeł: pełnomocnictwo wodza naczelnego w pięciu guberniach litewskich, akt abdykacyjny ukryty w soborze Uspeńskim w Moskwie, okrzyki dekabrystów na cześć Konstantego I na placu Senackim w Petersburgu, komplikacje wielkiej miary, wysokiego napięcia, wciąż jeszcze ostatecznie nierozstrzygnięte, zawieszane groźną chmurą nad głową Cesarzewicza, nad Królestwem, imperyum i Europą. Moriolles w kilku jeszcze miejscach podaje rzeczy słyszane z ust W. Księcia, dawniejsze wspomnienia o cesarzowej Katarzynie, wybuchającej niepohamowanym gniewem z powodu wypadków warszawskich 1794 r., o Napoleonie, głaskającym nowych sojuszników w Tylży, albo świeższe uwagi o wypadkach społecznych, o precedensach sejmu warszawskiego 1820 r., zwłaszcza zaś o akcie zrzeczenia się tronu. »Chciano tego,... była o tem mowa od chwili małżeństwa Mikołaja«. Te relacje noszą piętno zupełnej autentyczności. To wszystko w treści, i nawet w sposobie wysłowienia się, całkiem podobne do W. Ks. Konstantego; są to rzeczy, których wcale nie mógł rozumieć ograniczony Francuz, a które, zaraz widać po odbytej rozmowie przez niego spisane, uzupełniają niezgorzej znaną skądinąd fizyognomię ówczesnego położenia W. Ks. Cesarzewicza.

Rewolucya listopadowa położyła kres służbie

i fortune Moriolla. Zapomniany przypadkiem w powszechnem zamieszaniu, albo może z rozmysłu zostawiony, przebył on jeszcze, po wyjściu W. Księcia, czas jakiś w Warszawie, aż do końca grudnia 1830 r. Należy w tem miejscu przypomnieć i podnieść z pewnym naciskiem tę okoliczność, dyskretnie przemilczaną przez Moriolla, że był on w bliższych stosunkach z generałem Fanshawe, z którego ojcem, pułkownikiem rosyjskim, był zaprzyjaźnił się jeszcze na Wołyniu, a który sam będąc adjutantem W. Ks. Konstantego, był ułatwił emigrantowi wstęp do Belwederu, później piastował w swych rękach jedną z policyi tajnych warszawskich, obecnie zaś, wbrew swej woli, został również zatrzymany w Warszawie. Tembardziej jest rzeczą zastanawiającą, że Moriolles w parę dni po wybuchu dostał się do dyktatora Chłopickiego, aby usłyszeć od niego daleko idące wywnieszenia. Chłopicki oświadczył mu w zaufaniu, że »przyjął władzę niechętnie, gdyż małą żywi nadzieję pomyślnego działania, że, jakkolwiek jest dobrym Polakiem, różni się przecie w poglądach od wielu swoich rodaków,... że w obecnym stanie fanatyzmu i egzaltacyi nader trudno przychodzi nadać umysłom właściwy kierunek,... że spodziewa się wszystkiego od sejmu, lecz na wypadek, gdyby w sejmie miano zboczyć od jego planów i przekonań, w takim razie on pospieszy złożyć władzę, którą z największą objął niechęcią... Dyktator dał

mi do zrozumienia, że jego myślą było uzyskać zadośćuczynienie dla grawaminów narodowych, wraz z odpowiednią poręką na przyszłość, w ten mianowicie sposób, aby to wszystko zostało załatwione bez starcia, w drodze zbliżenia się do cesarza«. Zarazem Chłopicki miał ułatwić Moriolowi korespondencję z obozem oddalającego się W. Księcia. Odnajdujemy tu najdokładniej krótkowidztwo i złudzenia generała; bądźco bądź jednak dyktator, wszechwładny rządca losów krajowych, mógł sobie lepiej oszczędzić tej osobliwej negocjacji z francuskim gubernierem. Parokrotnie jeszcze widział się Moriolles z generałem, po raz ostatni w połowie grudnia, na dwa dni przed dymisją dyktatorską: uprzedził go wtedy Chłopicki o swoim zamiarze ustąpienia, poradził wynosić się z Warszawy i udzielił paszportu na wyjazd zagranicę.

Moriolles, otrząsnąwszy pył barbarzyńskiej ziemi polskiej, na którą z taką cywilizacyjną pogląda wyższością, a gdzie znalazł przytułek i darmego chleba poddostatkiem, powrócił do siebie, do Francji, gdzie umarł w zapomnieniu i nędzy.

Henryk Sybel.

Dziejopisarstwo niemieckie utraciło jednego z naczelných swych przewodników w osobie Henryka Sybla *).

Dziejopisarstwo Niemców, jak ich wojskowość, ich dyplomacya, przoduje dziś światu. Metody historycznej, jak strategii lub taktyki, oni dyktują prawa. Wystawiają najliczniejsze kadry najlepiej wyćwiczonych badaczy przeszłości. Dają im do ręki najdoskonalszą broń naukową. Produkują najcześnie foliały Pomników dawnych, najcelniejsze edycye nowszych dokumentów, najrozleglejsze opracowania całokształtu dziejów, najszczegółowsze monografie. Z kilku stanowisk górujących, z akademii i wszechnicy berlińskiej jakby ze sztabu generalnego, z akademii i wszechnic prowincjonalnych jakby ze sztabów korpusowych, utrzymują dyscyplinę i kierują postęпами swojej wielkiej

*) † 1 sierpnia 1895.

armii dziejopisarskiej. Odbywają baczne jej przeglądy na łamach mnóstwa czasopism specjalnych; w ogromnym Roczniku berlińskim sprawują zwierzchni nadzór nad ogółem sił obcych, nad powszechnością historyografii nowożytnej, której swoją narzucili hegemonię. Ta osobliwsza hegemonia jest owocem nieprzerwanych wysiłków kilku pokoleń. Jest skutkiem razem i objawieniem dwóch równoległych dążności: politycznej porównano z nauką. Jest dziełem potężnej erudycyi, prowadzonej przez coraz potężniejszą tendycję. Już w pierwszych zaczątkach, w impulsie Pertza i Niebuhra, w dobrej zgodzie tkwiły obiedwie. Potem przyszedł Ranke. Od nauki czystej zaczął i do niej przed śmiercią wrócił; pośrodku wdał się w kompromisy z polityką, lecz nie bez wewnętrznego z sobą targu, nie bez tajnego żalu za niewinność utraconą. Przyszły nareszcie wolne od takich skrupułów ciasne głowy Preussów i Droysenów, nasiąkłe przyrodzoną czią dla dynastyi; przyszły wolne od przesądów mocne głowy historyków - statystów, przeniknione racją stanu. Ci już zgoła bez pomieszczenia i wahań poprowadzili naukę dziejów po drodze jawnej politycznej tendycyi i zdobytą hegemonię naukową jawnie obrócili na dobro hegemonii politycznej. Jest to zwrot niepośledniej wagi. Zwrot godny pożałowania, gdyż zbłąkał naukę, godny potępienia, gdyż ją znieprawił. Tutaj, u rozstajnika, główny nadal przewodnik, najwcześniejszej

samowiedzy, najtrwalszego wpływu, stoi Henryk Sybel.

Sybel należał do słynnej generacji pierwszych wychowawców berlińskiego patryarchy. Szczególniejsze to było grono młodzieńców, jacy w czwartym dziesięcioleciu z. w. skupili się dokoła niewiele od nich starszego Rankego. Jeszcze natenczas niespokojną falą z Zachodu i Wschodu napływały do Niemiec ostatnie odgłosy minionych nawałnic. Lecz ów uczony odłam młodzieży niemieckiej trzymał się zdala od egzaltacji Młodych Niemiec, i przed rewolucyjnym podmuchem w życiu publicznem i piśmiennictwie chronił się, tyleż może z pogardy co z obawy, do nieporuszonej atmosfery archiwów i bibliotek. Było tam sporo ludzi niepospolitych. Był Waitz, niemiecki Murtori, umysł dziwnie pracowity, ścisły i ostrożny; był nieszczęśliwy Jaffé, z uporem ascety zamykający się w najsuchszych, najzmudniejszych a pierwszorzędnej wagi poszukiwaniach; był Giesebrecht, mniej pewny, rozmiłowany w romantycznych blaskach starogermańskiego imperyum; było wielu innych, rozmaitego temperamentu i upodobań, a bez wyjątku pilności niezmordowanej, przeważnie niezwyčajnych uzdolnień. Przeświadczeni przez krytykę mistrza, iż przed nimi pracowano niesystematycznie i niedbale, przeświadczeni o tem nieraz aż do zarozumienia, aż do pedantyzmu, — własną olbrzymią pracę, naogół użyteczną, owocną,

lecz bynajmniej nie wszędzie niezbędną, rozpoczęli od podstaw. Zaczęli od epok odległych, tam się usadowili i oprzędli cierpliwie. Jeszcze u nich punkt ciężkości spoczywał w erudycji. Odrazu od nich wyodrębnił się Sybel. Z nich wszystkich, mniemamy, on posiadał najwięcej wrodzonego talentu, najwięcej indywidualnego rozpędu. Posiadał przecie odmienną od nich naturę. Jemu studium zblakłych rękopisów i sędziwych foliantów, korekta dat podejrzanych i wątpliwych tekstów, nie wystarczały. Chciał być współpracownikiem historii nowej, nietylko zamierzczał pisarzem. W seminarzyście berlińskim siedział instynkt szermierza politycznego. Zasada obosieczna, wygłoszona przez Rankego, iż »historia toruje drogę zdrowej polityce«, ze wszystkich uczniów nikomu snadniej od Sybla nie trafiła do duszy. Ten, jeśli nasamprzód zstępował, jak tamci, do rzeczy dawno pogrzebanych, nawet tędy wtargnął z tchnieniem chwili bieżącej; zaś wnet z tych kopalnianych głębin wzniósł się do czasów nowożytnych i najnowszych, do górnych pokładów gleby dziejowej, świeżo przez ludzką ambicję wzruszonych, zroszonych świeżem ludzkim cierpieniem, skąd bezpośrednio wyrasta spóczesna doba. Tutaj dotknął spraw jeszcze drgających życiem, jeszcze niezastygłych zagadnień. Swojem przedstawieniem tak blizkiej, prawie dotykanej, prawie obecnej przeszłości nie-pomału wpłynął na terażniejszość, być może na

przyszłość. Tak został jednym z pisarzy europejskich, którzy nas obchodzą najwięcej.

Zaraz w pierwszym występie publicznym (1838), w tezach inauguracyjnych, obranych przez początkującego historyka, — przypiętych do rozprawy doktorskiej o źródłach Jordanisa, bardzo problematycznej wartości naukowej, — ozwały się pewne hasła zasadnicze, które miały mu towarzyszyć do końca i są niezbędne dla zrozumienia jego dążeń wytycznych i rodzaju wpływu.

»Nie od urządzeń (*Einrichtungen*), lecz od jednostek zawisły losy narodów«. Oczywiście, jak skrawa teza dwudziestoletniego doktoranta oddawna nie jest nowością. Któż wątpi, iż indywidualność Cezara, Karola albo Napoleona zdecydowała o losach świata? indywidualność Cromwella, Fryderyka albo Katarzyny — o losie ich państw i narodów? iż najmniejsze sprawy, dotyczące jednostek, — »ziarnko piasku« Pascala — bywają niesłychanej wagi dla ogółu? iż skutki byłyby nieobliczone, gdyby żył dłużej taki Henryk IV czy Batory, krócej Ludwik XV czy Poniatowski, gdyby Zygmunt August lub Karol VI zostawili syna, August Mocny lub Marya Teresa zesłi bezpotomnie? Ale stąd jeszcze bardzo daleko do paradoksalnej tezy Sybla. Jest to właściwie ta sama teza »bohatera«, jaką prawie spólcześnie ogłaszał Carlyle. Obydwie tak samo są fałszywe, jak przeciwnie ostateczności w doktrynie przyrodniczej

»praw dziejowych«, albo psychologicznej »środowiska«. Odwieczne na ten temat rozprawy historyozofii równie są bezcelowe i nieużyteczne, jak nieśmiertelne zagadnienie fatalizmu i przypadku, skąd koniec końcem tamte biorą początek. Lecz ta okoliczność, iż w tej sprawie zasadniczej Sybel od pierwszej chwili przerzucił się na stronę jednostki i przypadku i zlekceważył prawo bytu wielkich związków organicznych w dziejach, jest nadzwyczajnie znamienne. Była w tem predestynacja na historyka pruskiego. Było powołanie na historyka takiej potęgi politycznej, która, wbrew wszelkim prawom przyrodzonego rozwoju, wbrew wszelkiej dziejowej tradycji, wystrzeliła, nie wyrosła, dzięki łasce losu i osobistej przemyślności kilku wyjątkowo uposażonych jednostek. To też teza doktorska Sybla doskonale przyjęła się w Prusach, gdzie została przewodnią skazówką dla całej legii jego następców. Cała historyografia pruska w dziedzinie nowożytnej zogniskowaną została dokoła kilku jednostek: Wielkiego elektora, Wielkiego Fryderyka, Wielkiego kanclerza.

»Historyk winien pisać z namiętnością i osobistym udziałem«. Tej drugiej tezy Sybla nigdy nie podpisałby Ranke. On głosił w teorii wręcz przeciwną zasadę przedmiotowości bezwzględnej dziejopisa. Tak bezwzględnej, iż w wielu wypadkach do złudzenia zlewała się z oportunizmem. Historyk, według niego, nie rozprawia, jeno opi-

suje. Ograniczony do rozpoznawania czynów dokonanych, poprostu zaciąga je do księgi dziejów, akceptuje je wszystkie na równi, jako jedno ciągle rozwinięcie pewnej formy wszechbytu. Sybel stanął i pozostał na przeciwległym krańcu. Kiedy znacznie później, w zaciętym sporze między nim a historykami austriackimi z powodu wojen rewolucyjnych, Ranke wystąpił w roli superarbitra, obu stronom przyznał rację, zaakceptował i politykę Fryderyka Wilhelma i politykę Leopolda, dał jedno wspólne rozgrzeszenie i Hardenbergom i Thugutom, — Sybel stanowczo odmówił takiej komplanacji, przy swoim zdaniu, swojej apologii i swoim akcie oskarżenia pozostał. Co się nas tyczy, nie uznajemy doktryny Rankego, bo jest zwohniczą, jest hipokrycką, jest w najlepszym razie, przy najlepszych chęciach, niewykonalną. Pisarz »Okresu reformacji«, »Dwunastu ksiąg pruskich«, biografii Fryderyków i Fryderyków Wilhelmów, napewno nie został wiernym transcendentalnej obojętności filozofa. Nawet umysł dużo świetniejszy, dużo mocniejszy charakter, pisarz »Początków Francji spółczesnej«, nawet ten, założywszy sobie z góry podobne zadanie, nie dotrzymał, skrewił empirycznej obojętności naturalisty. Inaczej być nie może, ani nawet powinno. Historyk pisze o ludziach i rzeczach ludzkich, największych, najdonioślejszych; tedy może i powinien zabierać głos osobiście. Lecz ten głos niechaj będzie nie

prokuratora albo adwokata, lecz głosem sędziego; niechaj wychodzi nie z »namiętności« i »udziału«, lecz z sumienia. Z czystego i jasnego sumienia, oświeconego zupełną, niemylną, nielitościwą wiedzą rzeczywistości minionej a wraz dostatecznym pojęciem obecnej, niezbędnem przecuciem nadchodzącej. Zaś nadewszystko z sumienia, gdzie zrodzone z powszechnej ludzkiej kultury żyje nieśmiertelne kryterium moralne, nie to samo kryterium, jakie wolno mieć rządzącym, stronnictwom, obywatelom, lecz nieskończenie wyższe, surowsze i mędrsze, żyje i orzeka wyraźnie, co jest obowiązkiem, co prawem ogółu uspołecznionej ludzkości, co słuszne, dozwolone, karygodne w odosobnionem życiu wewnętrznem i we wzajemnem towarzyskiem pożyciu cywilizowanych państw i narodów. Takie sumienie historyka dziejów powszechnych będzie jak gdyby wielki czasomierz astronomicznego obserwatorium: nie zależy od pory, przypadku, ani od szerokości geograficznej, nie przyspiesza ani się spóźnia, niechybnie wskazuje godziny; i właśnie dlatego, że wysoko się wznosi ponad rozgwar i wstrząśnienia przemijającej doby, tutaj to ostatecznie, rychlej czy później, sprawdzają się i prostują zegary prywatnego człowieka, gmachów rządu i prawodawstwa, nawet wieżyc kościelnych. Tak przynajmniej powinien wyglądać ideał. Sybel nigdy do niego się nie wznosił, nie podązał; owszem, nieodwołalnie się go zaparł, i na drogę,

ku niemu wiodącą, jak ogromny kamień obrazy, zwałił wszystek swój wpływ i wszystek pisarski dorobek.

Pierwszą pracą samoistną, którą ściągnął na siebie uwagę docent uniwersytetu w Bonn, były »Dzieje pierwszej wyprawy krzyżowej«. Sposób badania wzorowany był na Rankem. Z drobiazgowością analizy, jaką mistrz przykładał do pisarzy XV wieku, przystępuje uczeń do pisarzy XII. Daje wyczerpującą krytykę kronik Alberta z Akwizgranu i Wilhelma z Tyru, szeroko wykazuje ich łatwowierność i kłamliwość. Stąd wysnuwa samodzielny pogląd na początki i przebieg samej wyprawy. Więc Piotr Pustelnik nie jest jej kierownikiem i twórcą, jeno spółdziałaczem; jest żarliwcem, brutalnego wpływu na tłumy, nie cudownego wpływu prorokiem. Więc Gotfred Bouillon nie jest jej głową i bohaterem, jeno błędnym rycerzem; »nigdzie nie objawia cech natury wzniosłej ani nawet wyjątkowej«, jest dość pospolitym, sfanatyzowanym »dynastą zamkowym«. Natomiast w nowem oświeceniu zyskują i rosną zrozumialsze dla nowych czasów postacie: papieża Urbana, który całą rzecz wynalazł, aby umocnić swą wszechwładzę w chrześcijaństwie, Boemunda z Tarentu, Rajmunda z Tuluzy, Roberta z Flandryi, którzy nie żyją w samej pozaświatowej ekstazie, lecz jasne cele polityczne mają na oku. To wszystko bardzo jest zajmujące. Ale czy jest w tem prawda? Nie

ta prawda formalna, dla której *quod non est in actis non est in mundo*, lecz głębsza prawda dziejowa, która wgląda w istotę, w ducha jaknajodreśnniejszej epoki i obyczajów? Zastrzeźmy zresztą, że sama strona formalna, czysto krytyczna, nie jest bynajmniej bez zarzutu w tej książce Sybla; że, jak się zdaje, przesadził podejrzliwość, starych kronikarzy ukrzywdził. Tak zdają się wskazywać ostatnie spokojniejsze badania. Lecz, pomijając już sporne szczegóły, trzymając się pytań ogólnego znaczenia: czyli od hyperkrytyki niechętnego badacza nie jest w tym wypadku prawdziwszą legenda, od jego rozmyślnego sceptycyzmu prosta tradycja ludowa, co uwieńczyła króla Grobu św., »mnicha w purpurze i zbroi« — jak Gotfreda nazywa Radulf, — i utrwała na wieczne czasy potężną postać Pustelnika? Czyliż w ogólności tego rodzaju akt historyczny, jak legendowe wyprawy, daje się wyrozumieć i wyczuć bez wyrozumiałości i spólczucia dla świata i wyobrażeń legendy? Dość postuchać, co mówi Sybel o »pobudkach« pierwszej wyprawy krzyżowej, aby się przekonać, jak obcym, dzikim, jak odpychającym jest dla niego ten świat i te wyobrażenia. Nie rozumie zgoła askezy średniowiecznej, nie rozumie onej dziwnej *compunctio*, szczególnego stanu podniecenia religijnego, o którym tyle jest mowy w kronikach spóczesnych. Czyżby istotnie było niepodobieństwem dla ukształconego umysłu XIX stulecia

zrozumieć ciemne umysły z przed siedmiu wieków, czyżby do tego koniecznie było potrzeba tej samej wiary? Nieprawda. Potrzeba jednej rzeczy: sympatii, cudownego eliksiru, który ciemność czyni przejrzystą, ożywia prochy. Nie wierzył Renan, a jednak jego dusza niewierząca potrafiła mocą sympatii odgadnąć Apostołów i Franciszka z Assyżu. Nieobecność sympatii, — oto powód, który olbrzymią uczość Niemców, sprzężoną z racjonalizmem protestanckim, w znacznej części skazuje na bezpłodność i martwość w zakresie dziejów średniowiecznych, nierozzerwalnie sprzężonych z wyobraźnią katolicką. W wyższym stopniu, niż do kogolwiek, stosuje się to do Sybla. Trzeba tu przypomnieć, iż jego »Wyprawa krzyżowa« ukażała się nazajutrz po wybuchu pierwszej w XIX wieku walki kościelnej w Prusach, po bezprawnem uwięzieniu arcybiskupów Droste z Kolonii i Dunina z Poznania, a w chwili objęcia rządów przez króla-romantyka, w którym ortodoksja luterańska z przerażeniem dopatrywała się dążeń katolickich. Sybel w lot pochwyił »aktualność«. Piętnuje askezę Piotra z Amiens, a ma na myśli askezę Droste-Vischeringa, zbyt podziwianą przez królewicza; zdejmuje aureolę z Gotfreda, a ma na myśli zdjąć bielmo z oczu Fryderyka Wilhelma IV. Głosem brzuchomowcy z średniowiecznych podziemi odzywa się do bieżącej doby. Dodajmy, iż z czasem jeszcze się udoskonalił w tej sztuce.

W »Darowiznach Karolingów« wrócił aż do VIII wieku, ażeby stamtąd, w imieniu Pippina i Karola Wielkiego, uzasadnić pretensye Wiktora Emanuela i Cavoura, i zarzutem fałszu, wytoczonym przeciw *Vita Hadriani*, obalić tytuły własności Piusa IX. W pamflecie o »Św. sukni trewirskiej i dwudziestu innych« gwałtem ściągnął do historii przedmiot zgoła odmiennego rzędu i wrócił aż do czasów Chrystusowych, aby dostarczyć materyału uczynom »Gazety Kolońskiej«. Taki spryt do »aktualności«, rozwinięty tak wczesnie, jest istotnie w swoim rodzaju jedynym. Ranke przecież przed stronną »Reformacją« dał spokojne »Historye romańskie« i »Papieży«. Sybel w najwcześniejszej rzeczy, jak odtąd stale w następnych, objawia się tendencyjnym politykiem, który minął się z powołaniem, i zabłądziwszy do historii, świadomą i pewną ręką nawraca ją na tory polityki zawodowej.

Objawia się mianowicie, jak widzimy, nasamprzód *Culturträger*'em, w specyficznem znaczeniu słowa. Syn starej rodziny pastorskiej, osiadłej na wysuniętym posterunku śród rdzennie katolickiej ludności ziem nadreńskich, czuł się stworzonym na pogromcę »papizmu«. Zaszedł bardzo daleko w tym kierunku. Zaczął od upartej opozycyi przeciw polityce kościelnej Fryderyka Wilhelma IV, której nie pochwalamy w wielu szczegółach, nie pochwalamy w niektórych wytycznych zasadach, najmniej pochwalamy w ogólnym jej nastroju mi-

stycznym i zacofanym, lecz która chyba była daleką od przypisywanych jej przez Sybla zamysłów wykorzenia protestantyzmu, albo »karania herezy śmiercią i więzieniem, jak w Hiszpanii i Rzymie«. Te superlatywy, wywołane przez takie okropne zamachy, jak np. zaprowadzenie departamentu do spraw katolickich w pruskiem ministerjum albo przywrócenie korespondencji biskupów pruskich z Kuryą, wygłaszane były oczywiście pod znakiem tolerancyi i liberalizmu. Niepomału więc strapił się fałszywy liberał, kiedy po wypadkach marcowych mężowie prawdziwie liberalni z parlamentu frankfurckiego w swoich Prawach człowieka, obok wolności wyznania, uchwalili słynną »zasadę niezależności istniejących kościołów w zakresie zarządu zewnętrznego«. Była to sankcya sumienia narodowego, udzielona tym ulgom, jakie rząd Fryderyka Wilhelma ważył się nadać kościołowi katolickiemu. Strapił się Sybel tem »zgubnem obłąkaniem» demokracji niemieckiej, ale nie dał za wygranę. Miał szczęście przed upływem ćwierci wieku doczekać się tryumfu swoich zasad, wielkiego wymarzonego *Culturkampf*u. Pośpieszył wziąć w nim czynny udział. Był jednym z kierowników osławionego »Związku niemieckiego« przeciw katolikom prowincyi nadreńskiej, którego wszechstronna działalność na polu denuncyacyi i szpiegostwa zachowała się tam podziśdzień w trwałej a niekoniecznie błogosławionej pamięci.

Wtedy też w szeregu odczytów publicznych wykonał gwałtowny atak frontowy na »Politykę klerykałną w XIX w.« Obok popularniejszych zwrotów o »obrzmiątych wargach i fistule na końcu nosa« Grzegorza XVI, znalazły się tutaj argumenty w takim guście, jak np. iż konkordat austriacki 1855 r. był zamachem na Prusy, iż wojnę 1866 r. spowodowało sprzysiężenie trzech potęg: redakcyi *Civiltà cattolica* w Rzymie, *Univers'a* w Paryżu i *Historisch-politische Blätter* w Monachium; iż podobnież dziełem zaciekłości klerykałnej była wojna 1870 r. Stąd jasny wniosek, że »nigdy żadne państwo nie miało więcej powodów, dla koniecznej obrony (*aus Nothwehr*) i z obowiązku samozachowawczego, oprzeć się uroszczeniom klerykałnym, jak nasze Prusy«. W dziesięć lat po zgnębieniu katolickiego wschodu, w siedm po porażce katolickiej Austrii, w trzy po rozbiciu katolickiej Francyi, po dokonanej sekularyzacyi Rzymu, z takich to argumentów taki wyciąga wniosek pruski dziejopis dla uzasadnienia Praw Majowych. Dodajmy, iż jak najsurowszego stosowania tych praw nie przestawał domagać się z mównicy parlamentarnej. Dodajmy wreszcie charakterystyczny szczegół, iż w chwili rozpoczęcia odwrotu do Canossy, w 1880 r., historyk-poseł i dygnitarz, nie spierając się z rządem, zatrzymując inne wysokie urzędy, śpiesznie złożył mandat sejm-

nowy i znikł jak kamfora z parlamentu, gdzie więcej już się nie pokazał.

Dotychczas, rozglądając się w działalności Sybła, mieliśmy do czynienia z wojującą tendencją protestancką. Jest w tem dopiero część mniejsza jego indywidualności, której treść i moc główna skupiła się w wojującej tendencji pruskiej.

Sybel, Nadreńczyk, jest okazowym, skondensowanym Prusakiem, jak Holsztyńczyk Dahlmann, Alzatzczyk Haüsser, Szlązak Freytag. Patryotyzm pruski w tych swoich przedstawicielach zdaje się nabywać własności siły odśrodkowej, wzrastającej na kresach. Może jest w tem tęższy wysiłek ambicyi, odsuniętej od stołecznego ogniska, może czujniejsza gorliwość forpocztów, może coś z zawziętości renegackiej, może wszystkiego razem potrochu: nad sekretem pobudek nie będziemy łamali głowy, stwierdzamy samo zjawisko. Bojownikiem interesów pruskich, podobnie jak protestanckich, bardzo wczesnie objawia się Sybel; i podobnie poczyną sobie tutaj bardzo gruntownie, bardzo daleka, bardzo »historycznie«. Podejmując, przerywaną w badaniach starego Mösera i Eichhorna, idzie szukać najpierwszych »Początków królewskośći niemieckiej«. Cofa się do opisów Cezara i Tacyta, do tekstów *Leges barbarorum*, dyplomatów i formularzy, lecz po drodze pilnie nasłuchuje odgłosów domowej polemiki gazeciarskiej; zapuszcza się w mroki borów Germanii, lecz

z głową odwróconą ku kłótniom w *Bundestagu*. Czy pierwotna germańska idea państwowa zawierała w sobie nasienie twórcze, zdolne do samodzielnego rozwoju, czy to ona wydała z siebie świat urzędzeń średniowiecznych, czy też przeciwnie, jałowa z natury, zamknięta w granicach prostych związków rodowych, obca pojęciu jedności plemiennnej, zapłodniona została dopiero przez wpływ rzymskiego imperyumu? A w szczególności, czy instytucja królewska, obecna u wszystkich szczepów germańskich, w formie najczystszej u Franków, skąd wyszło Święte państwo rzymskie i wszelka wewnątrz niego udzielnosc, była naturalnym wcieleniem germańskiego ducha, czy też przeciwnie, sztuczną, przygodną kopią rzymskiego cezaryzmu, lub nawet wprost wynikiem jakichś stosunków zawisłości, np. wojennych unów najmickich z Rzymem? Te są zasadnicze pytania, ku którym zbiega całe rozstrząsanie Sybla. Jego odpowiedź była do przewidzenia. Żywioły tradycyjne, narodowe, kategorycznie odsądza od wszelkiego udziału, obstaje za dominującym wpływem cudzoziemskich w ewolucji politycznej pierwotnych Niemiec. Obstaje jeszcze po czterdziestu latach, kiedy Waitz, z Tacytem w rękę, ścisłą krytyką oddawna podważył jego dowolne kombinacje; i w nowym wydaniu swojej książki, zmuszony do zmiany wielu szczegółów kardynalnych, do porzucenia wielu argumentów niedających się bronić

dłużej, — niemniej przecie, z osobliwszą pogodą ducha, osobliwszą metodą, którą nadal będzie stosował w innych swych pismach, zostawia nie-
tknięte swoje wnioski naczelne. Dlaczego mu tak wiele na samych tych wnioskach, więcej niż na argumentach zależy, — jest dostatecznie jasnym. Jasnym jest, jakie z tych mianowicie wniosków nasuwają się inne, donioślejsze. Rozluźnia się odwieczna łączność każdego z tych szczepów ze starodawną swoją dynastyą. Tracą oparcie prastarzy Welfowie, tracą Wettynowie prowadzący ród od Witekinda, luźniej odtąd związani z Hanowerem i Saksonią. Tracą nadewszystko prawowici spadkobiercy wszechniemieckiej spuścizny, Habsburgowie austriacy, luźniej odtąd związani z powszechnością Niemiec. Kto zyskuje? — łącno zgadnąć. Zyskuje państwo, które nic z pogańskim borem pragermaństwa, z cezarami ani Tacytem, z domem Chlodovecha ani Karolingów, nigdy nie miało do czynienia, które wyłoniło się późno, w XV wieku, poczęte, jak Perseusz ze złotego deszczu, z parukroć dukatów, sypniętych sprytną ręką oszczędnego protoplasty na nędzę niewypłacalnej Rzeszy; które przez dwa sprytne chrzty i tysiąc krętych negocyacji, zaledwo wysunęło się z szarego końca w XVI i XVII wieku, i dopiero w XVIII, przez demoniczny geniusz jednego człowieka, wparło się do pierwszego szeregu; które nareszcie za naszych czasów, bez żadnych historycznych ani narodowo-

ściowych tytułów, jedynie mocą faktycznej przewagi, skonfiskowało dla siebie koronę Karola Wielkiego i Ottonów. Na książce historyka pruskiego zyskują Prusy. Dzisiejsze Prusy, chociażby tam była mowa o sprawach przedhistorycznych. To jest w porządku rzeczy. Tak nakazuje nowa metoda dziejopisarska, która uczy pisać *cum ira et studio* i »torować drogę zdrowej polityce«.

Lepszy polityk niż dziejopis, lepszy Prusak niż Niemiec, w »Początkach królestwa« przyłożył siekiere do najgłębszych korzeni dziejów narodowych. W rozgłośnym odczycie akademickim o »Historykach okresu cesarskiego«, w słynnej rozprawie »Naród niemiecki a cesarstwo«, przyłożył topór do omszałego pnia całej średniowiecznej przeszłości Niemiec. Raptownie przebiegając wypadki od koronacyi Karola aż do pokoju westfalskiego, wszędzie srogo uderza na upośledzenie praktycznych interesów narodu dla romantycznej mrzonki przywództwa nad światem chrześcijańskim. Ze stanowiska p. Bennigsena i gotajskiego grona gorzko opłakuje nieogłędą miękkość cesarzów saskich; z punktu widzenia Cavoura piętnuje włoskie wyprawy Gibelinów. Niezdatność Hohenstaufów oświeśla zdrową polityką Hohenzollernów. Ottona III mierzy łokciem wielkiego kurfirsta, cesarza Fryderyka II łokciem króla Fryderyka II. Oczywiście, zamiast schodzić do równin lombardzkich i sycylijskich wąwozów, trzeba było zawczasu

zabrać Szlezwig Duńczykom, Polakom Wielkopolskę, Litwę Litwinom. Trzeba było dbać nie o Rzym, lecz o Królewiec. Trzeba było założyć *Zollverein* za Barbarossy, za Hildebranda zaprowadzić małżeństwa cywilne i egzamin państwowy beneficjaryuszów kościelnych. Jeśli nie takie ze wszystkim były słowa, takim wszakże był sens, taką logiką wywodów Sybla. Jaką była istotna ich intencja, sam wyraźnie wyłuszczył w zakończeniu. Tutaj, zamknąwszy na pokoju westfalskim dawniejsze rachunki, ogólnym deficytem tyłu zmarnowanych stuleci obarcza ostatnich gospodarzy zaprzepaszczonej przeszłości, cesarzów domu habsburskiego. Nie poprzestaje na tem. Przychodzi nadto upomnieć się o późniejsze krzywdy. On ma rachunki z Maryą Teresą. Ma rachunki z jej sukcesorami. Ich to nielojalna, nienarodowa, włoska czy turecka polityka jeszcze u schyłku poprzedniego wieku zgwałciła czysty patryotyzm berliński, zmusiła Prusy do pokoju bazylejskiego, do wydania lewego brzegu Renu, a tem samem sprowadziła najazd Napoleński, upadek cesarstwa, zgubę Niemiec. Za tyle grzechów, tyle przestępstw, surowo brzmieć musi wyrok sprawiedliwości dziejowej. »Wolę małe Niemcy z narodem trzydziestu pięciu milionów, — tak jej kapłan w ostatecznej konkluzji formułuje ów wyrok, — aniżeli wielki kraj niemiecko-węgiersko-słowiański z ludnością siedmdziesięciu... Austria znajduje się zewnątrz Niemiec».

Konkluzya tego rodzaju, wygłoszona nazajutrz po Magencie i Solferino, po preliminarzach w Villafrańca, po pierwszym, od pół wieku upokorzeniu Austrii, chlubnie świadczyła o wężu politycznym byłego posła izby heskiej i parlamentów we Frankfurcie i Erfurcie, przyszłego członka pruskiej izby deputowanych i berlińskiego parlamentu zjednoczonych Niemiec. Wszakże, dla zrozumienia historyka, ciekawsze od konkluzyi są jej założenia, a w szczególności zachowane na koniec, dotyczące najważniejszego okresu dziejów nowożytnych, epoki rewolucyjnej i Napoleońskiej. Należy dobrze sobie uprzytomnić, jak obszerne i ciężkie zadanie tutaj właśnie czekało historyka pruskiego. Wyprawić Habsburgów «na zewnątrz Niemiec», to dopiero jedna, negatywna połowa tego zadania; drugą, dużo trudniejszą, było utorować margrabiom brandenburskim najkrótszy, gładki szlak dziejowy do posiadania Niemiec. Herkulesowa zaiste robota. Gdyż zgoła inaczej, nie prosta ani równa, w zawiłych skrętach pnąca się do góry, biegnąca przez ruiny i bagniska, przez zburzone prawo, zdeptaną dobrą wiarę: tak w istocie owa pruska droga *ad astra* przedstawia się historii powszechnej, która stąpa ze spokojnem światłem, odnawia zatarte ślady. A mianowicie jest tam jedno miejsce najgorsze, prawie nie do przebrnięcia, na skraju ubiegłego i obecnego stulecia, na pobjowisku walk rewolucyjnych. W tem miejscu zdradliwem dzieje

polityki pruskiej ukazują jedno bezdenne trzęsawisko. Tędy suchą nogą przeprowić państwo wybrane, aż do apoteozy wojen o niepodległość; przez Warszawę, Reichenbach, Pillnitz, Bazyleę, doprowadzić je prosto do pól tryumfalnych pod Lipskiem i Waterloo, skąd dla zbawców narodu ubity już trakt otwiera się na Königgrätz i Sedan, — takiego przedsięwzięcia podjął się Sybel. Włożył w nie trzydzieści lat mozolnych poszukiwań, najlepszy talent dojrzałego wieku. Tak powstały »Dzieje epoki rewolucyjnej«. Rozpowszechnione w Niemczech w kilku wielkich edycjach, za granicą w przekładzie angielskim, francuskim, rosyjskim, dały pisarzowi rozgłos europejski, jego poglądom wpływ szeroki i trwałe. Musimy, choćby dorywczo, zatrzymać się na tej książce. W najdłużej, najstaranniej obmyślanem dziele Sybla, głównem dziele jego życia, musi czerpać główne motywy ten wyrok pośmiertny, jaki o nim należy ferować.

Trzy wielkie zjawiska uderzają uwagę Sybla u wstępu do Okresu Rewolucyi: upadek monarchii francuskiej, polskiej Rzpltej, cesarstwa niemieckiego. Mimo całą różnorodność pozorną, wszystkie »objawiają głębokie pokrewieństwo wewnętrzne; w Paryżu i Warszawie, tak samo jak w Rzeszy, dokonywa się zanik średniowiecznych urzędów feudalnych, i wszędzie na rzecz nowożytnego państwa militarnego«. Że tego nie odkryto

wcześniej, temu winna niezaradność niemiecka, która w tak doniosłej dziedzinie pozwoliła rozpanoszyć się wrogiej historyografii cudzoziemskiej, a więc najpierw francuskiej i polskiej. »Przewaga cudzoziemskiej tendencji objawiła się szczególnie w sprawach polskich, gdzie, bezprzykładnym sposobem, zwycięscy prawie całkowicie ustąpili głosu zwyciężonym. Stąd przeważna część publiczności niemieckiej w przedmiocie naszych krzywd, doświadczonych wtedy od Francyi, nie ma innego poglądu, jeno francuski; w przedmiocie naszych podbojów (*Eroberungen*) nad Wisłą, nie żywi innych uczuć, jeno polskie«. Tak pisał Sybel w pierwszym wydaniu, gdzie dopiero urywkami, w drodze łaski prywatnej, mógł korzystać ze źródeł pruskich, z wyjątków korespondencji ks. brunświckiego Moellendorfa, Mansteina, Lucchesiniego, z niektórych drugorzędnych doniesień Haugwitza, Hardenberga, Buchholtza. Lecz ogłoszone dwa tomy starczyły, aby mu pozyskać pełne zaufanie rządu berlińskiego i otworzyć swobodny dostęp do zbiorów pruskiego Tajnego Archiwum. Tymczasem również ukazały się wydawnictwa rosyjskie Milutina, Bluma, Smitta. Teraz Sybel uznał za stosowne odkryć wszystkie karty, po francuskim i polskim odkryć główny swój atut austriacki. »Od wybuchu 1813 r. — oświadcza w przedmowie do drugiego wydania — wszędzie, nawet w Prusach, odzywa się jeden głos potępienia dla pokoju bazy-

lejskiego i dokonanego wtedy odstępstwa Prus od Austrii, a tem samem, jak mogło się wydawać, od sprawy niemieckiej. Taki pogląd oczywiście wielce był użytecznym dla dobrej sławy Austrii. Owóż pominięto w zupełności tę okoliczność, iż właśnie nieprzyjaźń austriacka narzuciła królowi pruskiemu pokój w Bazylei«. Nowe, gruntowne badanie, oparte na autentycznych przyczynkach pruskich, ma nareszcie zaprowadzić porządek, wykorzenić zatwardziałe przesady francuskie, polskie, a zwłaszcza austriackie, wystąpić jako »*Schutzschrift*« Prus, zrehabilitować je wobec świata i własnego narodu. Zapisujemy to wyznanie.

Najlepszą osłoną jest atak, najlepszem odbiciem ciosu jest uderzenie, powiada stara reguła fechtunku. Rehabilitację rozpoczyna Sybel od napaści. Ujawnia »oderwanie Austrii od Niemiec«, odbywające się od wieków. Swoim zwyczajem, daleko wstecz sięga. Nie jest kontent z Karola V. Nie był on Niemcem, był »Hiszpanem po matce, Burgundczykiem z wyobraźni i sposobu myślenia«; pozwolił w Rzeszy gospodarować Francuzowi Granvelli, Hiszpanowi Albie. Jest niekontent z Karola VI. Nie był on wiernym stróżem świętych ustaw cesarstwa, pogwałconych przez sankcję pragmatyczną i żeńskie następstwo w Czechach; Maryę Teresę i Józefa pociągnął za sobą na drogę bezprawia. Ale jeden nadewszystko jest grzech śmiertelny panowania Habsburgów w ostatnich

trzech stuleciach. Nie wywiązali się z najpierwszego swego obowiązku: nie stali na straży Niemiec od strony wschodniej. Z tej strony mianowicie, już po wyparciu Turka z Węgier i Szweda z Pomeranii, pozostał sąsiad, »na którego mieć ustawiczne baczenie było kwestyą życia dla narodu niemieckiego«. Tym sąsiadem była — Polska. Owóż, »Polska przez cały okres wojen reformacyjnych była najgorętszym sojusznikiem Habsburgów, zaś później zawsze zachowywała się całkiem niegroźnie względem interesów austriackich«. Jednak Rzplta w dawniejszej potędze niebezpieczna dla dawnych potężnych Niemiec, dla rozdartych Niemiec zeszłego wieku była zgubnem, niemożliwym sąsiedztwem, sama oddana rozkładowi. »Przedstawiała ona najdobitniejszy przykład wadliwości ustroju feudalnego, albowiem feudalny rozwój ustawodawstwa polskiego na wewnątrz, oraz feudalny kierunek polityki polskiej na zewnątrz były wyłącznym powodem upadku tego niegdy wielkiego narodu. W XV wieku, kiedy w pozostałej Europie wszystkie bez wyjątku narody wcieliły swą jednolitość w mocnych monarchiach wojskowych, w tym samym czasie szlachta polska swawolę jednostki szlacheckiej uczyniła naczelnem prawem państwowem, zniosła z kolei dziedziczość tronu, powagę rady królewskiej, różnice klas szlacheckich, przywileje polityczne miast, wolność osobistą włościan. W XVI wieku Rzplta szlachecka, rozpalona

odwagą, zuchwalstwem, zarliwością religijną, podjęła dla Wschodu Europy to samo zadanie, jakiego w tym samym czasie miał się na Zachodzie Filip II: w imię katolicyzmu sięgnęła po panowanie nad światem. Jak Filip Anglię, podobnie Zygmunt dla Kościoła chciał podbić Szwecyę; jak Filip liczył stronników we Francyi i przez chwilę myślał osadzić córkę na tronie francuskim, podobnie Zygmunt miał partyę w Moskwie i zdobył carat dla syna. Ale skutek był jednaki na Zachodzie i Wschodzie. Jak Francya dokoła Henryka IV, tak samo ostatecznie skupiła się Rosya dokoła Michała Romanowa, i jak przeciw Filipowi stanęła potęga morska Elżbiety, tak w wojnach polskich urósł bohater protestantyzmu, Gustaw Adolf«. Co więcej, protestantyzm w samej Polsce wczesnego doświadczył męczeństwa. »Prusy Królewskie, gdzie szlachta i mieszczenie w przeważnej części przyjęli luteranństwo, zajęły odtąd względem króla Zygmunta takie stanowisko, jak Niderlandy względem Filipa II«. Ale czuwała opatrność. Czuwał dom brandenburski. »Tutaj, na Wschodzie cesarstwa, w walce o narodowość niemiecką i wolność wyznania, w sprzeczności bezwarunkowej, wewnętrznej i zewnętrznej sprzeczności względem Polski, narodziło się państwo pruskie. Póki istniała Rzplta, póty koniecznie musiała dążyć do uczynienia Królewca polskim i Gdańska katolickim; póki Brandenburgia była niemiecką i protestancką, było jej

najżywotniejszym powołaniem oswobodzić Prusy Królewskie«. Tym to sposobem, obok opieszających cesarzów habsburskich, staje Wielki Elektor, jako pierwszy reprezentant »twórczych zasad narodowej jedności i poświęcenia«, jako obrońca »wielkich interesów plemienia niemieckiego, zarówno w cesarstwie, jak w Europie«. Nareszcie ukazuje się Fryderyk II. Wzorując się na »wielkim Orańczyku«, wprawdzie nie bez »osobistej i pruskiej ambicyi«, ale napewno »tyleż (*ebensoviel*) ożywiony duchem i patriotyzmem niemieckim«, szczęśliwie doprowadza do skutku »jedną z najważniejszych spraw narodowych: ostateczne oswobodzenie Prus Królewskich od panowania polskiego«. Za jedną okazją przykłada dobroczynną rękę do emancypacyi obcych sobie ludów. »Polska tak daleko sięgnęła, tylu sąsiadów nagięła pod swoje jarzmo, że połowę jej mieszkańców stanowili podbici Rosyanie, jedną ósmą podbici Niemcy. Nie dziw, że jej poddani rosyjscy w Galicyi i na Podolu, tak samo jak niemieccy w województwach pruskich, pozostali obcy panującemu narodowi, że posyłali tęskne spojrzenia do swoich spółrodaków po tamtej stronie granicy, że tam znów coraz potężniej musiała ożyć myśl upomnienia się u Polski o zwrot tych zdobyczy«. Lecz zacięte spółzawodnictwo Austrii wszędzie wznosiło zapory szlachetnej inicjatywie Fryderyka. Przez całe życie musiał on stać pod bronią przeciw zamachom Maryi Teresy i Józefa.

To samo, wśród nieskończenie trudniejszych warunków, czeka jego następcę. Fryderyk Wilhelm II, przeciw zdradzieckim knowaniom Leopolda i Franciszka, zazdrosnych suzerenów, niewiernych cesarzy, przeciw samolubnej polityce zaprzyjaźnionych z Polską Habsburgów, zmuszony jest bronić świętej misji, wziętej po przodkach, i wielkie dzieło, rozpoczęte przez poprzednika w pokoju a wbrew Austrii, wbrew niej uwieńczyć wśród rozpętanej burzy rewolucyjnej.

Cóż powiedzieć na taki prolog? Rozbierać poszczególne wszystkie niedorzeczności i fałszy, jakie w sobie zawiera, nie ma sposobu, ani warto zachodu. Feudalizm *Voluminów legum*, niesłychane przewroty ustawodawcze w Polsce XV wieku, a więc zaraz za pierwszych Jagiellonów, udział Rzpltej w wojnach reformacyjnych, — to poprostu odkrycia. Są one zresztą uwiecznione we wszystkich dawniejszych wydaniach, nawet w starannie przejrzanem przez autora francuskim. Dopiero przed ostatnią edycją niemiecką, ktoś życzliwy dla znakomitego historyka widać go oświecił, gdyż tutaj już zostały wykreślone krzyczące brednie o polskim »feudalizmie« i zamiast »XV wieku«, jako daty nadzwyczajnych przewrotów w Rzpltej, wydrukowano »XVI«. Jednak pozostała nietkniętą »Hiszpania«, »Filip«, »Alba« i inne akcesorya jednakowo udatne. Udały się zaiste te antytezy, na których można kark skręcić: katolicka Polska

i Hiszpania z jednej strony, z drugiej prawosławna Rosya i Bourbon, — żeby przynajmniej kalwin, — nie, właśnie katolik. Udała się karkołomna analogia Prus Królewskich i Niderlandów. Udatną figurą retoryczną jest cień Alby, kilkakroć wywoływany z grobu, Alby, który ścina inowierców w Brukselli w tym samym czasie, kiedy w Warszawie My, Rady koronne, rycerstwo i stany insze, w niepokoju i żalu z powodu śmierci Egmonta i Hoorna, zabiegając gwałtom, »które po innych królestwach jaśnie widzimy, obiecujemy sobie wspólnie, iż którzy jesteśmy *dissidentes de religione*, pokój między sobą zachować, a dla różnej wiary i odmiany w kościelech krwi nie przelewać ani się penować będzien powinni«. Ale te wszystkie akcesorya były niezbędne. Trzeba było pokumać Zygmunta Augusta z Filipem, Zborowskich z Albą, ażeby w ostatecznej konkluzyi Leopolda zbratać ze Stanisławem Augustem, Kaunitza i Thuguta z Piatolim i Kollątajem. Tutaj tkwi tajny powód, dla którego starożytna, niezakłócona przyjaźń polsko-austryacka — zapewne z czasów, kiedy obierano Walezego, albo kiedy Habsburg popierał starania Iwana o koronę imperatorską, albo kiedy Batory wysadzał cesarza, Zamoyski arcyksięcia brał do niewoli, albo zwłaszcza odkąd wpływ francuski zapanował w Rzpltej, — wystawioną zostaje jako zasadniczy aksyomat dziejów nowoczesnych. Zaś dopiero na tle tej występnej, zgubnej

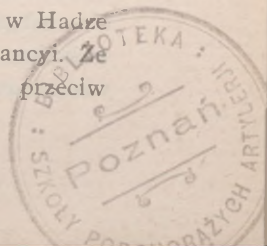
przyjaźni, jakże wzruszająco występuje księga rodzaju przyszłego zbawiciela Niemiec, geneza państwa pruskiego, które narodziło się w śmiertelnej »sprzeczności« do polskiego Heroda i w osobie wielkiego kurfirsta i wielkiego króla »poświęcało się« bezustanku dla dobra ojczyzny niemieckiej. Coż z tego, że w rzeczywistości narodziło się raczej ze ślepej łaski Rzpltej, z łaski polskiego króla dla brandenburskiego siostrzeńca, którego za przywłaszczenie ziemi zakonnej, za hołd z ziemi cesarskiej oddany obcemu mocarstwu, ogłosił wywołaniem, felonem, nie kto inny, jeno zły Niemiec, »Hiszpan«, »Burgundczyk«, Habsburg, Karol V; cóż z tego, że przeciw »niemieckiej« ofiarności elektora świadczy zdawna cała jego akcyja domowa i zagraniczna, od kilku lat cała jego urzędowa kancelarya, a od wczora odkryta instrukcyja, — odkryta, niestety, we własnem »Czasopiśmie« Sybla, — gdzie w trzy lata po traktacie welawskim objawia gotowość, dla korony polskiej, wrócić Rzpltej Prusy Książęce, a tem samem wyrzec się zupełnie świętej »misyi« niemieckiej; cóż z tego wreszcie, że »patryotyzm« Fryderyka, dobra bajka dla jego spóćczesnych, dzisiaj jest lichą farsą dla czytelników »Korespondencyi politycznej«, — niestety, znowuż ujawnionej pod własnem kierownictwem Sybla? Cóż stąd? — skoro te wszystkie drwiny z oczywistej prawdy dziejowej są niezbędne dla apologii Fryderyka Wilhelma II, Hertzberga, Luc-

chesiniego, Bischoffwerdera, Haugwitza, Hardenberga, dla osłonięcia ich sromotnych upokorzeń, sromotniejszych wygranych, dla wniesienia powagi, logiki i morału do nędznej, rozerwanej, żarłocznej polityki pruskiej »Okresu rewolucyi«. Taki cel uświęca takie środki.

Zatrzymaliśmy się rozmyślnie nad ekspozycją, bo dosyć w nią wniknąć, aby wyrozumieć cały tok dalszej akcji u Sybla. Jego książka posiada niezawodnie jedną niepospolitą, istotną zasługę: po raz pierwszy z pożądaną dobitnością stwierdziła ścisły związek spraw francuskich a polskich, rewolucyjnych a podziałowych. Ale prawie natychmiast tej zasługi się wyzbywa. Sprowadza gwałtem do jednego spólnego mianownika zjawiska z gruntu odmienne: wzięcie Bastylii, Moguncyi i Warszawy, zmianę formy rządu we Francyi, formy państwa w Niemczech i śmierć Rzpltej. Tedy z gruntu fałszuje naturę onego związku, który te zjawiska łączy, lecz ich nie niweluje, nie spokrewnia, który ukuła złą wolą, złe wyrachowanie ludzkie, nie równowarta historyczna konieczność. W jakim celu fałszuje, jasnym jest z ekspozycyi: bo chodzi tu bardzo o złą wolę, zły rachunek pruski. Z jaką fałszuje sztuką, konsekwencją, z jaką, miękko rzekłszy, odwagą. — pozostaje okazać na kilku wybitniejszych przykładach.

Co mówią, spytajmy przedewszystkiem, — odkładając na bok wszelką erudycję, wszelkie uczone

spory akademickie, wszelkie szczegóły zawilsze, niedość jasne, — co mówią najwybitniejsze, zupełnie proste, zupełnie jawne fakty Dziejów epoki rewolucyjnej o roli odegranej przez Prusy? Mówią podobno, że Prusy w styczniu 1790 r. zawierają w Stambule traktat obronny z Turcyą, w marcu w Warszawie z Polską, przeciw Rosyi i Austrii. Że jednocześnie ofiarują przyjaźń Francyi, podsycają w Paryżu płomień rewolucyjny, przyśpieszają tam wybuch wojny austryackiej. Że w lipcu tegoż roku godzą się z Austryą na konwencyę reichenbachską. Że w lipcu następnego roku podpisują z Austryą konwencyę wiedeńską, w sierpniu deklaracyę w Pillnitz, przeciw Francyi. Że przez cały ten czas w oświadczeniach poselskich i ministerjalnych, w listownych wynurzeniach królewskich, akceptują nową Ustawę polską. Że w lutym 1792 r. zawierają z Austryą traktat berliński, z umyślnem obejściem nowej Ustawy polskiej. Że w sierpniu tegoż roku zawierają w Petersburgu traktat z Rosyą, dla zwalenia tej Ustawy, zaś w styczniu następnego roku, za plecami Austrii, drugi traktat podziałowy. Że od dwóch lat, w podwójnym charakterze członka Rzeszy i sprzymierzeńca Austrii, jak najopieszalej uczestnicząc w wojnie francuskiej, w kwietniu 1794 r. w potrójnym charakterze angielskiego najemnika zawierają w Hadrze traktat subsydyowy z Anglią przeciw Francyi. Że tymczasem, biorąc pieniądze angielskie przeciw



Francyi, od września 1793 r. potajemnie zbliżają się do Francyi, a od lipca 1794 r. wprost prowadzą układy z naczelnym wodzem armii francuskiej i paryskim Komitetem Ocalenia Publicznego. Że wreszcie, w kwietniu 1795 r., zawierają z Rzpltą francuską traktat bazylejski, gdzie neutralną linią demarkacyjną obezwładniają strategicznie Austryę, przecinają na dwoje Rzeszę, kładą podwalinę dla Związku Północnego, i gdzie zarazem wydają Francuzom lewy brzeg Renu, zastrzegając dla siebie sekularyzację biskupstw prawego brzegu i objęcie w »depozyt« Hanoweru. Poczem w październiku przystępują do trzeciego podziału i zajmują Warszawę. Tyle mówią nagie fakty.

Posłuchajmy teraz, co mówi Sybel. Od pierwszego kroku potyka się na osławionym planie Hertzberga, polskiem przymierzu, niespodziance reichenbachskiej. Wychwala talenty ministra. Znajduje w nim »rozum przenikliwy, rzadkie połączenie zimnej krwi i niezmiernej żywości«. Pochwala jego plany. »System Hertzberga nie był awanturniczym ani pod względem celów, ani pod względem środków«. Niestety, Fryderyka Wilhelma natura rycerska i drażliwość sumienia nie dała mu pójść do kresu za myślą wytrawnego doradcy. Był w królu »silny pociąg do oddania się, do czynienia ustępstw«. Tym sposobem »pozwolił sobie w końcu wydrzeć także alians z Polską, nie zobowiązawszy jej z góry do cesyi Torunia i Gdań-

ska«. Po chytrej Rzpltej, chytry cesarz wyzyskał dobroduszną łatwowierność króla. Zamiast przycisnąć Austryę, wycisnąć z niej zyski obmyślane przez geniusz Hertzberga, Prusy dały jej folgę w Reichenbachu, wyprowadzone w pole przez »bezinteresowność własnego monarchy«.

Trzeba dobrze sobie uświadomić właściwe znaczenie tych twierdzeń Sybla. Nowoczesna historiografia pruska posiada jeden powszechny specyfik, ilekroć w zakłopotaniu staje wobec najdrażliwszych momentów nowoczesnej historii Prus. A mianowicie, dzieli wtedy odpowiedzialność i dzieli chwałę. Dzieli między głowę państwa a jego pierwsze sługi, między monarchę a jego generałów i ministrów. Monarsze zostawia samą cnotę, nieopatrzną, lecz nieskazitelną rycerskość paladyna *sans peur et reproche*. Słudze oddaje sam rozum polityczny, twarde, ale konieczne, cyklopowe brzemię racyi stanu. Tej metody nie sposób był stosować względem Fryderyka II, który był swoim własnym generałem i ministrem. Natomiast z cudownym skutkiem bywa stosowaną względem wszystkich jego następców. Więc Fryderykowie Wilhelmowie Drugi, Trzeci, Czwarty i pierwszy Wilhelm, reprezentują cnotę; racyę stanu reprezentują Hertzberg i Moellendorf, Haugwitz i York, Brandenburg i Wrangel, Bismarck i Roon. Jak widzimy, ściśle wedle tej recepty poradził sobie Sybel.

Pomysł dowcipny, ani słowa. Na nieszczęście,

ma jedną poważną niedogodność. Jeszcze wszystkich wymagań nie zadowalnia. Znajdują się albowiem jeszcze lojalniejsi Prusacy, którym niedość mieć cnotliwych królów, chcą także mądrych. Chcą zabrać na skarb wszelkiego gatunku warzyny, wszystkimi naraz wieńczyć same czoła monarsze. W honorach, oddawanych zbyt hojnie majordomom, upatrują afront dla tronu. Ze starcia dwóch lojalności dobywa się niespodziane światło: i ten dowcip mimowolny jest chyba najlepszym. Tak stało się i w niniejszym wypadku. Już Ranke starał się więcej naprzód wysunąć osobę Fryderyka Wilhelma i w tym duchu czynił pewne zastrzeżenia przeciw wykładni Sybla; jednak jeszcze zgodnie z jego przedstawieniem rzeczy pisał z powodu Reichenbachu, iż »sprowadzenie tego momentu zapewnia Hertzbergowi nieśmiertelność w dziejach pruskich«. Tak nieprzystojnej pochwały dla dymisyonowanego ministra, takiej ujmy dla pamięci króla, u którego tamten popadł w najwyższą niełaskę, nie mógł ścierpieć najoficyalniejszy historyk z oficjalnych, ówczesny dyrektor pruskiego Tajnego Archiwum stanu. Max Duncker w Akademii berlińskiej uroczyście przywrócił przyzwoitą odległość pomiędzy panem a sługą, »Fryderykiem Wilhelmem II a hrabią Hertzbergiem«. Król dobrze widział, nie Hertzberg. Król mądrze planował, nie Hertzberg. Król zrobił przymierze z Polską z pełną świadomością, a wbrew

Hertzbergowi. Król w Reichenbachu, pomimo Hertzberga, odniósł wielki tryumf moralny. Że nie odniósł większego, politycznego tryumfu, to właśnie z winy Hertzberga, który króla splątał, wybuch wojny opóźnił. Na poparcie tych wszystkich orzeczeń, Duncker w ferworze wyciąga ze swego archiwum najautentyczniejsze, najtajniejsze dokumenty, roztropnie przemilczane przez Sybla, a które wprawdzie nie potwierdzają bynajmniej apoteozy Fryderyka Wilhelma, ale za to świadczą dowodnie: z jakim natręctwem i w jakich zamiarach dobijał się król przymierza polskiego, jak dalece nie dowierzał Leopoldowi, jak mocno pragnął, już nie upokorzenia, lecz złamania Austrii. Oczywiście te wszystkie świadectwa kompromitują w zupełności misterną robotę Sybla. Ale Sybel nie dał się zbić z tropu. Wskazaliśmy już poprzednio, z powodu innej kontrowersyi, jak on sobie radził w podobnych wypadkach. W nowem wydaniu swojej książki doskonale strawił przykre odkrycia Dunckera, schował je w zmienionej redakcyi kilku frazesów tekstu, lecz całość wykładu, wnioski główne, spokojnie zostawił bez zmiany.

Jest to zapewne niekoniecznie budujące. Ale nie nalegamy. Nie potrzeba dopiero konkurencyi dwóch akademików i dyrektorów berlińskich, ażeby zdemaskować fałszywe »Dziejów epoki rewolucyjnej«. Bez tego wiadomo doskonale, co sądzić o »rozumie« Hertzberga, o jego planach zamien-

nych, które doprawdy »nie były awanturnicze«, były wprost niedorzeczne i po wszystkie czasy skazały na śmieszność wynalazcę. Nieborak, że długo terminował u wielkiego Fryderyka, wmówił sobie, że tak samo potrafi czarować; ale on nie umiał rozkazywać żywiołom, umiał tylko sprowadzić rozgardyasza i sam topić się pierwszy. Wiadomo, co sądzić o rycerskich uczuciach Fryderyka Wilhelma. Król istotnie miał »silny pociąg do oddania się«, lecz wyłącznie ładnym kobietom, nie swoim sprzymierzeńcom, ani dobru powszechnemu Europy. Wiadomo wreszcie, a raczej powinno być równie dobrze i powszechnie wiadomem, co sądzić o precedensach, okolicznościach i skutkach traktatu warszawskiego. Tutaj już musimy nalegać, i bardzo nalegać. Gdyż na tym to ostatnim przedmiocie, który nas najbliższej obchodzi, najkompletniej też i najjaśniej daje się wypróbować tendencyjna sztuka Sybla.

Znamy już punkt wyjścia jego zapatrywań na przymierze marcowe. Było ono przez polityków polskich »wydarte« królowi pruskiemu. Przecież polska przewrotność chybiła celu. »Wprawdzie doszło w 1790 r. do sojuszu obu mocarstw, lecz ani na chwilę do owej wewnętrznej harmonii interesów i umysłów, która sama tylko zapewnia trwałość umowom międzynarodowym«. Mógłby kto prosto dusznie zarzucić, iż właściwie trwałość umów zależy prawnie od warowanego w nich terminu trwania, faktycznie od uczciwości stron paktujących.

Lecz znakomity historyk nie żywi podobnych przesądów. »W polityce — oświadcza sentencyonalnie — niczego nie daje się ani otrzymuje za darmo. To też nigdy nie popełniono fatalniejszego błędu politycznego, jak uparta odmowa rządu polskiego na projekty zamienne Hertzberga«. Trzeba było łącznie zawrzeć traktat obronny i celny. A zatem trzeba było zgodzić się na cesę terytoryalną. Wtedy zapanowałaby szczęśliwa »harmonia interesów i umysłów«. Wtedy Prusy święcie dotrzymałyby przymierza. Nie uczyniła tego Rzplta. Przemędrkowała i ukarała się sama. Zamiast dojść do istotnej obustronnej umowy, narzuciła Prusom fikcję i sama zadowolniła się fikcją. »Takie — dodaje Sybel, i tym nieoszaczowanym autorytetem chyba wszelkie rozprasza wątpliwości, — jest nawet zdanie Ogińskiego«. Takie jest, potwierdzamy, również zdanie Haüssera a nawet Herrmanna, zdanie prawie całej nowszej historyografii niemieckiej, bądź będącej w zmowie z Syblem, bądź otumanionej przez jego dyalektykę. Powiemy więcej: podobne, choć oczywiście w zgoła innej intencji, jest zdanie najpoważniejszego sędziego polskiego, Kalinki. Kalinka, tak samo jak Sybel, potępia przymierze marcowe w ogólności. W szczególności, tak samo, potępia rozłączenie sprawy sojuszu i cła. Poczytuje za ciężką winę Ignacemu Potockiemu, że te dwie materye rozdzielił. Poczytuje za pierwszorzędną zasługę Stanisława Augusta, że upierał się za ich

złączeniem, i ubolewa, że król nie miał hartu wytrwać do końca w tej postawie. Baczmy, jakie stąd płyną konsekwencye. Przypuśćmy, iż pogląd Kallinki jest trafny. Przypomnijmy zarazem jego napomknienia, niewątpliwie zasadne, o stosunkach przywódców Deputacyi i sejmu z rządem berlińskim. Wynikałoby stąd, iż sprawcy przymierza są to poprostu winowajcy. Wszystko, co na ich obronę umie powiedzieć wyrozumialszy Popiel, sprowadza się do tego, że »nie nawykli do wielkiej polityki, nie odgadli... Wilhelma«. A więc są oni tylko głupcy. Nie ulżyłoby to zresztą w niczem ich odpowiedzialności. Odpowiedzialności depozytaryusza rzeczy prywatnej nasz kodeks cywilny nie ogranicza do owej pospolitej *diligentia in abstracto* przeciętnego człowieka, ani nawet dobrego ojca rodziny; czyni go poczytalnym za najłżejsze uchybienie przeciwko doskonałej *diligentia in concreto*, wymaga pieczy arcystarannej, arcyrozumnej. Nie mogą żadną miarą być mniejsze wymagania kodeksu moralności dziejowej względem depozytaryuszów Rzeczy Publicznej. Nierozum, niedomyślność, niedoświadczenie nie mogłyby w tym wypadku nikogo z niczego tłómaczyć. Ale ostatecznie, o to jeszcze mniejsza. Nie chodzi nam teraz o obronę ludzi, których nie mamy za wielkich statystów ani za niepokalanych, choć napewno nie byli ani kretynami ani przestępcami stanu. Chodzi o rzecz samą, o traktat. Czy rze-

czywiście wtedy, kiedy był zawierany, i tak, jak był zawarty, traktat warszawski był tylko fikcją? czy był nią rzeczywiście w myśli zawierającego rządu pruskiego? Tak twierdzi Sybel i swoje twierdzenie do tego stopnia uprawdopodobnił i upowszechnił, że nawet, jak widać, wprowadził w błąd niepospolitą przenikliwość pisarza *Sejmu czteroletniego*. Sens moralny Syblowskiej tezy jest jasny. Chodzi o wyślizgnięcie się odpowiedzialności pruskiej tą furtką, o zeskamotowanie zobowiązań sprzymierzeńczych w samym zarodku. Jeżeli od początku przymierze było fikcją, w takim razie nie złamano go, bo fikcyjnych, nieistotnych umów się nie łamie. Niechaj sobie przypisze winę strona lekkomyślna, która na tego rodzaju umowie budowała przyszłość. Prosimy zważyć dobrze doniosłość zagadnienia. Prosimy dla niego o całą uwagę czytelnika. Nie wolno zapominać, jakie zagadnienia dalsze i jeszcze donioślejsze, zagadnienia ratunku albo zguby, bytu albo niebytu, bezpośrednio z tem pierwszym są w związku i w bezpośredniej od niego zależności.

Postawmy sprawę jasno. Prusy ofiarują przymierze i umowę celną. Pierwsze dają darmo. Za drugą żądają z góry Torunia i Gdańska. Rzplta rozdziela materye, na sposobniejszą porę odkłada umowę, bez zwłoki przyjmuje przymierze. Co o tem myśleć? Usuńmy przedewszystkiem pretensye Sybla. Jemu, rzecz prosta, zależy wyłącznie na cesyi.

Aleć żadnym sposobem niepodobna zrozumieć, jaką gwarancją od wiarołomstwa jest wypłacenie wiarołomcy z góry nagrody za wiarołomstwo, a raczej zadatku. Gdyż, jak wiemy dzisiaj z matematyczną pewnością, chciano »załatwić się odrazu z Gdańskiem i Toruniem, aby następnie za Galicyę zażądać czego nowego, a dużo więcej«; wiemy mianowicie napewno, że chciano conajmniej województw Kaliskiego i Poznańskiego. Zatem Rzplta postąpiła bardzo roztropnie, że zrzekła się ulg handlowych i nie dała zgody na cesyę. Kalinka oczywiście nie chce słyszeć o cesyi. Jednak surowo gani odłożenie sprawy celnej, gorąco chwali króla, że ją podnosił, że nie chciał rzeczy uchwytniej poświęcić dla cienia. Aleć zawarcie umowy celnej było niemożliwe bez cesyi, było więc niemożliwe naogół. Król dobrze to widział i właśnie dlatego, jedynie dlatego, póki mu starczyło odwagi, trzymał za złączeniem obu materyi: bynajmniej nie w tym celu, aby obiedwie razem przeprowadzić, lecz w tej ukrytej myśli, aby obudwom zapobiedz, aby zapobiedz przymierzu z Prusami przeciw Rosyi. Pozostaje pytanie kardynalne: czy w rzeczy samej to przymierze było cieniem i fikcją? Owóz nasamprzód, co się tycze Rzpltej, — mówimy to z pełną rozważą, z całą dzisiaj dostępną wiedzą tych rzeczy: gdyby najtężsi dzisiejsi statyści w marcu 1790 r. siedzieli w Deputacyi zagranicznej i w sejmie, nie wahaliby się wnieść i potwierdzić traktatu obron-

nego z Prusami, choćby z nieco odmienną redakcją; i nie żywimy najlżejszej wątpliwości, że gdyby tam wtedy siedział Kalinka, tak samo by wnosił i głosował. Niebezpieczeństwo, jakie w tej samej chwili wisiało nad Rzpltą, zbyt było wielkie i naglące, aby wolno było się wahać. Wie o niem Kalinka, który znał część korespondencji Potemkina; ale zupełnie nie zdaje sobie sprawy ani z tego, jak było wielkie ani jak dalece naglące. Co się teraz tycze samych Prus, — i tutaj uderzamy w sam rdzeń Syblowskich wywodów, — sekret traktatu warszawskiego jest sekretem kolumbowego jajka. Od początku nie brano traktatu na seryo w Berlinie, przyznaje z perfidyą Sybel; trzeba było domyślić się tego w Warszawie, przyznaje z dobrą wiarą Kalinka. Nieprawda: sekret jest w tem, że Prusy do sojuszu polskiego przystąpiły najzupełniej naseryo. Ten sekret najprostszy w świecie, rozmyślnie zasłonięty przez historyka pruskiego, odrazu rozwidnia sytuację. Należy tylko nie mieszać wypadków i ludzi, jak to czynią z rozmysłem »Dzieje epoki rewolucyjnej«. Należy pamiętać, że nie ma się tu do czynienia z jednolitą polityką jednego człowieka, jak za czasów Fryderyka II, lecz z konkurencyjną, jak w tym wypadku z potrójną, mieszanych doradców Fryderyka Wilhelma II. A więc najpierw z Hertzberga pospolitą polityką wydrwigrosza. Hertzberg miał jedną *idée fixe*, jeden punkt honoru: nie zarobić, ale okpić i zarobić;

próbował wprzódę wielkiego targu z Wołoszem i Galicyą, potem, gdy ten plan chybił, małego targu z Oczakowem, ale zawsze próbował samą sztuką, bez ryzyka, kręcąc bicz z piasku, nie do-
bywając szpady: ten wojny nie chciał, a więc istotnie nie chciał prawdziwego aliansu. Wszakże była, obok i wbrew ministeryalnej, druga polityka generalicyi, ks. Henryka i samego rycerskiego wielbiciela panny Denhof. Ta polityka chciała wojny za wszelką cenę, potrzebowała sojuszu z Rzpltą, zrobiła, i zupełnie na seryo zrobiła traktat warszawski. Jej to narzędziem, póki prym trzymała u króla, uczynił się Lucchesini. Poseł istotnie liczył na udział w wojnie Rzpltej i nadzwyczajnie przeceniał jej siły. Lucchesiniego można oskarżyć o dosyć rzeczy przed i po zawarciu traktatu; za samo zawarcie nie należy go winić. Margrabia był oszust, to prawda; lecz nie należy przeciw niemu piętrzyć znoszących się wzajem oskarżeń, bo wtedy oszustwo się ulatnia i oszust wychodzi obronną ręką. Owe dwie polityki kolejno zluzowały się w Reichenbachu. Wskazaliśmy wyżej, jak według arcylojalnego Dunckera Reichenbach był moralną wygraną Prus, czemś w rodzaju Ołomuńca nawspak, jak według sprytniejszego Sybla był wprawdzie przegraną, lecz li tylko przez »bezinteresowność« królewską. Prawdziwy stan rzeczy jest aż nadto wyraźny. Król z początku pozwolił targować się Hertzbergowi, gdyż liczył, że tędy dojdzie do zer-

wania; widząc uległość Austryaków, nagle, ku przerażeniu ministra, rzucił im brutalnie warunek *status quo*, jak rękawicę. Było to co do joty powtórzenie prowokacji z 1756 r. Nie ulega wątpliwości, że gdyby w miejscu Fryderyka Wilhelma był Fryderyk II, w miejscu Leopolda Marya Teresa, wojna była nieuchronną. Leopold, Włoch, się uchylił. Po przyjęciu ultimatum pruskiego przez Austryę, nie było pretekstu do wojny. Bez laurów wypadło wrócić do Berlina. Wtedy to występuje z cienia dotychczasowy nieprzyjaciel panny Denhof, przyjaciel Alopeusa i amator koni kozackich, Lucchesiniego szwagier, mistyk, cudotwórca, Brat Farferus Phocus, *vulgo* Bischoffwerder i rozczarowanemu królowi podsuwa nową, trzecią politykę świętego przymierza przeciw burzycielom francuskim, z której wprost wykluwała się najnowsza: podziałowa. Traktat warszawski wobec takich widoków stał się zbyt, zbyt, niedogodnym, kompromitującym. I wtedy, ale wtedy dopiero, uczyniono go fikcją, wyparto się polskiego przymierza, najświadomiej, najhaniebniej je złamano.

Dotarliśmy w tym miejscu do wielkiego punktu zwrotnego dziejów nowożytnych: do wybuchu wojen rewolucyjnych. Tutaj godzi się znowu, choć na krótko, przystanąć z Syblem. Tutaj, trzeba wyznać, on sam siebie przewyższył. Już dotychczas nie przychodziło mu łatwo przywracać śnieżnej czystości dyplomacji pruskiej. Ale odtąd trudności

mnożą się jeszcze i komplikują. Teraz niedość wytłómaczyć przejście Prus od traktatu warszawskiego do berlińskiego; trzeba zaraz z góry wytłómaczyć przejście od berlińskiego do petersburskiego traktatu. Posłuchajmy cudnej bajki Sybla z tysiąca nocy i jednej. Cesarz Leopold, rodak Borgii i Machiawela, po pacyfikacji reichenbachskiej uknuwa ku zgubie Prus plan piekielny. Narzędziem tego planu jest Rzplta polska. Z niej cesarz myśli zrobić potężną, zbrojną monarchię dziedziczną, i potem z nią do spółki zniweczyć Prusy, zgnębić Rosyę. Sprzymierzona katolicka potęga polsko-austryacka, »uderzając równocześnie na Rosyę i Prusy, miała zapanować wszechwładnie od Wittenberga i Drezna aż do Gdańska i Rygi«. Mając takie rzeczy na widoku, cesarz, oczywiście, w duchu nie życzy sobie wojny z Francją. Lecz z szatańską przewrotnością zaczyna od tego, że pod pozorem wojny francuskiej szuka zbliżenia do Prus, ażeby tym sposobem skompromitować je w opinii Polaków. Jednocześnie przez posła swego w Warszawie »czyni wszystko, aby partję patriotyczną skupić, podniecić, skłonić do radykalnej zmiany rządu«. »Pod tym tajnym a nieprzerwanym wpływem cesarza« dochodzi zamach stanu majowy, będący w gruncie rzeczy zamachem Austrii na Prusy. Odtąd, aż do ostatniego tchnienia, przez ostatnie dziewięć miesięcy panowania, Leopold wycęża wszystkie siły, aby utrzymać przy

życiu to dzieło rąk swoich, drogą jego sercu Ustawę majową. Wynikają stąd dwie konsekwencje. Jedna dotyczy stosunku Prus względem Rzpltej. »Okazuje się, że wypadki majowe same przez się, bez formalnego wypowiedzenia traktatu 1790 r., równały się wystąpieniu Polski z obozu pruskiego i przejściu do obozu austriackiego«. Nowa Ustawa, w tajemnicy od Prus i przeciw nim zrobiona, czyniła z Rzpltej zgoła nowe państwo. Z tem nowem, wrogiem państwem nie łączyły Prus żadne zobowiązania; traktat przeszłoroczny był zawarty z dawną Rzpltą, i względem tej, póki jej nie wywrócono, święcie był dochowany. Z tego stanowiska już żadnej nie może być mowy o jakiegokolwiek winie Prus względem Polski. Tem arcydziełem logiki godnie uwieńczył Sybel poprzednią swą argumentację o sojuszu marcowym; wytłómaczył się z gruntu, na wszystkie strony, słowo w słowo jak ów nieborak pozwany o stłuczenie cudzego garnka: »po pierwsze, wcalem go nie brał; powtóre, gdym wziął, już był rozbity; potrzecie, jak oddałem, był zupełnie cały«. Po pierwsze, zgoła nie było przymierza, jeno fikcja; powtóre, złamali je Polacy; potrzecie, dotrzymały go Prusy. A teraz druga konsekwencja, dotycząca stosunku Prus względem Austrii. »Można tutaj wyraźnie wskazać punkt, gdzie Leopold własną ręką zaszczerpił czynnik rozkładowy stosunkom prusko-austriackim,... a tem samem przygotował grunt dla przy-

jaźni prusko-rosyjskiej przeciw Austrii: uczynił to przez fatalny swój system dziedzicznej monarchii sasko-polskiej. Poparcie takiej monarchii przez Austryę pchnęło Prusy w objęcia Rosyi i spowodowało drugi podział«. Skoro cesarz w tym samym czasie, kiedy sprzymierzał się z królem pruskim, naostrzał przeciw niemu morderczą broń w Warszawie, nikt chyba nie będzie winił króla, że w tej samej chwili w Petersburgu zabezpieczał się, szukał tarczy przeciw cesarzowi.

Tak brzmi, mniej więcej, zadziwiająca opowieść Sybla. Mniej więcej, — gdyż z niewyczerpanem bogactwem wyobraźni, z niezwykłą giętkością adwokackiego kunsztu, odmieniał tę opowieść, tę obronę, urozmaicał ją, upiększał, amplifikował albo ścieśniał, w każdym nowem wydaniu głównej książki, w każdej nowej monografii polemicznej o »Leopoldzie II«, o stosunku »Austrii a Niemiec«, »Austrii a Prus«, o »Upadku Polski«. Znaną jest długoletnia, zapalczywa polemika w tym przedmiocie między nim a uczonym, lecz za ciężkim na tak obrotnego przeciwnika, pisarzem »Dziejów Rosyi«. Spór daje się sprowadzić do dwóch głównych punktów: o polską i o francuską politykę Leopolda. Herrmann twierdzi, że cesarz nie przyczynił się bynajmniej do naprawy polskiej, nie wysiłał się dla jej utrzymania; że natomiast rwał się do wojny z Francją, nosił z jakąś wielką polityką konserwatywną, mającą zjednoczyć starą Europę monar-

chiczną, Austryę, Rosyę, Prusy, dla zwalczania hydry rewolucyjnej. Druga teza jest mylną. Leopold wojny francuskiej jak mógł unikał, z braterską pomocą Maryi Antoninie nie spieszył, bo nie wzniośle konserwatywną lecz praktyczną i wyrachowaną była jego polityka, bo bynajmniej nie życzył sobie przywrócenia potężnej Francji monarchicznej, bo przedewszystkiem ze słuszną podejrzliwością, z uzasadnioną obawą oglądał się na Prusy. Jak z tego jednego prawdziwego szczegółu, ze wstrzeźliwości Leopolda wobec Rewolucyi, Sybel wysnuł całą swą bajkę tendencyjną, — to istotnie czyni zaszczyt jego zręczności. Albowiem pierwsza teza Herrmanna jest najzupełnie prawdziwą. Jest prawdziwą w daleko szerszym zakresie, aniżeli on sam przypuszczał. Z przykrością stwierdzamy, że omieszkano przyświadczyć tej prawdzie jakby się godziło; że w tej polskiej sprawie żaden głos polski nie odezwał się jakby należało. Stwierdzamy, że przeciwnie, najpowołańsi przedstawiciele nauki polskiej po raz wtóry dali się uwieść bałamutnej sztuce Sybla. Nieświadom, iż zamiast wywdzięczyć się Austryi, wyrządza jej krzywdę, Kalinka, ściśle idąc za Syblem i Häusserem, przyjmując od nich danajowy podarek spiskowej przyjaźni polsko-austryackiej, nie wątpi, »że ubezpieczenie Polski« było gorącym »pragnieniem« Leopolda, »tak czynnie zajętego nami życzliwego monarchy«. I jeszcze podług prof. Smolki, przewrót

majowy u cesarza »zyskał sobie tyle sympatyj, że w chwili tak stanowczej wytknął nową drogę polityce wiedeńskiego dworu«. Co się nas tycze, przeciw całej wykładni Sybla w tym przedmiocie wyraźnie zakładamy zarzut świadomego fałszu. Przeciwstawiamy jej kategorycznie szereg twierdzeń całkiem innego brzmienia. Twierdzimy, że sojusz prusko-austriacki, sojusz dwóch śmiertelnych nieprzyjaciół, na którym Austria straciła więcej, aniżeli na wojnach szląskich, siedmioletniej i bawarskiej razem wziętych, dokonywa się pierwotnie, w myśl pośredniczącej Anglii, przeciwko Francji i Rosji zarazem. Twierdzimy, że Prusy wyzyskują tę okoliczność, aby najpierw zagnać Austrię w wojnę z Francją, aby potem oderwać ją od Rosji, zerwać przyjaźń austro-rosyjską zawiązaną przez Józefa, wrócić do przyjaźni prusko-rosyjskiej zbudowanej przed trzydziestu laty przez Fryderyka II. Twierdzimy, że w tym celu, jak to uczyniły w 1764 r., jak jeszcze uczynią w 1813, 1866, a nawet 1870, — skutecznie używają denuncyacji i straszydła polskiego. Twierdzimy, że Sybel, który nie mógł nie znać w najdrobniejszych szczegółach korespondencji Goltza, poprostu uprawnił stemplem naukowym i puścił w obieg publiczny fałszywą monetę insynuacji pruskiego posła w Petersburgu. Twierdzimy wreszcie, że alians pruski z sierpnia 1792 r. jest niczem innym, jak wyciekowaną, przygotowywaną oddawna odpowiedzią na

alians austriacki z maja 1781 r., zupełnie tak samo, jak alians pruski z 1764 był odpowiedzią na alians austriacki z 1746 r.

Ale musimy się powstrzymać. Nie piszemy nekrologu starej Europy, tylko jej niesumiennego nekrologisty. Nie możemy myśleć na tem miejscu o rozwinięciu orzeczonych twierdzeń. Nie możemy krok za krokiem postępować za Syblem. Wyrzekamy się tego z żalem. Chcieliśmy go pokazać przy warsztacie, jak jubilerską robotą pojedyncze fałszuje szczegóły. Chcielibyśmy go prezentować, jak przy wielkich okazjach naprzemiany przybiera pozy spotwarzonej cnoty, obrażonej dumy, głębokiego oburzenia, uroczystej powagi, — a nawet, i tu jest najlepszy, serdecznego, miłosiernego społeczcucia. Tak jest, on wolałby litościwie zmilczeć: lecz »jakkolwiek ciężko jest odkrywać nagość umierającego narodu, sprawiedliwość dziejowa nakazuje odsłonić, jakim sposobem ten naród, niegdy znaczny, sam ściągnął zgubę na swoją głowę«. I tutaj litościwy dziejopis zstępuje do kręgów polskiego piekła, — a jest mu Wergilim nikt inny, jeno kawaler Harris, ten sam Malmesbury, którego za jędrny opis Prus i Berlina był poprzednio ogłosił potwarczym Juwenalem. Nie było w Polsce wstydu i obyczajów, nie było ładu i prawa, było jedno wyuzdane barbarzyństwo; bezkarnie gwałcono kobiety, nie używano chustek do nosa, upijano się tokajem; straszliwie wzrosła stopa procen-

towa — i tu jest powołane świadectwo Pradta z 1812 r.; prawmem godłem magnaterii i szlachty — trzeba ocenić to szczęśliwe *coq-à l'âne* Sybla, tłumaczącego słowa *bene nati bene possessionati*, — była uznana zasada, że dobrze urodzonym wszystko wolno: »hochgeboren, hochvermögend«. Wreszcie, »jakkolwiek niemiło mówić o takich rzeczach, ale one dopiero tłumaczą upadek Rzpltej polskiej»: kraj do szpiku kości był zarażony chorobami rozpusty, był w trzech piątych Łazarzem. Jasnym jest, iż na tego gatunku dolegliwość nie mogło być stosowniejszych lekarzy, jak cnotliwi i zdrowi Fryderyk i Fryderyk - Wilhelm, Józef i Leopold, by nie powiedzieć więcej. Chcielibyśmy dobrze pokazać to wszystko, i jeszcze dosyć innych równie drastycznych szczegółów. Bardzo także chcielibyśmy historyka, który fałszywie denuncjuje polską politykę cesarza Leopolda, zestawić z mową pruskiej izby poselskiej 1863 r., który, jeszcze wtedy w opozycji, piętnuje wschodnią politykę pana v. Bismarcka w tej samej historycznej chwili, gdy minister wcielał w życie dosłownie tę samą metodę, jaką w swoim zakresie stosował uczony. »Wzywam rząd do odwrotu, jeśli jeszcze jest czas po temu, — przy oklasku powszechnym izby wołał »liberalny« jej sprawozdawca, — gdyby zaś konwencya miała być nieodwołalną, w takim razie uroczycie protestuję i odrzekam się wszelkiego w niej udziału«. Chcielibyśmy historyka,

dla którego polskie nabytki Prus są tem samem, »czem Delfinat dla Francyi«, zestawić z miodopłynnym korespondentem *Revue des deux mondes*, który dla uspokojenia Francyi Napoleona III, dla upewnienia o bezinteresowności pruskiej, prawie gotów jest wyrzec się owych nabytków. Chcielibyśmy do dna wyczerpać nasze zobowiązania względem Sybla. Z ubolewaniem zrzekamy się tej satysfakcyi. Ale już po tem wszystkiem, co zdążyliśmy powiedzieć, bez dalszych wyłuszczeń łącno obejdzie się czytelnik. Więcej — byłoby zbytkiem.

Jednakowoż, aby nas nie posądzono o zanadto jednostronną wrażliwość, jeszcze gotowiśmy poruszyć w paru słowach jaką sprawę odleglejszą i na niej okazać i sprawdzić ostatecznie metodę naukową Syblowskiego arcydzieła. Wybieramy w tym celu dwa epizody wybitne ze stosunku Prus do Francyi, a mianowicie najpierw do wybuchającej, potem do zwycięskiej Rewolucyi francuskiej.

W dziele pruskiego historyka o »Europie w okresie rewolucyi«, przedewszystkiem chyba należało zupełnie wyczerpać stosunek rządu pruskiego względem pierwszych objawów wielkiego przewrotu we Francyi. Sybel uznał za stosowne o tem jednym zupełnie przemilczeć. W pierwszych wydaniach ani słowem nie pozwala się domyślić, jakie tajne węzły zaraz od początku łączyły dwór berliński z klubami paryskimi. Ale Duncker niedyskretnie przerwał milczenie, wyznał ciemne kno-

wania posła pruskiego w Paryżu z pierwszymi rewolucjonistami, z Pétionem, Barnavem, Lamethami, Brissotem; już w 1789 i 1790 r.; zaś Ranke wskazał dalszy ciąg tych konszachtów w 1791 r. Wydała się w szczególności tajemnicza misja »radcy« Ephraima, żyda wiecznego tułacza dyplomacji berlińskiej, jego działalność agenta prowokacyjnego w Paryżu. Po takich odkryciach musiał Sybel, chcąc nie chcąc, odezwać się o tych sprawach w nowym wydaniu swojej książki. Jego poprzednie milczenie już dawało miarę sumiennosci naukowej historyka; wymuszone odezwanie się skompromitowało ją do reszty. A więc, »oskarżenia, podniesione z powodu podróży Ephraima, są pozbawione wszelkiej podstawy«. Rzecz była całkiem niewinna. Poprostu, ku końcowi 1790 r., po zgodzie z Austryą, obawiano się w Berlinie wojny z Rosją. Chciano na ten wypadek zabezpieczyć się od Francji, aby zniemacka nie dostać się między dwa ognie. Poseł w Paryżu, osoba urzędowa, mógł rokować tylko z rządem, z ministrem Montmorinem. Ale wobec krytycznego położenia we Francji w każdej chwili mogły stanąć u steru żywioły czysto rewolucyjne. Trzeba było tedy na wszelki przypadek utrzymać również przywódców klubowych w pokojowym usposobieniu dla Prus. W tej jedynie myśli, w interesie li tylko własnego bezpieczeństwa, a zupełnie niezależnie od Fryderyka Wilhelma, który oczywiście całą duszą spółczuwał

i rad był pomódz swemu biednemu »bratu« Ludwikowi, gabinet berliński wyprawił do Paryża owego poczciwego Ephraima. Tak opowiada Sybel. W tem istotnie nie byłoby kryminału. Ale tu właśnie sęk, że kryminał był, bo było zgoła inaczej. Jak było, — wiemy dziś jaknajdokładniej z najwiarogodniejszych źródeł urzędowych francuskich. Okazuje się stąd ni mniej ni więcej, jak tylko: że Ephraim działał bezpośrednio za wiedzą i z upoważnienia Fryderyka Wilhelma i Bischoffwerdera; że w klubach paryskich rozdawał znaczne sumy, podniecał nienawiść do dworu a zwłaszcza do »Austriaczki« Maryi Antoniny, i podburzał do wojny z Austryą; że nie ograniczał się bynajmniej do stosunków z demagogią, lecz, jako agent królewski, wprowadzony przez posła pruskiego do Montmorina, samemu ministrowi obiecywał przymerze pruskie, zachęcał do zerwania z cesarzem; że jednocześnie w Berlinie poseł francuski Moustier, — niedopuszczany wtedy wcale do osoby królewskiej, umyślnie traktowany z ostentacyjną niechęcią, ze względu na Austryę, z którą wtedy układano się o sojusz, — w największym sekrecie przez samą panią Ephraimową wprowadzony został na audyencyę do króla; że na tej audyencyi Fryderyk Wilhelm we własnej osobie ciągnął za język i prowokował francuskiego posła w tej samej chwili, kiedy w Paryżu akurat to samo robił Ephraim z francuskim ministrem; że cel tych machinacyi

był podwójny: pod groźbą zbliżenia się Francji do Prus wytargować lepsze warunki aliansu austriackiego, oraz obezwładnić Austryę przez wojnę francuską. Nie dodajemy nic więcej; prosimy tylko ten kryminalny, wyszukany szantaż porównać z siełką ofiarowaną przez Sybla i wyciągnąć stąd morał.

Drugi epizod jest jeszcze dużo ciekawszy i rozleglejszy: nazywa się pokój w Bazylei. Jak mogło dojść do tego, że monarchiczne Prusy, sprzymierzone z Austryą i Rosyą w obronie granic niemieckich i starej Europy, naraz, w krytycznej chwili, zawierają pokój ze zwycięską, przekraczającą Ren, Rzpltą królobójców? Dla obrony polityki pruskiej Sybel i tym razem, ściśle tym samym podstępem szermierskim, jaki już kilkakrotnie wytknęliśmy, przerzuca się do gwałtownego natarcia na politykę austriacką. Oto, podług niego, przebieg wypadków. Po sojuszu prusko-rosyjskim i drugim podziale, obejmuje władzę w Wiedniu Thugut, wychowaniec Maryi Teresy, nieubłagany wróg Prus. Od tej chwili on wszystkiemu winien. »Temu człowiekowi zawdzięcza Francya swoje zwycięstwa, Austrya swoje położenie dzisiejsze«. Na nim skrupiają się wszystkie grzechy austriackie od dwóch wieków, on jest kozłem ofiarnym nie tylko za Seckendorffa i Kaunitza, lecz oraz za Metternicha i Beusta. On przy pomocy posła w Petersburgu, Cobenzla, natychmiast podkopuje przyjaźń prusko-rosyjską, poszukuje za nią dypl-

matycznego odwetu. On rozmyślnie, wbrew Lacy'emu i uczciwym doradcom wojskowym cesarza Franciszka, paraliżuje działania wojenne przeciw Francyi. Czyni to pod pozorem zupełnie bezzasadnych obaw, które jakoby żywi z powodu Prus. »Z Prusami pierś przy piersi stając naprzeciw Francyi, Thugut pragnie się zabezpieczyć od zdradzieckiego pchnięcia w plecy sztyletem przez sprzymierzeńca pruskiego. Taka myśl musiała sparaliżować śmiertelnie całą kampanię francuską. Ta zhora, to samobójcze a zupełnie bezpodstawne podejrzenie... było jedynie odbłaskiem własnych niecznych czynów: Thugut królowi pruskiemu przypisywał takie zamysły, jakie sam urzeczywistniał nad Newą«. Prusacy uczynili wszystko co do nich należało, a nawet wiele więcej. Z końcem 1793 r. zgromadzili potężne siły nad Renem, i przez Lucchesiniego, wtedy posła w Wiedniu, ofiarowali się w miejsce korpusu posiłkowego dwudziestu kilku tysięcy ludzi, do czego ich zobowiązywało przymerze berlińskie i ustawa Rzeszy, wystawić sto tysięczną armię przeciw Francuzom. Bezinteresownej ofiary nie przyjął podejrzliwy Thugut. Wtem spadły, jak grom, wypadki polskie 1794 r. Lucchesini i najbliższy wówczas doradca królewski, Manstein, zaklinają Fryderyka Wilhelma, aby z nad Renu, gdzie jest wzgardzony przez cesarza, przeniósł się nad Wisłę, dokąd go wzywają najżywotniejsze interesy własnego państwa. Król opiera się, z obu-

rzeniem odpycha tę propozycję, »nareszcie, z westchnieniem (*sic*) ulega argumentom swego adjutanta«. Tymczasem Austriacy, zamiast osłaniać oddaną ich pieczy świętą ziemię Rzeszy, wiedzeni wyłącznie złą wolą względem Prus, zazdrosną chciwością na wschodnie, obcoplemienne, słowiańskie nabytki, już w maju »na wielkiej radzie wojennej wszystkich generałów, pod prezydencją cesarza« postanawiają dobrowolnie wydać Francuzom Belgię i zbierają natomiast »znaczne siły wojskowe« na granicy galicyjskiej. Zarazem, za pośrednictwem posła tokańskiego w Paryżu, Carlettego, już od listopada prowadzą pocichu układy pokojowe z Komitetem Ocalenia Publicznego. W takim położeniu feldmarszałek pruski Moellendorf, będąc z szczupłym swoim korpusem posiłkowym nad Renem całkiem w ręku Austryaków, nie ma innego wyjścia, jak dla własnego bezpieczeństwa rozpocząć układy z Francuzami. Wreszcie, wiadomość o sojuszu austro-rosyjskim, zawartym w styczniu 1795 r. w Petersburgu a zwróconym wprost przeciw Prusom, ostatecznie zmusza Fryderyka Wilhelma pomyśleć o własnym ratunku i »stanowi rzeczywisty powód (*thatsächliche Veranlassung*) zawarcia pokoju bazylejskiego między Prusami a Francją«.

Mieliśmy cierpliwość wiernie wyłożyć całą wersję Sybla. I znów musimy powtórzyć monotonne już oświadczenie, iż jest ona od początku do końca

zbieraniną jawnych, świadomych fałszów. Nie możemy wejść w szczegóły niezwykle obszernej polemiki, jaka z tego znów powodu toczyła się między Syblem a obrońcami Austrii, — tembardziej, że przeciw niejednej opinii tych ostatnich mamy swoje zastrzeżenia. Dalecy jesteśmy od mniemania entuzyasty Vivenota, jakoby »lata od 1792 do 1809 r. stanowiły najzaszczytniejszą erę dziejów austriackich«; jak również nie sądzimy bynajmniej, aby Thugut był »filozofem«, »bohaterem starożytnej Grecyi, borykającym się z nieubłaganem przeznaczeniem«. Nie mamy żadnych powodów rozczulać się nad Thugutem: ani nad dyrektorem generalnym spraw zagranicznych w Wiedniu, ani nad wcześniejszym agentem w Stambule i Warszawie. To był człowiek dużej wytrwałości, sprytu i doświadczenia; lecz był sprzedajny, był w dawnym stylu smakosz dyplomacyi, całkowicie był zamknięty w zaczarowanym kole niskiej, zatrutej, dotkniętej zgorzelą starczą racyi stanu umierającego stulecia. I wytrawny, imponujący, pewny siebie baron Thugut, i jego pomocnik, poseł Cobenzl, wyniszczony wymoczek, cały z dowcipu i nerwów, biały jak kreda arlekin, skurczą się i struchleją niebawem, kiedy odezwie się silny głos wielkiego człowieka, kiedy do tych epigonów zgrzybiałej Europy przemówi gromowładny pan nowej, młody generał Bonaparte. Ale w porównaniu z dyplomacją pruską, z tamtą szarlatanią,

zgodniałą, tchórzliwą hałastrą Mansteinów, Haugwitzów, Lucchesinich, Thugut niezawodnie był i mądry, i dzielny i uczciwy. Obok zupełnej aprobaty, jakiej tamtym udziela Sybel, wszystko, co on mówi o ministrze austriackim, staje się oburzającą, niegodną potwarzą. Thugut naprawdę obawiał się Prus. Miał zupełną rację. Miał rację, że w miejsce umówionych posiłków nie przyjął zdradzieckiej ofiary stutysięcznej armii od Fryderyka Wilhelma II, który ją myślał obrócić nie dla obrony Renu od Konwencji, lecz dla zajęcia biskupstw nadreńskich i dla podyktowania praw Franciszkowi II; zupełnie tak samo, jak przed sześćdziesięciu laty miał rację Ulfeld, że w miejsce umówionych posiłków nie przyjął zdradzieckiej ofiary stutysięcznej armii od Fryderyka Wilhelma I, który ją myślał obrócić nie dla obrony Renu od Fleurego, lecz dla zajęcia Juliaki i Bergu i dla podyktowania praw Karolowi VI. Zaiste, najbliższa przeszłość dość wymownie świadczyła, iż od pruskiego sprzymierzeńca należy oczekiwać wszystkiego, nawet »pchnięcia w plecy sztyletem« w obliczu nieprzyjaciela. Czyliż brakło precedensów? Czyliż tak samo w obliczu nieprzyjaciela nie zdradziły Prusy, nie wydały na rzeź, innych swych sprzymierzeńców, Sasów w pierwszej wojnie szląskiej, Francuzów w pierwszej i drugiej? Czemuż Fryderyk Wilhelm II miałby lepiej obejść się z Coburgiem, niż Fryderyk II obszedł się z Rutow-

skim i Belleisleem? Nie był to zresztą wyłącznie pogląd Thuguta, zaślepionego jakoby chorobliwą dla Prus nienawiścią. Sybel przeciw niemu przywodzi z drugiej ręki świadectwo Lacy'ego, bo wie, że feldmarszałek był osobistym wrogiem ministra: sfalszowane świadectwo, gdyż, jak wykazał Zeissberg z oryginalnych raportów Lacy'ego do cesarza, feldmarszałek, zupełnie niewtajemniczony w politykę ministra, tak samo przecież, jak on, doradzał nie posyłać wszystkich wojsk nad Ren, nie ogołacać Czech i Moraw, wystrzegać się pruskiej napaści. Podobnie jest fałszem wszystko, co mówi Sybel o dobrowolnem wydaniu Belgii, gdyż dziś wyjaśnionem zostało niezbitie, że wojska austriackie wycofały się nie dobrowolnie, lecz z musu, pod groźbą francuskiego oręża. Fałszem są wszystkie szczegóły, podane o »wielkiej radzie wojennej« 24 maja 1794 r., gdzie jakoby powzięto tak zbrodniczą i ważną uchwałę, gdyż cała ta wiadomość jest kaczką, zaczerpniętą przez historyka szkoły Rankowskiej z takiego źródła, jak wydany ćwierć wieku później kłamliwy pamflet kłamliwego księdza Pradta. Fałszem są te szczegóły już dla tej prostej przyczyny, że ostatnio z archiwów austriackich dowiedziono niewątpliwie, iż owa osławiona rada, »pod prezydencją cesarza«, nigdy i nigdzie nie miała miejsca. Fałszem jest, jakoby Austriacy, ogołacając granice Renu, skupiali swoje siły na granicy galicyjskiej, gdyż wiemy obecnie dokładnie,

że mieli tam wtedy ogółem niespełna dziesięć tysięcy ludzi. Fałszem jest, jakoby Austria rokowała w tym czasie sekretnie o pokój z Francją, gdyż z najnowszych źródeł francuskich okazuje się na pewno, iż absolutnie żadnych tego rodzaju rokowań nie wszczynała. Fałszem najzupełniejszym jest mniemana negocyacya Carlettego; nie ulega to dzisiaj tak samo wątpliwości, jak ten paradny szczegół, — wiadomy zresztą oddawna już z korespondencyi Merlina, którą mógł i musiał znać Sybel, — że autorem tego fałszu jest nikt inny, tylko sprawca pokoju bazylejskiego, Prusak Hardenberg, który zaraz podówczas, jak później Sybel, potwarzem oskarżeniem pragnął zdyskredytować Austryę i własne dzieło tłómaczyć. A teraz druga strona medalu: po austriackiej zbrodni, cnota pruska. Jeszcze przed wielu laty świadek naoczny, świadek pruski, oficer sztabowy pruskiej armii nadreńskiej, ujawnił niesłychane szczegóły o zbrodniczem postępowaniu Moellendorfa: »ja wiem wiele rzeczy, — tak zamykał niefortunny Massenbach swoje nieprawdopodobne rewelacye, które ciężkiem odpokutował więzieniem, — ale nie wszystko. Czas dopiero podniesie zasłonę z tego dzieła ciemności«. Czas to uczynił. Wiemy dzisiaj z całą pożądaną dokładnością, co robił w 1794 roku nad Renem ten austriacki »sprzymierzeniec«, feldmarszałek Moellendorf, stary żołdak brutalny i przebiegły, były paż i generał Fryderyka II, osiwiwały

w zdradach, który pamiętał schnellendorfską konwencyę i odwrót z Moraw w 1742 r., a obecnie, od lipca, potajemnie porozumiewa się z dowódcą nieprzyjacielskiej armii francuskiej, generałem Michaud, zawiadamia go o planach układanych w »sprzymierzonym« sztabie, o każdym zamiarze, każdym ruchu Austryaków, sam ze swoim korpusem manewrując na ich szkodę, usuwając się w chwili akcji od umówionych wspólnych z nimi działań, sprzedając otwierając drogę kolumnom nieprzyjacielskim, — zaś pośrodku naraz zmienia niekiedy taktykę, zniemacka naciera na Francuzów, i tłómaczy się potem przed Michaudem, bądź że była to wina któregoś z niedomyślnych podkomendnych, bądź że nie było innej rady dla zachowania pozorów. Wszystkiego nie wiemy i dzisiaj jeszcze: to znaczy, jeśli wiemy dokładnie, że i jak oszukiwano Austryaków, nie wiemy napewno, jak dalece oszukiwano Francuzów. Tyle wiemy w każdym razie, że ten sędziwy feldmarszałek był zdrajcą na placu boju. Ale Moellendorf nie był sam jeden. Obok tego Fryderykowego wychowanka wyłaniają się w tej samej chwili inne, dobrze znane, staroświeckie figury Fryderykowej epoki, ks. Henryk, Hertzberg, starzy ludzie, którzy stoją już nad grobem a którzy jeszcze po raz ostatni pragną koniecznie sami dotknąć się nowych czasów, wlać w nie ostatnie tchnienie swojego ducha i swoich tradycji, i swoim błogosławieństwem przedśmiertnem uświęcić

arcydzieło podstępu i zdrady młodszego pokolenia, traktat pokoju bazylejskiego. Znowu trzeba wyrzec się z żalem bliższego rozbioru tak zajmujących szczegółów, na które w ostatnich czasach tyle jaskrawego światła rzuciły nowe źródła austriackie i francuskie. Jeden tylko w tej sprawie znakomity fałsz Sybla piętnujemy jeszcze na zamknięcie. O zawarciu przymierza austro-rosyjskiego najlżejszego pojęcia, aż do samego końca, nie miano w Berlinie; dowiedziano się tu o niem z największym przestraszaniem i zdumieniem dopiero w sierpniu 1795 r. To jest obecnie pewnikiem. Z tego pewnika wynika inny: że fałszem jest tłumaczyć zbliżenie Prus do Francji — faktycznie rozpoczęte od września 1793 r., zamienione w zdradę namacalną od lipca 1794 r., ubite ostatecznie na traktacie pokojowym z kwietnia 1795 r. — przez wypadek, który zaszedł w styczniu a doszedł wiadomości Prus w sierpniu 1795 r. Na tym fałszu kapitalnym żegnamy ostatecznie tę kopalnię fałszów, »Dzieje epoki rewolucyjnej«, gdzie już pewnie zatrzymaliśmy się za długo, gdzie już nam za ciemno i za duszno, skąd już radzibyśmy wydostać się na powietrze i na światło.

Radzibyśmy zarazem pożegnać samego Sybla. Ograniczamy się prostym napomknięciem o dwóch pozostałych wielkich pomnikach jego działalności, nad którymi pracował aż do końca życia. Jednym jest jego »Czasopismo historyczne«. Kiedy je za-

kładał przed czterdziestu kilku laty, obrał hasłem nie czystą dążność do czystej i pełnej prawdy, jak brzmi piękne godło *Revue historique* francuskiej, lecz ustalenie »sądu politycznego«, walkę z »feudalizmem, radykalizmem, ultramontanizmem«. Odtąd uczynił swoją *Historische Zeitschrift* ogniskiem historyografii niemieckiej, poniekąd nawet powszechnej, ale także narzędziem swoich osobistych poglądów politycznych; i w siedmdziesięciu pięciu tomach tego wydawnictwa, obok ogromu nieocenionych dla nauki przyczynków, zebrał również moc trującej śniedzi uprzedzenia i nienawiści. Drugim, niedokończonym pomnikiem jest »Założenie cesarstwa niemieckiego«. Znane są początki i przygody tej książki. Przed piętnastu laty do napisania jej wezwał Sybla ks. Bismarck, i przed dyrektorem Tajnego Archiwum otworzył tajniejsze archiwa ministeryów. Pisarz się odwdzieczył. Dotychczas ograniczał się w swych dziełach do apologii Prus. Obecnie zajął się apoteozą jednego Prusaka. Z upadkiem mecenasa, tajniki ministeryalne zamknęły się przed jego chwalcą. Dowód nieufności, wśród takich warunków dany pisarzowi rządowemu przez rząd własny, dostatecznym jest ostrzeżeniem dla czytelnika. Istotnie, i nie tylko z tego jednego względu, ostatnie wielkie dzieło Sybla jest jeszcze niebezpieczniejsze od poprzednich. Jest więcej podejrzane, bo mniej ulegające kontroli. Jest bardziej zwodnicze, bo pisane z większą pogodą przedsta-

wiciela sprawy zupełnie zwycięskiej, większem wyrachowaniem kanclerskiego zausznika, większą wstrzeźliwością późnego wieku. Jest łaskawsze dla Austrii, bo już uczestniczki trójprzymierza. Tem jest surowsze dla Francji, bo ciągle nieprzebłaganej a zbrojnej. Tego rodzaju pobudki ściśle polityczne, lepiej schowane niż dawniej a tak samo zdradliwe, przeświecają bezustanku, aż do ostatniego wiersza tej ostatniej książki Sybla. Jeden przykład niechaj starczy za inne. W najpóźniejszym ułamku pisanym przed samą śmiercią Sybel najniespodzianiej występuje w roli rycerza Napoleona III i Eugenii. Jednak w swoim czasie, za gościnność okazaną niegdyś w Paryżu drugiego cesarstwa badaczowi dziejów rewolucji, był odpłacił się cesarzowi nielitościwym nekrologiem. Wtedy, krótko po pokoju frankfurckim, całą winę zwał na ideę Napoleońską, na imperyalizm, na parę cesarską. Teraz całkiem rozgrzesza oboje: oni nie chcieli wojny, chciał jej naród francuski. Skąd taka zmiana frontu? Owóż, chodzi dziś o to, ażeby wytłómaczyć, dlaczego z taką zawziętością prowadzono dalej wojnę po upadku cesarstwa, dlaczego ostrzeliwano Paryż, dlaczego oprócz Strasburga zabrano i Metz, dopominano się Belfortu; chodzi o obwinienie Rzpltej, narodu, Francji; chodzi o przyszłą wojnę. To już całkiem przestaje być pisaniem historii, to jest po prostu robieniem najzwyczajszej, codziennej polityki. Do takiego końco-

wego akordu dostraja się całość tej epopei nowych pruskich Niemiec.

Ale doprawdy, mamy tego dosyć. Dosyć tego Syblowskiego dziejopisarstwa, po którym chodzi się jak po lesie, gdzie broni z ręki wypuścić niewolno, gdzie co krok grożą żelaza i wilcze doły, gdzie nie zbłąkać się prawie niepodobna. Dosić naszej niewdzięcznej roboty ostrzegawczej, śledczej, oskarżycielskiej. Nie mamy żadnego obowiązku przeciągać jej dłużej. To jedno, cośmy okazali szczegółowiej z powodu »Dziejów Europy w okresie rewolucyjnym«, powinno w zupełności wystarczyć. Pomyśleć tylko: tamten przedmiot taki był wielki. Pomyśleć: tam tak koniecznie, tak łatwo było strząsnąć małostkowe względy i wstręty własnej sprawy, mizerne wyrachowania i widoki bieżącej doby, a wznieść się do najczystszych wyżyn wszechdziejowego poglądu, w obliczu tamtej grozy prześcigających się wielkich wypadków, ściśniętych, jak nigdy przedtem, w nikłej piędzi czasu, przepętniających krótkie chwile, wylewających się za krawędzie Okresu Rewolucyi. Najprzenikliwsze spojrzenie badacza szukającego samej prawdy, najjaśniejsze światło pamiątek zawierających samą prawdę, jeszcze starczyłoby za ledwie, aby przebić, rozświecić ten mroczny, skupiony chaos; najżywsza wyobraźnia, najwszechstronniejsza wrażliwość, jeszcze za ledwie byłaby zdolną odczuć, odtworzyć ten krótkotrwały bezmiar porywów i zawodów,

podniosłości i ohydy, zbrodni i odkupienia. Zaiste, odkąd zapadł się świat starożytny, nigdy ludzkość nie żyła tak szybko i tak wiele, ani tylu nie przechodziła agonii; nigdy nowa era, nowy porządek rzeczy nie przychodził z taką gwałtownością orkanu, zwiastowany naraz i zewsząd takim hukiem walących się urzędów, państw i narodów. Zaiste, za starym Langobardem mógłby tutaj wyrzec nowożytny dziejopis, iż tragika raczej aniżeli historyka wymagają te czasy: *temporis qualitas tragœdum potius quam historiographum quaereret, iuvatque potius lugere quam scribere*. I oto tego wielkiego i strasznego przedmiotu ima się pisarz dużej miary, niepowszedniego talentu; lecz nie z duchem historycznym ani tragicznym, — z popolitą intencją pieniacką, jak strona interesowana do grubego procesu, jak wierzyciel upominający się o należność, jak dłużnik wypierający się długu, przystępuje, aby certować się, ukrywać, mącić, zmylić i wyjść z zyskiem. Nie, nie mamy obowiązku poza tym jednym argumentem *a fortiori*, poza tą jedną książką Sybla, która go ostatecznie potępia, jeszcze w pozostałych jego pismach, gdzie nie zatrzymaliśmy się dłużej, doszukiwać się szczególniejszych motywów dla pośmiertnego o nim sądu. Zresztą, nigdzie nie znaleźlibyśmy chociażby okoliczności łagodzących. W całej długiej działalności Sybla, jak ją zdążyliśmy przebiec z czytelnikiem, niema ani jednego momentu, gdzieby mo-

zna wypocząć. Taki Ranke przynajmniej za młodu był trawiony niepokojem, szukał duszy ludzi i ludów; potem, gdy znalazł wysokie dygnitarstwa i zaszczyty, przestał szukać; lecz jeszcze później, na starość, nawrócił do punktu wyjścia, od Korespondencji Fryderyka Wilhelma IV nawrócił do zarania *Dziejów Powszechnych*: on pełne koło okrążył. W Syblu jest od początku trzeźwa inteligencja politycznego działacza, która, ciągle i wszędzie obecna, w prostej linii prowadzi u kresu do założenia Niemiec dzisiejszych. Próbowano tę właśnie okoliczność wyzyskać na jego obronę: on był nowoczesnym dziejopisem-politykiem, a więc nie można do niego przykładać tej samej miary, co do bezstronnego historyka-erudyta. Obrona nie warta. Wygnaniec Tucydydes, pretor Tacyt, poseł Macchiavelli, mówca Macaulay, prezydent Thiers, byli politykami. Lecz niepodobna wyrządzić im tej krzywdy, aby postawić ich w jednym rzędzie z Syblem. Nasamprzód, oni, bądź co bądź, miłowali prawdę. A potem, jeśli kiedykolwiek mimowolnie od niej odbiegli, to dlatego, że bardzo miłowali inne rzeczy wspaniałe i piękne: Grecyę, Rzym, Włochy, wolność Anglii, sławę Francyi. Dorobek naukowy Sybla pełen jest fałszu, który dostał się tam świadomie i dostał przez nienawiść. Bo i cóż on miałby umiłować? Fryderyka albo którego z Fryderyków Wilhelmów, Haugwitza albo Hardenberga, Gerlacha albo ks. Bismarcka? pokój wro-

clawski czy bazylejski, podziały czy konwencję w Tawrogach, konflikt budżetowy czy depeszę emską? Gdyż to jest kłutwą rzeczy, gwałcących moralność dziejową, że można z nich korzystać do syta, można ich bronić zapamiętale, ale ukochać ich niema sposobu. Z którejkolwiek strony rozważyć, sąd ostateczny o Syblu musi wypaść bardzo surowo. Nie trzeba chyba się zastrzegać, że dotyczy wyłącznie pisarza. Człowiek prywatny podobno był przykładnego życia, nauczyciel doskonały, urzędnik wzorowy i uczynny. Powiemy więcej, — i chętnie na tem miejscu spłacamy osobisty dług wdzięczności, — sami doświadczyliśmy względów dyrektora Archiwum. Ale tutaj nie chodzi o człowieka ani o jego urzędy publiczne. Chodzi o znaczną siłę duchową, która była szkodliwą, tem szkodliwszą, że była znaczną; chodzi o »święty urząd dziejopisa«, który został poniżony. Sybel, niepospolity Niemiec, miał wszelkie dane po temu, aby zostać wielkim historykiem wielkiego narodu. Jest to godność, nad którą nie masz dostojniejszej. Spuścizna takiego historyka jest, jak sól ziemi, użyteczności niezbędnej a powszechnej, jest niezniszczalnym, nieoszacowanym nabytkiem w powszechnym skarbcu kultury ogółu narodów. Sybel wolał zostać małym historykiem Prus, jednego pruskiego stronnictwa. Jego dziejopisarska spuścizna, obszerna, obfita, różnorodna, jest bez istotnej wartości i pożytku, i nieinaczej jak sól zwietrzała, będzie wyrzucona i podeptana od ludzi

Albert Sorel.

Temi dniami *Journal Officiel* paryski przyniósł wiadomość, że p. Albert Sorel, sekretarz generalny przy prezydium Senatu francuskiego, za wystugą lat opuszcza swoje stanowisko urzędowe. P. Sorel kończy obecnie 60 lat życia, spędzonego przeszło w połowie na służbie publicznej swego kraju: słusznie tedy należał mu się wypoczynek. Wszakże dla niego wypoczynek służbowy najniezawodniej nie będzie niczem innym, tylko nową pobudką do tem żywszej pracy naukowej. Gdyż p. Sorel jest czemś więcej, niż emerytowanym dygnitarzem: jest przede wszystkim znakomitym uczonym w pełni talentu i twórczości. Daleko jaśniej, niż w Senacie, świeci jego nazwisko w najcelniejszych korporacyach naukowych Europy, zarówno w Akademii nauk moralnych i politycznych w Paryżu, jak i w Akademiach Berlina albo Getyngi. Jest on oczywiście *de l'Académie française*. A jest także członkiem naszej Akademii krakowskiej. Nie stało się to przypadkiem. Wszechstronny a bez-

stronny historyk europejskich dziejów politycznych doby nowożytnej, p. Sorel przez zakres swoich badań wszedł w bezpośrednie zetknięcie z nowoczesną historią polską, przez rodzaj zaś tych badań zasłużył sobie od niej na najżywszą wdzięczność. Zajmował się on nami często i dużo, a zajmował w rzetelnym sposobie i sympatycznej intencji naukowej. Mamy dług podwójny względem tego wybitnego badacza i zacnego człowieka. To też skwapliwie korzystamy z niniejszej sposobności, aby z tego długu się wywiązać i w chwili, kiedy p. Sorel, opuszczając widownię publiczną, odbiera zaszczytne oznaki uznania od swoich rodaków, przyłączyć się ze skromnym, lecz serdecznym akcesem naszym.

P. Sorel jest historykiem dużej miary, dziś jedynym z najpierwszych nietylko we Francji, lecz w Europie. Jest historykiem w pełnym pojęciu słowa, to znaczy, w jedynie zdrowym, potrójnem a najściślej zespolonem pojęciu: naukowem, pisarskiem i obywatelskiem. Z takiego dopiero doskonałego zespołu wyrasta ów piękny owoc, jeden z najdojrzałszych, najwyborniejszych, jakie wydaje humanistyczne drzewo poznania: historia prawdziwa. Nie często też zjawia się ona w tej przyrodzonej, właściwej swojej postaci. Najczęściej na jej miejsce wdzierają się mniej lub więcej samozwańcze wytwory pośledniego gatunku, poczęte z okaleczonych, zwyrodniałych ułomków tamtego

całkowitego, łącznego pojęcia, a więc bądź z rzeźmiślniczej pedanteryi, bądź z płaskiego dyletanizmu, bądź z wyrachowanej tendencji. Roi się też dzisiaj od rozlicznego gatunku pseudo-historyków, podszywających się mniej lub więcej dowolnie i nieprawnie pod wielkie imię i godność dziejopisów. Roi się ta pseudo-histeryczna rzesza od usługowych działaczy politycznych, których czytać niezdrowo, od tanich felietonistów, których czytać nie warto, albo wreszcie, bodaj najgęściej, od sztywnych i zarozumiałych a ciasnych i bezpłodnych erudycyjnych zawodowców, których czytać zgoła niepodobna. Tem rzadszy, tem szanowniejszy prawdziwy przedstawiciel prawdziwej historii. Takim jest p. Sorel. Jednoczy on surową gruntowność badania, wytworną sztukę pisarską, niezawisłe zdanie moralno-dziejowe. Przemawia on, jak na prawdziwego historyka przystało, nietylko do zamkniętego cechu specjalistów, lecz do całego ukształconego ogółu. A nawet, jak rzekliśmy, nietylko do francuskiego, lecz do europejskiego ogółu. W rzeczy samej, poczytne jego prace rozchodzą się daleko poza granicami Francyi. Ukazują się także w licznych obcych przekładach. Główne, wielotomowe jego dzieło oddawna jest tłómaczone nawet na język rosyjski. Jednakowoż możnaby mniemać, że znakomity uczony francuski, ceniony i tłómaczony aż w Rosyi, aż w Ameryce, u nas natomiast miał dotychczas mniej jakoś szczęścia.

Jego szacowne pisma, najpilniej i najzaszczytniej wyróżniane przez krytykę niemiecką albo angielską, prawie zupełnie bywały pomijane przez polską. Ze wszystkich tych pism dotychczas żadne, literalnie żadne, nie zostało przyswojone piśmiennictwu polskiemu. Stało się to wprawdzie napewno nie z winy jakiegoś uprzedzenia, lecz poprostu skutkiem dość zwykłej u nas opieszałości. Z tem większą przeto przyjemnością przychodzi nam stwierdzić obecnie, że to zaniedbanie choć po części zostało naprawione. Jedna z pierwszych, a dla nas najciekawsza praca p. Sorela, traktująca mianowicie o rzeczach ściśle polskich, została narreszcie uprzystępniona szerszej publiczności polskiej. Grono najmłodszych historyków naszych dokonało niniejszego przekładu pięknej jego książki o pierwszym podziale Rzpltej*). Młodym tłumaczom przewodniczyła myśl uczczenia właśnie 60-ej rocznicy urodzin sędziwego uczonego francuskiego, myśl ze wszech miar stosowna wyrażenia mu w ten sposób swego wysokiego szacunku i wdzięcznego uznania.

Jak zaznaczyliśmy od pierwszego słowa, należy się w rzeczy samej jedno i drugie p. Sorelowi dla dwóch mianowicie powodów. Naprzód jest on je-

*) Albert Sorel: *»Sprawa wschodnia w XVIII w. Pierwszy podział Polski i traktat kairadżyjski«* (przeł. z upoważ. autora słuchacze uniwers. lwowskiego).

dnym z bardzo nielicznych dziś uczonych zagranicznych, którym wypadło zaprzętać się bliżej rzeczami polskimi i to najdotkliwszą dobą — upadku Polski. Powtóre, jest on jednym z najmniej dziś licznych, zgoła wyjątkowych, którzy do badania tych rzeczy przynosili sprawiedliwość i wynosili stąd współczucie. Jest z doborowej a tak mocno przetrzebionej garstki naszych przyjaciół. Oczywiście, przyjaciół naukowych, gdyż o innych obecnie wcale nie może być mowy. Jest to jednak, sądziłibyśmy, przyjaźń nader drogocenna. Miewaliśmy dawniej nieraz inne przyjaźnie zagraniczne, oparte na sentymencie, to znaczy na łasce chwili. Nie wytrzymały one próby. Łaska wielkich narodów, jak i wielkich panów, na pstrym jeździ koniu. Ale miewaliśmy także i dawniej, i właśnie we Francji, poważnych, naukowych przyjaciół, których nam nie dał przelotny sentyment, lecz dała dojrziała rozważa. Takim był historyk Rulhière. Znał on dobrze Polskę i Polaków, znał dobrze wady i wady społecznych naszych stosunków i państwowego naszego ustroju, znał je z osobistego wśród nas pobytu i obserwacji, z wieloletnich oraz doświadczeń w zakresie dziejów naszych. Jednak mimo to wszystko całą siłą przekonania i talentu przywiązał się do straconej sprawy upadającej Rzpltej. Owóż, bystry agent Choiseula, sceptyczny pisarz *Anarchii polskiej*, oczywiście w swoich sympatiach polskich nie powodował się żadnym czuło-

stkowem zaślepieniem, lecz jedynie wyczerpującą znajomością rzeczy i sprawiedliwą rzeczy oceną. Takim znowu z kolei, w pokoleniu następnem, był historyk Bignon. I ten znał nas doskonale, przez lata całe w Warszawie i Wilnie zbliżka na nas patrzył, przysłany tutaj nie po to, aby bratać się i głaskać, lecz aby pilnować, trzymać w karbach i na wodzy. Jednak i on, mimo wszystko, na całe życie odtąd przywiązał się do sprawy zniweczonego Księstwa Warszawskiego i odrodzonego Królestwa Polskiego. Oczywiście zaś i tym razem, nie z żadnych sentymentalnych porywów, lecz znowu wyłącznie z bezpośredniej, dokładnej informacji i gruntownego, rozumnego sądu czerpał swoje polskie sympatyje ścisły Napoleoński służbista, poseł i komisarz cesarski, trzeźwy pisarz *Wspomnień dyplomaty*. Gdyż — rzecz to zastanawiająca, a bynajmniej nie przypadkowa — obadwaj ci historycy z powołania byli z zawodu dyplomatami. Historia nie była dla nich martwą literą, lecz żywym zjawiskiem. Zanim oni zaczęli ją spisywać, pomagali ją stwarzać. Tem lepiej też obadwaj byli uzdolnieni do właściwego pojęcia jej i objaśnienia. Przez rozum stanu doszli do rozumu dziejów. P. Sorel, który należy poniekąd do tej samej szkoły i tych samych tradycji dobrej historii francuskiej i dobrej francuskiej racji stanu, co Rulhière albo Bignon, był też tak samo jak oni dyplomatą, nim został dziejopisem. Wpraw-

dzie żaden Choiseul ani Napoleon nie wyprawiał go nigdy w dalekie nasze strony. Nie wydarzyło mu się też nigdy, jak tamtym jego poprzednikom, poznać osobiście kraju naszego i stosunków. Wszakże tak samo jak tamci świątły Francuz i Europejczyk zainteresował się żywo nowoczesnymi dziejami naszymi, które nie mogły być obojętne dla nowoczesnego historyka dziejów francuskich i europejskich. Tak został jednym z najlepszych dziś za granicą znawców polskiej historii rozbiorowej. Tak zarazem został spokojnym, nieuprzedzonym, niezawisłym jej sędzią. Niczego więcej żądać nie możemy, nie chcemy, nie potrzebujemy. Ani wyrozumiałości, ani politowania; tylko sprawiedliwego naukowego śledztwa i wyroku. Tę naukowość i sprawiedliwość odnajdujemy w pełni u p. Sorela i umiemy też cenić w nim te zalety wedle zasług, w dzisiejszych zwłaszcza ciężkich okolicznościach i czasach.

P. Albert Sorel, urodzony w Honfleur, jest czystej krwi Normandczykiem. Przypomniał to sam niedawno w pociągającym przemówieniu publicznym, wygłoszonym w starożytnej stolicy normandzkiej, w Rouen, przed pomnikiem Maupassanta, swego ściślejzego normandzkiego współziomka, prawie współpoczetnika. Trudno byłoby, rzecz prosta, wdawać się w porównania pomiędzy prowincjonalizmem naszym a francuskim. Pod względem dziejowo-politycznym zbyt znaczna, w oczy bijąca,

zachodzi różnica pomiędzy ściśle centralistycznie ujednostajnioną i zwartą Francją a nierównie bardziej różnolitym i luźnym składem ziem i szcze-pów dawnej Rzpltej Polskiej. Jednakowoż, pod względem kulturalnym, po dziś dzień zachowały się we Francyi niektóre szczałkowe odrębności prowincjonalne w postaci gdzieniegdzie bardzo nawet wyrazistej i typowej. Te odrębności, pielę-gnowane tam po dziś dzień z serdecznym piety-zmem prowincjonalnym, bez żadnej przecie ujm-y dla górującego pojęcia wielkiej jedności społecznej, wykazują niekiedy jakgdyby pewne powinowac-two ze znajomem nam dobrze swojskiem zjawi-skim. Normandczycy, ten odrębny typ Francuza, to poniekąd jakgdyby francuscy Litwini. Tkwią w naturze normandzkiej pewne, właściwe jej cechy, pewien hart, upór, rozwaga, stateczność, nieufność, odbijające wcale wyraźnie od lotniejszej, ale też i lżejszej natury galijskiej. Niektóre z tych cech specyficznych możnaby zapewne odszukać w umy-słowości dzielnego pisarza *Sprawy wschodniej i podziału Polski*. Jest w nim właśnie taka nor-mandzka *âme de sapience et de conséquence*, umysł roztropny i wytrwały. Wprawdzie niemasz w nim natomiast południowej, marsylskiej łatwo-ści i swady Thiersa, niemasz potężnej siły i świe-tnego kolorytu Taina. Ale jest za to trzeźwość, jest ścisłość, jest spokój czujny i zrównoważony, drogocenne poręki dobrego i pewnego przewodnika

w zdradliwym labiryncie nowoczesnych dziejów politycznych.

Wspomnieliśmy, że p. Sorel do dziejopisarstwa przeszedł z dyplomacyi. W rzeczy samej najpierw, w młodym jeszcze wieku, zaczął on od służby urzędowej we francuskiem ministeryum spraw zagranicznych. Było to jeszcze pośrodku pozornej świetności drugiego cesarstwa we Francyi. Było przecież już po pacyfikacyi polskiej i interwencyjnej dekonfiturze w Petersburgu, po wojnie prusko-austryackiej i traktacie pokojowym w Pradze, po wyprawie meksykańskiej i krwawej egzekucyi w Queretaro. Gwiazda Napoleona Małego, jeszcze napozór w zenicie dla krótkowidztwa gawiedzi, naprawdę już szybko staczała się ku zachodowi, zaciemniała się, gasła, dla każdego bystrzejszego oka. Młody p. Sorel, przyszły bystry sędzia polityki i dyplomacyi takich statystów, jak Mirabeau, Danton, Talleyrand, Sieyès albo Napoleon I, tymczasem został podwładnym mężów stanu tej miary, co panowie Drouyn de l'Huys, Rouher, Ollivier, Gramont. Przyszły historyk, powołany do odsłonięcia mądrych i silnych negocyacyi Komitetu Ocalenia Publicznego w Bazylei, generała Bonapartego w Campo-Formio, albo Pierwszego Konsula w Lunevillu, — tymczasem w biurach ministeryalnych drugiego cesarstwa musiał patrzeć z blizka na śmieszne, dziecinne, kompromitujące rokowania o Luksemburg lub Belgię, prowadzone

przez Napoleona III. z hr. Bismarckiem. Dyplomaci, którym Talleyrand nie byłby pewnie powierzył trzeciorzędnej legacji, teraz »z lekkim sercem« — *à coeur léger*, jak odezwie się p. Ollivier, — wypowiedali wojnę Prusom, prowadzili politykę Francji na bezdroża odosobnienia, prowokacyi i klęski; niebawem zaś wodzowie, którym Napoleon I może nie byłby powierzył zapasowej dywizyi, zaprowadzą armię Francji na rzeź i niewolę. Tak nadeszła katastrofa 1870 r. Wziął feldmarszałek Moltke odwet sowity za Jenę; wydał kanclerz Bismarck obrachunek gruntowny za Tylżę. Wnet znikły, jak przywidzenie, rządy Napoleońskie a pozostało mordercze brzemie wojenne: kraj zewsząd otwarty, krwawiący, bezbronny, stolica osaczona, nieprzyjaciel w sercu Francji; na dobitkę zaś już podnosiło się widmo wewnętrznej rozterki społecznej, czerwone widmo Komuny. W takim położeniu podjęła Rzeczpospolita uratować Francję lub przynajmniej honor francuski. Rząd Obrony Narodowej silną ręką pochwycił władzę naczelną. Kiedy nowy Rząd prowizoryczny z gorączkową a zapóźnioną energią wydobywał nowe armie z prowincyi, równocześnie wybrana z jego ramienia Delegacya spraw zagranicznych tak samo gorączkowo i tak samo po niewczasie rzuciła się po pomoc obcą, po interwencyę mocarstw europejskich. Na czele tej Delegacyi dyplomatycznej stanął hr. Chaudordy; przy jego boku

na stanowisku sekretarza dzielnie pracował p. Sorel, kolejno w Tours i Bordeaux, od września 1870 aż do marca 1871 r. Nieboszczyk Chaudordy, ile z pism jego politycznych sądzić możemy, był to umysł jasny, nawet subtelny, ale dość mierny i zamknięty w ciasnym kole pojęć. Rojalista z urodzenia, sądził on, że republikę należy »znosić« (*subir*) jako złe konieczne, przejściowe; te zaś poglądy na przyszłość Francji, na przyszłość Europy, jakie złożył na krótko przed śmiercią, przed laty kilkunastu, w dość ciekawej książce, niby swoim testamentem politycznym, pod niejednym względem bliżej nas dotyczącym nie mogą żadną miarą mieć naszej aprobaty. Podnosimy tę okoliczność, gdyż chodzi tu o człowieka, który był poniekąd w rzeczach stanu mentorem młodego p. Sorela, ale niechybnie bez żadnej ujemy dla samodzielnych opinii dziejowo-politycznych dojrzałego historyka-myśliciela.

Co się tycze samych niefortunnych wysiłków Delegacyi dyplomatycznej 1870—1871 r., wiadome są opłakane jej rezultaty, jej gorzkie rozczarowania. Na nic nie zdały się wymowne noty błagalne, posyłane do gabinetów obojętnych mocarstw neutralnych. Na nic — tułacza wędrówka sędziwego Thiersa po dworach europejskich z prośbą o ratunek. Te wędrówki żebracze »po cudzych schodach«, jak mówi Dante, te rozpaczne pukania do zamkniętych wrót obcego współczucia, te ułudne

nadzieje, te bolesne zawody, — nie pierwszyna podobno to w dziejach. Czyliż tak samo, właśnie na lat sto przed kapitulacją sedańską, nie pukano błagalnie od kapitulującej Rzpltej polskiej do gabinetu Ludwika XV, do alkierza pani Dubarry, dopraszając się opieki króla Francyi, protekcji jego nałożnicy, i tak samo daremnie? Wtedy, równo przed stuleciem, odmówiła Francya ratunku Rzpltej polskiej przeciw pruskiej przemocy Wielkiego Fryderyka. Teraz, w sam setny jubileusz tamtej odmowy, w 1870—71 r., pognębionej Rzeczypospolitej francuskiej odmawiano zewsząd ratunku przeciw pruskiej przemocy Wilhelma »Wielkiego«. Późno, dziwnymi sposoby, a bez zmiłowania, wymierza nieraz swoje ciosy surowa Nemezys dziejowa.

Ciężkie przejścia owoczesne, których naocznym był świadkiem i uczestnikiem, szczegółowo opisał p. Sorel w jednej z najmłodszych swoich prac naukowych, a nie najmniej cennej, w swojej doskonałej »Historii dyplomatycznej wojny francusko-niemieckiej«, która pierwsza zrobiła mu imię w nauce. Mniemalibyśmy jednak, że autor — być może, skutkiem pewnego optycznego złudzenia, zresztą całkiem zrozumiałego w spółuczestniku — okazał się tutaj nieco nazbyt skłonny do przecenienia prac delegacyjnych, w których osobiście brał udział. Jeszcze w najnowszej swojej rozprawie, z powodu pośmiertnych Pamiętników ks. Bismarcka, p. Sorel z wielkim naciskiem zatrzymuje się na tym przed-

miocie. »Bismarck z naprężoną obawą śledził mądre i patryotyczne usiłowania, jakie podejmował hr. Chaudordy w celu sprowadzenia interwencji europejskiej. W późniejszych czasach udawano pewne lekceważenie dla onej t. zw. prowincjonalnej dyplomacji delegacyjnej. Jednak Bismarck traktował ją nadzwyczaj na seryo i miał zupełną słuszność«. Taki sąd wysnuł p. Sorel z Pamiętników ks. Bismarcka, gdzie w rzeczy samej stary, demisyonowany kanclerz szeroko rozpowiada o swojej rzekomej »trwodze przed obcą interwencją«. Aliści, przy bliższem w rzecz wejrzeniu okazuje się jak na dłoni, że mściwy pustelnik-mistyfikator z Friedrichsruhe w tym ustępie pamiętnikarskim przedewszystkiem miał na widoku swoje niezapomniane retrospektywne żale i odwety osobiste. Jak wiadomo, Bismarck wtedy na gwałt dopominał się niezwłocznego zbombardowania Paryża, ale spotkał się z humanitarną opozycją księcia następcy tronu Fryderyka i jego małżonki. Owóż, obecnie pamiętnikarzowi chodziło głównie o to, aby przed opinią publiczną niemiecką usprawiedliwić swoją własną, twardą ale patryotyczną dbałość i pogrążyć natomiast swoich dostojnych antagonistów, którzy jakoby przez lekkomyślny swój sentymentalizm przeszkadzali mu w chwili, rzekomo tak niebezpiecznej, kiedy mniemana groźba obcej interwencji mogłaby wydrzeć Prusom owoce zwycięstwa. Tymczasem naprawdę hr. Bismarck

pod murami obleganego Paryża nie miał żadnego zgoła powodu obawiać się podobnej ewentualności, gdyż zawczasu już przez mądrą swą politykę względem Rosyi w sprawie komplikacji polskich z przed lat dziesięciu, dostatecznie zabezpieczył się przeciw wszelakim niespodziankom interwencyjnym. Na pewno też nie brał on zbyt do serca bezowocnych w tym kierunku wysiłków francuskich. Tak więc świadectwo pamiętnikarskie żelaznego kanclerza, jego nieszczerze komplementy dla dyplomacyi delegacyjnej, jego udane »trwogi«, nie posiadają w tym wypadku żadnego znaczenia dowodowego; to też, bez względu na to podejrzone świadectwo, wypadałoby sprowadzić do właściwej, skromniejszej miary szlachetną zapewne i sympatyczną, ale platoniczną i próżną działalność republikańskiej Delegacyi dyplomatycznej 1870—71 roku.

Wstrząsające doświadczenia tego »Strasznego roku«, po dokonaniu nareszcie pacyfikacyi i amputacyi frankfurckiej, wiele dawały do myślenia nietylko naczelnikom politycznym, lecz bardziej jeszcze przewodnikom duchowym narodu francuskiego. Jakim sposobem stała się naraz możliwą ta podwójna, niebywała klęska, Sedan i Komuna? Jakim sposobem *la grande nation*, która ongi dyktowała prawa światu, naraz znalazła się w prochu, powalona bez wysiłku przez jednego przeciwnika pruskiego? Jakim sposobem niepożyta, prężna ener-

gia galijska, naraz w stanie degeneracji i rozkładu, skurczyła się i wyczerpała, przydeptana odrodzoną teutońską mocą? Najpierwsze umysły Francji z troskliwym patryotycznym niepokojem obróciły się do rozwiązania tych pytań arcyważnych i arcybolesnych. Obróciły się mianowicie po odpowiedź do mistrzyni państw i narodów, do Historii Nowożytnej. Wtedy to, nazajutrz po owej *année terrible*, Hipolit Taine przystąpił do swoich wielkich badań nad »Źródłami Francji społecznej«. Wtedy także, przy jego zachęcie, stworzono całkiem nową instytucję naukową, »Szkołę nauk politycznych w Paryżu«, mającą głównie na celu zaszczepić umysłowości francuskiej szerszą i głębszą niż dotychczas samowiedzę historyczno-polityczną w zakresie swojskich i europejskich zjawisk nowożytnych. Z polecenia Taina, jego przyjaciel i uczeń, p. Sorel, objął w tej szkole wykłady dziejów najnowszych Europy w XVIII i XIX wieku.

Niepodobna było lepszego zrobić wyboru. Aż po dziś dzień, przez lat z górą trzydzieści, z coraz dojralszą wiedzą i sądem, a wciąż z tą samą co w początku werwą młodzieńczą, znakomity profesor naucza z tej katedry coraz to nowe zastępy młodzieży francuskiej i obcokrajowej. Pośród tej młodzieży, tłoczącej się na pięknych jego wykładach, nie brak stałej a licznej rzeszy słuchaczy polskich. Tym właśnie słuchaczom p. Sorel nie tylko z katedry udziela zdrowej i obfitej strawy

naukowej, lecz i poza salą wykładową z serdeczną i wyrozumiałą życzliwością nie skąpi zachęty i pomocy w samodzielnych ich pracach, dla których z głębokim zrozumieniem dobiera i wskazuje żywotne i doniosłe tematy z nowoczesnych dziejów polskich. Dzięki temu światłemu przewodnictwu niektóre z tych prac nabierają istotnej wartości, znajdują przystęp do wydawnictwa Szkoły paryskiej, do *Annales de l'Ecole libre des sciences politiques*, inne urastają do rozmiarów oddzielnych monografii, wszystkie podnoszą poziom duchowy i rozszerzają widnokrąg kształcącej się na obczyźnie młodzieży polskiej. Zdarzało się i nam niejednokrotnie polecać zacnej przyjacielskiej opiece p. Sorela młodych uczniów naszych, udających się dla badań historycznych nad Sekwanę; za każdym razem spotykali się oni z niewyczerpaną jego czynnością, czy chodziło o wskazówki, czy o ułatwienia w poszukiwaniach naukowych na nieznanym terenie paryskim. W chwili obecnej, kiedy na wszechnicach niemieckich, zamiast szczytnych dawniejszych haseł czysto naukowych, sadowią się opłakane zasady i obyczaje czysto polityczne; kiedy na najpierwszym tamecznym, na berlińskim uniwersytecie, wsławionym światową powagą Leibnitza, dziś lichy i podrzędny *quasi* historyk, a naprawdę stały referent dziennikarski *Gazety Krzyżowej*, kaleczy z katedry dzieje nowożytne grubą swą ignorancją, a zwłaszcza polskie znieprawia

jadowitą tendencją; kiedy polska młodzież akademicka, udająca się tam po wiedzę, zostaje poddana jakiejś niesprawiedliwej a upokarzającej *diminutio capitis*, jeśli wogóle nie jest rozpędzana na cztery wiatry: wobec podobnych antykulturalnych wybryków i zбочeń w najprawowitszej, najwyłączniejszej dziedzinie kulturalnej, tem piękniej odbija ten widok prawdziwego uczonego i nauczyciela, który wiernie, w myśl starodawnych tradycji, obowiązujących w europejskiej *Respublica litterarum*, z troskliwą i opiekuńczą gościnnością czyni przybyłym zdaleka młodym adeptom polskim honory domu nauki francuskiej.

Obowiązki wykładowe, sprawowane od lat tyłu z tak znacznym nakładem pracy i czasu, nie przeszkodziły jednak bynajmniej p. Sorelowi w równoległej, nader obfitej, a pierwszorzędnej produkcji ściśle naukowej. Zaczął on wprawdzie niegdyś od kilku mniej udatnych prób w zakresie twórczości beletrystycznej. Napisał w młodości parę romanśów, na które sam wydał wyrok w dojrzałym wieku, wycofawszy je z obiegu. Nie jest to grzech śmiertelny. Więksi historycy, Macaulay, Taine, nawet Ranke, gorszych dopuszczali się występków. Ci mężowie — zgroza wyrzec! — w młodości popętniali wiersze, bardzo mierne, co im nie przeszkodziło bynajmniej pisywać później bardzo pięknie historyi. Wycieczki w dziedzinę literatury powieściowej, owszem, przydały się p. Sorelowi.

Stamtąd zapewne wyniósł on czystość i barwność formy, a jest wielbicielem Flauberta; stamtąd przenikliwość analizy psychologicznej, przejrzystość i zwięzłość opowiadania, a jest miłośnikiem Beyla; stamtąd upodobanie do portretów osób działających, jędrność charakterystyki, szeroki rzut oka na ogrom splątanych stosunków, na tajne sprężyny krzyżujących się interesów, a deklaruje się uczniem Balzaca. Dla historyka politycznego doby nowożytnej są to przymioty nieoszacowane a może niezbędne.

Owóż ta mianowicie doba nowoczesna, na całej przestrzeni polityki europejskiej, w szczególności zaś w obrębie rzeczy francusko-europejskich na przełomie XVIII i XIX wieku, stała się przedmiotem znakomitych badań p. Sorela. Już pierwsza jego rozprawa o »Traktacie paryskim 1815«, a zwłaszcza wzmiankowane dwutomowe dzieło o »Wojnie francusko-niemieckiej«, wykazały sumienną ścisłość źródłowego i krytycznego badacza. W tym to czasie uczynił także p. Sorel śmiałą a nader szczęśliwą wycieczkę do dziedziny, tak blisko stykającej się z nowoczesną historią polityczną, do t. zw. prawa narodów. Wspólnie z przyjacielem młodości, utalentowanym, choć trochę rozstrzelonym i dyletanckim pisarzem i badaczem, ogłosił on swój przejrzysty i nauczający »Wykład prawa międzynarodowego«. Po pierwszym ukazaniu się tego dzieła wielki podniósł się krzyk w kołach

uczonych specjalistów-prawników, którzy zmonopolizowali niejako dla siebie, najbezinteresowniej zresztą, tę najbardziej platoniczną dziedzinę naukową. »Przegląd prawa międzynarodowego«, wychodzący w Gandawie, sprzeniewierzył się na chwilę wykwintnej uprzejmości dyplomatycznej, z jaką zwykł przemawiać, i nie wahał się napiętnować pracy niepowołanych intruzów jako »prawo międzynarodowe pozytywistyczne, materialistyczne, odarte ze wszelkiego piętna idealnego«. Gwałtowne to oburzenie nie było bez powodu. »Przepisy prawa międzynarodowego — mówili inkryminowani autorowie, p. Sorel ze swoim współpracownikiem — są analogiczne do praw historii, praw polityki, w innym rzędzie zjawisk — do praw higieny«. Prawo międzynarodowe — mówili w drugim miejscu — »nie istnieje wcale poza obrębem zwyczajów, przestrzeganych przez narody, oraz zobowiązań, zaciąganych przez państwa«. Podobne wyznaczenie wiary, albo raczej niewiary, musiało brzmieć nutą heretycką dla członków »Instytutu« gandawskiego a przyszłych mistrzów ceremonii na wszechświatowych konferencyach pokojowych. Jak w bajce Andersena, ci uczeni dworacy Europy ustroili swą panią we wspaniałe, z subtelności filozoficznych i etycznych misternie utkane szaty »praw narodów«: niespodzianie wystąpił nierozważny śmiałek, co w prostocie ducha ma odwagę wyznać na głos, że widzi same tylko nagie ciało.

Niestety, śmiałek ten, p. Albert Sorel, posiadał wszelkie dane po temu, aby widzieć dokładnie i jasno. Dowiódł tego niebawem przez jędrną i świętną pracę, ofiarowaną właśnie obecnie publiczności polskiej. Było to w czasie ostatniej wojny rosyjsko-tureckiej. Uwaga świata całego skierowana była na fortyfikacje Plewny, na wąwozy Szyпки, na nieśmiertelną a tak groźnie na nowo rozbudzoną sprawę wschodnią. Wówczas to, w najstosowniejszej porze, wystąpił p. Sorel ze znakomitą swą pracą o »Sprawie wschodniej i pierwszym podziale Polski«. Praca ta, oczywiście, ze wszystkich pięknych jego pism musi budzić u nas, dla samej swojej treści, zajęcie szczególne. A zarazem, dla całego swego ducha budzić musi pełne uznanie. Ta książka niewielka i okolicznościowa, rzucona jakby od ręki, wykazała przecież na każdej niemal karcie pierwszorzędne zalety pisarza i myśliciela. Wykazała także ową szlachetną sympatię dla sprawy przegranej, tak rzadką pośród dzisiejszych dziejopisów Europy, którzy naogół, wcale nie po katońsku usposobieni, mają raczej wspólną z bogami predylekcyę do *causa victrix*. Trafnie też Akademia krakowska, z godnym pochwałą pośpiechem, zaliczyła autora do swego grona, darząc go godnością swego członka czynnego zagranicznego.

Wszakże najcenniejszym darem, jaki z ręki p. Sorela otrzymała historyografia nowożytna, isto-

tnem dziełem jego życia jest niewątpliwie wielka historia »Europy i Rewolucyi francuskiej«. Wspaniała ta praca, rozpoczęta przed laty piętnastu, a po dziś dzień jeszcze nie zamknięta, dała najwyższą miarę wiedzy i talentu autora. Odznaczona też po dwakroć najwyższą francuską nagrodą akademicką, otworzyła również autorowi wstęp do Akademii francuskiej, a mianowicie sprowadziła go tutaj na miejsce dla niego najwłaściwsze i najzasłużeńsze: krzesło po Tainie. Nikomu słuszniej nie należała się ta zaszczytna sukcesya, jak właśnie niepospolitemu badaczowi, którego dzieło zajęło należne sobie miejsce obok monumentalnych poszukiwań Hipolita Taina. W istocie, odtąd niezbędnem dopełnieniem do Tainowskich »Źródeł Francyi współczesnej« staje się »Europa i Rewolucya« jego następcy. Dopełnieniem — zarówno pod względem treści przedmiotu, jak metody badawczej. Obok treści, ogarniającej olbrzymi przewrót wewnętrzny dziejów nowożytnych, zobrazowany potężnym pędzlem Taina, staje obecnie treść równoległą, obejmująca odpowiedni ogromny przewrót zewnętrzny, zarysowany ostrem piórem p. Sorela. Obok wspaniałej ale namiętnej, porywającej ale porywczej, metody syntetycznej mistrza, staje spokojna, trzeźwa i zrównoważona metoda analityczna jego ucznia. Dotychczas w czterech wielkich tomach doprowadził p. Sorel rzecz swoją aż do pokoju bazylejskiego. W licznych ustępach,

wyjatkowo dla nas zajmujących, dotknął po drodze zjawisk takiego dla nas znaczenia, jak Sejm Czteroletni oraz powstanie Kościuszki. I jeśli może nie wszędzie w pojedynczych szczegółach, zawsze przecie w ogólnem pojęciu i przedstawieniu tych przedmiotów możemy pisać się śmieie na trafną i szlachetną jego wykładnię, opartą jednocześnie na sumiennem podłożu badawczem i na wysokiem kryterjum moralno-politycznem. Ciąg dalszy tej pięknej i ważnej pracy zapowiada się niemniej interesująco. Czeką tu jeszcze autora największe i najtrudniejsze zadanie: czeka go generał Bonaparte. W swojej mowie wstępnej w Akademii francuskiej, wynosząc zasługi wielkiego swego poprzednika na fotelu akademickim, z powodu właśnie Napoleona nie wahał się słusznie oświadczyć p. Sorel, że tutaj Taine zgoła się zabłąkał. »Napoleon pozostał mu obcym. Napróżno Taine zgromadzał, mieszał kruszce, napróżno coraz większych przydawał żarów; nie było powinowactwa, i z tygla nie wylewał się spiż dla posągu«. Nie chcemy przesądzać, czy z kolei i p. Sorelowi uda się wznieść posąg godny imperatora; ale nie wątpimy, że z następnej połowy gruntownych jego poszukiwań nauczymy się wielu rzeczy, a pod niejednym też względem, choćby z uwagi na Legiony, zdobędziemy niejedno światło dla własnych naszych dziejów polskich doby porozbiorowej.

Niezawisłe zresztą od tej pracy głównej, nad

której wykończeniem gorączkowo i bez przerwy trudzi się p. Sorel (tom piąty świeżo właśnie ukazał się z druku), nie przestaje on rzucać, jakby od ręki, całego szeregu rzeczy pomniejszych, bez żadnego wyjątku cennych i interesujących, niekiedy wyższej nawet wartości. Tak powstały piękne studia o »Montesquieu« i »Pani Staël«, oraz obszerna monografia o »Bonapartem i Hochu«, nacechowane tą samą przejrzystością wykładu i subtelnością portretowego rysunku, jakie odnajdujemy w jasnym opisie krętych powikłań dyplomacji rewolucyjnej i koalicyjnej albo w dobitnych wizerunkach Kaunitzów i Leopoldów, Robespierrow i Sieyèsów, na wymownych kartach »Europy i Rewolucyi«. Prócz tego płodny pisarz i świetny stylistą od szeregu już lat zwykł był na szpaltach wydawnictw peryodycznych francuskich ogłaszać drobniejsze przyczynki historyczno-krytyczne, które częstokroć, pomimo szczupłych rozmiarów i lżejszej formy, posiadają niepoślednie znaczenie naukowe. Na osobne wyróżnienie zasługuje tutaj wyczerpujące studium o »Pokoju bazylejskim«, ogłoszone dawniej w *Revue historique*. Nie gardząc zresztą bynajmniej najpopularniejszą, dziennikarską formą pisarską, nie skłonny bynajmniej chować światła pod korzec i zasklepić się w cechowie kółku zawodowych augurów, uczony profesor i akademik od szeregu lat ogłasza na łamach paryskiego *Temps* swoje żywe i zajmujące *Lectures*

historiques, gdzie z powodu, a raczej pod pretekstem nastroczających się bibliograficznych nowości, roztrząsa samodzielnie najrozmaitsze doniosłe zagadnienia historyczne, przeważnie w zakresie dziejów najnowszych XIX stulecia. Zebrane razem te pogadanki zapełniły kilka już ciekawych i pouczających tomów, które stanowią wcale szacowny przyczynek do obfitego naukowego dobytku ich autora.

Taką jest w najogólniejszych zarysach działalność pisarska p. Sorela; taką jest poważna i sympatyczna postać uczonego, dzisiaj niewątpliwie pierwszego żyjącego historyka francuskiego. Ma on sobie zapewnione stanowisko wybitne w historyografii francuskiej i europejskiej. Niechaj przyjmie na tem miejscu szczerą i słusznie mu należną oznakę hołdu od historyografii polskiej.

O krytyce naukowej.

I.

Odkąd istnieje historia, jednym z najcenniejszych jej przedmiotów, obok epok dawnych, była doba nowożytna. Obok Herodotów i Liwiuszów zawsze było miejsce dla Tucydidesów i Tacytów. Kiedy w zaraniu stulecia XIX, po uciszeniu europejskiej zawieruchy, odrodziła się historia jako nauka, podobnie znalazło się w niej miejsce równorzędne dla badań nad przeszłością odleglejszą i bliższą. Początki tego odrodzenia, czasy restauracyi i romantyzmu, sprzyjały wprawdzie raczej rozbudzeniu wyjątkowego zajęcia dla wieków średnich, lecz i wtedy zostało jeszcze dosyć uwagi dla nowożytności. We Francyi Thierry i Sismondi sięgnęli do średniowiecza, a równocześnie Thiers i Mignet do rewolucyi, do dnia wczorajszego. W Niemczech Pertz, fundując olbrzymie przedsięwzięcie niemieckich Monumentów średniowiecznych, jednocześnie sam stawiał źródłowe pomniki biograficzne wielkim nowożytnym mężom niemieckim, Steinowi, Fryderykowi Wielkiemu. Ranke zaczął

od XV wieku, skoczył stąd wprost do spóczesnej Serbii, dał znakomite prace o Prusach Fryderycyańskich, o początku wojen rewolucyjnych, o Fryderyku Wilhelmie IV. Naogół utrzymana była pod tym względem na Zachodzie zdrowa równowaga naukowa. Zapewne, od czasu do czasu przechylały się szale. Był okres, po zniechęcających zawodach politycznych 1848 r., kiedy, szczególnie w Niemczech, studia średniowieczne stanowczo brały górę. Przeciwnie, mniej więcej od ćwierci wieku, od zjednoczenia i wyniesienia Niemiec, na plan najpierwszy wysunęły się studia nowożytne.

U nas rzeczy ułożyły się nieco odmiennie. Nasza umiejętna nauka historyczna, w znacznej części pod metodycznym wpływem dawniejszej niemieckiej, niezupełnie podążyła za nią na tej drodze ewolucyjnej. W ogólnym swoim bilansie wykazuje ona znaczny deficyt na niekorzyść dziejów nowożytnych.

Jednakowoż, jeśli nie wszystkie mylą poznaki, w obecnej właśnie porze ujawnia się nader pożądaný zwrot pod tym względem. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w historyografii naszej poczyna uwydatniać się obecnie żywsze zainteresowanie dla badań nad nową i najnowszą dobą dziejową. Sprawę tę poruszono, między innymi, na ostatnim Zjeździe historyków polskich w Krakowie i wnet znaleziono mocny odgłos, nie w samych tylko dobrych chęciach, ale w płodnym czy-

nie. Widocznie dotknięto tutaj istotnej i naglącej potrzeby. Zwłaszcza najmłodsza generacja historyków naszych zdaje się zwracać w tym kierunku. Świadczą o tem jej prace, bądź już wykonane, bądź w toku będące, świadczą nawet tematy seminaryjne. Szczegół znamieny, gdyż w jej ręku jest przyszłość nauki. Zarazem zaś zdaje się towarzyszyć tym usiłowaniom coraz większe zajęcie myślącej publiczności naszej.

Zjawisko to ma niezawodnie swoje doniosłe przyczyny społeczne. Rozpoznawać swoją przeszłość najbliższą — obowiązek nieodbity każdej społeczności, zwłaszcza zaś naszej, żyjącej w warunkach tak bardzo wyjątkowych. Ale ma ono także swoje przyczyny czysto naukowe. Równie jasno i bezpośrednio, jak z ogólnej racji stanu, wypływa ono ze specyficznej racji naukowej. Stanowi mianowicie zdrową i konieczną reakcję przeciw wskazananej niepomyślnej jednostronności w swojskiej nauce dziejowej. Nauka historyczna polska ostatnimi czasy rozwinęła się znacznie, zrobiła i robi dużo. Jednak nie sprostała bynajmniej potrzebom, szczególnie na polu dziejów nowych i najnowszych. Nie dotrzymała bynajmniej kroku historyografii europejskiej, która właśnie w tej dziedzinie pracuje dziś najwięcej, najintensywniej i najowocniej, i która też tutaj zdystansowała nas najzupełniej. Różne na to złożyły się czynniki. Niektóre z nich, bardzo poważne, niezawisłe są od woli naszej. Na

jednej dzielnicy spoczęły główne obowiązki produkcji naukowej w tym zakresie, bo wyłączna niemal możliwość swobodnego traktowania polskich dziejów nowożytnych. Tymczasem w innej, najpierwszej dzielnicy, mieszczącej właśnie najcenniejsze źródła nowożytne, mały jest albo żaden do tych źródeł przystęp. Obok przeszkód, wynikających z niedostępności i rozstrzelenia materiału, stają inne, wynikające z braku środków technicznych. Wszędzie dziś same rządy przykładają się nadzwyczajnie do ułatwienia trudnych badań i kosztownych publikacji w obrębie historii nowożytnej swoich państw, uznanej obecnie za doniosły spółczynnik interesu państwowego. Takiej pomocy jesteśmy pozbawieni. To wszystko prawda. Ale to wszystko tyle tylko znaczy, że, im w gorszych tutaj jesteśmy warunkach, tembardziej dla ich zrównoważenia powinniśmy rozwinąć konsekwentną, systematyczną, zbiorową energię naukową.

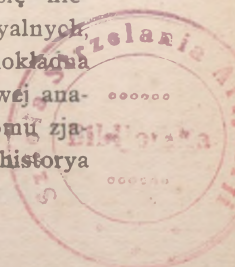
Nie uczyniono tego u nas dotychczas, przynajmniej jeszcze nie w pożądanym zakresie. Wytworzyła się w fachowej historyografii naszej oczywista dysproporcja pomiędzy wszechstronnym wysiłkiem naukowym kierowanym ku epokom wcześniejszym, a dorywczym sposobem zgłębiania nowożytnych. Stąd znowu wyrodziła się jakgdyby pewna deprecjacja tych ostatnich, pewne niedocenienie ich właściwości i znaczenia, jako ściśle naukowego obiektu. Upowszechniło się o nich pojęcie, jako

o przedmiocie wcale »interesującym«, ale też dosyć tanim, należącym raczej do jakiejś pół-nauki, prawie do polityki, gdzie bez wielkiego zachodu, bez długiego mozołu można dać sobie radę, można uczyć, pisać i sądzić.

Jest to pojęcie, rzecz jasna, całkiem nieuzasadnione. Polega ono na prostej nieznamomości dzisiejszego stanu umiejętności badań europejskich w zakresie dziejów nowych i najnowszych. Te badania, prowadzone tam równoległe do mediewalnych, stoją tam też dzisiaj najdokładniej na tym samym poziomie udoskonalonej metodyki historycznej. Czy chodzi o falsyfikat testamentu biskupa z Tours z końca V wieku albo testamentu Piotra Wielkiego z początku XVIII, o interpolacje w listach Chlodovecha albo w pamiętnikach Talleyranda, o autorstwo Kroniki saskiej albo Manuskryptu ze św. Heleny, — jednakowo bywają stosowane te same metodyczne sposoby badawcze. Dzisiaj w seminarium historycznym zagranicą, prowadzonym przez uczonego mediewalistę, należącego do dyrekcji wydawniczej *Monumenta Germaniae*, albo przez uczonego nowożytnika, należącego do komisji wydawniczej *Politische Correspondenz Friedrichs des Grossen*, jest w użyciu ściśle ten sam umiejętny aparat naukowy, — tyle tylko, że w tym ostatnim wypadku znacznie więcej skomplikowany, pomnożony i wyostrzony. Istotnie, w badaniach nad nowożytnością dziejową

dochodzą jeszcze liczne trudności specyficzne, skutkiem znacznie większej zawikości i różnorodności zagadnień oraz nieskończenie większej obfitości i różnorodności materyału. Są tu niektóre falsyfikaty, z daty swego pochodzenia zupełnie spóczesne, — np. raport Champagnego o odbudowaniu Polski, — których udowodnienie byłoby niemożliwem przy pomocy samego tylko formalnego aparatu krytyki średniowiecznej. Są traktaty autentyczne a jednak fikcyjne, obliczone na wprowadzenie w błąd bądź kontrahenta, bądź strony trzeciej. Są listy Fryderyka II, które należy tłómaczyć wprost na opak. Są listy prymasa Poniatowskiego, które na bitych kilku stronicach zawierają napozór treść całkiem błahą, prawie niedorzeczną, a gdzie nagle w jednym zdaniu ubocznem, pisanem trochę na ukos, schowana jest rozmyślnie doniosła skazówka polityczna, — szczególniejszy sposób używany przez prymasa dla zastąpienia cyfry. Cała korespondencya urzędowa Napoleona z 1805 r., dotycząca planów wylądowania w Anglii, przeznaczona jest jedynie do zasłonięcia przygotowań do kampanii austriackiej; a po części podobnie z 1812 r. — moskiewskiej. Korespondencya posła rosyjskiego w Berlinie, Alopeusa, w przeważnej części traci znaczenie dokumentalne, z chwilą uczynionego odkrycia, że nietylko służył on stale Prusom, lecz, co główna, że Katarzyna wiedziała o tem doskonale, że właśnie dlatego zostawiła go w Berlinie

dla uśpienia Prus, że zatem z jego relacjami się nie liczyła. Fakt powszechnego interceptowania nowożytnej korespondencji dyplomatycznej wyraża mnóstwo zupełnie nowych kwestii metodycznych. Od stwierdzenia, czy dany dokument został interceptowany, zależy ocena jego znaczenia, niekiedy samej jego wartości. Tego rodzaju dokument, mający udowodnić zdradę Dąbrowskiego, pochwycony w drodze dostał się do rąk Bonapartego, lecz odrazu przez niego został rozpoznany. Inne pismo, mające wykazać zaprzeczenie Ignacego Potockiego przez Parandiera, zostało akceptowane dosłownie jako dowód przez Kalinkę, — jak się zdaje, bez dostatecznej zasady. W obrachunkach rządu pruskiego z Lubeckim pomieszanie fikcyjnych a rzetelnych pozycji finansowych i ich wywodów prawnych z największą trudnością w przybliżeniu ledwo daje się rozwikłać. Te przykłady możnaby mnożyć bez końca. Jednym słowem, w tej dziedzinie naukowej, tak nadzwyczajnie ważnej, a tak dziwnie obszernej, ślizkiej i ciemnej, nietylko obowiązują bezwarunkowo najsurowsze ogólne wymagania metodyczne, lecz nadto staje się niezbędnym cały szereg dodatkowych, specjalnych, poczynając od tak elementarnego, jak dokładna znajomość języków, aż do możliwie wnikliwej analizy i możliwie rozległej syntezy tego ogromu zjawisk i ogromu materiału, na jakim stoi historia nowożytna.



Uczynić zadość tak wysokim wymaganiom potrafi zaledwie najwyższy fachowy wysiłek myśli i pracy, uzdolnienia i przygotowania. Oczywiście, jeśli mowa o kwalifikacji fachowej, nie o nominalną, cechową tu chodzi, nie o żadne godności, tytuły, dyplomy. Można posiadać je wszystkie, a w historii nowożytnej pozostać nieukiem. Można nie posiadać żadnych, a zabłysnąć w niej gwiazdą pierwszej wielkości, jak Macaulay albo Taine, choć obadwaj nie byli nawet historykami z profesyi. Co prawda, można też być nieukiem bez dyplomu. Koniec końcem, rzecz w tem, że historia nowożytna jest to umiejętność, i jedna z najtrudniejszych, najrozleglejszych, najsubtelniejszych, wymagająca też wysokiego polotu, ścisłego przysposobienia i pełnego wyężenia ducha. Owóż ta prawda elementarna nie jest jeszcze u nas dostatecznie uświadomiona. Skutki stąd nieraz fatalne, a w podwójnym zarazem kierunku. Ta nauka, upośledzona zarazem i spospolicona, nie ma u nas dosyć sług umiętnych, a pełno ma panów. Te dzieje nowożytne wszak są tak blizkie, tak przystępne, tyle o nich się mówi, słyszy i wie, nie trzeba do nich ani paleografii ani łaciny, tak łatwo można nabyć u antykwarza kilka roczników przedstuletniej *Gazety warszawskiej* lub bodaj nawet komplet *Dziennika praw*, w każdej bibliotece można znaleźć trochę starych dzienników i broszur, w każdym archiwum trochę czytelnych rękopi-

sów, — a czegoż więcej potrzeba, ażeby historycznie orzekać o polityce Familii czy o legionach, o rewolucyi listopadowej czy o Wielopolskim? Każdy, zdałoby się, bez wielkiego wysiłku, bez nakładu trudów, może tutaj pisać, uczyć, a zwłaszcza sądzić. Taka, niestety, dość często podobno bywa u nas reguła, oprócz paru, na szczęście, znakomitych, lecz nazbyt nielicznych wyjątków. Otóż trzeba z tem skończyć. Przy dzisiejszym stanie, dzisiejszym rozkwicie dziejów nowożytnych w społecznej historyografii obcej, niepodobna już dłużej i w naszej zasilać ich po staremu, po gospodarstwu, niby z domowej apteczki, traktować ich niby z łaski, na sposób przygodny, arbitralny, a nadzwyczaj tani. Trzeba wznieść je ilościowo i jakościowo na poziom innych gałęzi dziejopisarstwa, na poziom poważnej, ścisłej a przecie lotnej, społecznej nauki europejskiej.

II.

Z ogólnych uwag powyższych dałaby się wywieść długa kolej wniosków konkretnych, dotyczących w szczególności trzech przedmiotów: jak uczyć, pisać i sądzić w zakresie historii nowożytnej, a więc dotyczących działalności wykładowej (seminaryjnej), wydawniczej i krytycznej w rzeczonym zakresie. Na razie pozwolę sobie ograniczyć się jedynie do tej ostatniej materji i na nie-

których przykładach oświecić stan obecny krytyki naszej w stosunku do poszukiwań na polu dziejów nowych i najnowszych.

Przykłady mam pod ręką. Własne moje ułamkowe, i jak sam wiem najlepiej, z wielu względów niedoskonałe usiłowania, poświęcone wyłącznie dobie nowożytnej, zaszczycone były dość znaczną obfitością omówień krytycznych. Niechaj wolno będzie wydobyć stąd pewne s p e c i m i n a, które same przez się należycie uwydatnią potrzebę lepszego ustalenia metody i warunków krytyki naukowej w zakresie specjalnym, o jakim tutaj mowa.

Zastrzedz się muszę przedewszystkiem, że pochwały, jakich nie skąpiono, nieraz wprawiły mnie w zakłopotanie. Chwalono niejednokrotnie za rzekome nowe rewelacye, będące niczem innym, iak sformułowaniem faktów, od dawna przez naukę europejską ustalonych. Tak np. stało się, kiedym streścił znany od dawna przebieg rokowań polskich na Kongresie wiedeńskim. Kiedyindziej znów podobne »nowości« spotykały się z surową naganą. Tak stało się np. z powodu streszczenia znanej oddawna istoty sprawy rozblorowej: zarzucono gonięcie za »oryginalnością«, choć polegało ono na zwięzłym wywodzie wniosków Waitza, Beera, Sorela i innych z przed lat dwudziestupięciu.

Innego rodzaju postrzeżenia krytyczne mogłyby niemniej dawać do myślenia. W jednej recenzji *Dwóch Stuleci* wytknięto, że umieszczona tutaj

główna rozprawa *Przedostatnie bezkrólewie* jest prostym przekładem rzeczy ogłoszonej już dawniej po niemiecku, *Die letzte Königswahl*. Niedopatrzył się tylko recenzent, że jedna rzecz traktuje o bezkrólewiu 1733 r. i elekcji Augusta III, druga o bezkrólewiu 1764 r. i elekcji Stanisława Augusta, że co innego »przedostatnie«, co innego »ostatnie«.

Zarzut, powtarzany najchętniej, natury już czy-sto metodycznej, a stawiony w ten sposób, że po-niekąd kwestyonuje samą naukową rację bytu pod-legających mu prac, dotyczy niedostateczności lub nawet zupełnego braku cytat źródłowych. Wyraził to ostatnio prof. Spasowicz w takiej formie lapi-darnej: »p. A. nie lubi przytaczać źródeł, podawać dowody, co niesłychanie utrudnia sprawdzenie tego, co napisał, bo nie wiadomo ostatecznie, co jest wzięte ze źródeł, a co dopełnione intuicyjnie przez jego bardzo lotną wyobraźnię«. Zarzut taki ma swoją stronę faktyczną i zasadniczą. Co do pierw-szej: w dwóch książkach, o które tu chodzić może, w *Przymierzu polsko-pruskiem*, na 193 str. tekstu przypada 60 str. przypisów, w *Dwóch Stuleciach* na 438 tekstu — 114 przypisów, czyli, z uwagi na petitowy druk tych ostatnich, stano-wią one około połowy całego tekstu, co stanow-czo jest raczej za dużo niż za mało. Ale mniejsza o to. Ważniejszą jest strona zasadnicza, metodyczna. Czy w pracach naukowych z zakresu dzie-

jów nowożytnych historyk istotnie jest obowiązany cytować wszystkie swoje źródła, czy wogóle jest obowiązany cytować? Bignon w swojej znakomitej, czysto archiwalnej Historii Napoleona nie cytował nic. Mignet w Historii rewolucyi — nic. Podobnie Thiers naogół w Historii Konsulatu i Cesarstwa, Macaulay w Studyach, opartych w znacznej części, jak o Pittach, Hastingsie i innych na obszernym materiale archiwalnym, a wszędzie na ogromnym drukowanym, — nic; w Historii Anglii, w porównaniu z użytym materiałem, — prawie nic. Ranke w biografii Fryderyka Wilhelma IV — nic; w Dwunastu księgach pruskich, w Związku książąt, w Początku wojen rewolucyjnych, — prawie nic. Sybel w Dobie rewolucyjnej — prawie nic, w Założeniu cesarstwa niemieckiego — nic. Weźmy prace najnowsze, prawie z dnia dzisiejszego, a pióra najpierwszych uczonych zawodowców. P. Koser, dyrektor Archiwum berlińskiego, wydaje obecnie wielką historję Fryderyka Wielkiego, opartą na wieloletnich, nadzwyczaj pracowitych poszukiwaniach, i do każdego ogromnego tomu, zupełnie bez cytacyi, dodaje na końcu kilka stronisk skąpych przypisów. Prof. getyngeski M. Lehmann, dziś pewnie najgłębszy erudyta w historyografii nowożytnej niemieckiej, ogłosił pierwsze dwa tomy pomnikowej biografii Steina i w dodanych zwięzłych cytacyach wskazał ledwo znikomą część zużytkowanego olbrzymiego

materyału. Tak samo postąpił sobie prof. paryski A. Aulard w swojej nowej historii Rewolucji francuskiej, gdzie zawarł owoc dwudziestoletnich, niesłychanie drobnostkowych badań specjalnych. Prof. berliński M. Lenz, najsubtelniejszy dziś krytyk tekstów dyplomacji nowożytnej, wydał świeżo najlepszą dotychczas, ściśle źródłową Historię Bismarcka i obszedł się absolutnie bez cytacyi. Jednak nikomu z poważnych krytyków fachowych nie przyszło na myśl kwestyonować naukowej wartości tych pisarzy i ich dzieł na tej tylko negatywnej podstawie. Dlaczego? Dla bardzo elementarnych powodów, tkwiących w samej naturze umiejętności badań nad dziejami nowożytnymi.

A więc nasamprzód pełny aparat dowodowy w niektórych dziedzinach tych dziejów, zwłaszcza dyplomatyczno-politycznych, tak jest rozległy i skomplikowany, że podawać go w całości fizycznie nie podobna. Często zdarza się, że do kilku wierszy charakterystyki jednej postaci wypada ściągnąć dane z kilkudziesięciu dzieł i rękopisów. Kiedyindziej krótki opis jednego wypadku zebrany jest z konfrontacyi czterech lub pięciu relacyi poselskich, obok licznych sprawozdań świadków lokalnych, gazet spółczesnych, wiadomości pamiętnikarskich. Kiedyindziej jeszcze jakiś oderwany szczegół treści ekonomicznej lub wojskowej wymaga odwołania się do całej literatury fachowej. Dając rozumowaną kwintesencję, logiczny ekstrakt

poszukiwań tego rodzaju, nieraz wyłożyć przejrzyście całej uprzedniej pracy laboratoryjnej po prostu niema sposobu. A poniekąd nie ma też celu. Umiejętny krytyk fachowy nie powinien dopiero od krytykowanego autora uczyć się bibliografii przedmiotu i wskazań archiwalnych. Powinien być uzdolniony do samodzielnej oceny krytykowanych wywodów i sprawdzenia ich, jeśli, gdzie, i jak potrzeba. Zapewne: tego nie podobna bez właściwej kompetencji, bez odpowiedniego przygotowania, bez nakładu trudów. Ale właśnie dlatego tak być powinno.

Czyli znaczy to jednak, że wszelkie cytacje są tutaj zbędne? Bynajmniej. Pożądane są zawsze jako udogodnienie, w miarę możliwości, o ile nie przeszkadzają lekturze. Pożądane zwłaszcza w badaniach monograficzno-technicznych, których punkt ciężkości spoczywa nietylko w stronie narracyjnej, ile w dostarczeniu i zreferowaniu surowego materiału. Pożądane znów szczególnie tam, gdzie chodzi o zburzenie błędów ogólnie przyjętych i innowację prawd nieoczekiwanych. Dlatego, między innymi, tak dużo powołań dawał Taine, tam, gdzie był burzycielem i nowatorem, lub mniemał, że nim jest. Poza tem jeszcze, ze stanowiska pedagogicznego, najszczególowsze cytacje winny koniecznie być wymagane od historyków początkujących, jako niezbędny środek fachowego wyszkolenia, a zarazem jako warunek wstępu do zaufania w piśmien-

nictwie naukowem. To wymaganie jest surowo przestrzegane w szkołach historycznych francuskich i niemieckich, zwłaszcza przy rozprawach doktorskich, t. zw. inauguralnych, a przestrzega go oczywiście najściślej niżej podpisany, jak ongi względem siebie, tak dziś względem uczniów swoich. I to jest wszystko. Te zasady elementarne widocznie nie przeniknęły jeszcze do tej części krytyków naszych, którzy wartość naukową prac historycznych odmierzają wedle długości przywieszonych do nich cytacji. Jednak można popisywać się bardzo długą dewizką, a w kieszeni nosić np. guzik. A można też obchodzić się całkiem bez dewizki przy doskonale idącym chronometrze. Do tego jeszcze chyba możnaby dołączyć uwagę, że, co się tycze nowych i najnowszych dziejów polskich, znaczna część archiwów bądź prywatnych bądź rządowych, skąd źródła bywają czerpane, nie może być bliżej wyszczególniona dla względów natury specjalnej.

Jeszcze bardziej nauczające od tych ogólnych przejawów krytycyzmu naukowego w dziedzinie historii nowożytnej bywają niektóre przejawy szczegółowe, obierające sobie za celownik jakiś osobny obiekt pisarski z tej dziedziny. Obiekt, zazwyczaj możliwie drobny, dla tem dobitniejszego wyładowania na nim druzgocącej potęgi krytycznej. Piękny wzór tego rodzaju przedstawia recenzja p. St. Krzemińskiego z powodu mikrosko-

pijnej rzeczy mojej, *Sto lat zarządu w Królestwie Polskiem*, mającej na widoku uczynić zadość potrzebom najszerzych kół czytelniczych, ujętej też w kształty najprostsze, z dobrowolnem pominięciem wielu szczegółów ze względu na cel swój i formę, obok koniecznego przemilczenia wielu innych ze względu na warunki specjalne. Recenzent obrócił przeciw tej drobnostce całą swą erudycyę naukową i drażliwość obywatelską, napiętnował w niej brak »tętna przekonania« i wytknął, *excusez du peu*, dwadzieścia pięć błędów faktycznych. Wykazało się natychmiast, że był wśród nich jeden istotny, polegający na mylnej cyfrze, przejętej przypadkiem z poważnego źródła; że natomiast wszystkie inne były złudzeniem recenzenta. Nie dał on oczywiście za wygranę: obstając jeszcze przy siedmnastu pierwotnych »błędach«, wyliczył na dobitkę jedenaście »nowych«, z których znowu jeden jest istotny taki: w dacie śmierci Aleksandra II erratum drukarskie »marzec 1883« zamiast marzec 1881. Nie może tutaj, rzecz prosta, być mowy o wznowieniu sporu dość bezpłodnego a raczej bezcelowego. Odsyłam ciekawych do samej recenzji, będącej wyśmienitym wzorem, jak recenzować nie należy, a która na szczęście uprzystępniona została przez recenzenta w postaci oddzielnej taniaj książeczki. Ograniczam się do wyjęcia stąd, tytułem ilustracyi, paru przykładów, pierwszych

z brzoza, gdyż wszystkie zresztą są prawie jednako instryktywne.

Wspomniałem w swem piśmie o »pominięciu samorządu« w Księstwie Warszawskim. Recenzent zaglądnął do konstytucyi 1807 r. i odkrył tam artykuły o radach departamentowych, powiatowych, municypalnych. Wnet pośpieszył ogłosić, że »zapewnienie« moje w tym względzie »jest zgoła historycznym fałszem«. Owóż, do abecadła wiedzy o Księstwie należy fakt nieobecności w niem samorządu. Były wprawdzie artykuły o rzeczonych radach, był nadto dekret królewski o radach gminnych, ale — samorządu nie było. Administracya lokalna pozostała w ręku prefektów, podprefektów, burmistrzów i wójtów. Spierać się o to tak samo nie podobna, jak o to, że dwa i dwa daje cztery; można co najwyżej odesłać do pierwszej lepszej książki szkolnej. Gdzieindziej — przykład nieskończenie drobny, lecz właśnie dlatego charakterystyczny, — wyliczając różne szkoły w Królestwie Kongresowem, napomknąłem też o »politechnicznej«. Recenzent odkrył, że istniała »szkoła przygotowawcza do instytutu politechnicznego« i pośpieszył wytknąć nieścisłość użytej *tout court* nazwy »szkoła politechniczna«. objaśniony zaś, że akta oryginalne tej szkoły wydobyłem od dawna, że na ich podstawie wykończa się pod moim kierunkiem specjalna jej monografia, że zakład ów, rozwinięty do rozmiarów istotnej politechniki, by-

wał też w aktach urzędowych wprost tak nazywany, — uznał za właściwe tem mocniej obstawać przy swoim i ponad mizerną wiedzę archiwalną, którą »usiłuję go przerazić«, postawić swoją »kalendarzową naukę«, — choć naprawdę nawet w społecznym kalendarzu urzędowym mógłby właśnie wyczytać najdosłowniej zakwestyonowaną nazwę »Szkoły politechnicznej«. Gdzieindziej jeszcze — to jest jeden z błędów »nowych« — wzmiankuje o podniesieniu godzin wykładowych języka polskiego w gimnazyach rządowych Królestwa w 1882 r. Recenzent odkrył, że odpowiednia pierwotna uchwała nosi datę jeszcze z lutego 1881, i pospieszył wytknąć »błąd« w dacie. W rzeczywistości przecie, jak zresztą powszechnie wiadomo, z powodu nagłego zgonu Aleksandra II rzeczona uchwała na razie nie została wcale ogłoszona, lecz ujawniona i wprowadzona w wykonanie dopiero w następnym 1882 r. wraz z wyznaczeniem funduszu na »wzmocnienie wykładow języka polskiego w gimnazyach i szkołach realnych Okręgu naukowego warszawskiego«. Co w tem wszystkim jednak, niezawisłe od samego osobliwego kalibru podobnych zarzutów, wydaje się szczególnie budującym, to znowuż sama zasadnicza strona metodyczna. Metoda krytyków, niedość przygotowanych do pełnienia trudnej czynności rewizyjnej w rozległej dziedzinie historii nowożytnej, błąkających się po niej na łasce trafu, na łasce przy-

godnych, będących akurat pod ręką środków pomocniczych, — polega przede wszystkim na tym nastroju psychicznym, który możnaby zdefiniować jako nieustanne odkrywanie Ameryki. Nie przestają oni odkrywać nieznanych lądów w każdym dokumencie, każdym źródle, każdej książce, którą biorą na pomoc, przystępując do swojej funkcji sędziowskiej; i gdzie tylko pomiędzy swoją świeżo odkrytą informacją a wykładem podsądnego autora mniemają dopatrzeć się najdrobniejszej bodaj sprzeczności pozornej, tam natychmiast z wysokości trybunalskiej spieszą ferować wyrok na sprawcę »falszu historycznego« i w szczęśliwej prostocie ducha kolumbowe święcić tryumfy. Psychologicznie biorąc, całkiem to rozumiame; naukowo — mniej pono fortunate.

Jednakowoż, jakkolwiek nauczającą mogłaby wydawać się powyższa produkcja krytyczna, trzeba wyznać, że błędnie ona w zupełności wobec innej, o której w tej chwili będzie mowa. Zapewne, recenzent poprzedni nie obszedł się ze mną zbyt łaskawie. Jego surowość, jak zwykle w takich wypadkach, była w stosunku odwrotnym do jego kompetencji. Obwieścił zadaną mi »klęskę«, moje twierdzenia uznał za »niewarte nawet złamanego szeląga«, za »wręcz bezmyślne«, postawił mi nawet smutną dyagnozę »rachityzmu duchowego«. Ale to trudno. To podobno należy jeszcze u nas do krytyki naukowej. Z tem wszyskiem atoli jeszcze nie

wydział mi nieodwołalnie ze świątyni nauki. Owszem, zostawił mi furtkę do powrotu, widoki ułaskawienia, bo widoki poprawy. Wyraził nadzieję, że jeśli pójdę śladem świątłych jego skazówek i zdobędę się na »prace dalsze, poważne, godne historyka«, w takim razie mogę liczyć na »pogrzebanie w najgłębszej niepamięci« popełnionych dotychczas grzechów, a nawet na »długi jeszcze zawód naukowy«. Zresztą, p. Krzemiński, choć piastuje w nauce historycznej tak wysoką władzę sędziowską, historykiem właściwie wcale nie jest. Jest nim natomiast p. Wł. Smoleński i jest też wolny od wszelkich optymistycznych złudzeń co do samej istoty, co do integralnej bezużyteczności moich usiłowań historyograficznych.

Poczytuję sobie w tem miejscu za obowiązek zastrzedz wyraźnie, — skoro nigdy dotychczas ani jednym słowem nie wydarzyło mi się wyjawic zdania o plonie naukowym p. Smoleńskiego, — że daleki jestem od wywzajemnienia się podobnym sądem o pracach jego własnych. Przeciwnie, jego działalność pisarska, dotycząca przeważnie doby nowożytnej, a ilościowo wcale pokaźna, wydaje mi się naogół, jak na skromne stosunki nasze, niezaprzeczenie użyteczną. Zapewne, niepodobna nie dostrzedz w niej niektórych stron bardzo słabych, niektórych braków zasadniczych a w oczy bijących. Przeważnie dają się one dostrzegać pod dwojakim mianowicie względem: pewnej, z góry powziętej,

nieraz dość jaskrawej jednostronności poglądu, i pewnej, niczem nieuzasadnionej dowolności w oparowaniu i ocenie materiału, zazwyczaj dość dorywczego i różnowartego. Daje się to odczuwać niekiedy bardzo dotkliwie. Tak więc, z powodu jednej z większych jego prac o *Przewrocie umysłowym w Polsce XVIII w.*, najwytrawniejszy znawca epoki, pomimo całej właściwej sobie wyrozumiałości, zmuszony był przypomnieć p. Smoleńskiemu, że »zadaniem historyka jest tylko rozjaśniać, tłumaczyć, systematyzować, określać zjawiska dziejowe. Jątrzyć namiętności, powoływać do decyzji haseł stroniczych i programów w tym lub owym kierunku — to już jest agitacja praktyczna, w nauce nieuprawniona. Szkoda bezpośrednia w tym razie ujawniła się w spaczeniu karykaturalnem kreślonego obrazu«. Możliwe jest jeszcze obostrzyć i najszczegółowiej uzasadnić sąd krytyczny o książce, mającej przedstawić umysłowość polską w wieku oświecenia, a będącej w znacznej części całkiem dowolnym zlepkiem ujemnych kuryozów, obfitującej w przeoczenia i nieporozumienia faktyczne i pojęciowe wprost bez liku, przedewszystkiem zaś absolutnie pozbawionej wszelkiego sprawiedliwego kryterium porównawczego, skutkiem absolutnej nieznamomości społecznej umysłowości i kultury europejskiej, zwłaszcza francuskiej, tak silnie oddziaływającej podówczas na polską. Albo znowuż, jeśli wziąć jedną z mniej-

szych, a potrzykroć odtłaczaną pracę tegoż autora, *Rządy pruskie na ziemiach polskich*, od pierwszego już wejrzenia uderzy i w nieme zadziwienie wprawi każdego czytelnika wystawiony na czele, jako źródło »wyłącznie prawie« użyte, imponujący spis aż 80 rozporządzeń rządowych pruskich, po części dotyczących materji tak ważnych jak tarcie lnu i konopi lub leczenie chorych owiec, a których jakoby »nie zregestrowała dotychczas bibliografia«. Rzecz prosta, że gdyby taki dorywczy spis kilkudziesięciu pierwszych lepszych, odkrytych przez siebie przepisów wystawił, jako źródło główne, np. historyk kilkunastu lat rządów austriackich w Galicyi albo rosyjskich w Królestwie Polskiem, oświeciłby go natychmiast każdy życzliwy czytelnik, że wszak podobno istnieje jakiś zbiór Pillerowski, jakies *Edicta et mandata, Ustawy prowincjonalne*, albo jakiś *Dziennik praw, Zbiór przepisów administracyjnych*, itp. nader pożyteczne wielotomowe wydawnictwa, gdzie mieszczą się całe setki najcelniejszych sankcyi rządowych. Podobnie i w tym wypadku godziło się zapewne zacząć od abecadła, tj. od poinformowania się o egzystencji jakiegoś *Novum corpus constitutionum prussico-brandenburgensium* — tego niezbędnego zbioru prawodawczo-administracyjnych zarządzeń pruskich w pierwszej dobie porozbiorowej, wydawanego z polecenia Fryderyka Wilhelma II i III przez Akademię berlińską, olbrzymich, po parę tysięcy

stronic, foliantów, które prześlepić jest istotnie sztuką nielada, a które od biedy nawet bez znajomości języka niemieckiego możnaby przewertować z korzyścią, gdyż sporo tam ustaw ogłoszonych dosłownie po polsku, — oraz całego szeregu pokrewnych zbiorów źródłowych, gdzie zawiera się bardzo porządnie »regestrowana« mnogość niepomierna uchwał i dokumentów oficjalnych, będących dopiero istotnym wyrazem »rządów pruskich na ziemiach polskich«. To wszystko bez kwestyi znamionuje w sposobie badań p. Smoleńskiego pewne, bardzo daleko idące niewyrobienie, a stąd w ich wynikach powoduje pewne, godne pożałowania, braki bardzo poważne. Ale to wszystko nie znaczy bynajmniej, aby, zwłaszcza jak na ubóstwo naszej historyografii nowożytnej, te jego badania nie miały stanowić, bądź co bądź, pożądanego dla niej nabytku. Owszem, pracowitą działalność historyograficzną p. Smoleńskiego należy naogół, jak się rzekło, uznać za wcale użyteczną. W każdym razie wydaje się ona taką w stopniu daleko wyższym, aniżeli jego działalność krytyczna.

P. Smoleński poświęcił mi artykuł krytyczny, którego również nie omieszkał uprzystępnic ogółowi pod postacią osobnej taniej broszury, któremu znowuż życzyć potrzeba jak najszerszego rozpowszechnienia i do którego podobnie w całości odesłać wypada. Albowiem, jeśli poprzednia krytyka była bardzo dobrym wzorem, jak recenzować

nie należy, ta jest wzorem doskonałym, jak recenzować zgoła nie podobna.

P. Smoleński, jak przystoi na sędziego, wyrokującego w ostatniej instancji, rozpoczyna od założeń najogólniejszych. Przystępuje do zbadania mego »warsztatu i narzędzi roboczych«. »Historycy — pisze — są genialni i mierni, bystrzy i tępi, gruntowni i powierzchowni. Choć w różnym stopniu, wszyscy są użyteczni, o ile zdobywają i głoszą prawdę. Nie mówię o prawdzie historyzoficznej. Mam na myśli prawdę gołych faktów, które stanowią rusztowanie wszelkiej syntezy, fundament nauki historycznej. Kontrola prawdy leży głównie na sumieniu historyka«. Tak jest niewątpliwie. Historyk, który temu warunkowi nie odpowiada, który nie »zdobywa i głosi prawdy«, jest gorzej niż »mierny«, »tępy«, czy »powierzchowny«, gdyż nie jest »użyteczny«, nie jest zgoła historykiem. Owóż, p. Smoleński przedsięwziął sobie poszukać, czy czasem nie jestem właśnie takim? »Poszukuję w nim (we mnie) tylko najelementarniejszej cnoty, wymaganej od każdego historyka, sumienności w poszukiwaniu i głoszeniu prawdy gołych faktów«.

Do tak interesującego poszukiwania obrał sobie krytyk jedną moją pracę, obejmującą 5 kart druku, ogłoszoną kiedyś w *Bibliotece warszawskiej* w dziale »Materyały i notatki«, a przedrukowaną w *Dwóch Stuleciach*, p. t. *Odgłosy Targowicy*. Wybór taki

zgadza się bardzo dobrze, jak już wiemy, z tym obyczajem metodycznym podobnej krytyki, wedle którego zaleca się obierać jak najmniejszy obiekt krytyczny, by tem snadniej wyładować na nim moc krytyczną. Zresztą, recenzent nie pozostawia żadnej wątpliwości, że nie chodzi tu o jakiś wyjątek pośród mojej produkcji naukowej, który mógłby wyjątkowo chybić, ale właśnie o probierz przeciętnej wartości całej tej produkcji. »Nie wiem, czy (ta praca) jest najgorszą czy też najlepszą. Zwróciłem na nią uwagę, poszukując materiałów do historii konfederacji targowickiej. Studya specjalne dały mi możność skontrolować ją dokładnie, a *bez nakładu trudów*. Dlatego też użyłem tej, a nie innej pracy prof. A. do oświetlenia jego metody badań historycznych«. I ten również szczególnie zgadza się wybornie z uświęconemi tradycjami krytyki tego gatunku. Hasłem jej — radzić sobie »bez nakładu trudów«. Aliści bez takiego nakładu tykać dziś umiejętnych dziejów nowożytnych, czy to piórem historyka, czy piórem krytyka, niezdrowo, niebezpieczna. Łatwo też, bez trudu, przyszło p. Smoleńskiemu wytoczyć najcięższe zarzuty, jakie tylko przeciw uczonemu wytoczyć podobna: lecz z jakim przyszło skutkiem, to się zaraz dowodnie okaże.

W tem miejscu — małe przedwstępne wyjaśnienie faktyczne. Podczas powstania 1794 r., po wzięciu pałacu Igelströma w Warszawie, wpadły

w ręce ludu papiery ambasady rosyjskiej. Przechodziły one następnie najrozmaitsze koleje. Część tych papierów drogą kupna dostała się do jednej z bibliotek prywatnych warszawskich, gdzie przed kilku laty zostały mi do zbadania powierzone. Znalazłem nietkniętą jeszcze *indigestam molem* dokumentów, wśród których wyróżniłem, między innymi, część aktów oryginalnych kancelaryi Bułhakowa i Sieversa z 1791—1793 r. Te właśnie akta zostały głównym źródłem inkryminowanej rozprawki. Powiadam: głównym, gdyż obok nich użytkowane były nadto notatki i odpisy z archiwów krakowskich, oraz papiery generała Fiszera z 1792—3 r. Tamte jednak papiery ambasadorskie dostarczyły głównego wątku. Przedstawiają one mianowicie dwie kategorie dokumentów: 1) oryginały korespondencji francuskiej, adresowanej do ambasady, a wśród nich listy Szczęsnego Potockiego (którego charakter pisma jest dobrze znany), a nawet autografy Katarzyny II, (której charakter pisma sprawdziłem wedle autografów, znajdujących się w archiwum p. P. Popiela w Krakowie); i 2) oryginalne kopie korespondencji spólczesnej, zwłaszcza pomiędzy Szczęsnym a królem, Małachowskim, i *vice versa*, w przekładzie francuskim, — oryginalne, tj. komunikowane spólcześnie ambasadzie przez korespondentów i opatrzone własnoręcznie adnotacyami Bułhakowa (którego charakter pisma sprawdziłem wedle autografów, znajdujących

się w archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie). Z dokumentów pierwszej kategorii, jako rozporządzalnych tutaj w pierwotnym brzmieniu francuskim, podałem niektóre dosłownie w przypisach; z dokumentów drugiej kategorii, jako rozporządzalnych wprawdzie w postaci wierzytelnej, lecz w wersji francuskiej z pierwotnego brzmienia polskiego, podałem streszczenie w samej rozprawce, niektóre z nich wyrażenia dobitniejsze kładąc w cudzysłowie, w retradukcyi na pierwotny ich tekst polski.

Po tem wyjaśnieniu można wrócić do rzeczy. »Znak pisarski, zwany cudzysłowem — od pięknego tego aksjomatu rozpoczyna p. Smoleński — służy do dosłownego oddania tekstu odnośnego dokumentu. Prof. A. przytacza w cudzysłowie takie wyrażenia i frazesy, których w dokumentach niema. Wspominając np. o korespondencyi króla z Potockim, powiada:

Stanowczą odprawę był dał wtedy Potocki, piorunując na poniżające »niewolnictwo«, stworzone przez »dzień feralny 3 maja« (str. 306).

Wyrazów, podanych w *cudzysłowie*, nie znajduję w liście Potockiego ze stycznia 1792 r., na który się prof. A. powołuje.

Powołuję się istotnie do zakwestyonowanych wyrazów w odpowiednim przypisie na list »Potockiego do Małachowskiego, 19 stycz. 1792«. Oto teraz brzmienie odpowiednich ustępów tego listu wedle oryginalnej kopii francuskiej, adnotowanej

ręką Bułhakowa, a pochodzącej z rzeczonyj biblioteki prywatnej warszawskiej:

»... A la fin on a vu paroître le 3 mai, journée fatale pour la Pologne, où on a dopouillé de la liberté la Nation... Après cette journée fatale, qui ne fait envisager dans l'avenir que l'esclavage ou des calamités pour la Patrie, puis je prêter serment sur la Constitution qui en a été le résultat!...«

Dalej pisze p. Smoleński: »O akcesie do konfederacyi taki czytamy ustęp:

O przystąpieniu do wspólnego teraz dzieła pospieszył osobiście donieść Potockiemu Stanisław August... Postawił na swoim, wygrał magnat. Skruszyć się, ukorzyć wypadło królowi. W pokornych wyrazach Stanisław August zawiadamia marszałka o swoim akcesie. Upewnia go o swoim niewzruszonym przywiązaniu i przyjaźni, której zawsze, we wszystkich okazjach, jawne dawał dowody, prosi o przywrócenie sobie jego »osobistego zaufania«; sam przed nim »serce swoje otwiera«, względem wspólnej odtąd pracy dla dobra kraju porozumieć się pragnie.

Ile w tym ustępie jest prawdy, dowodzi tekst listu króla do Potockiego z 24 lipca 1792 r. (tu krytyk cytuje ten list podług *Korespondenta warszawskiego*). Gdzie tu skrucha i korzenie się? Gdzie wyrażenia podane przez prof. A. w *cudzy-słowie*? Gdzie wreszcie dowód, że Stanisław August osobiście zawiadomił Potockiego o swym akcesie? Ależ nie zawiadamiał go o tem osobiście!... Powagę Potockiego jako marszałka konfederacyi bagatelizował i dlatego ściągnął na siebie jego gniew«.

O wszystkich pytajnikach i wykrzykniczkach re-

cententa, dotyczących tego dokumentu, wnet będzie mowa. Na razie — trzymajmy się cudzysłowu. Oto brzmienie odpowiednich ustępów tego listu królewskiego wedle oryginalnej kopii, jak wyżej:

«Je pense donc avoir droit à votre confiance personnelle en moi, je la désire pour hater et faciliter la tranquillité de notre Patrie commune. ...Vous ouvrant mon coeur avec franchise, je me flatte que vous voudrés bien vous entendre avec moi, ce que je désire ardemment et sans quoi je ne puis esperer de travailler avec succès au bonheur du pays...»

Rozpocząwszy rzecz swoją od powyższych dwóch zarzutów zmyślenia pojedynczych wyrazów cudzysłownych, p. Smoleński wieńczy ją przez zarzut jeszcze bardziej interesujący — zmyślenia całego, najszczególniej streszczonego dokumentu.

25 sierpnia 1792 r. podpisał Stanisław August wymuszony na nim powtórny akces do Targowicy. Natychmiast, tego samego dnia 25 sierpnia, doniósł o tem Potockiemu w liście, który znalazłem wśród papierów Bułhakowa, jak wyżej, w wersji francuskiej i streściłem szczegółowo w takich słowach:

...Zarazem pośpieszył król zawiadomić go (Potockiego) o tym nowym dowodzie swojej uległości. Zwracał uwagę, że podpisał bez żadnej zmiany, chociaż niektóre wyrażenia tak były dotkliwe; donosił, że rozkazał już gwardyom złożyć przysięgę na wierność Targowicy; Bogiem się świadczył, że ani sam nigdy nie dążył do samowładztwa, ani też do szerzenia w kraju zarazy demokratycznej; wyraził w końcu nadzieję zachowania sobie i nadal życzliwych afektów marszałkowskich...

P. Smoleński tak pisze z tego powodu: »A cytowany list królewski z dnia 26 (25) sierpnia? Datę jego prof. A. wykombinował również z pisma Potockiego z 2 września, i *jestem pewny, że samego listu nie widział*. Wprawdzie podaje w tekście treść jego (str. 308), lecz właśnie ta treść naprowadza mnie na wątpliwości. W tym to liście król, według prof. A., donosił, że »rozkazał już gwardyom złożyć przysięgę na wierność Targowicy«, w co dla przyczyn, wyłożonych wyżej, nie wierzę«.

Niema żadnej potrzeby rozstrząsać owych, błahych nad wszelki wyraz, »przyczyn« niewiary p. Smoleńskiego. Oto brzmienie odpowiednich ustępów tego listu królewskiego wedle oryginalnej kopii jak wyżej:

»...J'invoque hardiment le Temoin Supreme, que je n'ai jamais eu en vue ni de m'eriger moi-même en despote, ni d'introduire la démocratie en Pologne, ni d'offenser ma nation, et je suis persuadé qu'aucune de mes demarches n'a donné lieu de m'imputer avec quelque fondement des desseins de cette nature... La preuve la plus convaincante, que je puisse donner de ces assertions c'est, que sans m'arrêter à aucune des expressions du Projet d'accession, que vous m'avez fait parvenir, Mr., je le signe sans aucun changement. Les Gardes viennent de prêter serment d'après la formule prescrite pour le reste des Troupes. Que ces demarches effectuées par moi (t j. podpisanie akcesu i przysięga gwardyi) et partant de l'affection la plus sincere pour la Patrie, servent de ciment à l'union amicale et solide de nos Compatriotes avec moi, et nommement à la votre. Vous ayant prouvé, Mr., mon affection en tant de ren-

contres, j'ai lieu d'esperer et je désire même d'éprouver effectivement de votre part les mêmes sentiments à mon égard».

Morał w danym wypadku jest aż nadto dobitny. Ale mniejsza już o sam ten wypadek, aczkolwiek dosyć chyba niezwykajny. Chodzi tutaj o morał ogólniejszy, zasadniczy. Twierdzę mianowicie na mocy ogólnej, metodycznej zasady, że krytyki tego rodzaju, w tej formie negatywnej, na podobnym negatywnym założeniu, uprawiać nie wolno.

Oto dlaczego. W danym wypadku wziąłem dobrowolnie na siebie ciężar pozytywnego dowodu prawdy. Mogłem to uczynić, gdyż namacalne świadectwa rzeczowe mam w ręku. Mam w ręku dokumenty oryginalne, które negatywnie, nie znając ich, nie widząc, dlatego właśnie, że nie znał, nie widział, — zakwestyonował krytyk. Ale mogłoby się wydarzyć, żebym ich nie miał. W ciągu lat kilku mogły przejść do rąk innych, mogły stać się nieprzystępne, mogły wreszcie zaginać, zniszczyć. Cóż wtedy? Wtedy na pracy, wziętej rozmyślnie za probierz całej działalności naukowej pisarza, a zatem na całej tej działalności zaciążyłby niweczający zarzut, wystawiony przez rzeczoznawcę, któremu »studya specjalne dały możność skontrolować (go) dokładnie«? Albo niechaj podobny zarzut zostanie skierowany przeciw któremu z młodszych, mniej doświadczonych badaczy, przeciw któremu z uczniów moich, zbierających źródła do prac swolch w licznych archiwach krajowych i zagra-

nicznych; niechaj im któryś domorosły autorytet wręcz oświadczy publicznie, że »jest przekonany«, iż jakiegoś najszczegółowiej streszczonego dokumentu »nie widzieli«. Cóż zrobią? Pojadą do Paryża lub Berlina, do Rydzyny lub Nieświeża, przywozić z archiwum fotografię lub notaryalny odpis dokumentu? Lecz dam przykład konkretny, który najlepiej wyjaśni ogólną, metodyczną stronę sprawy. Kalinka w swoim *Sejmie Czteroletnim* podał deklarację gwarancyjną rosyjsko-austriacką z d. 21 maja 1788. Owóż aktu tego niema w urzędowym zbiorze traktatów austro-rosyjskich, wydanym przez prof. Martensa z ramienia petersburskiego ministerium spraw zagranicznych. Niema go też w urzędowym zbiorze traktatów austriackich, wydanym przez Neumanna z ramienia wiedeńskiego ministerium spraw zagranicznych. Tłómaczka niemiecka Kalinki, pani Dohrn-Baranowska, w tem miejscu swego przekładu dodała uwagę, że nie mogła znaleźć tego aktu w archiwum wiedeńskim. Sam wreszcie robiłem tam za nim poszukiwania osobiście, przy pomocy dyrektora wiedeńskiego archiwum państwa, — lecz napróżno. Cóż z tego? Tyle tylko, że w *Przymierzu polsko-pruskiem*, powołując rzeczoną deklarację z odesłaniem do Kalinki, zazaczyłem poprostu powyższe szczegóły jej nieodszukania. Nic więcej. Albowiem na tej jedynie negatywnej podstawie wolno mi przypuścić wszystko: że rzeczona deklaracja została wzięta

z archiwum do ministerium, że w samym archiwum została zarzucona do innego fascykułu, że się spaliła; wszystko — tylko nie tego jednego, że Kalinka zmyślił dokument. I tutaj właśnie tkwi wyższa racja ogólna. Dzisiejsza umiejętna historiografia nowożytna tem się różni, między innymi, od średniowiecznej, że polega ona nietyle na interpretacji znanych źródeł, ile w bardzo znacznym stopniu na eksploracji nowych. Ilość zaś tych ostatnich jest niemal nieograniczona. Kompletna ich publikacja jest skutkiem tego wykluczona, a natomiast przychodzi z musu ograniczać się przeważnie do referatu ich treści. Stąd każdy nieposzlakowany historyk posiada tutaj wiarogodność notaryusza publicznego w zakresie autentycznego zaświadczenia o zawartości użytkowanych przez siebie, chociażby w kształcie dosłownym nieujawnionych, dokumentów dziejowych. Dodać do tego należałoby jeszcze tę okoliczność specjalną, dotyczącą nowożytnych dziejów polskich, że wobec braku niewzruszonego zbiornika źródeł oryginalnych, jaki stanowić może jedynie centralne archiwum państwowe, wobec konieczności odwoływania się do rozrzuconych archiwów prywatnych, których stan czynny a nawet przystępność ulegać może najrozmaitszym wahaniom, powyższa reguła ogólna tem ściślej musi być przestrzegana i stosowana. Rzecz prosta: i zaświadczenie notaryusza publicznego ulega pozytywnej rewizji; lecz nie

ulega ono negatywnemu posądzeniu. A więc pozytywnie jaknajostrzej sprawdzać, rewidować, kontrolować — zawsze; negatywnie posądzać — nigdy: takie jest w tej dziedzinie obowiązujące elementarne wskazanie zdrowej krytyki naukowej.

Wracam teraz do zawieszonych poprzednio wykrzykników p. Smoleńskiego z powodu listu królewskiego z 24 lipca 1792 r. Oprócz załatwionego już cudzysłowu, zakwestyonowane zostało: naprzód, pojęcie tego listu jako objawu »skruczy i korzenia się«; następnie, — zawiadomienie Potockiego przez ten list, przy tym liście, o akcesie królewskim.

Co do pierwszego, spór pono byłby bez nadzieiny. Król, zmuszony złamać przysięgę na Ustawę majową, pisze do będącego pod prawem, do zbuntowanego poddanego, stawiającego mu nogę na karku, i doprasza się »porozumienia«, »zaufania«, upewnia go o swoim »przywiązaniu«, życzy mu »wszelkich z serca od Boga pomyślności«. Różne być mogą o godności monarszej i ludzkiej pojęcia. Wolność mi w takiej rzeczy widzieć pokorę; wolno widzieć co innego memu krytykowi. Zbyt różne podobno nasze kryteria; spierać się nie miałyby celu.

Inna rzecz — kwestya zawiadomienia Potockiego o akcesie. To już nie kwestya widzimisia, ale faktu. Powiedziałem, że król »urzędowy akces» doręczył Bułhakowowi i że o tym swoim kroku »pospieszył osobiście donieść Potockiemu«. Proszę

dobrze zważyć. Król w Warszawie podpisuje fatalny akt i składa go w oryginale na ręce posła rosyjskiego. Natychmiast, tego samego dnia, powyższe pokorne pismo posyła głowie Targowicy, Szczęsnemu, z którym od pół roku zerwał stosunki. Posyła przez miłego Potockiemu Ożarowskiego. Cóż to znaczyło, coś innego miało na celu, jak »zawiadomić marszałka o swoim akcesie«? Nikt tego inaczej nie zrozumie. Tak dalece, że w Zbiorze Angeberga (Czartoryskiego), gdzie ten list królewski z 24 lipca jest wydrukowany, został on opatrzony takim nagłówkiem: *»Lettre du roi Stanislas Auguste à S. F. Potocki, en lui déclarant qu'il n'a jamais différé avec lui dans sa conduite politique, et il lui annonce son adhésion à la confédération de Targowica«*. Tak mówi prosty rozsądek. Ale nie dość na tem. Jasnym jest, że Ożarowski nietylko z listem królewskim i nietylko z językiem o dokonanych akcesie jechał do Potockiego, ale że musiał mieć w kieszeni daną sobie na drogę kopię dosłowną tego związłego, kilkowierszowego akcesu, będącego wszak odrazu sekretem publicznym. Można tego niechybnie się domyśleć. Ale można też namacalnie wykazać. W istocie, p. Smoleński zaprzecza rzeczy tak oczywistej, jak zawiadomienie Potockiego przez i przy piśmie królewskim 24 lipca, na tej niby zasadzie, że Potocki, odpisując królowi 1 sierpnia, jeszcze rzekomo w tym względzie pozostawał w niewiado-

mości. P. Smoleński cytuje mianowicie taki wyrwany ustęp z odpowiedzi Potockiego: »Słyszę tu o akcesie WKM. do konfederacji«. Ma to być dowodem, że nie był »zawiadomiony«, skoro mówi tylko ze słyszenia. Dowód chyba dość osobliwy. Ale wyda się on tem osobliwszym, skoro się usłyszy dokończenie tego ustępu, przemilczone przez p. Smoleńskiego. Oto jego brznięcie, wedle autentycznej kopii w przekładzie francuskim, posłanej nazajutrz przez Potockiego do Bułhakowa: »J'entends parler ici de l'accession de V. M. à cette Confédération qui jura d'anéantir la nouvelle monarchie, de faire revivre la République et de la faire durer à jamais. Je n'ai pas vu l'original de cette accession, mais s'il est conforme à la *copie qui m'en a été montrée*, pourquoi, Sire, voulez-vous accéder avec l'armée?« Więc marszałek miał w ręku kopię akcesu, przywiezioną oczywiście przez Ożarowskiego wraz z listem królewskim. Zaś negujący oczywistość krytyk miał w ręku dowód istnienia tej kopii, — gdyż trudno przypuścić, żeby nie znał dokończenia frazesu, którego urwany początek podaje za dowód.

Jedna jeszcze uwaga rzeczowa, — żeby przynajmniej z tej kazuistyki pseudo-krytycznej wydobyc jakąś stronę poważniejszą. P. Smoleński całą sprawę ówczesną między Szczęsnym a Stanisławem Augustem sprowadza do tego, że król »powagę Potockiego jako marszałka bagatelizował i dlatego

ściągnął na siebie jego gniew«. Bogać tam w takiej chwili Stanisław August mógł bagatelizować Szczęsnego. Bogać Szczęsny — myśleć o obraźliwych dąsach. O co chodziło naprawdę, to w takich wyraziłem słowach: »Urodzony oligarcha, zamysławający o Rzpltej bez pana, chyba pod sobą jedynym jako panem, godził bezpośrednio w monarchę, którego spodziewał się usunąć, którego może zastąpić tajną żywił ambicyę. Zaczął od odebrania mu zarządu nad wojskiem..., od milczącego złożenia go z tronu. Zapomniał o drugiej czynności — podziałowej«. Tę rzecz pragnąłem uwydatnić: obok udanej sprawy podziałowej, udaremioną detronizacyjną. Tego samego dnia 1 sierpnia, kiedy powyższe wyrazy kreślił do Stanisława Augusta, Potocki pisał do Katarzyny: »Déjà V. M. est devenue la libératrice de notre République, mais, Madame, achevez votre ouvrage... Songez, Madame, que tout Roi de Pologne tentera de faire ce qu'a tenté celui,... et si la science de l'intrigue se mêle un jour au courage personnel, il fera répandre plus de sang encore... Il faut ôter toute possibilité que (la Pologne) puisse devenir monarchie. Le nom du Roi égare celui qui monte sur le trône et éblouit ceux qui le voient monter«. Oligarcha chciał prawdopodobnie jakiejś oligarchii, chciał napewno — detronizacyi.

Ale od tych rzeczy ważnych wypada wrócić do

drogocennych »spozrzeń« recenzenta i załatwić je pokrótce w pozostałej ich kolei.

Streściwszy »na niewidzianego« ów zakwestyjonowany list królewski z 25 sierpnia, piszę: »Z odpowiedzią do króla nie kwapił się marszałek«. Na to krytyk: »Ależ przeciwnie, kwapił się! Odpowiedział królowi listem z 1 września z Szacka na Wołyniu«; i powołuje takowy z *Korespondenta warszawskiego*, — lecz nie informuje bliżej o charakterze tego dokumentu. Trafnie czyni: gdyż przemilcza w ten sposób, że nie jest to bynajmniej żadna odpowiedź Potockiego na powyższe osobiste pismo królewskie, ale poprostu oficjalna odezwa Konfederacyi Gen. Kor. do króla, »dana na sesyi«, podpisana razem z marszałkiem Potockim przez sekretarza Dyzmę Bończę Tomaszewskiego, »o nominowanie na komisarzów skarbowych z stanu rycerskiego osób dwóch i tych reskryptem zaszczylenie, iżby Komisya skarbowa kor. mogła mieć do czynności swoich komplet«. Nietylko więc »nie kwapił się z odpowiedzią« Potocki, ale naprawdę — choć w innych materyach jeszcze później w okrutnym tonie pisywał do króla — nigdy jej już nie udzielił do śmierci.

Z powodu stosunku Potockiego do Bułhakowa tak piszę: »Ale dyktator Rzpltej... niedługo mógł cieszyć się przyjaźnią prostego, trzeciorzędnego agenta, bez znaczenia, nawet bez przyszłości służbowej, małego radcy kancelaryjnego, dosługującego

się w pocie czoła skromnej rangi radcy stanu, skromnego orderu i skromnej emerytury, trzymanego w Warszawie na połowicznym etacie, na tymczasowe potrzeby, a wycierającego w Petersburgu kąty Potemkinów i Zubowych, jakim był J. I. Bułhakow«. Na to krytyk: »Wiarogodności powyższego wykładu zaprzecza reskrypt imperatrowej z d. 25 listop. 1792 r., w którym pomiędzy innymi czytamy: Przebywającego tam (w Warszawie) w charakterze nadzwyczajnego posła i ministra pełnomocnego, radcę tajnego Bułhakowa«.

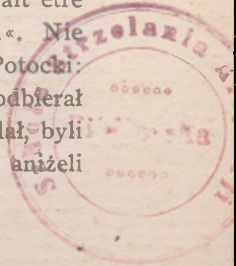
Jeżeli tu chodzi o gatunek sowietnikostwa: kancelarskiego, nadwornego, statskiego, rzeczywistego statskiego, tajnego, albo rzeczywistego tajnego, — w takim razie możnaby bodaj przyjść z pomocą krytykowi jeszcze ważniejszym odkryciem, że Bułhakow posunięty został »w Naszi tajnyje sowietniki« już ukazem cesarzowej z d. 2/13 czerwca 1790 po wypuszczeniu z Siedmiu Wież stambulskich, i że następnie wraz z odstawką został nawet i umarł »diejstwitelny tajnym«. Ale podobno chodzi tutaj o co innego. Do Warszawy posyłała cesarzowa z reguły wielkorządców, prokonsulów. Byli to z reguły ludzie wpływowi, możni, wedle wyrażenia rosyjskiego »siłę mający«. Byli: baron Kayserling, książę Repnin, książę Wołkoński, hrabia Saldern, baron Stackelberg, baron Sievers. Inaczej Bułhakow. Był on z t. zw. »kanceljarszczyzny«, był »kazański sierota«, goły służbi-

sta, ciężko i zwolna przez lat kilkadziesiąt awansujący, używany do misji przykrych i ryzykownych, wpakowany też swego czasu do wieży przez Turków, potem z łaski Potemkina posłany do Warszawy Wielkiego Sejmu, kiedy tam siedzieć było najniewygodniej, i wnet wyrzucony stąd jak z procy i zastąpiony przez Sieversa, kiedy znów nadeszła pora rządów prokonsularnych. Zdawało mi się, że jest pewna psychologiczna różnica pomiędzy np. stosunkiem starych Czartoryskich do człowieka ich sfery, wszechmocnego księcia Repnina, który potrafi zadzierać z Orłowymi, Potemkinem, samą cesarzową, a deferencyą Szczęsnego dla wygłodzonego Bułhakowa, który sam, zgięty w pałąk, płaszczy się i czołga przed potentatami petersburskimi. »Wiarogodność powyższego wykładu«, zaczerpniętego wprost ze źródeł, daje się stwierdzić z matematyczną ścisłością w najdrobniejszych szczegółach. Zarazem zaś daje się znów stwierdzić namacalnie ta sama osobliwsza kolumbowa psychologia podobnych krytyków, polegająca na odkrywaniu liter, a nierozumieniu istotnego sensu zjawisk i stosunków dziejowych.

Na wieść o wkroczeniu Prusaków — piszę — »wszczał się alarm w Grodnie. W pierwszym zapale porwano się do szabli. Wydano uniwersały na popolite ruszenie«. Na to krytyk: »Ustęp powyższy prof. A. zredagował na podstawie podręczników szkolnych, które niezawsze przestrzegają

ściłości. Zamiast: uniwersały na pospolite ruszenie, powinno być: uniwersały o gotowości na pospolite ruszenie».

Nie śmiem wdawać się w domysły, jaki to mianowicie nieściśły »podręcznik« pragnął przy tej okazji napiętnować ostry krytyk. Najpewniej chyba p. Smoleński miał tutaj na widoku nowy, istotnie dość lichey, podręcznik p. Wł. Grabińskiego *Dzieje narodu polskiego*, gdzie w rzeczy samej wydrukowano dosłownie, że »uniwersałem z 11 lutego r. 1793 wezwała konfederacja szlachtę na pospolite ruszenie«. Nie podejmuję się obrony p. Grabińskiego przeciw p. Smoleńskiemu: niechaj rozprawią się między sobą. Co się mnie tyczy, to inkryminowany ustęp, jak świadczy odnośna cytacja, »zredagowałem« na podstawie »raportów Byszewskiego i własnor. Dziennika Fiszera, wtedy kapitana w sztabie głównym dywizji wielkopolskiej«. W rzeczonym dzienniku tak pisze Fiszer pod d. 16 lutego 1793, z Warszawy: »Wczoraj przyszedł tu uniwersał od Generalności do pospolitego ruszenia«. Co więcej, ogłoszony przeze mnie tuż list Potockiego do Sieversa, 19 lutego, z Grodna, zaczyna się od słów: »V. E. paraît être mécontente de l'universal pour l'arrière-ban«. Nie napisał ani Fiszer: »o gotowości«, ani Potocki: »de la préparation«. Sztabowiec, który odbierał uniwersał, ba, sam marszałek, który go wydał, byli mniej ściśli w sposobie wystowienia się, aniżeli



tego wymaga skrupulatny krytyk: widocznie informowali się nieogłędnie »na podstawie podręczników szkolnych«.

W dalszym ciągu »uchybień« moich z naciśkiem podnosi recenzent, że »zamilczał, skąd zaczerpnął(em) materiały, chociaż nic nie stało na przeszkodzie zaznaczeniu, że oryginały listów Potockiego znajdują się w bibliotece (tu wymienione nazwisko właściciela). Informacja ta przydałaby się dla ułatwienia ciekawym kontroli«. Pomijam dotkniętą już powyżej kwestyę ogólną obowiązkowości takich wskazań. Merytorycznie do powiedzenia jest tyle: tym razem ujawnieniu właściciela »stało na przeszkodzie« — wszystko, a nasamprzód wyraźna jego wola, wyraźnie mi zakomunikowana przy powierzeniu papierów. Lepiej zresztą zrozumie to każdy, zważywszy dane powyżej wyjaśnienie o genezie tych papierów, i lepiej też stosowność zarzutu krytyka oceni.

W jednym liście Potockiego, ogłoszonym przezemnie, dostrzegł krytyk opuszczonych kilka wyrazów, absolutnie bez żadnego znaczenia, i stąd wywnioskował, że »prof. A. kopiuje dokumenty nieuważnie i obywa się bez kollacyonowania. Kto chce z dokumentów, ujawnionych przez niego, korzystać, powinien zwrócić się do oryginałów«. Pomijam wniosek, lecz podnoszę założenie. Więc krytyk istotnie mniema, że kollacya dokumentów z doby nowożytnej jest z reguły obowiązkową,

jest praktykowaną, jest wykonalną? Gdyby pracował choć raz w któremkolwiek archiwum europejskim, za jednym stołem z najpierwszymi historykami tej doby, przekonałby się naocznie, że tak nie jest zgoła. Dowiedziałby się, że kto dziś pracuje nad tą dobą sposobem ciągłych, nie dorywczych tylko, studyów archiwalnych, ten operować musi zbyt znaczną ilością surowego materiału, ażeby — z wyjątkiem jedynie dokumentów szczególnej wagi, — o stałym kollacyonowaniu mogła nawet być mowa.

Ten sam wyżej wymieniony list Potockiego w oryginale rkp. nosi mylną datę: 2 août; poprawiłem ją na właściwą: 2 września. Poprawiłem dobrze, krytyk to przyznaje: zdawałoby się więc, że wszystko w porządku. Ale tak zdawać się może tylko temu, kto nie zna wszystkich finezyi krytyki tego gatunku. Krytyk wytyka mianowicie, że, obok poprawionej daty prawdziwej, również i o mylnej »nie wadziłoby wspomnieć dla charakterystyki roztargnienia Szczęsnego«. Dziwne życzenie, prawda? Lecz cóż powiedzieć na to, że w rzeczywistości cały ten list, *wraz z ową* »charakterystyczną« mylną datą, pisany jest ręką sekretarza, a tylko sam podpis położony przez Potockiego. Chyba więc chodzi o »charakterystykę roztargnienia« owego sekretarza? A może raczej — »roztargnienia« krytyka?

Wzmiankując o deklaracji pruskiej z powodu

wkroczenia wojsk, cytuję ją w takich słowach: »Deklaracya d. d. Berlin, 6 stycznia, zwykle mylnie datowana 16 stycznia, kiedy już została podana w Warszawie przez Buchholtza«. Na to krytyk, mający widać predylekcyę do wykrzykników: »Deklaracya Buchholtza o wkroczeniu do Polski wojsk pruskich jest według prof. A. zwykle »mylnie datowana 16 stycz.«; ależ nie mylnie! ta bowiem data, nie inna, umieszczona jest pod jej tekstem« — i powołuje się na przedruki tej deklaracyi z datą 16 stycznia w Zbiorze Angeberga i w Roczn. Pozn. Tow. P. N.

Rzecz jest pod względem metody budująca. Twierdzę o danym dokumencie, że jest »zwykle mylnie datowany 16 stycznia«; wnoszę poprawkę i podaję datę ścisłą 6 stycznia. Krytyk neguje moją poprawkę i przywraca napowrót mylną datę na tej zasadzie, — że odnajduje ją w przedrukach, uznanych przezemnie za mylne. Metoda taka nie jest szczęśliwą. Rzecz prosta, że poprawkę moją oparłem na źródle z pierwszej ręki. A mianowicie, w papierach Fiszera znalazłem dosłownie niniejszą deklaracyę pruską w dwóch egzemplarzach, niemieckim i polskim: »Declaration S. M. des Königs von Preussen den Einmarsch Ihrer Truppen in Pohlen betreffend d. d. Berlin den 6 Januar 1793« oraz »Deklaracya N. Króla Pruskiego, tycząca się wkroczenia Woysk Jego do Polski d. d. w Berlinie 6 stycznia 1793«. Dodaję, że dla usunięcia

wszelkich wątpliwości sprawdziłem oryginał tej deklaracji w Archiwum Tajnym berlińskim, gdzie też naturalnie w korespondencji gabinetowej z Buchholtzem znalazła się: »Déclaration de S. M. le Roi de Prusse au sujet de l'entrée de ses troupes en Pologne, Berlin, le 6 janvier 1793«. Dodaję wreszcie, że ten drobny szczegół oświetla nie tylko metodę krytyka, lecz oraz jego znajomość odpowiedniej literatury źródłowej. W rzeczy samej, gdyby ją znał, znalazłby tam, np. u Sybla i in., podaną dokładną datę 6 stycznia 1793 r.

Paweł Popiel, w rzeczy *Powstanie i upadek konstytucji Trzeciego Maja*, z oryginałów, będących w jego posiadaniu, ogłosił list Stanisława Augusta do Potockiego z 2 stycznia 1792 r. oraz odpowiedź Potockiego królowi. Ta ostatnia jest bez daty, lecz oczywiście pochodzić musiała również ze stycznia, jak świadczy pierwsze w niej zdanie Potockiego o doręczeniu mu »dzisiaj« listu królewskiego z 2 stycznia. Opatrzył ją też Popiel nadpisem »styczeń 1792«. Obadwa listy cytują tak: »Król do Potockiego, 2 stycznia; Potocki do króla (ogł. u Popiela bez daty)«. Na to krytyk: »List Potockiego do króla nie jest »bez daty« — lecz ze stycznia 1792«. Zarzut trochę dziwny, prawda? Ale co już zupełnie wyda się nie do wiary czytelnikowi niewtajemniczonemu w arkana krytyki tego rodzaju, to następująca okoliczność. P. Smoleński w swoim własnym dziele, *Ostatni rok*

Sejmu Wielkiego, powołuje akurat ten sam list Potockiego do króla, z tego samego akurat źródła, i cytuje go akurat tak samo: »List bez daty podany w całości przez Popiela«. Rodzi się pytanie: kto właściwie ma rację? czy p. Smoleński autor *Ostatniego roku Sejmu Wielkiego*, czy p. Smoleński autor *Prawdy w badaniach historycznych prof. S. A.*? Rozstrzygnięcie tego trudnego dylematu należy chyba pozostawić jedynej osobie, posiadającej klucz tej zagadki, — p. Wł. Smoleńskiemu.

Na tem, zdaje się, wyczerpany został cenny materiał dowodowy, dostarczony w takiej obfitości przez tego krytyka, a ilustrujący najlepiej, bo poglądowo, opłakane skutki niewłaściwej metody krytycznej w zakresie nowożytno-dziejowym. Na tytu nauczających ilustracyach można pewnie przestać i powrócić jeszcze na chwilę do wyrażonych na czele założeń ogólniejszych.

III.

Jeśli prawdą jest, co się rzekło o powadze przedmiotowej i myślowej spóczesnych badań umiejętnych nad historią nowożytną w ogóle, stosuje się to w równej mierze do odpowiedniej gałęzi krytyki w szczególności. Historyografia właściwa i odpowiadająca jej krytyka umiejętna muszą stać na jednakowo wysokim poziomie. Tak też

rzecz się ma w dzisiejszej nauce europejskiej. Do zaznaczonego zwrotu poważnej twórczości historyograficznej w kierunku nowożytnym przystosowano tam fachowy poziom równoległej poważnej krytyki. Aliści pojęcie krytyki jest nieodłączne od pojęcia sporności. To też powadze krytyki odpowiadać powinna powaga pobudek i przedmiotów spornych.

W rzeczy samej, na ogromnych obszarach, w niesłychanie zawiłych materyach, ogarnianych przez dzieje nowożytne, rozgrywały się niejednokroć wielkie spory naukowe. W rozmaitej toczyły się sferze, z rozmaitym wynikiem, lecz zawsze ze znamienitą dla rzeczy, dla postępów nauki korzyścią. Gdyż były to spory wielkie, naukowe, rzeczowe. Taki był słynny spór Ranke-Schlosserowski. Godny uczeń i kontynuator zacnego heidelberskiego dziejopisa dwóch ostatnich stuleci, szlachetny idealista Gervinus, w imię surowego moralno-dziejowego kryterium swego mistrza uderzył na całej linii na falangę realistycznych wychowawców głębokiego historyografa berlińskiego, skupioną pod sztandarem *Historische Zeitschrift*. Zwały się tutaj ze sobą dwie szkoły, dwie metody, dwa poglądy na dzieje, na państwo, na ducha nowożytności. Taki był później, w obrębie bardziej konkretnym ale nader rozległym i zasadniczym, głośny spór o genezę i charakter wojen rewolucyjnych. Staęli tu z jednej strony w szrau-

kach historycy austriacy, a raczej wielkoniemieccy, z gorącym Vivenotem i twardym Herrmannem na czele, z drugiej — pruscy, prowadzeni przez niebezpieczną dyalektykę Sybla. Spór był gwałtowny aż ponad potrzebę; napróżno usiłował pogodzić zapaśników sędziwy Ranke; jego głos superarbitra zginął tym razem bez posłuchu wśród huków zacieklej walki. Ale istotnie chodziło o rzeczy kardynalne: o rolę Austrii i Prus w epokowym przesileniu Europy nowożytnej; a tem samym o ich tytuły moralno-dziejowe do przodownictwa w Niemczech nowożytnych. Taki był jeszcze spór, wzniecony przez poszukiwania i wnioski nielitościwego badacza Źródeł Francji spółczesnej. Rękawicę rzuconą przez Taina zrazu pierwszej Rzeczypospolitej, potem pierwszemu Cesarstwu, w końcu samej Francji dzisiejszej, podnieśli skwapliwie historycy republikańscy, napoleońscy lub politycznie środkujący, pp. Aulard, Vandal, Masson, Sorel, i pod każdym względem znacznie posunęli naprzód wiedzę o naturze i znaczeniu tych kapitalnych zagadnień. Taki był niedawny, nieprzebrzmiały jeszcze spór, wywołany przez niezawisłego uczonego, który bez wahania ściągnął legendową zasłonę z Początków wojny siedmioletniej. Wsiadła na prof. Lehmana i sekundującego mu prof. Delbrücka cała prawie urzędowa i półurzędowa historyografia pruska: wszak chodziło o sprawę nieladającą, o moment przełomowy w karierze wielkiego Hohenzollerna, a zarazem

o moment genetyczny zaborczej myśli sasko-polskiej w polityce pruskiej. Taki również jest najświeższy, ledwo otwarty, a już w stadium najostrzejszym będący, spór o założenie cesarstwa niemieckiego z powodu nowej książki prof. Lorenza, istniej antytezy do rozgłośnego dzieła Sybla pod tym samym tytułem. I tutaj są w grze rzeczy niemałoważne: taki lub wręcz przeciwny pogląd wytyczny na całą wszechniemiecką akcyę ks. Bismarcka, na udział w niej osobisty Wilhelma I, na stosunek do niej zrzeszonych ksiąząt niemieckich. Zresztą, zatargi tej miary nieobce były własnej naszej historyografii nowożytniej. Podobnej to, wyższej miary, był spór, wniesiony ongi przez znakomitego pisarza *Dziejów wewnętrznych* przeciw świetnemu pisarzowi *Sejmu czteroletniego*. Wysokie, arcydoniosłe ważyły się tutaj kontradykcye: szacowano ostatniego króla polskiego, ostatnią generacyę, ostatnią puściznę polityczno-duchową Rzpltej polskiej. Sam nareszcie — żeby uniknąć pozoru uchylecia się od odpowiedzialności własnej — nieraz mocno i bezwzględnie spornych tykałem przedmiotów: czy to pojęcia doby Augustowskiej, czy polityki zagranicznej Wielkiego Sejmu, czy narodowej misyi legionów, czy racyl państwowej Królestwa Kongresowego, — ale zawsze podobno chodziło tam o przedmiot duży i ważny, bezwarunkowo chodziło o rzecz samą, istotnie kontrowersyi godną, rozprawienia się wymagającą. Nie

chodziło natomiast nigdy o bezpłodne i bezcelowe, płaskie i tanie, tak bardzo, tak okrutnie tanie, swary quasi-zawodowe i quasi-naukowe. A są one mianowicie dlatego tak tanie w tej właśnie dziedzinie historii nowożytnej, że nasamprzód, wobec pozornie łatwego do niej przystępu, można tutaj nierównie łatwiej, niż w średniowieczu, zaopatrzyć się od ręki, zwłaszcza przed publicznością niefachową, w fałszywe pozory technicznego aparatu krytycznego; że następnie, wobec niezmiernej mnogości i komplikacji zagadnień i źródeł, można tutaj dowoli sztucznie wszczytać i bez końca przeciągać polemikę detaliczną, można z większą nadzieją bezkarności sztucznie piętrzyć błahe i bałamutne zarzuty i uparcie przy nich obstawać. Dla usunięcia najbłahszych, najbałamutniejszych, przytoczonych powyżej tytułem odstrasżającego przykładu, wieleż czasu i miejsca zużyć wypadło.

Nie tędy przecież, oczywiście, jest droga do zdrowej metody i zdrowych warunków prawdziwej, dużej, poważnej krytyki nowożytno-historycznej. Zaś taka krytyka, właśnie w obecnej fazie rozwoju historyografii naszej, bardziej niż kiedykolwiek nagląca staje się potrzebą. Powiedziało się, że właśnie obecnie na polu swojskiej nowożytności dziejowej, mniej dotychczas uprawnem, a tak gwałtownie dopominającym się systematycznej i zbiorowej uprawy, jakgdyby rozbudzała się z różnych stron coraz szersza, intensywniejsza i skuteczniejsza robota.

Duża to, ciężka, z wielu względów nader ciężka robota. Dlatego też mogą, nawet muszą być w niej luki, przeoczenia, nawet błędy. Te wskazywać, choćby z surowością, ale zawsze ze sprawiedliwym umiarkowaniem, z istotną znajomością i głębszym rzeczy pojęciem, z dojrzałym, bezstronnym sądem, z rozumną pamięcią o warunkach, trudnościach i znaczeniu tych poszukiwań w zakresie polskich dziejów nowych i najnowszych, — piękne to zadanie rzetelnej krytyki naukowej. Takie wskazania takiej krytyki niezawodnie zawsze przyjmowane będą z wdzięcznością, na rzetelny też wyjdą pożytek, przyłożą się do podniesienia poziomu i tętna wysiłków badawczych w jednej z najcelniejszych i najżywotniejszych gałęzi społecznej nauki polskiej.

Aleksander Kłobukowski.

W zmarłym temi dniami w Warszawie Aleksandrze Kłobukowskim *) utraciło Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskiem niestrudzonego działacza, ziemiaństwo — poważnego reprezentanta, kraj — wiernego syna, światłego obywatela.

Aleksander Kłobukowski urodził się w ziemi Łęczyckiej w dziedzicznym Powierciu, dziś powiatu Kolskiego, gubernii Kaliskiej, d. 3 maja 1820 r. z ojca Józefa, podprefekta, potem komisarza wojewódzkiego, i matki Anny z Kwileckich, córki ostatniego starosty kolskiego, poprzednio zamężnej Radolińskiej. Urodził się w chwili dla losów Królestwa przełomowej, kiedy po pierwszym pomyślnym sejmie warszawskim otwierał się drugi, wśród warunków zmienionych, kiedy zarazem rozpoczy-

*) † 16 września 1903 r.

nało się już ciężkie przesilenie, wiodące wprost do końcowej katastrofy. Na tę katastrofę 1830/31 roku patrzył się dzieckiem jeszcze, lecz mimo to aż do końca żywota w ogólnym swoim nastroju duchowym zachował raczej piętno wcześniejszej doby pokojowej, wcześniejszych pojęć i tradycji, to szczególnie piętno żywotności i tęgości oraz dojrzałej, wysokiej powagi i kultury, wyciśnięte na całej generacji sędziwych epigonów Królestwa Kongresowego. Pierwsze nauki pobierał w szkole wojewódzkiej w Kaliszu; następnie oddany został do gimnazjum Maryi-Magdaleny w Poznaniu, gdzie podówczas, za rządów nadprezydenta Flottwella, nienajlepsze zapewne, lecz bądźco bądź nierównie jeszcze dogodniejsze panowały stosunki. Stąd, z pruską maturą, w braku naówczas jakiegokolwiek wyższego zakładu wychowawczego w kraju, udał się do b. dorpackiego uniwersytetu, na wydział prawa i administracji, który w lat cztery, w 1844 r., ze stopniem kandydata opuścił. Tutaj to, w czasie studyów uniwersyteckich, dał się z charakteru i umysłu z najlepszej strony poznać kolegom i w bliższą wszedł zażyłość z licznymi rodakami z różnych stron kraju, zwłaszcza z Litwy, którzy, podobnie jak on, po zniesieniu uniwersytetów w Warszawie i Wilnie szukali światła u gościnnej nadbałtyckiej wszechnicy. W litewskim też zacnym domu znalazł po kilku leciech dozgonną towarzyszkę życia, zaślubioną w 1851 roku Stanisławę-Stellę z Chra-

powickich, którą po ośmnaścieletnim pożyciu stracić miał nieszczęście. Tymczasem, jeszcze za życia ojca, objął był gospodarkę w Powierciu, z zamiłowaniem wrodzonym do pracy i obowiązków ziemianina, a z poczciwą i rozumną myślą zużytkowania wśród swoich i dla swoich nabytej wiedzy. Tę wiedzę książkową zresztą był pomnożył i pogłębił przez obszerne, jak na owe czasy, podróże zagranicą, odbyte wnet po ukończeniu studiów uniwersyteckich, podjęte nie dla fantazyi, nie dla zabawy, lecz w poważnym celu uzupełnienia tamtych studiów teoretycznych przez odpowiednią obserwację życiową.

Górowało wówczas wśród ziemianstwa naszego zaufanie dla wzorów angielskich, dla tamecznej kultury społecznej wogóle a ekonomicznej i rolniczej w szczególności, pod wpływem zwłaszcza Stanisława Chłapowskiego i Andrzeja Zamoyskiego. Kłobukowski nie pominął Anglii, czas jakiś na badaniu tamtejszego warsztatu rolnego strawił, rok cały przebył na praktyce u szkockiego *gentleman-farmera*, ale zwiedził też Francję, a szczególnie Niemcy, gdzie znamienitym postępom intensywnej gospodarki rolnej, wśród warunków bardziej do swoich zbliżonych, z gruntowną przyjrzał się uwagą. Zaś, umysł zawsze mając otwarty nietylko na rzeczy niejako zawodowe swego stanu-ziemianinarolnika, lecz na szersze oraz obowiązki ziemianinabywatela, obok użytecznych wiadomości o postę-

pach samej techniki gospodarsko-rolniczej, przywiół nadto do domu umocnione i wyklarowane zdrowe pojęcia postępu w najżywotniejszych dla kraju sprawach koniecznej reorganizacji ekonomiczno-społecznej a przede wszystkim w palącej sprawie samoistnego, z łona samego społeczeństwa, uzdrowienia i reformy bytu i normalnych stosunków wzajemnych ziemiaństwa polskiego i ludności włościańskiej polskiej. Tych pojęć, dziś będących własnością ogółu, podówczas, przed półwiekiem, mniej jeszcze upowszechnionych, został głosicielem wymownym, stałym, z całą konsekwencją i wiarą, ale też z całym spokojem, umiarkowaniem i rozważą, jakie zawsze cechowały tę głowę jasną, wszelkiemu doktrynerstwu obcą i wszędzie przede wszystkim realne potrzeby i pożytki rzeczy publicznej na oku mającą.

Na razie jednak, w czwartym i piątym dziesięcioleciu zeszłego wieku, dla owocnej służby publicznej małe albo raczej żadne nie otwierało się pole, pośród zgoła nieustatkowanych jeszcze w kraju stosunków, pod rządem namiestnikowskim opartym ciągle na wyjątkowych zasadach pogotowia wojskowego wobec ponawiających się wstrząśnięć, które za każdym razem w miejscowym życiu społecznym i praktyce administracyjnej coraz nowem, dotkliwem odbijały się echem. Jednemu z takich wstrząśnięć, wypadkom poznańskim 1848 roku, miał sposobność przyglądać się zblizka Kłobukow-

ski i bolesne stąd wyniósł uczucie trzeźwy sędzieja rzeczy i ludzi. Długie lata następne na uboczu pędził, gospodarując u siebie na roli, kształcąc umysł w starannie gromadzonej pięknej bibliotece, od czasu do czasu szukając zagranicą świeższego tchnienia ducha i kultury europejskiej. Powiało nareszcie żywsze tchnienie w samym kraju, zaczynały otwierać się widoki pożytecznej, na szerszą skalę, pracy społecznej. Do pracy tej, w dziedzinie aktualnych przedmiotów rolnictwa i ekonomii krajowej, słowem żywym tyleż co pisanem wziął się rychło Kłobukowski, zbliżony do grona ludzi dobrej woli, zbierających się dokoła *Roczników gospodarstwa krajowego*. Dążności obywatelskie oświeconego tego grona, pierwotnie w skromnych jego granicach dyskusji poufnych i prób publicystycznych trzymane, niezadługo, już za nowego panowania cesarza Aleksandra II mogły rozszerzyć się niepoślednio i przyoblec w formy konkretniejsze z chwilą założenia Towarzystwa Rolniczego. Został od samego niemal początku jednym z czynniejszych Towarzystwa członków Kłobukowski. W tem rozległem kole, ogarniającem pod koniec parę tysięcy uczestników, gromadzącem niemal powszechność ziemiaństwa krajowego, gdzie też w niejednej kwestyi zasadniczej, a zwłaszcza w najgłówniejszej, włościańskiej, rozliczne ścierały się poglądy, był on w sprawie uwłaszczenia stale otwartym przeciwnikiem półśrodków, mocnym rzeczni-

kiem reformy agrarnej pełnej i gruntownej, aczkolwiek wspartej ściśle na zasadach słuszności i prawa nabytego. Był ten Kaliszaniec w tej arcyważnej sprawie agrarnej wiernym sukcesorem postępowych tradycji dawnej partii kaliskiej z doby kongresowej, był jakgdyby depozytaryuszem jej szlachetnych intencji reformatorskich w tym względzie, albo nawet śmiałych pomysłów uwłaszczających Rembowskiemu i Olrycha z czasu obrad ostatniego sejmiku w sprawie włościańskiej, ale dojrzałym, trzeźwym swoim zmysłem wnosił do nich zdobyte ciężkim doświadczeniem krajowym miarkujące pojęcie wykonalności praktycznej i równowagi społecznej.

W obszernych pracach Towarzystwa Rolniczego wielostronny biorąc udział, chętnie najróżnorodniejszych podejmował się czynności i robót, i zawsze jednakowo sumiennie i sprawnie z nich się wywiązywał, czy to wypadało mu referować rozprawy Sekcji Ogólnej o »Środkach podniesienia małych gospodarstw«, czy wprowadzać w Sekcji chowu inwentarza rzecz o »Sposobach letniego i zimowego wypasu bydła i podniesienia produkcji mięsa«, czy uzasadniać własny wniosek o zapobieżeniu częściowej pokątnej sprzedaży okowity, czy na posiedzeniu publicznym zdawać sprawę z ogłoszonych przez Towarzystwo konkursów: lecz najchętniej, nietylko głową ale i sercem, przykładał się do zagadnień z bytem ludu włościańskiego związanych

i wtedy w trzeźwej, ściśle rzeczowej jego wykładni najpiękniejsze, z głębi duszy płynące, odzywały się akcenty.

Takim wyższym nastrojem nacechowane było ostatnie jego w Towarzystwie przemówienie publiczne, wypowiedziane w Sekcyi Ogólnej pod koniec lutego 1861 r., głos w przedmiocie wytworzenia funduszu gromadzkiego, w uzupełnieniu przełożonych poprzednio skazówek względem zawierania umów czynszowych. Nie wszystkie zapewne pojedyncze jego wnioski, dotyczące samej natury i pożądaných granic wspólności gromadzkiej, możnaby akceptować dosłownie w świetle obserwacyi i pojęć dzisiejszych; możnaby odmiennie formułować niektóre jego dezyderaty; ale całego oświeconego toku jego wywodów niepodobna i dzisiaj inaczej, jak ze zgodnym wysłuchać szacunkiem. Podnosił mówca nasampierw z naciskiem w stosunku, wzajemnym obywatelstwa i włościactwa krajowego »ten instynkt narodowy i tę siłę atrakcyjną, która zawsze dąży i dążyć powinna do zlania w całość tego, co Bóg sam połączył«. Związłe, w jednym wstecz rzucie oka ogarniając ciężką w przeszłości dolę ludu wiejskiego w Polsce, stwierdzał bez ogródek wielką winę społeczną, ale też porównawczem w stronę spojrzeniem względną tej winy poczytalność do sprawiedliwych sprowadzał granic. Wskazywał nieznanne gdzieindziej, a swojskiej społeczności właściwe, łagodzące czynniki kulturalne

które, »ślodząc los włościanina naszego, umiały tem samem łagodzić poddaństwo i przymusową pańszczyznę, czyniąc ją podobną do stosunku wieczystej dzierżawy, gdy tymczasem w innych krajach, gdzie stosunek patryarchalny na tle uczuć chrześcijańskich nie potrafił się wyrobić i wykształcić, to samo poddaństwo i pańszczyzna całym brzemieniem swem ciążyły na tamecznych ludach«. Wnet atoli powracał do naglących obowiązków terażniejszości, do doniosłej sprawy niezwłocznego zawiązania i urządzenia życia gromadzkiego, »które ma założyć podstawy i być początkiem wykształcenia naszych młodszych braci i podniesienia ich do wysokości moralnej pełnoletności«, i upominał się przedewszystkiem o realny fundament dla tego dzieła, o stworzenie funduszu gromadzkiego przy bezpośrednim udziale szerokiej ofiarności obywatelskiej — nie z łaski przecie, lecz z obowiązku. »Nie wolno nam zataić tutaj, że znaczna część tych ofiar przez nas samych uważaną być powinna jako spłata obowiązków, jakie zawsze na nas ciążyły z tytułu tej części opieki materyjalnej dworskiej, którejsmy i ojcowie nasi udzielali włościanom naszym... Zdejmując w ten sposób charakter ofiary z pewnej części udziału, jaki nam przyjąć wypadnie dla wytworzenia funduszu gromadzkiego, a kładąc go na rachubę ścisłej powinności naszej, oddajemy równocześnie hołd tej szlachetnej dumie narodowej, która nigdy tych dwóch pojęć rozró-

źniać nie umiała, cechując każdą dla dobra kraju poniesioną ofiarę, chociażby ofiarę życia, mianem obywatelskiej zasługi«. Dobrze to były słowa, i kiedy ze spokojną mocą przekonania wypowiadał je Kłobukowski w zgromadzeniu stowarzyszonych rolników Królestwa, był on dobrym kontynuatorem przedstuletniej zdrowej myśli reformatorskiej, wyniesionej z wielkiego zgromadzenia stanów sejmujących b. Rzplitej.

Na tych pracach i wystąpieniach w łonie samego Towarzystwa Rolniczego nie wyczerpywała się jednak ówczesna jego służba publiczna. Nie odmawiał on swoich usług i swojej siły roboczej i odleglejszym również rodakom. Gdy w tym czasie wszechstronnie rozbudzonej inicjatywy publicznej ziemianie litewscy powzięli myśl założenia u siebie Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego na wzór prosperującego od lat kilkudziesięciu w Królestwie Polskiem i zwrócili się w tej sprawie po radę do Towarzystwa Rolniczego warszawskiego, Kłobukowski, którego zdatność, gorliwość i znajomość rzeczy już były należycie ocenione, wydelegowany został do Wilna wraz z uczonym prawnikiem Antonim Wrotnowskim i wytrawnym naczelnikiem buchalteryi Towarzystwa Kredytowego Aleksandrem Preissem, dla zbadania warunków miejscowych i wypracowania stosownych skazówek i wniosków. Z właściwą sobie gruntownością zajął się zbadaniem sprawy ważnej, pożądaney,

lecz bardzo skomplikowanej, niezbędne dla jej urzeczywistnienia warunki przedwstępne jasno wykreślił, przekonywająco wykazał, iż stworzeniu projektowanej instytucji winno być koniecznie utworować wprzód drogę zaprowadzenie urzędów hipotecznych w guberniach zachodnich. Zanim te mozolne roboty spełna zostały ukończone, zmieniły się z gruntu warunki, rzecz do wykonania nie dojrzała. Jak blisko jednak tę sprawę wziął do serca Kłobukowski, jak gorliwie i sumiennie nad pomyślnem rozwiązaniem jej pracował, wymowne tego świadectwo złożone zostało w pięknym adresie zbiorowym, ofiarowanym mu przez kilkuset obywateli litewskich, z wyrażeniem żywej a całkiem zasłużonej wdzięczności za położone w tym przedmiocie trudy.

Tymczasem w kraju szybko zmieniały się wypadki. Wiosną 1861 r. nagle zamknięte zostało Towarzystwo Rolnicze, na ostatniem jeszcze swem zebraniu ogólnem uchwalwszy wniosek Tomasza Potockiego o możliwem przyśpieszeniu uwłaszczenia włościan w Królestwie, co odpowiadało w szczególności gorącym życzeniom Kłobukowskiego, który nigdy przeboleć nie mógł nieziszczenia tej myśli zbawiennej, ani też, mimo całe bezstronne uznanie dla potężnej umysłowości margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, nigdy odtąd tych dwóch kroków feralnych: kasaty Towarzystwa Rolniczego i wypuszczenia dzieła uwłaszcze-

nia, zapomnieć mu nie mógł. Dalszego opłakanego rozwoju wypadków krajowych świadkiem był zasmuconym, wolnym od złudzeń, lecz od odpowiedzialności nie uchylającym się. Wiosną 1863 roku, podczas wycieczki zagranicznej, został najniespodziewaniej w Berlinie wtrącony do zagadnień nader doniosłych a nadzwyczaj drażliwych, wciągnięty całkiem przygodnie, wbrew własnej woli, do labiryntu ówczesnej zakulisowej dyplomacji pruskiej, której kierownictwo właśnie był objął nowy, niedość jeszcze światu znany przewodnik, rozpoczynający dopiero wielką karierę światową p. v. Bismarck. Bawił wtedy w Berlinie Treskow, Niemiec possessyonowany w Królestwie, sąsiad Powiercia, właściciel Chodowa pod Kutnem, będący osobiście w zażyłych z Bismarckiem stosunkach a przez brata swego, adjutanta królewskiego, w blizkiej styczności z dworem, i który, doznawszy niedawno pewnej przysługi sąsiedzkiej od Kłobukowskiego, przypisywał mu odtąd jakieś wpływy wydatne na przebieg ruchów krajowych. Zgłosił się tedy do niego w asystencji radcy ministeryalnego przysłanego od Bismarcka i poczynił w imieniu rządu pruskiego szereg bardzo daleko sięgających wynurzeń, dotyczących położenia rzeczy w Królestwie oraz przyjacielskiej gotowości Prus względem przyłożenia się do pacyfikacji w najpożądańszym dla kraju sposobie. Były w tych nieoczekiwanych wynurzeniach rzeczy zewszeczmiar

uderzające a nawet wprost nadzwyczajne, była w nich mowa o W. Ks. Konstantym i o arcyksięciu Maksymilianie i o ks. Bogusławie Radziwille, młodszym synu ks. Antoniego; było też zaproszenie na audyencję poufną u króla Wilhelma I.

Przyjął te kuszące propozycje z roztropną wstrzeżnością Kłobukowski; od ofiarowanej audyencji wręcz się uchylił, wszelkich osobistych w tej materii rokowań odmówił; poprostu oświadczył, co najściślej z prawdą było zgodne, iż do żadnej tego rodzaju negocjacji upoważnionym nie jest i żadnej też samozwańczej roli podejmować się ani chce ani może. Zażądano wówczas od niego, aby przynajmniej niezwłocznie do Paryża się udał i zakomunikowane sobie oferty do wiadomości ks. Władysława Czartoryskiego i Biura paryskiego poniosł. Rzecz, bądźcobądź, w krytycznych okolicznościach ówczesnych, nazbyt była doniosła, aby ją na własną odpowiedzialność ignorować i schować było wolno. Kłobukowski w tej chwili pojechał do Paryża, stawiał się natychmiast w hotelu Lambert i ks. Czartoryskiemu w przytomności Waleryana Kalinki, Bronisława Zaleskiego, Dyonizego Skarzyńskiego i in., poprostu zreferował usłyszane w Berlinie oświadczenia, które wszakże wtedy uznane zostały za niezasługujące na uwagę a nawet zdolne raczej zaszkodzić prowadzonym równocześnie negocjacjom francusko-angielskim. Powróciwszy z Paryża do Warszawy, po niewiele już

miesiącach, wobec całkiem już beznadziejnego w kraju położenia, udał się na dłuższy pobyt za granicę. Pod koniec 1863 r., wkrótce po głośnej mowie listopadowej Napoleona III, odebrał w Paryżu długie pismo od Treskowa, zapewniające, iż »wszystko jeszcze jest do uratowania« i wzywające go do niezwłocznego przybycia do Berlina. Na naradzie, odbytej w styczniu 1864 r. u ks. Czartoryskiego, w obecności Kalinki, Stanisława Platera i zmarłego niedawno ks. Adama Sapiehy, zlecono Kłobukowskiemu jechać do Berlina, dając mu na drogę wraz z cyfrą bardzo ogólnikowe a nawet sprzeczne instrukcje, zaś w gruncie rzeczy mając na myśli nietylko wiarę w protekcję berlińską, ile raczej nadzieję wytrącenia z bezwładności dyplomacyi francusko-angielskiej przez widok interwencji pruskiej. Próżne oczywiście były te rachuby w opłakanem położeniu ówczesnem a w niebezpiecznej grze z takim partnerem, jak minister Bismarck.

Kłobukowski, przybywszy do Berlina, po przedwstępnej d. 1 lutego 1864 roku naradzie z Treskowem, zaprowadzony był przez niego d. 4 lutego do Bismarcka, z którym dwugodzinną odbył konferencję. Mowa była o rzeczach najrozmaitszych, już nie tak daleko wprawdzie jak poprzednio sięgających, lecz jeszcze dosyć bajecznych; aliści, jak szydło z worka, bezustanku z miodopłynnych słów ministra wychodziła natarczywa propozycja wkro-

czenia do Królestwa i tymczasowej okupacji pewnych rozległych pasów nadgranicznych, a nawet mimochodem wprost wyrwało mu się oświadczenie, iż »kombinacja odstąpienia Prusom Polski po Wisłę i Narew już przed powstaniem była przez samą Rosyę proponowana«. Tutaj tkwił rdzeń rzeczy, w tej nowej, pożądlivej myśli podziałowej, albo raczej w tem odnowieniu starego, nieśmiertelnego pomysłu pruskiego, owej upragnionej *Knesebecker Grenze* z 1813 r., po którą już raz sięgano z Berlina w 1831 r., i o której odtąd nigdy tam nie zapominano. Kłobukowski nie był historykiem, nie był politykiem, nie znał dziejów dyplomacyi pruskiej, nie znał całej dra pieżnej i przewrotnej potęgi swego interlokutora, wykluwającego się dopiero arcymistrza »rokowań dylatoryjnych«, niezupełnie mógł zorientować się w gładkich zwrotach Bismarckowskiej dobroduszej gawędy, niecałkiem jasno widział, ale najjaśniej wyczuł, wyczuł z przerażeniem, z mimowolną zgrozą, że dotyka się tutaj jakiejś rzeczy fatalnej, podstępnej, niemiłosiernej, zabójczej.

»Że Prusacy bardzoby byli radzi kraj ten zagarnąć pod swoje rządy, — donosił natychmiast po konferencyi z Bismarckiem, w depeszy z d. 5 lutego do ks. Czartoryskiego — nie ulega wątpliwości. *On le ferait bien, si on y était encouragé.* Znajduję nawet, że gotowość wkroczenia jest tak wielka i że tak jest łatwo pchać w tym kierunku

że mnie strach bierze, czy się nie robi głupstwa, czy się nie gubi kraju w dobrej wierze. A nuż *un fait accompli* będzie uszanowany, a nuż Napoleon III... znajdzie w tem załatwienie kwestyi, zabrawszy część nadreńskich prowincyi, a nuż się znajdzie jaka deputacya, żądająca tego, a rzecz wykona się na żądanie, przy okrzykach radości Żydów i Niemców, przy iluminacyach i t. p.? To nóż obosieczny!... Tak dalece jestem przestraszony ła twością, z jaką się rzeczy układają, że nietylko na swoją odpowiedzialność dalej w tym kierunku pchać nie chcę, ale nawet gotów jestem uciec z Berlina, jeżeli mi stanowczej nie dacie otuchy, poparcia i zabezpieczenia od wszelkiej odpowiedzialności... Jestem tu sam jak kołek, głębę mam zasznurowaną, nie mam żadnego upoważnienia do działania, nie chcę mieć żadnego, bo nie chcę odpowiedzialności, zresztą nie znam gruntu paryskiego, jestem odosobniony jak w worku zawiązanym, za instrukcyami co do detali czekać nie zawsze można, korespondencye i powolne i, niepewne, czuję instynktowo, że trzymam w ręku nóż zatruty... Są tu nasi ziomkowie, którzy bardzo szczerze w tym kierunku pchają, którzy bardzo chętnie zgodziliby się na pruskie rządy: niech tam dyabli wezmą ideę..., byleby morga ziemi poszła w górę«. Ostrzeżenia te były zewszeczmiar uzasadnione. W tym też duchu brzmiały odpowiedzi z d. 8, 10, 13 i 15 lutego, otrzymywane przez Kłó-

bukowskiego z Paryża. Odtąd starał się on możliwie uchylać się od natarczywości pruskiej, poruszającej z kolei sprawę amnestyi i przyjacielskiego pośrednictwa. W depeszach z 19 i 21 lutego dopominał się poprostu o pismo, upoważniające go do zaprzestania wszelkich dalszych rokowań. D. 27 lutego otrzymał nareszcie list Czartoryskiego z 24 t. m. przycinający wręcz całą negocyacyę berlińską.

»P. Bismarck oświadczył — tak natychmiast po odbyciu z tego powodu z ministrem drugiej i ostatniej konferencyi donosił Kłobukowski ks. Czartoryskiemu w depeszy z d. 3 marca, — że... on jako pruski minister może tylko i jest gotów służyć za życzliwego pośrednika, któryby użył całego swego wpływu u dworu rosyjskiego dla przeprowadzenia tamże żądań a zarazem warunków stałej pacyfikacyi, przez ks. Czartoryskiego sformułowanych, a że w razie, gdyby propozycye te były tego rodzaju, że w Petersburgu nie mogłyby mieć żadnej szansy powodzenia, to onby takowe po przejrzeniu zwrócił komu należy, a rzecz cała uważanaby być musiała za niebyłą. Tu zwróciłem uwagę, że na wypadek, gdyby ks. Czartoryski znalazł stosownem korzystać z usłużności p. Bismarcka, to bardzo łatwo mógłby znaleźć się w położeniu człowieka, żądającego rzeczy, któreby p. minister uważał za niemożliwe do przeprowadzenia, że więc byłaby przede wszystkim bardzo pożądaną i praktyczną wartością mającą wiadomość granicy ustępstw, na jakie

dwór rosyjski byłby skłonny się zgodzić, że p. Bismarck, znając dokładnie tameczny grunt polityczny, byłby więcej jak ktokolwiek w możności oznaczyć tę granicę, że więc, gdyby raczył pod tym względem udzielić żądanych wskazówek, to rzeczy odrazuby się wyjaśniły, ks. Czartoryski bowiem, mając takie wskazówki w ręku, albowy sformułował takie żądania, któreby miały za sobą wszelkie prawdopodobieństwo, że będą przyjęte, albowy żadnych nie sformułował. Odpowiedziano mi na to, że udzielenie takich wskazówek, jak z jednej strony ciągnęłoby za sobą pewne moralne zobowiązanie ze strony p. Bismarcka przeprowadzenia żądań w granicach tychże wskazówek sformułowanych, tak z drugiej strony możliwość przeprowadzenia onych byłaby zawsze wątpliwą.. Wszelkie w tym kierunku czynione usiłowania i argumentacje nie zdołały ani na jotę zmienić zdania p. Bismarcka. Przy tych argumentacjach sam byłem raczej zapytywany mimochodem o różne żale, jakie mieliśmy lub mamy do rządu, czyby nie można ich spisać w celu wyjednanania usunięcia onych?«.

To wszystko aż zanadto było jasne. Skoro ministrowi nie udało się wyłudzić polskiego zaproszenia do pruskiej okupacji Królestwa, chciał on przynajmniej wyłudzić na piśmie polski akt oddania się pod protekcję pruską, ażeby następnie z takim dowodem w ręku za swoją lojalność sprzymierzeńczą kazać zapłacić sobie w Petersburgu.

Taką samą najdosłowniej była taktyka, stosowana ongi w 1830 roku. Takie, nie inne, miała znaczenie natarczywa »usłużność« tego »życzliwego pośrednika«, rozpoczynającego w ten sposób od ościennych rzeczy polskich swoje popłatne posłannictwo »uczciwego meklera« na wielkim rynku polityki europejskiej. Na szczęście, wszelkie próby kusielskie chybiły celu. Kłobukowski podczas przeciągającego się pobytu swego w Berlinie niejednokrotnie jeszcze, aż pod koniec kwietnia, nabywany był w tej materii za pośrednictwem Tre-skowa, lecz, zasłaniając się stanowczą odmową paryską, wymówił się bezwarunkowo od uczynienia na własną rękę jakiegokolwiek kroku w negocjacji, jak sam doskonale pojmował, »zatrutej« śmiertelnym jadem złej wiary i machiawelistycznej rachuby.

Zatrzymaliśmy się nieco przydłużej na tym epizodzie jego życia, gdyż naprzód rzecz sama nie jest pozbawioną ogólniejszego znaczenia dziejowego, a następnie bywała ona nieraz przedstawiana w świetle fałszywym, czyniącem ujmę czystej pamięci zacnego człowieka. Tak między innymi znany publicysta rosyjski M. Berg pomieścił swego czasu w wydawnictwie *Ruskaja Starina* zgola opaczną tej sprawy opowieść, gdzie wyobraził Kłobukowskiego niemal dopraszającym się okupacji pruskiej i rządów pruskich w Królestwie. Założył natychmiast Kłobukowski protest publiczny na

szpaltach liberalnego *Głosu* petersburskiego, a zarazem przez dwóch przyjaciół, pp. B. i M., zażądał od Berga odwołania potwarzy, co tenże niezwłocznie też w zasadzie uskutecznił. Gdy jednak mimo to i w polskich gdzieniegdzie relacjach przychodzi spotykać się z tułającym się odtąd tej insynuacji odgłosem, wydało się rzeczą stosowną i słuszną na podstawie źródła autentycznego, samej korespondencji Kłobukowskiego, oddać razem hołd prawdzie i niepokalanej czystości tego najtrudniejszego momentu jego służby publicznej.

Po dłuższej niebytności powróciwszy do kraju, zastał przewrót głęboki, dokonywany się lub już dokonany w całej organizacyi administracyjno-społecznej, zupełną ruinę minionych widoków i usiłowań, nowe natomiast dzieło Komitetu Urządzającego w pełnym już biegu będące. Zamknął się w sferze zajęć prywatnego człowieka, w zawodowej pracy ziemianina. Tutaj, w skromnym obrębie swojej możności usiłował obce przykłady zastosowania przemysłu do rolnictwa we własnej naśladować praktyce gospodarczej. Zamieszkawszy w założonym przez siebie folwarku Stellutyszkach, nazwanym tak na pamięć Litwy i żony, w sąsiednich Zawadkach na gruncie Powiercia zbudował wielki młyn wodny, znakomicie wykończony, ze staraniem i nakładem dużym, nawet siły jego przechodzącym, i odtąd też prace swoje pisarskie w mate-

ryach publicznych chętnie jako »Młynarz z nad Warty« podznaczał — dyskrecya zresztą skądinąd jeszcze czas jakiś zalecona. Kiedy w 1876 r. redakcja *Niwy* warszawskiej zwróciła się do osób, ze sprawami rolnictwa krajowego bliżej obznajmionych, z prośbą o wyrażenie uwag w sprawie upadającej własności ziemskiej, pośród nadesłanych z prowincyi licznych odpowiedzi, najrozumniejsze postrzeżenia znalazły się w treściwem piśmie »Przyczyny złego i środki ratunku«, nadesłanem przez Młynarza z nad Warty. Nakreśliwszy tutaj w niewielu trafnych i śmiałych słowach »rzetelną historję i przyczyny upadku naszego rolnictwa folwarcznego«, Kłobukowski również śmiało i trafnie wskazywał jedyne możliwe sposoby wyjścia z rozpaczliwego położenia, nie wahając się na pierwszym postawić miejscu »dobrowolną całkowitą lub częściową likwidacyę«, by uratować przynajmniej «mienie wierzyciela i honor dłużnika«, dopominając się następnie o rychłe stworzenie banku hipotecznego, o zapewnienie łatwiejszego i tańszego kredytu, a przede wszystkim o szersze rozwinięcie przemysłu złączonego z rolnictwem.

Tegoż 1876 r. obrany został jednozgodnie z Kaliskiego na radcę Komitetu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i urząd ten bez przerwy aż do samej śmierci sprawował, obdarzony dozgonnem zaufaniem bliższych swoich spółobywateli kaliskich, którzy na wszelki zresztą sposób pięknie umieli

zaznaczyć głębokie przywiązanie sąsiedzkie dla sędziwego swego reprezentanta. A nie pozostali pod tym względem w tyle i miejscowi włościanie kaliscy, pośpieszając ze swej strony dać dowód miłości i szacunku dla starego swego przyjaciela i dziedzica. Zaraz po zaprowadzeniu reformy sądowej obrali go jednomyślnie sędzią gminnym przynależnej do Powiercia gminy Czołowo; gdy zaś później, dla zajęć w Komitecie warszawskim, nie mógł podjąć się dalszego sprawowania tego urzędu, na następne trzechlecie obrali po nim na sędziego syna, pragnąc uczcić w nim ojca. Poświęcał odtąd Kłobukowski najgłówniejszą uwagę poważnym sprawom Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. W Komitecie do najgorliwszych i najroztropniejszych należał pracowników. Zresztą w rzeczach, z działalnością Towarzystwa związanych, niejednokrotnie do szerszej publiczności się zwracał, podnosząc w druku kwestye gospodarcze ogólniejszego znaczenia, z wyższego ekonomicznego stanowiska rozważane, nigdy przecie w abstrakcyjnym, spekulatywnym sposobie, lecz zawsze z realnego punktu wyjścia będących na czasie namacalnych potrzeb krajowych. Tak więc w dalszem rozwinięciu postrzeżeń, rzuconych poprzednio w przedmiocie upadającej własności ziemskiej, ogłosił po paru latach (1878 r.) dojrzałe obmyślane i bardzo zastanawiający »Przyczynek do rozjaśnienia kwestyi banku hipotecznego i w ogólności kredytu

ziemskiego w naszym kraju». Wyłuszczał tutaj niektóre braki zasadnicze w systemacie szacunkowym obowiązującym Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, niedostateczne uwzględnienie w normach taksacyjnych rzeczywistej społecznej wartości dóbr stowarzyszonych, wadliwość odpowiednich przepisów prawa 1869 r., i przekonywająco wywodził stąd potrzebę gruntownej reorganizacji kredytu ziemskiego w Królestwie. Między innymi tutaj także rzucił myśl, aby Towarzystwo Kredytowe Ziemskie powróciło do podstawy metalicznej swoich listów zastawnych, myśl na owe czasy nadzwyczaj uderzającą, śmiałą, nawet zdawało się ryzykowną, a której praktyczne znaczenie i znakomite dla Towarzystwa pożytki, gdyby wówczas ziszczoną być mogła, dziś dopiero, w świetle dokonanego przewrotu waluty ogólnopństwowej, należy ocenić podobna. Nieco później (1880 r.) inne znowu, niezmiernie aktualne poruszył zagadnienia w »Przyczynku do rozjaśnienia i usunięcia trudności w zawieraniu dobrowolnych umów o służebności leśne i pastwiskowe«. W oświetleniu pojęć europejskich, Steina i Taina roztrząsnąwszy wprzód ogólną naturę stosunku serwitutowego, charakteryzując następnie społeczną sztuczną jego naturę lokalną bolesnego cierzenia wrazonego w ciało społeczeństwa tutejszego, podnosił ważną kwestyę, o ile możliwem i pożądanem byłoby określenie służebności nietylko w drodze dobrowolnej umo-

wy lecz oraz z urzędu, i rozstrzygał ją w duchu twierdzącym, być może więcej z motywów teoretyczno-prawnych, nie ze wszystkim odpowiadających faktycznym na miejscu warunkom, ale w intencji praktycznej człowieka porządku, z mocnem zresztą zastrzeżeniem przeciw niezdrowym czynnikom utrudniającym najpożądanse, czysto polubowne w tym względzie porozumienie właścicieli folwarcznych z włościanami.

W ciągu ostatnich lat blisko trzydziestu stale zasiadając we władzy naczelnej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, całą swą duszą zrosł się z poważną tą instytucją, będącą niejako sędziwą jego rówieśniczką a jedyną znaczną spuścizną widomą wielolicznych tworów społecznych Królestwa Kongresowego. Z troskliwą bacznością przeżywał wszelakie jej losy, śledził fazy jej ustawodawstwa, ewolucye, widoki, a przedewszystkiem z niezmordowaną gorliwością w ogólnym i szczegółowym zakresie, powszechnym i codziennym, wielkim i małym sprawom jej służył. Pracowitość, sumiennosc, ścisłość roboty tego starca wzorem była dla młodszych kolegów. Gruntowny znawca ustawy, rolnik wytrawny, światły ekonomista, prawnik ukształcony, radcą był rzetelnie uzdatnionym w następujących się zawiłych zagadnieniach administracyjno-finausowych. Nieraz w ważnych sprawach Towarzystwa delegowany był do władz centralnych ministerjum skarbu w Petersburgu i zawsze z po-

żytkiem instytucji wywiązywał się z tych misji, dość trudnych dla człowieka starego, który magnatem nie był, stosunków w stolicy państwa nie miał i nie znał, a przecie z całą skwapliwością, ilekroć tylko nadarzyła się potrzeba, w ponawianych kilkanaście razy nad Nową podróżach osobą swoją, rzeczoznawstwem, powagą, godnie i dobrze tam służył. Niedawno jeszcze, przed rokiem niespełna, w kwestyi umieszczenia listów zastawnych Towarzystwa na rynku wrocławskim, ośmdziesięciodwuletni delegat do Wrocławia jeździł i niełatwe z bankierami niemieckimi pertraktacje z roztropnością sobie właściwą do pomyślnego przywiódł końca. Jednakowoż, obok interesów Towarzystwa, zamieszkawszy stale w Warszawie, żywy nadto brał udział we wszystkich donioślejszych objawach życia publicznego. Nie było w ostatnich latach kilkudziesięciu ani jednej niemal sprawy ogólniejszego znaczenia, do którejby osobiście nie przykładał ręki albo gdzieby przynajmniej swem oświeconem nie służywał zdaniem i pocztwą zachętą. Po za tem, w cichości największej, bez wiedzy sobie nawet najbliższych, gdzie i jak tylko mógł, z czynną pośpieszał pomocą niedostatkowi i niedoli, zwłaszcza młodzieży, z dobrocią ewangeliczną skrycie świadczył dobro, o którym dopiero na cmentarzu, nad spuszczaną do grobu trumną, serdeczne łyzy wdzięczności jawną dały wiadomość.

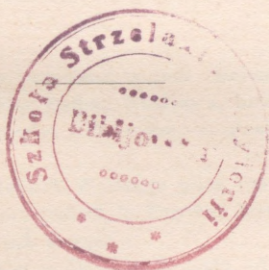
Do ostatka pracował myślą nad naczelnymi zagadnieniami nowoczesnej ewolucji społeczno-narodowej, w szczególności zaś nad temi, którym życie i siły głównie poświęcił. Wyniki ostateczne swoich rozmyślań, swoje niejako w tym przedmiocie przedśmiertne wyznanie wiary, złożył w rzeczy ogłoszonej w *Bibliotece Warszawskiej* jeszcze wiosną roku jego śmierci, o »Własności ziemskiej w Królestwie Polskiem«. W prostych, treściwych słowach, oglądnąwszy się wstecz za siebie, czyniąc jakgdyby krótki obrachunek przeszłości, z mocą wypominał dzieła »niespożytej i rozumnej energii« Królestwa Kongresowego, przebiegał z zamiłowaniem szczerze, choć przed czasem zwarzone, trudy Towarzystwa Rolniczego, spokojnie wygłaszał zdanie o zaletach i błędach działalności Naczelnika rządu cywilnego, ażeby stąd, od sprawiedliwego bilansu własnych niedoszłych usiłowań swojskich, przejść do trzeciego bilansu. stworzonych faktycznie dla Królestwa warunków bytowania w dziedzinie agrarnej. Rozważywszy dalej istotę dokonanej reformy uwłaszczej, dotknąwszy całego szeregu aktualnych bolączek i wymagań dzisiejszej sytuacji gospodarczej rolnictwa naszego, w sprawie służebności, taryf różniczkowych, kredytu melioracyjnego i t. d., nawracał wreszcie do nieodpartej konkluzji ściśle faktycznej, do stwierdzenia spóczesnego istotnego stanu posiadania ziemi, do przewidywanej dalszej tego stanu dążności rozwojowej, do nieuniknio-

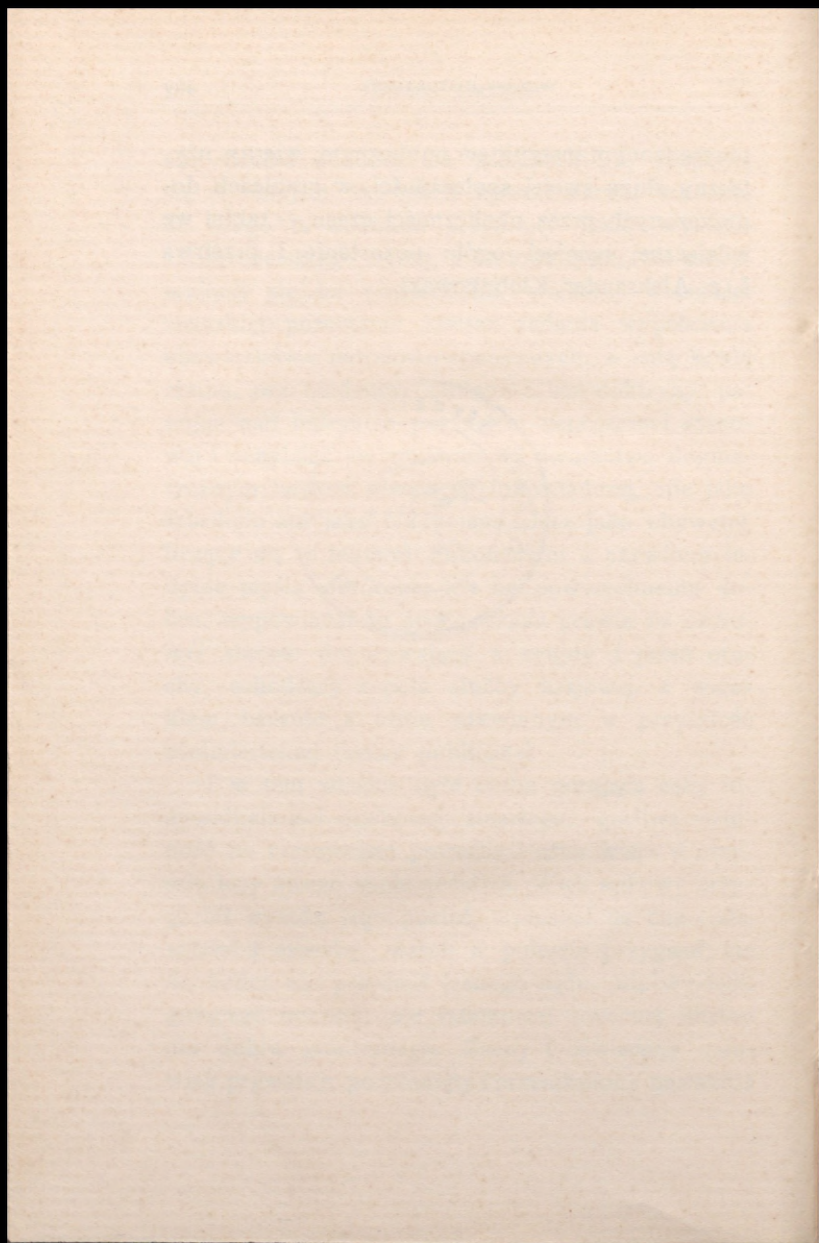
nych ostatecznych tej dążności konsekwencji społecznych. Konstatował znakomitą już obecnie w Królestwie przewagę przestrzenną własności drobnej nad większą; wśród tej rosnącej potęgi właścicieli drobnych rozpatrywał oddzielne warstwy szlachty zagonowej, mieszczan rolników, włościan, pod względem ich wartości ekonomicznej i »przymiotów moralnych«; podnosił »zdumiewającą« siłę nabywczą włościanina naszego, obliczał ogromne sumy szacunkowe przezeń spłacane, a ujawniał także stronę ujemną jego gorączki nabywczej, nadmierne obdłużenie własności, zwłaszcza ukazowej, niewyrobienie poczucia prawności w stosunkach serwitutowych; w końcu, »na trzeźwym i realnym gruncie przekonań stojąc«, uznawał otwarcie, iż pewne tylko rodzaje większej własności ziemskiej Królestwa, wsparte obfitością porębów i łąk, wyższą urodzajnością gleby, zasobnością kapitału, melioracją i uprzemysłowieniem, na trwałe ostać się mogą, inne zaś folwarki, obdłużone a oparte jedynie na produkcji ziarna, »rychlej czy później będą musiały uleść parcelacyi. Ewolucya w tym kierunku postępuje swoim trybem: własność większa coraz to więcej topnieje a mała w tym samym stosunku rośnie. I wypełni się biegiem wypadków i ręką Opatrzności nakreślone przeznaczenie, że posiadacze małej własności ziemskiej staną się słupem pacierzowym naszego społeczeństwa. Potomkowie upadłych właścicieli ziemskich, w największ-

szej liczbie pochodzenia szlacheckiego, rozpląną się w różnych zawodach społeczeństwa, wnosząc do niego te dodatnie przymioty jakie wynieśli z rodzicielskiego domu, a na topniejącej, ale utrzymującej się na powierzchni, większej własności ziemskiej pozostanie zawsze zadanie wypełniania obowiązków « narodowo-społecznych. Z całą krwią zimną, bez tendencji zarówno i bez doktryny, pając nad bolesnem poczuciem depossessyi stanowej i uchylając się zarówno od dworactwa dogmatycznym hasłom niwelacji ludowładczej, nie jako szlachcic ani jako chłopoman, lecz jako obywatel, liczący się z faktami dokonanymi i ożywiony jedynie myślą obrócenia ich ku powszechnemu dobru, wypowiadał to swoje *credo* prawie *in extremis* starzec dogorywający a czujny i pełen otuchy, schodzący z pola służby krajowej, z wzrokiem bacznym a ufnie utkwionym w przyszłość nieśmiertelnej rzeczy publicznej.

I w tem właśnie była cecha górująca całej indywidualności duchowej zmarłego: gorliwa czujność na rzeczywiste potrzeby i ufna wiara w przyszłe losy swego społeczeństwa. Wiek sędziwy przgarbił wysoką jego postać, wysuszył do cna ciało, wyłobił czaszkę, wzrok w połowie przygasił, ale do końca nie przyćmił jasnego sądu, nie wyiębił gorącego uczucia, nie zatamował owocnej służby dla dobra publicznego. Zacny i oświecony człowiek prywatny, pochłonięty i przenikniony nawskróś

przyrodzonym instynktem publicznym, wierny, użyteczny sługa swojej społeczności, w granicach dopuszczonych przez okoliczności czasu — takim we wdzięcznej pamięci ogółu pozostanie i przetrwa ś. p. Aleksander Kłobukowski.





Przypisy.

(Str. 14). Farges pomieszał w tem miejscu misye Rincona i Langeaca, idąc śladem Noailles'a, którego wprowadzili w błąd Niemcewicz i Charrière. O Pawii por. konsylderacye Droysena.

(Str. 17). O widokach Walezego pisze Farges: »ce projet formé vers 1571«; jednak la Ferrière wykazał, że z tą myślą noszono się już w 1566 r.

(Str. 32). Starania, podjęte w Wersalu od 1759 r., aby skłonić Augusta III do abdykacyi na rzecz ulubionego brata Delfinowej, królewicza Ksawerego, wykryte i zniewieczone przez Brühla, były podziśdzień prawie całkiem przeoczone; por. skazówki nasze, Letzte Königsw., 21; Pol. Corr. Friedr. d. Gr. XVIII, 591, XX, 362; Thévenot, Corr. inéd. de Fr. Xavier de Saxe 161, 209 sq.; Bréard, Corr. inéd. du génér. de Martange (1898), 82 sq.

(Str. 44). Katarzyna do Paolego, czerw. 1769: »Aux braves Corses, défenseurs de leur patrie et de la liberté, et en particulier au général Pasqual de Paoli: Monsieur, s'opposer à l'oppression, défendre et sauver la patrie d'une usurpation injuste, combattre pour la liberté, voilà ce que toute l'Europe vous voit faire continuellement depuis bien des années. Il est du devoir du genre humain d'aider et de secourir quiconque témoigne des sentiments aussi nobles, aussi grands et aussi naturels«, Sborn., X, 342 sq.

(Str. 46). Macchiavelli, Della natura de' Francesi.

(Str. 72). Wspomnienia Heykinga o wcieleniu Kurlandyi, ogł. bez wymienienia jego nazwiska u Eckardta, Jung-russ. u. Altlivl. (1871); o Pawle I, ogł. przez Bienenmanna, Aus d. Tagen Kais. Pauls (1886); por. ułamek oryginału francuskiego, Rev. d. rev. XXVII (1898), 202—217; Kwart. hist., XII, 495.

(Str. 74 sq.). Pogląd z gruntu błędny na sprawy kurońskie jeszcze nawet u Bilbasowa, Gesch. Kath., II, oraz w rozprawie o Przyłąc. Kurlandyi, Istor. Monogr., II (1901); por. naszą uwagę w Kwart. hist., XI, 177.

(Str. 81 sq.). Zapiska Katarzyny 1758 r., Sborn., VII, 91; rewersały Karola, 25 paźdz. 1759, wyznaniowe §§ 3, 7, Ziegenhorn, Staatsr. d. Herzogth. Curland, N 355; traktat prusko-rosyjski 19 czerw. 1762, art. secr. 2, Martens, V, 403 sq.; o wysługiwaniu się Czartoryskich w sprawie kurlandzkiej, Sborn. XLVIII, LI, LVII pass.; Vol. leg. VI, 405, VII, 14, 357.

(Str. 91). O starym Heykingu por. Rozm. z Kayserlingem, Bibl. Warsz., CCXIX, 349; Sołowiew, XXV, 1424; Pol. perep. Imper. Ekater., NN 826, 840; jednak uległ on Repninowi już w początku 1767 r., jak wynika z pisma Panina, 14 lut. 1767, N 1512 (wbrew relacyi pamiętnikarza, odnoszącej poddanie się ojca do następnego dopiero roku).

(Str. 94). O pułkowniku wojsk kor. Janie Aloy por. Matuszewicz, Pam., IV, 33; Sołowiew, XXVII, 470; Panin do Repnina, 7 kwiet. 1767, Sborn. LXVII, 362; biskup Kra-siński do ks. Karola, paźdz. 1768, Schmitt, Żródła (1884), 49. Aloy z cichej protekcyi Repnina wziął indygenat na sejmie 1768 r., Vol. leg. VII, 800.

(Str. 97 sq.). Ligne, Mém. et mél., II (1827), Mém. sur. la Pologne, 50 sq.: «Qui ne préfère pas aux autres villes le séjour de Varsovie, où règne le meilleur ton de France, joint à une tournure orientale?»; Wraxall, Mem. of the courts (1800), II, 37; lady Craven margr. of Anspach, Mem.

(1826); A mem. of the r. h. Hugh Elliot (1868), 19 sq. pod 30 wrześ. 1772: »I never was so moved with any scene as with the first aspect of this court. Remorse or despair get the better of the forced cheerfulness with which they endeavour to veil the approach of ruin, slavery and oppression... He (Stanisław August) took me by the hand and said: Ah! mon cher Elliot, nous ne sommes pas des Anglais«; Harris, Diar. and corresp., I, 20, 29: »At this play (Ash-Wednesday) no one was present, but the prince (Repnin), his suit and the princess Czartoriska... (Słowa króla) Ah! il est bien doux de se tromper quelquefois«.

(Str. 106 sq.). Repnin 4, Panin 15 sierp., 9, 23 listopad., zatwierdzony przez cesarzową projekt deklaracji 11/22 listop. 1768: »Dans un acte où il n'y a que deux contractants, tel que celui par lequel S. M. I. garantit... les lois cardinales,... il est certain que l'usage de la garantie ne peut être que contre le tiers qui oserait les attaquer et jamais contre le contractant en faveur de qui seul elle a été accordée. Ce n'est donc que conformément à la nature même de cette garantie que S. M. I. déclare: qu'Elle n'entend en aucun temps préjudicier à l'autorité absolue et législative qui réside souverainement et immédiatement dans le corps de l'Etat, lequel sera toujours le maître de reprendre sur la constitution qu'il se fait et qu'il a seul le droit de se faire telle conclusion que les circonstances et ses besoins pourront exiger«: oczywiście cała ta piękna interpretacja gwarancji nie poprawiłaby ani na jotę losów Ustawy 3 maja, NN 1697, 1736, 1745—6, 1826; Solms, 14 listop.: »(Saldern) ...les a dépeints (Czartoryskich) comme des âmes romaines, qui se sacrifieraient plutôt pour leur patrie que de paraître consentir aux lois qu' (on) prétend leur donner«, Sborn.. XXXVII, 177. O Podoskim, LXVII, 560 sq., LXXXVII, 70, 78, 386, 518, XCVII, 357, 426; Herrmann, V, 456; relacye Viscontego u Theinera, IV, stosunkowo łagodne, Duriniego surowsze — lecz po

niewczasie, po prymasostwie. O zdradzie Vaubana, Panin, 20 kwiet. 1769, N 1835; o Ponińskim, NN 1873, 1879, 1883.

(Str. 118 sq.). Księżna Franciszka do biskupa kamienieckiego, 1 paźdz. 1771, Pułaski, 162 sq. W stosunkach Barzan z Portą były strony bardzo ciemne a wymagające wyświetlenia; odpowiednie dokumenty w Muz. Ossol. we Lwowie dają naogół świadectwo fatalne: opis upokarzającej audyencji Potockiego, »Rada czyli Dywan w obozie cesarskim w Han-Teppe, a. 1769 d. 18 junii«; projekt podziałowy, »Punkta pewne jakoby między Barską Konfederacją a Portą ułożone a. 1769 d. 19 jun.«. (§ 2 »(Rzplta) ustępuje Porcie Kijowa cum attinentiis, sobie zaś rehabilitacją waruje Smoleńska, Starodubowa, Czerniechowa i Inflant«, § 3 mówi o »ustąpieniu w jassyr wszystkich dyzuników chłopów a osobliwie z tych miejsc, gdzie bunty powstały«); wątpliwe to przecież wszystko, bo może rozmyślnie z nieżyczliwej strony partyjnej obostrzone, a jednak bardzo jeszcze dalekie od rozpowszechnianej później z obozu królewskiego wersyi Komarzewskiego i in. o cesyi przez Barzan Podola i Ukrainy; por. wzmianki u Sołowiewa i ostatnio u gener. Petrowa, i insynuację Panina do Cathcarta, Sborn. XII, 396, albo do Branickiego, 18 września 1769, N 1902, o »traité par lequel Krasiński et Potocki se sont engagés vis-à-vis de (la Turquie) au démembrement de la République en lui cédant la Podolie«; natomiast zbyt bezwzględnem wydaje się zaprzeczenie (Kaczkowskiego) Wiadom. o konf. bar., 128, 150. Nie był ten dym zupełnie bez ognia. Że w Dywanie brano wtedy na uwagę odebranie Podola — ale przy pomocy Austrii, o tem świadczy spólczesna korespondencya stambulska Thuguta w Arch. wied.: Thugut do Kaunitza, Pera, 24 mars 1770, o propozycyi, uczynionej mu 12 t. m. od Reisseffendego przez dragomana Testę »entweder einen König zu den polnischen Thron zu ernennen, oder aber die polnischen Lande mit der Pforte auf jene Art, so der Billigkeit und Auständigkeit

des kaiserlichen Hofes am gemässesten zu sein erachtet worden werde, zu theilen«.

Niezwykły Serment de Pułaski remis au b-on Viomenil: »Mr. Pułaski maréchal de Łomża voulant donner des preuves non équivoques de son amour et zèle pour la patrie et ne laisser aucun doute de sa bonne foi, s'engage envers Mr. Dumourier colonel au service de la France et accrédité par sa Cour, sous les serments les plus solennels, sur la parole d'honneur et sous la garantie de S. A. R. Madame la Duchesse de Courlande, d'observer à la lettre les conditions suivantes«; 1. przedstawić w ciągu dni 15 stan czynny swego oddziału; 2. zaprowadzić ściśle u siebie dyscyplinę; 3. oczyścić korpus oficerski; 4. pomódz do formowania oddziałów pieszych; 5. przyjąć prawidłowy plan kampanii opracowany przez Dumouriera; 6. wejść do Rady wojennej, złożonej z dwóch jeszcze osób przez niego obranych pod prezydencją D. jako »dépositaire du plan de campagne«; 7. nie podejmować żadnej operacyi bez ordynansu z podpisem D. i jednego członka owej Rady; »fait et signé à Loyky, le 27 juill. 1771, Casimir Pułaski mal de Łomża«. Manifest rozwiązujący i protestacya contra dismembrationem d. d. 26 listop. 1773.

(Str. 125 sq). Ciekawe zapiski Gustawa 7, 14 listop 1768 o społecznych wypadkach polskich, ogł. w Nchglss. Pap. przez Geijera; Eugeström, Pam., 59 sq.; Stackelberg do Katarzyny, 20 lut. 1789, Kalinka § 74. Zapiska o datku dla Heykinga znajduje się w Sumaryuszu papierów Stackelberga N 64. d. d. 3 Martii 1789, Audyencya sejmowa warszawska 16 lut. 1791, przyjęcie daru tit. Wdzięczność 30 czerw. 1791, pomyślna dla Birena konstytucya ostateczna 31 maja 1792, Vol. leg. IX, 456, 464 sq. Sejm nadzw. mitawski 30 czerw.—12 lip. 1794, akt abdykacyjny Birena 28 mar., akt submisyi 26 kwiet. 1795. Katarzyna do Zubowa (1793), Sborn. XLII, 324; instr. dla Tauenziena, 22 lip. 1794; Tauenzien 20 mar., 5 czerw. 1795: »toute cette

affaire (submisji) s'est arrangée par des intrigues incroyables desquelles les Courlandais seront la dupe, nagrodę Birena podaje na 2 mil. tal. indemnizacji i 60 tys. pensji rocznej. Por. Ukazy o inkorporacji Kurlandyi wraz z aktami submisyjnymi; o ustanowieniu generał-gubernatorstwa; o wzięciu dóbr książęcych do skarbu; o podziale gubernii kurlandzkiej na powiaty, P. S. Zak. NN 17319—324—341—410.

(Str. 145 sq.). Czacki, O lit. i pol. pr., I, 223; Osiański. O życiu i pismach Czackiego, 32; Korzon, II, 66; Vol. leg. IX, 24.

(Str. 149). »Etat des dépenses secrètes.. 1764 avril 27: à mr. Gozdski palatin de Podlachie sa pension annuelle de 60.000 florins de Pologne, ducats 3.333«. — Panin do Salderna, 29 novem. 1771: »pour la csse Gozdzka, sa demande est claire et sur un titre authentique. S. M. I. vous autorise à lui continuer sa pension dont la survivance lui a été assurée par ses ambassadeurs«, Sborn. XCVII, 462; por. istotne wysługi Gozdzkiego w konfederacji radomskiej, zwłaszcza w delegacji traktatowej. Szwarc, Warsz. w 1794 r., 47 sq. Grimm do Katarzyny, 4 mai 1781 o pojawieniu się w Paryżu świeżo właśnie zaślubionej Nassauowi księżny Karoliny: »c'est un plaisir de l'entendre parler de l'Impératrice et faire taire tout ce bourdonnement de hannetons qui se permettent de parler des affaires de Pologne«, XXIII, 150.

(Str. 156 sq.). O perlustracji korespondencji Ségura, Chrapowicki, Dnewn. 15 kwiet., 7 czerw. 1787, 21, 28 grud. 1788, 25 stycz. 1789, 13 stycz., 25 lip. 1790, 30, 33, 210, 214, 235, 301, 341; Ségur, Mém. II, III, Tabl. hist. et pol. (1803), I, 163; Rambaud, Instr. de Russie, II; Bilbasow, Istor. monogr. IV, 523 sq., gdzie wykazana niewiarogodność listów Nassaua do żony ogł. u Aragona. Z depezy Ségura do Vergenna, 2 janv. 1787, Sbor. XXVII, 395, wynika, że darowizna białoruska już wówczas była

zapewnioną. Koresp. Katarzyny z Nassauem ze zbiorów pani Janowej Potockiej, Sborn. I; pismo jego do Gustawa III, 20 wrześ. 1789 i odpowiedź Engeströma (druk. spółcz.).

(Str. 162 sq.). O indyjskim projekcie Nassaua wiosną 1791 ob. Will. Eton, *Tabl. hist., pol. et mod. de l'état ottom.* (1801), II, 269. O jego rokowaniach podziałowych z Prusakami, Nassau do Katarzyny, 30 juin, 26 oct. 1792, Feuillet de Conches, Louis XVI, II, 251 sq., VI, 180, 391 sq., Wasilczykow, *Rodz. Razumowskich*, III, 157; ostrzeżenie Katarzyny do Zubowa o wysługiwaniu się Nassaua Prusom w sprawach polskich (1793), Sborn.. XLII, N 273; o denuncyacji Laharpa i aferze z Rostopczynem, Arch. Woroncowa, VIII, 6, 40, 76; Kobeko, W. Ks. Paweł 400; Szylder, Paweł I, 257.

(Str. 166 sq.). O wypadku z Sanguszką połączyliśmy relacje samego Sanguszki, *Pamięt.*, 41 sq., i ze słów jego u Wodzickiego, *Wspomn.*, 388 sq. Pismo Katarzyny do Fryderyka Wilhelma, 3 grud. 1793 ogł. Bilbasow. O roli Nassaua w 1794 ob. Czartoryski, *Mém.* I, 155, Pistor. *Mém. sur la révol. de la Pol.* (1806), 196, 215, Arch. Wor. XII, 111, 127, 129, XIII, 290, 324; Fryderyk Wilhelm II do Repnina z obozu pod Wolą 7, 9 août 1794; Katarzyna do Grimma 4 sept. 1794, 22 avr. 1795 (o pretensyi Nassaua do dowództwa zamiast Fersena), Sborn. XVI, 20, 25, XXIII, 634, XXIX, 257, 286, XLIV; Harris, *Diar. and corr.*, III, 1, 9 Jan. 1794; Herrmann, VI, 678 i *Dipl. Corr.* 114; Martens, VI, 165, Sorel, IV, 94, Brückner, *Materyały* III, 256. Widocznie za świeże swoje zasługi zdążył jeszcze wykołatać Nassau w 1794 r. 50 tys. rs. za specjalnym Ukazem cesarzowej, *Kułomzin, Finans. dokum.*, I, 429.

(Str. 172 sq.). *Pam. anegd.* X, XI; (Rolle) *Spuściz.* po ks. Nassauskim, *Opow. hist.* VII, 286 sq. daje dokładne daty zgonu obojga Nassauów, 9 listop. 1804 i 21 kwiet. 1808, oraz jego charakterystyczny testament d. d. 17 kwiet.

1808. Sborn. XVI, 401; Daru, Hist. de Venise V (1853), 356 sq. Morkow do Panina 1 oct. 1801, Brückner, Mater. VI, 200 sq., do Koczubeja 3 juill. 1802, Sborn. LXX, 457; L'ami do Antraigues'a 1 mars 1805, Pingaud, Un agent secr., 247, 406.

(Str. 182 sq.) Najnowszą doskonałą biografię dał E. Bertana, Vitt. Alfieri (1902), choć nieraz aż hyperkrytyczną i nazbyt zgryźliwą; por. Pélissier, Le portef. de la csse d'Albany (1902) i Lettres inéd. de la csse d'Albany à ses amis de Sienne. Zaznaczmy przy okazji, że majordomem hrabiny w ostatnich latach florenckich został dobry nasz znajomy, stary, dymisyonowany Lucchesini, Reumont, Gräfin Albany, II, 103 sq.

(Str. 193 sq.) Osiński, Dzieła, III, 25, IV, 388; Bogusławski, Dz. dram., I; Feliński, II; por. opinię Niemcewicza i Lipińskiego 21 kwiet. 1816: »roztropne względy na położenie, na czasy, nie radziły, by tragedia ta miała być wystawiona na widok publiczny«, — skutkiem czego kilka tylko scen z *Virginii* odczytano na posiedzeniu publicznem Tow. Przyj. Nauk 30 kwiet. 1816, Kraushar, T. P. N., III, 31; Gaz. Warsz. 1823, Nr 24, Astrea III, 222 sq.

(Str. 201.) Dzienn. wil., czerw. 1806, 276 sq. Zauważyć należy, że Capelli, przy niewątpliwie wybitnych zdolnościach, robił politykę po swojemu, był w zatargach z Czartoryskim jako kuratorem, i zasłużył sobie na pochwały Siemaszki jako ucznia, Bieliński, Uniw. wil., III, 149 sq.

(Str. 206 sq.) Hirsch, Danz. Handelsgesch., 178. Generalmajor Köhler, Gesch. d. Fest. Danz. u. Weichselm, I (1893) ciekawą swą paralelę mongolsko-zakonną wieńczy taką uwagą: »Übrigens ist immer noch ein grosser Unterschied zwischen beiden Handlungsweisen. Tschingiskhan zerstörte die Städte und vertheilte die jüngeren Bewohner als Sklaven an seine Truppen, die älteren liess er niedermetzeln. Der Orden begnügte sich (!) die Bewohner zu

zwingen die Städte zu verlassen«. Schutzius-Chytraeus, Wahrhaff. Beschr. des Lande Preuss. (1599), 203.

(Str. 215 sq.). Rudawski, II, 137 sq.; Lengnich, VII, 146, 158, 173, 221, IX, 294, Jus publ. gedau. (1900), 88; Goldmann, Danz. Verfassungskämpfe (1901), 94 sq.

(Str. 225 sq.). O Tichonie Jakubowskim w Królewcu, Russ. Star., LXXIX. O zamierzaney okupacyi Gdańska nota ministeryalna rosyjska 4 grud., replika Prassego 7, Brühl do Prassego 18 grud. 1760, Eelking, Corresp., 167 sq.; por. uwagę Lengnicha, 458: »der höchst bedenkliche Antrag russische Truppen einzunehmen«; z memoriału Brogliego u Ségura, Polit. d. tous les cabin. I (1802), 161, okazuje się, że wicekanclerz Woroncow rozpoczął już z dworem francuskim rokowania względem owładnięcia Gdańskiem. Dyplom Katarzyny dla Gdańska, 5 kwiet. 1767, potwierdzając dawniejszy Anny Iwanówny z 10 maja 1736, oznaczał właściwie wzięcie miasta pod protektorat cesarskiej nawet przeciw Rzpltej, skoro gwarantuje jednostronnie zupełną nietykalność (»ohne einige Verkürzung«) Asekuracyi miejskiej Augusta III i zaleca w ogólności, iż »(die Stadt) wird zu Uns und Unsern Nachfolgern ihre zuversichtlichst-demüthigste Zuflucht nach wie vor zu nehmen haben«. O zabiegach Fryderyka, Pol. Corr. XXIV—XXVIII; Sborn. XXXVII, Nr 318—9, 521, 541, 556—9, 563—4, 572—3, 580, LXVII, 357, 367, LXXII; Damus, Danz. gegenüb. d. Politik Friedr. d. Gr. u. Friedr. Wilh. II, 19, 31 (paradne szczegóły o rezydencie pruskim Juncku, który pozwolił się przekupić Gdańszczanom, wziął od nich 5000 duk., poczem — zupełnie wedle metody króla — tem srożej ich gnębił), 59 sq.; Schmitt, Mater., II, 249 sq.; Mitth. d. westpr. Geschichtsver., I (1902), 31 sq.

(Str. 232 sq.). Fiszer, Podróż do Gdańska, 29, 30, 31 paźdz.: »Rano poszedłem z młodym Schuppeliusem do kapitana Niedermayera, który jest ceygwartem (Zeugwart), pokazywał mi cały arsenał, którego wielkość, porządek

i czystość w największe zadziwienie mnie wprawiła. Na dole jest kilkanaście sztuk arnat 48-o funtowych, kilkadziesiąt 24-o i 12-o funtowych, haubice i moździerze, wielka mnogość, bo najmniej 1000 cetnarów kul karabinowych, znaczna część kul armatnich wszelkiego gatunku i bomb od 50 do 1500 funtów ważących. Na górze kilka jest sal dużych, napełnionych jaknajporządniej karabinami, pistoletami i wszelkiemi gatunkami tak starożytnych jako i dzisiejszych orężów i broni; to wszystko w najpiękniejszym porządku jest ułożone, a gdzieniegdzie widać dekoracye z zabranych chorągwiów, sztandarów, zbroi ect. Prócz tego jest wielka mnogość starożytnych pancerzów, szyszaków, kos, dzid, maszyn do rzucania kamieni itd.»,

1 listop.: »Chodziłem po wałach miasta, które na milę w okręgu trzymają prócz dzieł zewnętrznych«, bawił do 4 listop. 1792. Proklamacya okupacyjna pruska 24 lutego 1793 powołuje się na to, »dass diese Stadt seit einer langen Reihe von Jahren gegen den preussischen Staat sehr wenig freundschaftliche Gesinnungen geheget hat«; pismo Gdańszczan do Stanisława Augusta, ad regem nostrum, d. 12 Martii 1793 z niewinnieniem żalosnem, że muszą uledz przemocy »parcitur sanguini innocenti urbisque ruinae,... ab omni consilio, quid juveret, destituti, quocunque S. R. M. Vrae auxilio interclusi«. — O projekcie schronienia się po Jenie do Gdańska, Lehmann, Stein, I, 432. W Warszawie wtedy pierwotnie liczone na powrócenie Gdańska: poczciwy Małachowski do Napoleona, 3 juin 1807, upominał się wyraźnie o »la ville de Dantzic et toute la partie de la Pologne qui l'avoisine«, — miał on zbyt żywo w pamięci rokowania gdańskie z Prusami z czasów Wielkiego Sejmu; wypadło poprzestać na połowicznym postanowieniu traktatu tylżeckiego 7 lip., § 6 i 9 lip. 1807, §§ 14, 19, 20—1.

(Str. 235 sq.). Bernhardi, Toll, II, 366 sq., Gesch. Russl. II, 735; Szylder, III, 137, 142; Pertz, Stein, III, 300;

Boyen, Erinner., II, 250, 526 sq.; Meinecke, Boyen, 247; Treitschke, I, 423; Oncken, Befreiungskr., I, 217, 257 sq.; Martens, III, N 68, § 2, VII, 80, 100; Osten-Sacken, Milit.-polit. Gesch. d. Befreiungskr. 1813, I (1903), 84, 163 sq. Arch. sztabu gł. w Petersburgu NN 1764, 1804—1806, 2054, 2087, 2139—43, 2286—93, 4772.

(Str. 242 sq.). Por. słowa Katarzyny, 15 maja 1793: »Z czasem trzeba będzie zamienić od cesarza Galicyę, ona mu nie jest na rękę«, Chrapowicki, 427; Czartoryski do Razumowskiego, wrześ. 1805, Wasilczykow, IV, 74 sq.; Aleksander I do Czartoryskiego, 31 janv. (12 lut.) 1811, Mém. et corr., II, 274; projekt instrukcyi dla Stackelberga, 13 lut., Martens, III, 78; Beer, Orient. Polit., 227 sq.; Tatischev do Nesselrodego, 29 juin 1828, Portfolio, II, 53; Proj. wciel. Galicyi do Węgier, Kw. Hist., XVII, 40 sq.; Mikołaj I do Paskiewicza 26 marc., Paskiewicz do Mikołaja 16 kwiet. 1846, Szczerbatow V, 370, V¹, 561. Por. też ciekawe uwagi Bismarcka, Ged. u. Erinn., II, 235: »Galizien ist überhaupt der oesterreichischen Monarchie lockrer angefügt,... ausserhalb der Grenzmauer der Karpathen künstlich angeklebt«.

(Str. 247). Raport Michajłowskiiego-Danilewskiego do ministra wojny, 10 (22) wrześ. 1847. Instr. dla Golicyna wedł. transkrypcyi w rkp. Danilewskiego; Rumiancew do Golicyna 6 (18) maja 1809. (Arch. wojny w Petersburgu).

(Str. 250). »Manifest o przyłączeniu części starej (*drewniej*) Galicyi od Austrii do Rosyi«, 29 kwiet. 1810, P. S. Zak., XXXI, N 24200; por. 24282 (o dezerterach), 24416 (o przeniesieniu komory z Wołoczysk do Cebrowa) itd.

(Str. 253). Theyls ur. 28 grud. 1742 (daty podane w Azb. Ukazat. im. russ. diejat., II, 326, są nieścisłe). Miał sobie od Katarzyny II powierzoną edukację młodego Bobryńskiego, syna Orłowa; czas jakiś był gubernatorem twerskim; za Pawła I naraził się na krótkie uwięzienie; był gorliwym członkiem wolnomularstwa, zbliżył do li-

beralnego kółka Nowikowa; por. Istor. Wiestn., XXVI, 402 sq.

(Str. 263). W rkp. Pam. Starzeńskiego są szczegóły, jaskrawo ilustrujące zakulisowy stosunek do sprzymierzonej Francji na długo jeszcze przed wybuchem wojny; np. o wykonywaniu zobowiązań sprzymierzeńczych, dotyczących blokady kontynentalnej: »Nous eûmes de ces autodafés (konfiskowanej kontrabandy angielskiej) au marché de Tarnopol. Saisis à la frontière et brûlés par le sénateur rigoriste (Theylsa), il éternuait et toussait de la fumée des étoupes et du fumier qu'on y avait substitués, et nous avions le moyen de remonter notre garde-robe en achetant ce qu'on avait sauvé des flammes«. Co się tycze dowodów zaufania, okazywanych ludności miejscowej, por. z tem, jako udzającą kontrpartję, równoczesną nader ciekawą »Zapiskę o poskromieniu buntowniczego ducha Polski« w guberniach zachodnich (1810.—1811), Sborn. mater. Wł. J. C. M. Kancel., XI (1901), 379 sq.

(Str. 265). Theyls do Starzeńskiego, Tarnopol, 4 juin 1815. Na pomniku marmurowym, wzniesionym na grobie Theylsa w Supraślu, obok napisu rosyjskiego wierszem na stronie frontowej, znajduje się z lewej strony następujący napis polski: »Tu pogrzebione są zwłoki Taynego Radzcy Senatora i Kawalera I. A. Teylsa. Ur. 17 gru. (st. st.) 1742 a 18 wrze. r. 1815 życie zakończył. W 1807 przyjął w poddaństwo Cesarza Wszechrosyjskiego mieszkańców kraju białostockiego. Tu ciało w prochu niknie lecz w duszach tych istnieje Dusza iego cała, Którym służąc przykładem, szczęście zbudowała«.

(Str. 273). Pismo Grocholskiego znalazło się wśród papierów wziętych w 1794 r.; najpokorniejsze pismo uwięzionego Tutołmina do Repnina z prośbą o ratunek zo gruđ. 1796 r.

(Str. 278 sq.). Bliższe szczegóły o nadużyciach Komburleja mieszczą się w dwóch obszernych skargach, poda-

nych na niego przez p. o. gubernatora wołyńskiego, Giżyckiego, do rewidującego senatora Sieversa, d. d. 16 i 20 czerw. 1815; w spółczesnej koresp. Giżyckiego z ks. Ad. Czartoryskim znajdują się ważne materyały do owej rewizji senatorskiej 1815 r. O Bauerze ob. depeszę Hédouvilla do Talleyranda, 17 czerw. 1802, Kwart. hist. XVI, 600. O Bystrym ojcu, Bartoszewicz w Wieńcu (1857), I, 313; Repnin do pani Bystrzyny, 10 sierp. 1796, Sborn. XVI, 479, 545; por. Kraszewski, Rozb., III, 670. O Morzkowskim, Ochocki, I, 83, 86, por. uwagi Rulikowskiego o mecenasach, 296 sq.

(Str. 287 sq.). Kładziemy tutaj sławne, wzmiankowane u Kłitowicza, przemówienie sejmowe Branickiego 1786 r., jako ciekawy przyczynek autobiograficzny, wedle spółcz. odpisu: »Mowa JW. Branickiego H. W. K., która królowi przyniosła zmartwienie: ...Wzywam na świadectwo Ciebie samego, N. P., jak nieposzlakowanie byłem wierny ojczyźnie, jak wiele przywiązania mego dla W. K. M. dałem dowodów, a najprzód będąc w Petersburgu, kiedy W. K. M. byłeś jeszcze obywatelem nieznanym mi tak dobrze, a w przykrym znajdując się razie, na hołd tylko imienia Polaka przyniosłem Mu pomoc z własnym azardem, przez co obraziłem na siebie nieboszczyka króla zesłego, przy którym jego boku byłem naówczas generał-adjutantem, obraziłem królewicza Karola, z którym poufała i ścisła miałem przyjaźń; prawda, iż za to miałem wdzięczność W. K. M., a to natenczas jako obywatela mnie (równie) urodzonego. Oddaliłem się potem w służbę zagraniczną, a gdy bezkrólewie nastąpiło, za powrotem moim do kraju, gdyś W. K. M. zamyślił o tronie polskim, jakichże Mu przywiązania mego nie dałem dowodów! Byłem posłem i z ziemią halicką na sejmie elektorskim wspierałem usiłowania i zamiar myśli Jego. Po objęciu tronu nastąpił w kraju rozruch: któż przy W. K. M. pierwszy stanął, kto bronił, kto majątek i życie sakryfikował dla Niego,

kto się za Ciebie, N. P., zastawił? byłże kto z krewnych albo braci W. K. M., któryby dla Niego co czynił? Nie było nikogo; ja jeden majątek mój do 300.000 naówczas wynoszący i życie nawet samo nosłem chętnie na ofiarę, a przywiązaniem do W. K. M. tak daleko byłem zaślepiony, że przeciwko własnym rodakom, przeciwko przyjaciółom szedł wstępny bojem: da mi w tem świadectwo zasiadający tu w Senacie JW. wda sieradzki, z którym krwią będąc złączonym, zapomniawszy prawie o tem, pod Krakowem jako z największym potykałem się nieprzyjacielem, prześladowałem krew moją, co mi wspomnieć przykro, boś mię W. K. M. przekonywał, że tego dobro kraju, interes spokoju publicznego wymaga. Znajdując się w Petersburgu, upewniony o projektach do podziału kraju naszego dążących, rokiem pierwej uwiadomiłem W. K. M. o tem przez wystanego kurjera JP. Michniewicza, lecz to doniesienie ważne wzięte było za niemające pewności. Ruszyłem stamtąd, a gdy wątpić nie można było o nieodmiennych układach wejścia wojsk pruskich i austriackich w granice kraju polskiego, posyłałem trzech kuryerów do W. K. M. z tem oświadczeniem, że lubo z małą garstką wojska polskiego chciałem jednak stanąć na granicach i raczej mężnie życie moje za kraj i ojczyznę poświęcić aniżeli tak haniebnie wzięcia obcemu wojsku dopuścić... Uczyniż to jakie zastanowienie? Oto na to ważne doniesienie, nie cierpiące zwłoki żadnej, od W. K. M. nie odebrałem odpowiedzi. A kto wie, czy mężne stawienie się Polaka nie mogłoby być ocalić kraj nasz i nie dopuścić tak smutnego losu. Wszakże kiedy już stanęły wojska w granicach, nie było innego sposobu, tylko udać się o pomoc do obcych potencji. Jakoż za naradzeniem się W. K. M. szukania protekcji od dworów francuskiego i angielskiego, wyjeżdżając do Francji, miałem przyrzeczenie z ust W. K. M., dałeś mi nawet N. Pauie najsołenniejsze zaręczenie na to, że dopóki jakowej odpowiedzi od tych dworów nie od-

biore, że W. K. M. nie dopuścisz uniwersałów na Sejm, który zbrodni największej, bo rozerwania krajów Rzpltej, miał dopełnić. Nie dojechałem jeszcze na miejsce, a w Strasburgu doszła mi wiadomość, że uniwersały przez W. K. M. już były podpisane i po kraju rozesłane. Miałem do Francji łaskawie przysłać sobie od W. K. M. buławę polną kor., wszakże umieszczenie to w ministerium nie przytłumiło bynajmniej patriotycznego ducha miłości kraju i wolności. Kiedy bowiem na sejmie 1773 podany był projekt tronu sukcesjonalnego, sam się pierwszy sprzeciwiłem W. K. M. i na niego pozwolić nie chciałem... Przyszło na koniec do podziału kraju i upoważnienia do tego traktatami Rzpltej. Byłem wprowadzie prowadzonym do podpisania tych traktatów, ale ściągnąłem rękę od tak szkodliwego ojczyźnie mojej postępku. Jestże tam mój podpis? pokażesz mi go W. K. M.? Nic takiego cobym przeciw obowiązkowi dobrego obywatela, przeciw ojczyźnie mojej uczynił. Potem zawierano traktaty commertiorum; nie sprzeciwiałemże się i w tem krzywdzącym naród i szkodliwym dla kraju naszego artykułom? Nadszedł sejm 1776, w którym podobało się odjąć władzę hetmanom. Sejm ów gwałtowny, na którym przez karabiuy posłów do tej izby wpuszczano, sejm ów pełny zgorszenia, kiedy posłowie wolnego narodu, na obrady publiczne zgromadzeni, nie mogli znajdować się inaczej w tej świątnicy, jak tylko za wydanemi biletami... Gdybyśmy byli przeświadczeni, że tego dobro kraju, interes publiczny wyciąga, bylibyśmy dobrowolnie odstąpii, lecz odjętej władzy sąże jakie skutki dla narodu? cóż lepszego Rada Nieustająca z departamentem wojskowym dla kraju zrobiła? radbym to kiedykolwiek widział. Szły potem następujące sejmy, aż w r. 1782, gdy przyszła materia biskupa krakowskiego, byłem przeciwny W. K. M., nie przeto jednak, żebym go (Sołtyka) rozumiał wolnym od słabości zdrowia na umyśle, ale szczególnie dlatego, że mi się nie zdawało, aby rządowi jęgo

podlegli niżsi, jemu przysięgli (kapituła), młodzi nad starszym władzę przywłaszczywszy sobie, postępek ten, więzienie senatora i biskupa, przez Radę Nieustającą pochwalony mieli. Na terazniejszym sejmie, lubo głos mój podniosłem, że JP. Komarzewski nadto sobie powagi przywłaszcza, i żem powiedział, iż jura cancellariae nie należycie do siebie przyciąga, mówiłem to w bojaźni, żeby czasem i pieczęci sobie nie przywłaszczył.. Tłumaczyć się musiałem z poprzysiężonej wiary dla ojczyzny mojej, z przywiązania oraz do osoby W. K. M...«

Małżeństwo Branickiego d. 23 listop. 1781; Katarzyna do pani Branickiej, 20 czerw., 17 sierp. 1782, 21, 27 lut. 1783, 25 lut. 1785, 12 maja 1788, 3 maja (ogł. współczes. w Gazecie Hamburskiej), 9 sierp. 1790, 22 listop. 1791, Arch. Wor. XXV, 461 sq., Sborn. XLII, 69, 93 sq.; por. Fontes rer. austr. LIII², 138, 164. O operacjach majątkowych hetmanowej, Essen 22 stycz. 1783, 18 paźdz. 1786, Herrmann, VI, 146, 520; Bezborodko 28 listop. 1791, 20 lut. 1795, Rostopczyń 24 lut. 1792, Arch. Wor. VIII, 50, XIII, 223 sq. Darowizna domu Szuwałowów Ukazem 10 lip. 1795; 8.400 dusz Ukazem 30 sierp. 1795, Sborn. XLII, 254, Arch. Wor. XIII, 356, Herrmann, Dipl. Corr. 534. W 1798 r. dokupiła hetmanowa do Białocerkwi od Stanisława Poniatowskiego Bohusław i Kaniów za 200 tys. duk. Por. ciekawą rozmowę Napoleona w Wilnie 1812 r. o starzych Branickich; »la comtesse (hetmanowa) avait promis un million de roubles à quiconque prendrait Napoléon«; podsuwano z tego tytułu cesarzowi konfiskatę dóbr, na co oczywiście nie dał zgody, Sołtyk, Nap. en 1812, 66.

(Str. 291). Okazano nam we Lwowie w starym albumie prywatnem (»Denkmahle der Freundschaft«) dwa akwarelowe rysunki Moriolla wraz z jego własnor. rymami *in verso*, d. d. Tarnów 1815 i 1816, gdzie opłakuje straty swoje z rzezonych spekulacji loteryjnych.

(Str. 308). Por. polemikę Kuglera, Forsch. z. D. G

XXIII, Hist. Ztschr. XLIV, w obronie Alberta, którego kronikę, wbrew Syblowi, wyprowadza z wiarogodnych świadectw naocznych w kronice lotaryńskiej.

(Str. 310). Wiadomo, że wbrew insynuacyom Sybla wiarogodność relacji w Liber pontific. stwierdzoną została przez najlepszych znawców (Ficker, Scheffer-Boichorst, Duchesne); co ciekawsza, niezbyt dawno (1893) za autentycznością obietnic danych Szczepanowi w Kiersey i Hadyanowi u św. Piotra oświadczył się Kehr na łamach samej Hist. Ztschr. LXX, co ze strony Sybla-wydawcy wywołało jedynie gołosłowne zastrzeżenie.

(Str. 315). To nowe wydanie D. Königthum (1881) Sybel bardzo dyplomatycznie przypisał — pogromcy swej książki, Waitzowi. Wobec nowszych prac Schrödera, Brunnera — (a z drugiej znów strony Violleta, Glassona, Stubbsa, stwierdzających powszechność władzy królewskiej u Celtów brytańskich, przy słabym, przejściowym tylko wpływie rzymskim), — teorię Sybla należy uważać za ostatecznie usuniętą.

(Str. 321). W czwartym wydaniu, zamiast »oderwania« (*Abtrennung*), wsunięte zostało łagodniejsze »Abwendung Oesterreichs von Deutschland«.

(Str. 324). O pierwszym podziale wyraża się w pierwotnej redakcyi: »Friedrich nahm Theil daran«; wobec późniejszych rewelacyi, a zwłaszcza monografii Beera, wykazujących już nie skromne »wzięcie udziału«, ale pierwszorzędną inicjatywę zdobywcą króla, tak zmienia ten frazes w ostatniem wydaniu: »Friedrich erhielt den ersten Anlass, seine Eroberungspläne nach dieser Seite zu richten«, — ale resztę wykładu zostawia bez zmiany. Por. też lichą jego rozprawkę Erste Theil. Polens w Kl. Schriften, III.

(Str. 333). Podnosimy tylko dwa szczegóły, ujawniające skuteczność Dunckerowskich rewelacyi: w poprzednich edycjach mówi Sybel o traktacie warszawskim, jak gdyby nagle spadł z nieba, wyłudzony znienacka na królu pru-

skim, a rozwodzi się nad pismem Leopolda do Fryderyka-Wilhelma z 25 marca 1790, które jakoby rozczuliło króla i spowodowało do ustępstw; w czwartym wydaniu już wspomina o układach polsko-pruskich od 1789 r., a o piśmie rzezonem przyznaje, iż »zrobiło na królu mało wrażenia«.

(Str. 347). Por. jak w pierwszych ed. inicjatywę sojuszu berlińskiego przypisuje Austrii; w czwartym, gdzie wobec świadectw Herrmanna i Rankego zmuszony przyznać, że inicjatywa wyszła od Prus, jednak zostawia identyczne wnioski: »dies war der Ursprung des Bundes« i t. d. O machinacjach Leopolda w 1791 przywodzi jedyny dowód, depeszę Buchholtza — z 1793, którą zresztą naopak tłómaczy. Gabinetowi berlińskiemu każe »schon am 6 Mai« potępić »die neue polnische Verfassung«, co jest oczywiście nonsensem ze względu na odległość. Utrzymuje jeszcze w ed. francuskiej, że Leopold »demandait aussi la garantie... de la constitution polonaise«; powołuje na to wyłącznie depeszę Elgina do Grenvilla, — której jednak nie wyszczególnia: i dobrze robi, gdyż nosi ona datę 9 maja, kiedy oczywiście o uchwale warszawskiej nie wiedziano we Florencji, a zresztą nie zawiera ani słowa więcej, jak życzenia cesarza »to include Poland in the guaranty on the footing on which it is proposed that Turkey should be placed«. Sfałszowaną od początku do końca w pierwszych ed. treść instrukcyi Bischoffwerdera z maja, zmuszony poprawić po ogłoszeniu oryginału przez Herrmanna, zostawił jeszcze z gruntu spaczoną w ostatniej ed. Por. też poprzednie i ostatnią ed. o sprawach polskich w styczniu, drugiej misyi Bischoffwerdera w lutym, układach mogunckich Spielmanna i Haugwitza w lipcu 1792. Ponieważ ogół rokowań Goltza fałszywie przedstawia, jakgdyby były prowadzone za wiedzą i zgodą Austrii, wnioskuje stąd, że po zakomunikowaniu nareszcie w marcu 1793 traktatu podziałowego dworowi wiedeńskiemu, ten ostatni »erfuhr

aus der Urkunde nichts neues«: wiemy teraz z oryginalnej depeszy Razumowskiego, że Cobenzl, wysłuchawszy komunikatu, tak stracił głowę, że porwał jak szalony kartę Europy i »zaczął gadać słowa bez związku«. Por. zresztą w niektórych z tych kwestyi naszą wykładnię w Przym. pol.-pruskim.

(Str. 348 sq.) Mowa Sybla 26 lut. 1863, jako referenta komisji sejmowej do wniosku Hoverbecka, w augsburskiej *Allg. Ztg.* Nr 59: piętnuje on tu konwencyę jako »Vertrag contra bonos mores«; lecz czułego wtedy sumienia publicznego Niemiec, mimo liberalne wnioski mowcy, nie zaspokoili jeszcze jego hipokryckie założenia, surowo skarcone w artykule redakcyjnym tamże, Nr 66, tak uczciwym, jakiego dziś próżnoby szukać w całej prasie europejskiej: »Das gelehrte Mitglied (Sybel) debattirte hier nicht etwas das er nicht kannte... die historischen Facta waren ihm sicherlich genauer bekannt als irgendjemand im Hause, nur hat er ihnen eine Auslegung gegeben, die mit der sonstigen Auffassung und mit den von ihm selbst bei anderen Gelegenheiten zur Schau getragenen Grundsätzen in einigem Widerspruch steht... Wir können diese Anschauung nur erbärmlich, wir müssen sie unmenschlich finden... Wir wissen wohl: Hr. v. Sybel ist fast noch besserer Diplomat als Historiker«. — List otwarty Sybla do Forcada, 5 wrześ. 1866, w *Rev. d. d. m.*, LXV: »les territoires polonais qu'il (rząd pruski) a acquis pendant le dernier siècle lui paraissent un enrichissement fort douteux«.

(Str. 361). Por. H. Z. prospekt, I, XXXVIII; LXXV, tamże z oświadczenia wydawcy wynika, że »Założenie cesarstwa« pozostanie fragmentem. Biograficzne szczegóły dał p. Bailleu, D. Rundschau, XXII, z niewydanej korespondencji i zapisek pamiętnikarskich Sybla; stosunek Sybla do króla Maxa bawarskiego wyjaśnił p. Dove w pięknej mowie akademickiej w Monachium, 15 listop. 1895, gdzie dyskretnie, lecz wyraźnie zastrzegł się przeciw wykroczeniom

historyka. O wcześniejszym niesmacznym panegiryku prof. Caro w Nord u. Süd, LX, wspominamy z tego tylko względu, że następca Roepella jak gdyby całkiem zapomniiał, iż Sybel miał jednak jakąś styczność z historią polską.

(Str. 396). Wzmianka o Alopeusie wywołała osobną dyskusję; por. notatkę Przyczynek do krytyki depesz M. M. Alopeusa, Kwart. hist. XVII, 530 sq., gdzie, zdaje się, ustaliliśmy ostatecznie reputację tego dyplomaty.

(Str. 401). Wł. Spasowicz, W obronie własnej odpowiedzi p. S. A. — Stan. Krzemiński, Polemika z prof. un. lw. p. S. A. — Wład. Smoleński, Prawda w bad. hist. prof. S. A. — Por. prof. Bron. Dembiński, O metodzie nauk. z powodu art. p. S. A., oraz W sprawie koresp. dypl. odpowiedź prof. S. A. (pierwsze trzy broszury wyd. 1903, ostatnie 1904).

(Str. 404). Inną jeszcze stronę rzeczy niedawno, z żółnierską otwartością, nazwał po imieniu zasłużony monografista napoleoński, p. Fryd. Masson, L'impér. Marie-Louise (1902), Introd.: »Je suis prêt à justifier toutes mes assertions et à montrer mes notes à quiconque voudra discuter de bonne foi. Je n'ai jamais refusé un renseignement ni une indication à qui que ce soit. Mais je ne me soucie point de fournir aux démarqueurs et aux plagiaires des pavillons pour leur piraterie; je ne me prête pas à divulguer une bibliographie assez ample sur laquelle j'ai porté mon effort; je ne veux pas livrer par des cotes d'archives les moyens de déflorer les sujets que je compte traiter«. Jest to niewątpliwie zbyt ostry, zbyt egotyczny punkt widzenia, lecz wcale prawdziwie utrafia w dość rozpowszechnione nadużycie naukowe.

(Str. 407 sq.). Okolski, Wykład prawa admin., I (1881), 322: »wedle atrybucyi burmistrzów... byli oni niższą władzą administracyjną rządową we właściwem tego słowa znaczeniu, a zarazem organem miejscowego samorządu«;

436: »rady gminne nie były utworzone, wójtów zaś gmin... nie można było zaliczać do organów miejscowego samorządu, byli oni bowiem przede wszystkim przedstawicielami władzy państwowej. Z tego powodu można powiedzieć, że samorząd gminny wiejski w Królestwie Polskiem powstał dopiero... 1864 r.«; 467 sq.: »rady departamentowe i powiatowe utworzone na mocy konstytucji 1807 r., były prostem tylko naśladownictwem tego, co istniało wówczas we Francji... nie można ich było uważać za organa, ściśle mówiąc, miejscowego zarządu... nie miały żadnych organów wykonawczych. Zresztą nie potrzebowały ich, gdyż z powodu ograniczonego zakresu swych atrybucji nie czuły nawet tej potrzeby«. — Kalendarzyk polit. na rok przest. 1828, 151, 574. Akta, na które się powoływałem, są to: w warszawskim archiw. Akt dawn. Sek. III, 4 A, Akta Rady Admin. Nr 2704, 1 vol.: »O Szkole Politechnicznej«, oraz w warsz. arch. Skarbu 2 vol., do czego doszło od tego czasu kilka vol. w archiwum warsz. Okr. Nauk. i ze źróđ. pryw. Część zapowiedzianej pracy, będącej w druku, jako T. VI wyd. przezemnie Monografii, ukazała się w Bibl. Warsz. (1903): Al. Jan Rodkiewicz, Pierwsza Politechnika polska. — Prawit. Wiestnik, 24 marca (5 kwietnia) 1882, Nr 64; por. instr. ministra oświec. publ. do kuratora Okr. nauk. warsz. 18 lut. (2 marca) 1882, Nr 2024.

(Str. 411). Korzon w Kwart. hist. VI, 165 sq.

(Str. 418 sq.). Traduction de la réponse de mr. Potocki à mr. Małachowski, maréchal de la diète, datée du 19 Janvier 1792; trad. de la lettre de S. M. le Roi de Pologne à mr. le maréchal général de la Conféd. de la cour. en date de Varsovie du 13/24 juillet 1792; trad. de la lettre du Roi écrite à mr. le cte Potocki en date du 25 août 1792. Ogłaszając odprawę niniejszą w Kwart. hist., zdeponowałem w Redakcyi oryginały dokumentów powyższych; por. tamże, XVII (1903), bliższe szczegóły tutaj pominięte.

(Str. 425). Angeberg, Recueil, 294.

(Str. 426). Potocki do króla »datée de Dubno le 1-er août 1792«, dołącz. przy własnor. jego liście do Bułhakowa, z août 1792. P. Smoleński, urągając mi za opieranie się na tym wydobytym przezemnie dokumencie (jedynym autentyku, skoro oryginalny ms. pisma i sierp. nie został dotychczas ujawniony), sam zaś jeszcze w swojej Konfed. targow., 235, podając to pismo z wadliwą datą z sierp. wedle przedruków, będących dla niego ewangelią, — dostarczył tylko namacalnego dowodu, że elementarne zasady krytyki źródeł są mu zgoła obce. Stwierdzam za razem, że zarówno ta książka, jakoteż Ostat. rok Sejm. W., pomimo niezliczonych cytacyi, oparte są w najważniejszych ustępach na nadzwyczaj ułamkowej i pobieżnej znajomości głównego materiału rkp. (do źródeł głównych autor wcale nie dotarł) oraz, co gorsza, nawet drukowanego.

(Str. 430). Ukaz Senatu »radcy kancelaryjnemu J. Bułhakowowi« 21 czerw. 1779; suplika Bułhakowa do Bezborodki 24 lipca 1781 o wsparcie pieniężne; reskrypt Katarzyny, 16 marca 1782: »p. radca stanu B.« (miał wtedy za sobą 20 lat służby); Bułhakow do Bezborodki, 29 stycz. 1792, z Warszawy: »Z bojaźnią przystępuję do niniejszego pisma... Miłosciwe dla mnie względy... uzbrają mnie w śmiałość uciec się do protekcyi Pańskiej i dają mi nadzieję, że raczysz cierpliwie mnie wysłuchać... Wpadłem w długi i jeśli tak dalej potrwa, nie będę miał nawet kuszuli. Zaczynam być zgrzybiałym, starzeję się i nie mam już nadziei wysłużyć cośkolwiek dla poprawienia mego stanu majątkowego. Lecz czyż nie jest bolesnem umrzeć z głodu i nędzy, kiedy nieporadność wieku uczyni niezdolnym do służby«; 16 sierp. 1798: »Wasza Światłość zawsze byłeś jedynym moim opiekunem, obrońcą i dobroczyńcą... Wstąpiwszy do służby w początku 1762 r... dotychczas wykonywałem wszystkie powierzane mi urzędy bez żadnego spoczynku...« (po uszy jest w długach, więc prosi o wsparcie przez przelanie na niego pensyi Ponińskiego, zwolnio-

nej skutkiem śmierci tegoż w lipcu t. r.), Sborn., XLVII, 1, 2, 19, 225, 236. Por. Herrmann, V, 476 o Bułhakowie: »ein Mensch, der, von Hause arm, sich zu Allem gebrauchten liess, was man von ihm verlangte«. Heyking, Mem., 336, z uwagi na niskie stanowisko służbowe Bułhakowa wyraża przypuszczenie »dass die Kaiserin ihn nur ernannt hatte, um den König zu demüthigen«.

(Str. 431). Wł. Grabiński, Dzieje narodu pol., Część II (Kraków, 1898), str. 141.

(Str. 434). Fiszer, Dodatki do mego Żurnalu, styczeń 1793. Geh. Staatsarch. Ap. 9, 27. t. Buchholtz, 1793, vol. I; tamże znajduje się pismo gabinetowe (podp. Finckenstein, Alvensleben, Schullenburg) do Buchholtza, 4 janvier 1793, gdzie już zawiadamia się posła: »j'ai fait dresser la déclaration ci-annexée«. Por. Sybel, Gesch. d. Revolutionszeit, II, 198: »So erschien am 6 Januar die preussische Erklärung und am 14 überschritt General Möllendorf die Grenze in fünf Colonnen«.

(Str. 436). Wł. Smoleński, Ostatni rok S. W. (Kraków, 1897), str. 217, przyp. 2. — Nad daremną próbą ratunkową, podjętą przez tego niefortunnego krytyka dla wywinięcia się od prostych wyjaśnień niniejszych, a odznaczającą się, w braku rzetelnych argumentów, tonem złym, najgorszym, w nauce niedopuszczalnym, — przechodzę do porządku dziennego.

(Str. 447 sq.). Roczn. gosp. kraj., XXXIV, 9 lut. 1859; XL (1860), 36 sq.; XLIII, 22 lut. 1861.

(Str. 452 sq.). Korzystaliśmy, oprócz papierów śp. Kłobukowskiego, także z zapisanej przez nas relacji ustnej jego i śp. Adama ks. Sapiehy. Por. Wrotnowski, Porozb. aspir. (1898), 462 sq. o słowach Bismarcka do K.: »tylko po Narew i Wisłę wraz z Warszawą; przyłączenie większej liczby ludności polskiej musiałoby pociągnąć wielkie niedogodności dla państwa i wielkie utrudnienie dla rządu« (K. był wtedy w korespondencji bezpośredniej z Wrotnow-

skim). Klaczko, *Etud. de diplom.*, 55 sq.; Z. L. S., *Ostatnie chwile powst. styczn.*, I, 271 sq.; Koźmian, *Rzecz o r. 1863*, III, 129; por. fałszywą i dyskretną zarazem relacją Sybla, *Begr. d. d. R.*, II, 489, o misji Alvenslebena i konwencji lutowej.

(Str. 457). Kładziemy z papierów Wład. ks. Czartoryskiego następującą depeszę, wyjaśniającą nagły list odwołujący z 24 lut.: Czartoryski do Rz. N., Paryż, 17 lut. 1864: »Prusy, które przed stu laty zrodziły projekt rozbioru Polski, wierne swej historii i zasadom,... otwarcie i jawnie zdążają do celu... Ambicya Bismarcka nie poprzestaje na zabranii części Danii. Idzie on dalej. W poufnych przed przyjaciółmi swymi rozmowach daje do zrozumienia, że Rosya znudzona sprawą polską radaby się pozbyć Królestwa... Mówią w Berlinie o projektowanym układzie Prus z Rosyą o podział Królestwa. O ile dowiedzieć się mogłem, nic jeszcze nie postanowiono, lubo p. Bismarck niczego więcej nie pragnie, jak znaleźć powód do wkroczenia do Królestwa. W tym celu wyszedł z Berlina rozkaz postawienia armii w W. Ks. Poznańskiem na stopie wojennej. Napozór zdawałoby się mogło, że popadnięcie Prus na tę drogę musiałoby niewątpliwie wywołać wojnę europejską, ale rodzi się słusna obawa, czy Anglia i takiego jeszcze obojętnie nie zniesie (przewrotu) i czy cesarz Napoleon nie zechciałby skorzystać z okazji, by poprzestać na zajęciu Renu«. W tem właśnie był sęk: na tej mylnej, obosiecznej rachubie sprowokowania pożądlivosti pruskiej opierano się w Hotelu Lambert, wyprawiając Kłobukowskiego do Berlina, a postrzegłszy jej ryzyko, nagle w samą porę się cofnięto.

(Str. 459). Kłobukowski do Kalinki, Berlin, 20 kwiet.: »Wczoraj jeszcze Treskow pytał mnie się, czy stanowczo nikt nie przyjedzie z Paryża, odpowiedziałem, że o ile wiem, stanowczo nikt nie przyjedzie«. Kalinka do Kłobukowskiego, Paryż, 28 kwiet. 1864: »Projekt nasz opierał


się na przypuszczeniu, że możnaby skłonić Koernera (= Bismarcka) do zajęcia kolonii (= Litwy), coby rozjątrzonych już panów zachodnich do stanowczej decyzji popchnęło. Wszakże przekonaliśmy się prędko i tu i za morzem (= w Londynie), że cokolwiekby Koerner przedsięwziął, na wszystko mniej więcej i tu i tam przystaną. Od tej chwili uznaliśmy za bezpieczne wycofać się stanowczo z tej bardzo niebezpiecznej gry i znakiem tego był ów list francuski (24 lut.). Zajmując się od lat kilku naszymi sprawami zewnętrznymi, miałem sposobność dowodnie przekonać się, że żadne mocarstwo tyle nam złego nie wyrządziło, co Prusy. Ścigały nas wszędzie z dziwną zajadłością, w Paryżu, w Londynie i Wiedniu.

(Str. 460). Pierwotna opowieść Berga, Russ. Star. XXVI, 689 sq. przenosi epizod berliński Kłobukowskiego do 1865 r., każe mu jechać do Paryża z listem Kraszewskiego, nazywa Treskowa generał-adjutantem i t. d. Kłobukowski w swoim piśmie otwartem do Berga, 17 stycz. 1880, Gołos Nr 12 t. r., nie mając sposobu wchodzić *in meritum* sprawy, mógł tedy, korzystając z nieściśłości tych szczegółów, dać denegację zupełną, formalnie ściłą, choć przemilczającą grunt rzeczy, a wskazaną przez okoliczności. Odwołanie Berga, 28 stycz. t. r., Russ. Star. XXVII, 678 sq., nosiło też na swój sposób równie połowiczny charakter.

(Str. 461 sq.). Niwa, IX (1876), XIII (1878), XVII (1880).

(Str. 466). Bibl. Warsz., marzec 1903.

L. 5822



TREŚĆ.

	Str.
Francya a Polska	I
Rozbiory	47
Z czasów Stanisława Augusta	72
Książę Denasów	135
Alfieri	177
Sprawy gdańskie	205
Rosya w Galicyi Wschodniej	241
Emigrant w Polsce	267
Henryk Sybel	299
Albert Sorel	367
O krytyce naukowej	391
Aleksander Kłobukowski	442
Przypisy	471





No 031

7

1434

"

